WOJCIECH STASZEWSKI
EWANGELIA
WEDŁUG
ŚW. JÓZKA
WIELKA LITERA

WOJCIECH STASZEWSKI

EWANGELIA WEDŁUG ŚW. JÓZKA

WIELKA LITERA

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3108729

Jz 1, 1-12

– A jeśli Boga nie ma, to co? Jeśli ludzie Go wymyślili ze strachu przed nicością, przed czarną dupą, w której każdy się musi znaleźć po śmierci? A raczej w momencie śmierci, bo po to już nie ma niczego, jak u Kononowicza – mówię do Józka. A Józek siedzi, jakby go stężenie pośmiertne dopadło. Niby się kiwa do muzy, która leci z głośników Pod Kasztanami, ale jakiś sztywny. Niezręczna cisza, chociaż Michael Jackson wykrzykuje, że jest zły, jest zły. Nalewam wódkę do kieliszka, bo pijemy po góralsku z jednego kieliszka, i podsuwam go Józkowi po lepkim blacie stołu.

– Dupcys, Stachu – odpowiada Józek. Poprawia się na obitej dermą ławie do siedzenia – co za wystrój! – i wypija. Siedzimy, nic się nie dzieje, jak w skeczu Stuhra. Małopolska, wiadomo. A tu jeszcze mróz za oknem, bo zima trzaska. I góry dookoła, bo Rabka-Zdrój leży w kotlinie między Gorcami, Beskidem Wyspowym i zakopianką.

– Polej, Józek!

Początek grudnia w Rabce jest jak ten moment na brydżu u Zacharów, kiedy licytacja skończona, wiadomo, kto gra, a kto się wykłada, tylko jeszcze nie wiadomo z czym. Ktoś unosi kartę, żeby zawistować, a Elka Zacharowa zawsze wtedy mówi: „Jeszcze prędziutko w imię Ojca i Syna, bo zaraz cosik będzie się działo". I zawsze mnie to śmieszy.

Elka to kobieta kabaret. Waży chyba ze sto kilo, ale w ogóle się tym nie przejmuje. Śmieje się, jakby jej pogłos dodali w pustym kościele przy parku. Chodzący spontan. Zawsze jej powtarzam, że powinna występować na scenie, i to nie w kabarecie, bo sama za cały kabaret wystarczy. Kiedyś

pewnie wymyślą dla niej taki gatunek rozrywki – Elka Zacharowa sama stanie na scenie, będzie gadać, a widzowie będą spadać z poobijanych dermą krzeseł.

Lubię wpadać do Zacharów, a i Elka ciągle zaprasza do siebie ludzi. Na brydża, ale wtedy zawsze jest problem, czy się czwarty znajdzie. Bo zawsze ktoś zapije – Rabka, wiadomo. Więc prościej od razu zaprosić na małą wódkę, tyle że jej stary nie pije w ogóle. Stary Zachara, dziwak jakiś, nawiedzony czy co. Jest rzeczywiście stary i z domu mu się nie chce wychodzić. Robi pantofle, które Elka po pracy zawozi babom na straganach swoim cinquecentem, bo stary Zachara prawa jazdy nie zrobił. Mrukowaty trochę, na góralskiego mądralę pozuje. Taki jakby lokalny Tischner, tyle że nie ksiądz, ale świecki człowiek, i nie z Łopusznej, tylko z Rabki. Jakoś tu nie pasuje, bo nie pije, nie jeździ, do kobiet nieskory, co za chłop? A żonę młodą sobie przygruchał przecież, tyle że stukilową.

– Po Elce to by nawet nie było widać, jakby była w ósmym miesiącu ciąży – rzucił ostatnio przy wódce Pietrek, jak w Zaborniance grali z kapelą i żeśmy tam przyszli się napić. No fakt, chociaż czy oni w ogóle się bzykają? Elka okrągła jak hipopotam, a stary Zachara nie jest już taki sprawny, jeszcze by się z niej stoczył i staw zwichnął przy upadku. Ciekawe, czy to robią, czy to tylko taki kontrakt: najgrubsza brzydula i największy staruch z tych wszystkich, co wianek panny młodej po weselach chcą złapać.

– Piję do ciebie. – Józek wyrywa mnie z zamyślenia.

Po góralsku z jednego kieliszka pije się wódkę nie samolubnie, tylko „do ciebie". Strząsam na ziemię krople, trochę dla bogów słowiańskich i bachicznych, a trochę w ramach higieny zgodnej z wymogami kraju stowarzyszonego z Unią Europejską, po czym nalewam wódkę do kieliszka i podaję go tobie. Ty robisz za chwilę to samo i podajesz następnemu. Jeśli siedzimy przy stoliku Pod Kasztanami we dwóch, to następny jestem ja. Kolejka szybko mija, a braterstwo większe niż przy zwykłym warszawskim „chluśniem, bo uśniem", co w korporacyjnej nowomowie tłumaczy się jako „cheers".

Zaraz naprawdę uśniemy. Czasem ludzie zasypiający przy piciu zasypiają na stole nie od alkoholu, tylko z nudów. Wiem coś o tym. Bo tak bardzo chcieliby, żeby do czegoś ciekawego się „dopić", żeby cosik się w końcu zaczęło w imię Ojca i Syna, jak mawia Elka Zacharowa.

Okna w Kasztanach wymienili ostatnio na plastikowe, białe, tylko się trochę już przykurzyły od tej nudy uzdrowiskowej. Józek mówi, że drewniane powinni dać, tylko nowe, to by lepiej do zabytkowego budynku pasowały. Ale gdzie tu zabytek – chałupa się wali, tynk odpada, ale okno na świat nowoczesne jak w komputerze. Jak odpalisz Windowsa, to pokazuje się taka ikonka pofałdowanego okna, że to niby twoje okno na świat. Może tak jest, może nie, ale Pod Kasztanami okno też zaczyna leciutko falować. Zimna wódka w górach dużo zwiastuje.

– Popatrz. – Józek wskazuje za okno.

– Śnieg pada – mówię.

– Patrz, kto idzie!

No tak, jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tej pustki na ulicach. W Warszawie o osiemnastej ludzie wychodzili z korpo i korki wkraczały w fazę apokalipsy. Sklepy na dobrą sprawę dopiero się otwierały, a ludzie wchodzili, wychodzili, podjeżdżali, żeby znów wejść, wyjść i odjechać. Normalnie mrowisko z filmu science fiction dla mrówek do oglądania na miniaturowych telewizorkach z przekątną pół milimetra.

W Rabce o tej porze rzemieślnicy zamykają zakłady, sprzedawczynie podsypiają w sklepach, bo nikt już do sklepu nie wychodzi tak późnym wieczorem. Rabka w zimie po osiemnastej zamarza. Więc widok człowieka na ulicy robi wrażenie. Ale że aż takie?

– Józek, co ci się stało? Wyglądasz, jakby ci chóry anielskie zaśpiewały.

A on siedzi jak zaczarowany i gapi się w falujące okno. Zresztą może jemu nie faluje.

Za oknem po ulicy idzie anioł. Kobieta anioł. Feministki by powiedziały: aniołka, ale feministki nie wierzą w anioły. A Rabka nie wierzy w feministki, tylko w Jezusa Chrystusa, Matkę Boską Ludźmierską

i księdza proboszcza. Taka Trójca Święta w uproszczeniu zwana Panbuckiem.

Kobieta anioł. Tak tą ulicą idzie, jakby płynęła. Śnieg zawiewa z boku, mróz jeszcze nieduży, ona w jakiejś kurtce z darów chyba i chustką owinięta. Jakby nóg w ogóle nie unosiła, nie stawiała.

– Ty, poślizgnie się dziewucha zaraz. Ona lodu niezwyczajna. – Józek rozgryza jej tajemnicę w sekundę. – Dlatego tak stąpa jak mniszka z Tybetu.

– Byłeś w Tybecie?

– W kinie byłem. W kinie Śnieżka grali kiedyś *Siedem lat w Tybecie*.

– W kinie grali filmy?

– A myślałeś, że tam zawsze była dyskoteka? – Józek zabiera się do kolejnego wykładu z rabkologii.

– Ty to byś mógł krótki przewodnik dla ceprów napisać – przerywam mu. – Jeżeli największa dyskoteka w mieście nazywa się kinem, to dlatego, że kiedyś było tam kino. A jeżeli miasteczko nazywa się uzdrowiskiem, to dlatego, że kiedyś działały tu sanatoria, dzieci z całego kraju modliły się do Bozi o gruźlicę, żeby tylko dostać tu skierowanie, a kto za młodu nie był w Rabce, ten na starość będzie świnią.

– O co ci chodzi?

– A tobie o co chodzi?

– O to… – Józek zerka za okno – …że się ta dziewucha zaraz na tym lodzie wydupcy.

– To idź i ją ratuj, jak taki z ciebie samarytanin – rzucam.

I Józek już się podnosi, już do portfela sięga, chce płacić, zaraz będzie się kłócił, „dzisiaj ja stawiam”, jakby honor góralski stawiał na szali, jakby mu dutki śmierdziały i wydać by je musiał. A przecież uczciwie zarabia na stolarce okiennej, nie musi sobie kupować szacunku za pieniądze czy stawiane kumplom flaszki. Ja tam go szanuję, on chyba wszystkie cnoty w dzieciństwie wpierdolił i dlatego teraz taki prawy, łagodny, uczynny. Święty taki.

Aż nagle w pół ruchu Józek zamiera. Jakby miał ciupagę, toby się na niej oparł, ale że nie ma, to się tylko stołu przytrzymuje i zastyga jak w stopklatce. Oczy w dziewczynę wlepione, podążam za jego wzrokiem. Już jest blisko, zaraz nas minie, można ją wreszcie dokładnie zobaczyć. W pierwszej chwili nie wiem, dlaczego tak Józka zamurowało. Bo jak człowiek przyjedzie z Warszawy, gdzie Wietnamcy handlują na Stadionie i pod Pałacem, gdzie Turcy serwują kebaby, a Hindusi otwierają knajpki pachnące mirrą i kadzidłem, to pewnych rzeczy nie zauważa. Na przykład, że ktoś ma ciemniejszą twarz, jak ta dziewczyna. A jak ktoś jest z Rabki, to mu to od razu świeci w oczy jak neon.

Nie żeby Józek był jakimś rasistą. On nawet krakusa, nawet warszawiaka uważa za swego. Tylko jak dziewczyna lodu jest niezwyczajna, to Józek jest niezwyczajny ciemniejszej skóry na twarzy. No chyba, że ktoś by ogorzał od halnego. Ale laska wyraźnie ma wschodnie rysy, nie do końca, jakaś mieszanka kulturowa, ale tego Józek jest jeszcze mniej zwyczajny. Bo w Rabce nie było, że można z Murzynką albo Murzynem, ksiądz proboszcz by z ambony wyklął. Chyba że to byłby mały, śliczny Murzynek i ksiądz proboszcz mógłby osobiście, ale w dwutysięcznym roku to Józkowi do głowy jeszcze nie przychodzi.

Odwiesza się w końcu. Nie uprzedził się przecież, tylko zdziwił na moment. No, może minimalnie się zawahał. Ale tym bardziej teraz chce do niej biec.

– Boska – mówi z zachwytem. Jakby chciał przed sobą tym zachwytem usprawiedliwić to zawieszenie czy zawahanie. Tym bardziej energicznie zostawia banknot na stole i wychodzi w śnieżycę. Zresztą nie taki diabeł straszny, jak go malują – okazuje się, że śnieg już przestał padać, tyle że fakt, ślisko się zrobiło jak diabli.

– Helloł, ken aj help ju? – pyta Józek, bo przecież angielskiego się w technikum drzewnym uczył.

– Niech będzie pochwalony – odpowiada dziewczyna czysto po polsku. Prawdziwa Polka. A przynajmniej naprawdę polskojęzyczna, jak niektóre gazety i stacje telewizyjne według Podhala, prawdziwego Podhala.

– Na wieki wieków – odpowiada jej Józek i odruchowo szuka góralskiego kapelusika, żeby go uchylić. Ale teraz ma czapkę grubą, narciarską, więc mu ten ruch niezręcznie wychodzi, jakby się chciał w głowę po chłopsku podrapać z bezradności.

W tym momencie dziewczyna traci równowagę na lodzie. Macha rękami, puszcza chustę, którą się okutała przed zimnem, walczy o utrzymanie równowagi. Kiedy już ma upaść, Józek chwyta ją pod ramię i przytrzymuje. Przez moment trwają tak i nagle Józek znów się zawiesza. Bo dziewczyna ma na prawym policzku dwie szramy. Wyglądają na świeże. Jakby ją tutaj ktoś napadł, jakby jej to ktoś z miejscowych zrobił, bo cepra jeszcze żadnego tu nie uwidzisz. Jakby jej ktoś karę chciał wymierzyć za tę ciemną skórę, za te rysy niepolskie, nieprawdziwe. Rysy, które są przeciwko Polsce w opinii prawdziwego Podhala, prawdziwych kibiców, nie tylko Legii z Warszawy, ale też KS Wierchy, który wygrał na zakończenie rundy jesiennej trzy do zera z Murzasichlem.

Józkowi robi się wstyd za Rabkę, za Podhale i tym bardziej chce dziewczynie wszystko wynagrodzić. Bo on tę Rabkę kocha od dziecka, więc niech dziewczyna Rabki nie przeklina w przyszłości.

– Czy mogę ci pomóc? Pani pomóc?

– Maryśka jestem – przedstawia się dziewczyna jeszcze czystszą polszczyzną. Już tak czystą, jak biel śniegu, jak flaga biało-czerwona, tylko bez podejrzanego czerwonego, czysta biel. Taka, że nawet jeśli ktoś jej za kolor skóry policzek pociął, to teraz powinien odszczekać, przeprosić, zafundować operację plastyczną.

– Józek.

– Na razie mam jedną prośbę. Rozluźnij chwyt na mojej ręce.

Józek dopiero teraz zauważa, że trzyma dziewczynę z całej siły za ramię. Dłoń ma potężną, jak to cieśla, a ona taka drobna, że obejmuje jej rękę jak małą gałązkę. Zawstydza się, co dziewczyna z tej Rabki zapamięta: zbójecki napad z nożem albo żyletką i niezręcznego górala, który zmiażdżył jej ramię na amen.

– Wybacz, Maryśka.

Jz 1, 13-20

– Chodźcie, herbaty wam zrobię. – Otwieram bramę warsztatu, ale ostrożnie, żeby się Andrzej z Jędrkiem Nawarą nie dowiedzieli, nie przyuważyli niechcący, że im obcych na teren zakładu wprowadzam. Niby mam tu pokoik na górze, Andrzej powiedział, żebym sobie tu mieszkał, ale jednak to jest trochę na krzywy ryj. Miało być na tydzień, póki sobie czegoś lepszego nie znajdę, a zrobiły się z tego miesiące. Jędrek nawet już stąd swój komputer niedawno zabrał, ma taki przenośny, płaski jak książka laptop.

Luksusów to tu nie ma. Stara wersalka z oparciami z boku na wysoki połysk, stolik, dwa skrzypiące krzesła, szafa w kącie. Jest jeszcze coś, co by w trzygwiazdkowym hotelu uchodziło za aneks kuchenny, ale ja już po trzygwiazdkowych hotelach nie jeżdżę. Ani po żadnych innych. Ja jestem pomocnikiem mechanika samochodowego i amen.

Żyjąc w Warszawie, myślałem, że prawdziwy góral chodzi w kierpcach, parzenicach, pelerynie z takiego wełnianego filcu, pyka z fajeczki i wypasa owce na hali. No, ewentualnie siedzi w bacówce i wytwarza żętycę oraz oscypki, żeby je zarejestrować jako produkt regionalny w Unii Europejskiej i ruchać turystów na kasę.

Ale prawdziwy góral chodzi w drelichu i naprawia auto, tuninguje, żeby śmigało. Żeby mu silnik grał potęgą Giewontu. Żeby się błyszczało od wosku, jak te granie tatrzańskie ośnieżone od września do maja. Żeby się żaden kupiec nie przypieprzał, że niemieckie, kradzione i bite. Prawdziwy góral krowy nie wydoi, babie cycków też pieścić nie będzie, a autko wyszpachluje tak czule gołymi rękami, że żadnych wgnieceń nie będzie widać, choćby je wcześniej dwa ukraińskie tiry sprasowały między sobą na niemieckiej autostradzie.

Prawdziwy góral nie jeździ na koniu, na rowerze, nawet na motorze. To jakieś fanaberie. Jeździ autem. Choćby do sklepu pod domem szedł po wódkę, to się musi karnąć, bo na piechotę łazić nie będzie, jakby był turystą z plecakiem z Wielkopolski albo ze Śląska, warszawiakiem po prostu albo

krakusem. Wszystko, co na północ od Soły, to chuje, krakusy i warszawiaki, Pan Bóg ich na ziemię przysłał tylko po to, żeby auta z Niemiec sprowadzane od górali kupowali. Bo górale to naród wybrany przez Pana Boga. Pan Bóg sobie ich upodobał już dwa tysiące lat temu, ale nieochrzczeni jeszcze byli, więc nie było bata, musiał Pan Bóg sobie Żydów nominować do tytułu narodu wybranego. Jednak nominacji nie sprostali i Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – dwa tysiące lat później sobie górali wybrał już oficjalnie, prawdziwych Polaków z prawdziwego Podhala, prawdziwy lud Boży.

Gdyby chcieć nakręcić dziś prawdziwy film o Jezusie Chrystusie, to Jezus nie wjeżdżałby na osiołku do Jerozolimy, tylko beemką nówką sztuką z naszego warsztatu z szybami otwartymi i hiphopowym bitem ze wzmocnionym basem zajechałby do Nowego Targu.

– Chodź, Maryśka, nie bój się, ręczę za Staszka, to dobry człowiek – zachęca dziewczynę Józek i za ramię ją ostrożnie ni to popycha, ni podtrzymuje swoją wielką łapą cieśli. Zdążyli się już chyba nieźle zaprzyjaźnić przez te pół godziny.

– Ja wiem, ja widzę – odpowiada dziewczyna i się z uścisku Józka wyswobadza.

– Staszek jestem – witam się i trochę sztywnieję. Nie dlatego, że taka boska, mnie się aż tak bardzo nie podoba jak Józkowi. No dobra, podoba mi się. Ale nigdy nie wiem, jak się witać z kobietami. To dla mnie patowa sytuacja. Kobieta powinna pierwsza wyciągnąć rękę. A jak nie wyciąga, to co? Zasalutować?

Maryśka – no przecież już usłyszałem, jak się nazywa, zresztą Józek mi to przez komórę powiedział, jak zadzwonił, kiedy zbierałem się z Kasztanów, że dziewczyna żyletkami przez miejscowych pocięta, że zmarznięta, że pomóc jej trzeba – nie tylko ręki nie wyciąga, ale jakby ją jeszcze bardziej chowała na widok mojej gotowości do witania.

Wskazuję im dwa krzesła, Maryśka ściąga kurtkę, chyba z opieki ją dostała, ortalion, który udaje zimową puchówkę, i w co ona właściwie jest ubrana? Oryginalny czador z Bliskiego Wschodu czy sukienka ze sklepu

hinduskiego w Krakowie, tyle że w rozmiarze XXL, chociaż Maryśka jest drobniutka, metr sześćdziesiąt na oko, i z buzią dziewczynki. Może to jest dziewczynka, nie wiadomo, czy umawiać się z nią na wino, na seks, czy na układanie puzzli. Zobaczymy, jaki obrazek się z tego ułoży.

Siada na krześle skulona, okutana chustą na głowie, jakby zmarznięta. Nigdy nie lubiłem tych słuchaczek Radia Maryja, co wchodzą do pomieszczenia i siedzą w moherowej czapie, jakby się bały, że manna zacznie nagle lecieć z sufitu i im włosy oprószy. Ale Maryśka w tej chuście jakoś mnie nie drażni. Jest tajemnicza, jakby przyjechała tu do Rabki z ekipą National Geographic.

– Słodzisz? – pytam dziewczynę, szykując szklanki, takie z koszyczkami plastikowymi do trzymania, to by się też nadawało do National Geographic, gdyby kręcili program o PRL-u.

– Stachu, ja ci tu słodzić nie będę – wcina się Józek – ale skoro już jesteś taki dobry, to bądź jeszcze lepszy. Maryśka by coś pewnie zjadła.

– Tylko skąd ja jej humus wezmę – wypalam i zaraz się w język gryzę, bo nie wiadomo, czy to poprawne politycznie. Jeszcze mam w sobie tę całą Warszawę, ten szacunek dla innych kultur, to odruchowe umiłowanie dla kobiet, niepełnosprawnych, przyjezdnych, imigrantów zarobkowych i zwierząt ze schroniska na Paluchu.

– Ja bym wolała chleb ze smalcem. Dawno nie jadłam – mówi spokojnie Maryśka, trochę się prostując. I znów nie wiadomo, czy dawno nie jadła chleba ze smalcem, czy w ogóle dawno nie jadła. Ale skąd zna chleb ze smalcem? Do tej jej chusty, hidżabu czy jak to się nazywa, chleb ze smalcem pasuje jak owoce morza do jarmułki. Ale trochę tę chustę rozluźnia, opuszcza na plecy. Teraz by mogła udawać góralkę na jasełkach z chustą ludową ręcznie malowaną.

– A mam chleb i smalec. – Wyciągam produkty z lodóweczki i sięgam po nóż gwałtownie, a może niezręcznie, dość że Maryśka znów jakby kuli się w sobie. Coś się tu musiało stać dzisiaj, wczoraj, nie wiem kiedy – w każdym razie nie dwa tysiące lat temu.

Jz 1, 21-27

Wychodzimy z Józkiem przed warsztat. Maryśka śpi. Nakarmiliśmy ją, bo była głodna. Napoiliśmy, bo była spragniona. Całkiem jak w Nowym Testamencie. Tylko w tamtych czasach chyba mniejszą wagę przywiązywali do regeneracji niż w erze sportu masowego i nie wiedzieli, co zrobić ze śpiącym. Wyspać go? Nie ma takiego czasownika.

Na szczęście Maryśka zaczęła tak ziewać, że nie pozostawało nic innego, jak pokazać jej miejsce na wersalce i wyjść na zewnątrz, żeby mogła się przekimać.

– I co teraz?

– Kurde, nie wiem, nigdy nie chciałem być samarytaninem. Ani dobrym, ani złym. To rola nie dla mnie, tylko dla ciebie – mówię Józkowi.

– Ale ja nie mam pojęcia, co z nią zrobić!

– A myślisz, że dobry Samarytanin miał pojęcie? Zadzwonił do opieki społecznej i powiedział: „Dzień dobry, znalazłem przy drodze mężczyznę, ofiara pobicia, przytomny, kontakt słaby, proszę przysłać rydwan medyczny z dwoma osłami na sygnale”?

– No nie. Jak chcesz być taki dokładny – Józek zaczął się rozkręcać – to dobry Samarytanin opatrzył rany pobitego kupca, zalewając je oliwą i winem. Dokładnie tak jest w Ewangelii: zalewając oliwą i winem. Opatrywałeś sobie kiedyś rany oliwą i winem?

– Hm, czyli dał mu lekkostrawny posiłek tłuszczowy i się razem najebali – zgaduję.

– Właśnie.

– No ale jak chcesz się najebać z dziewczyną, która na kilometr pachnie muzułmanką i właściwie to cud, że rozmawia z obcym mężczyzną? I po co?

– Ta dziewczyna – ciągnie Józek tonem kaznodziei – nazywa siebie Marią i oprócz tego, co w niej muzułmańskie, mówi czysto po polsku i lubi chleb ze smalcem. Z nieba tutaj nie spadła. Jesteśmy jej winni pomoc. Nie za te szramy na policzkach, może w Ponicach jej to zrobiły jakieś głąby, bo

przyszła od tamtej strony. Ale jesteśmy jej winni pomoc, bo jest naszą bliźnią. Tylko nie wiem, jak mamy jej pomóc.

– Na razie musi się wyspać.

– A potem co? – pyta Józek. – Obudzisz ją nad ranem pocałunkiem, okaże się królewną i będziecie żyć długo i szczęśliwie? Staszek, ja pamiętam twoje warszawskie historie, mniej lub bardziej nieszczęśliwe i w zasadzie zawsze krótkie. Trzeba ją gdzieś umieścić, a potem zdecydować, jak jej pomożemy.

– Ależ wy tu jesteście patriarchalni od stóp w kierpcach po piórko na kapeluszu. Jak ty mówisz o tej dziewczynie? „Umieścić ją", a potem „zdecydować", co z nią zrobić? Moje warszawskie historie może były bardziej bolesne niż wasze z Rabki, ale kobiety w nich same decydowały o sobie. Nigdy ich nie umieszczałem i nie decydowałem za nie, co dalej. To jest Europa, Józek. Nie tylko ta moja liberalna, ale też ta twoja chrześcijańska. Tym się nasza Europa różni od krainy tysiąca i jednej przemocy, z której ona przybyła. Bo chyba stamtąd przybyła.

– Nie złość się. – Józek wielki, misiowaty uspokaja rozmowę, jakby wylewał oliwę na morskie fale. – Przecież obaj chcemy dla niej dobrze. Weź coś wymyśl.

– Pójdziemy do Elki Zacharowej – wpadam na pomysł – powiemy, co jest, i poprosimy, żeby dziewczynę przechowała kilka dni. A jak dojdzie do siebie, to z nią pogadamy…

– Zapytamy, co tu robi, czego potrzebuje – Józek wchodzi mi w słowo – i jak jej możemy pomóc.

Gdybyśmy jarali fajki, teraz zgasilibyśmy kiepy. Ale ja nigdy nie paliłem, Józek chyba też nie. Więc tylko przybijamy piątkę, przeciągamy się. Patrzę w niebo nad Rabką. Ciągle mnie zadziwia, ile gwiazd tu widać. W Warszawie to na niebie jest w zasadzie tylko Wielki Wóz. A tutaj? Gdyby górale mogli ponazywać gwiazdozbiory, to byłoby na niebie mnóstwo wozów. Beemki, ople, peugeoty i merce przede wszystkim.

Nagle w drzwiach staje Maryśka. Też patrzy w gwiazdy. Może jednak spadła z nieba?

– Skąd przybyłaś? – To jest jak impuls, pytanie po prostu mi się wyrywa.

– Teraz to nieważne. Ważne, dokąd pójdę. – Głos ma zmieniony, jakiś niski, trochę teatralny. Jakby odgrywała jakąś sztukę pod gołym niebem. Jeszcze powinna rzucić puentę w stylu „liczy się droga, nie cel" i byłbym pewny, że gram w programie reality i to wszystko filmują malutkie samolociki z powietrza. Na pewno już takie są, a jak nie, to ktoś je zaraz wymyśli.

Jz 1, 28-36

– Siadaj, ziemniaków ci nałożę, kotleta dostaniesz i kapustę mam zasmażaną. Co ty tam u chłopa mogłaś jeść? Polak głodny, to zły i myśleć nie ma siły. A ty w ogóle jesteś Polakiem? Albo Polką raczej? – Elce buzia się nie zamyka i to pytanie samo niechcący wypada przez otwarte przy ciągłym gadaniu usta.

– Jestem – odpowiada Maryśka. Stół kuchenny u Zacharów z ceratowymi podkładkami i krzesła drewniane to nie jest może konfesjonał, ale Maryśka w pięć minut nabiera zaufania do Elki.

– Ja też sobie nałożę – mówi Elka, a stary Zachara patrzy trochę ze zdziwieniem, a trochę z dezaprobatą. – Wiem, że to druga porcja dzisiaj, ale strasznie mnie ssie z głodu od paru dni. No, od paru tygodni. To jesteś Polką, tak?

– Mama jest z Rabki. Była z Rabki.

Elka zamiera.

– Toś ty krajanka!

Maryśka mówi dalej.

– Wyjechała stąd dawno. A ja w Rabce żyłam. Mieszkałyśmy… gdzie indziej. Musiałam stamtąd uciekać.

Nagle urywa. I tak rozgadała się, jak nie wiem co. Ale to chyba jasne, że jeśli Zacharowa ma wziąć kogoś pod dach, to musi się wypytać, kto zacz.

– Jedz już, dziecko, nic się nie martw. – Elka chyba jednak uważa, że nie musi za dużo wiedzieć. Że ważniejsze jest jedzenie.

To największa polska patologia. Nie alkohol, alkohol to codzienność, środek rozweselający, eliksir z tajemniczymi mocami, sokiem z gumijagód, dzięki któremu Polska rośnie w siłę niezależnie od ustroju i okoliczności. Teraz też stary Zachara wyciąga flaszkę, wielkie mecyje. Sam nie pije, ale polewa Józkowi i mnie, po warszawsku do dwóch kieliszków. Bo nie to jest tradycją góralską, żeby z jednego kieliszka zawsze pić, tylko jak mówi stare przysłowie, gość w dom – wódka na stół. Żadna patologia, tylko zwykła starogóralska gościnność.

Największa polska patologia to jedzenie. Okazywanie uczuć wyłącznie przez jedzenie.

Jedzenie jest środkiem przymusu dla dzieci. „Masz zjeść. Świnek nie mamy. Będziesz głodny. Jedz, kurwa, jedz".

Jedzenie jest wyrazem miłości. „Dam ci zupę, dam ci czekoladkę, serca ci nie dam".

Jedzenie jest wyrazem nienawiści. Za słone zupy, czarne polewki, kelnerzy plujący do talerzy w miejskiej mitologii.

Jedzenie jest święte. Obiad ma być na stole, dymiący, jak mąż wraca z roboty. Albo w drugą stronę: jak żona podaje obiad na stół, to wszyscy muszą rzucić swoje sprawy i złapać za widelec, zanim danie przestanie dymić.

Nie jesteśmy sobą – jesteśmy tym, co jemy. A że jemy w stresie, to sami jesteśmy zestresowanym mięsem.

Maryśka się nad tym nie zastanawia, bo faktycznie jest głodna. Elka też się nie zastanawia, bo jest chyba głodna jeszcze bardziej. Chudzi ludzie jedzą tak, że im się uszy trzęsą. Elce trzęsie się przy jedzeniu wszystko, tak wpierdala.

– Pościelę ci w drugim pokoju – mówi. To pokój dla dziecka. Wiem to od Elki, chociaż ona nigdy tak na ten pokój nie mówi. Tak jak nie mówi, że chciałaby mieć dziecko. Tylko raz się z tego zwierzyła po pijanemu. I mówiła już przez łzy, przez szlochy na koniec tych wyznań, że jak to z siebie wyrzuciła, to czuje się o kilogram lżejsza. Jak to opowie jeszcze pięćdziesięciu osobom, to dojdzie do odczuwalnej wagi optymalnej.

– A męża nie spytasz? – wtrąca niespodziewanie stary Zachara.

I co? Elka podskoczy Zacharze, powie mu, że to ona decyduje, a on może spadać, jeśli nie na bambus, to na Turbacz? Konsternacja, jak zawsze przy takiej przepychance między ludźmi. W Warszawie przerabiałem takie przepychanki w pracy, ale żeby w domu, między najbliższymi osobami? No dobrze, też przeżywałem, i to chyba boleśniej.

Elka przełyka mokrą szmatę, którą właśnie dostała w twarz, i mówi do męża:

– Może u nas przybyszka przenocować? Jedną, dwie, najwyżej trzy noce – zapewnia.

– Może – odpowiada Zachara. Mocno niejednoznacznie. Ale o to chodzi. Jeżeli może zostać, to nie ma sprawy. A jeżeli staremu Zacharze chodziło, że może tak, może nie, to się z tych niejasności nie odkopie, aż śniegi zejdą, a tu dopiero połowa grudnia.

Elka zbiera talerze, zmywa. Maryśka chce się poderwać do pomocy, ale Elka powstrzymuje ją wzrokiem.

– Od jutra się do roboty nadasz chyba.

Chyba – wiadomo, bo z mężem to musi przegadać, uzgodnić, co się mąż zgodzi zrobić dla tego dziecka ze szramami na policzku.

– Goście Józka są moimi gośćmi – rzuca Elka i idzie do szafy na bieliznę. Ma już tyle poszew, że mogłaby do emerytury niczego nie kupować. Ale używa tylko dwóch na zmianę, reszta czeka na czarną godzinę. Nigdy tego nie zrozumiem. Tak jakby w momencie wybuchu atomowego albo powtórnego przyjścia na świat Pana naszego Jezusa Chrystusa najbardziej się liczyło, kto sobie więcej poszew nienaruszonych zachował.

– Ała! – krzyczy nagle Elka. I to jest krzyk jakiś dziwny, prosto z trzewi. Nie taki, jakby ją zabolało zwyczajnie, kiedy człowiek się walnie w kolano albo łbem o szafkę przywali. Taki, jakby coś z niej z głębi krzyczało, chciało światu oznajmić, że zaraz cosik się stanie w imię Ojca i Syna.

Maryśka wychodzi ze swojej roli gościa, a raczej wybiega z niej gwałtownie, rzuca się od stołu, leci do drugiego pokoju. Coś jest magicznego w tej dziewczynie, Józek ma rację. Ledwo tu weszła, a już jest dla Elki najlepszą kumpelką, jakby razem po szkole do kina Śnieżka chodziły na dyskoteki dawać się chłopakom wyrywać. Jakby się po Gorcach włóczyły z namiotem w każde wakacje. Jakby na pielgrzymkę do Częstochowy z księdzem z Mszany chodziły.

Maryśka wpada do pokoju, a tam Elka na podłodze przygięta, za brzuch się trzyma, na twarzy dziwny grymas – ból i zaskoczenie. Patrzy na Maryśkę, oczy jej się robią coraz większe. Maryśka zaczyna rozumieć i też jej się powiększają czarne, orientalne oczy.

Nagle Elka krzywi się, ale już bez bólu. Raczej dziwi się bezbrzeżnie. Nie wiem, jak to jest dziwić się bezbrzeżnie, ale Elka już wie, bo jest cała bezbrzeżnie zdziwiona.

– Co się stało, Elżbieta? – krzyczy z drugiego pokoju stary Zachara. Trochę zaniepokojony, trochę dla porządku, bo przecież musi porządku pilnować. Jakby przestał, na świecie zrobiłby się zupełny nieporządek, jaki jest już w Warszawie, że dziewczyna idzie na dyskotekę, żeby ją inne dziewczyny wyrywały. Stary Zachara to widział w telewizji i teraz musi porządku pilnować chociaż w Rabce. Wartości, rodziny. Rodzina to jest ojciec, matka i dzieci. Chyba że jest bezdzietna, ale jak się człowiek dużo modli, to Pan Bóg dzieci przynosi, nawet jeśli ginekolog dawno już na takim pomyśle krzyżyk postawił.

– Panienko Przenajświętsza! – Elka odpowiada trochę jemu, a trochę to mówi do siebie. I może do Maryśki jeszcze. Za brzuch się ciągle trzyma, ale już chyba bardziej z ciekawości niż z bólu, bo coś jej się tam chyba poruszyło. – Co to ja, kurwa, w ciąży jestem?

Jz 1, 37-49

Stary Zachara musi mieć obiad o trzynastej podany. Rano schodzi do warsztatu, a warsztat ma w garażu. I chuj, że autem nie jeździ. Garaż to jest męska jaskinia, nie dla bab. Nawet jak baba jest taka nowoczesna, taka miejska, przez telewizje śniadaniowe wyedukowana, że jeździ samochodem, to niech jeździ. Ale parkować będzie na ulicy przed chałupą. Garaż to jest kapliczka z segregacją płciową na bramkach. Coś jak synagoga, do której kobietom wstęp wzbroniony. To akurat Żydzi dobrze wymyślili, to by się na Podhalu mogło przyjąć. Kobiety by znały swoje miejsce.

No dobra, ale póki Elka wie, że o trzynastej zupa i drugie mają wylądować na stole, to da się te fanaberie warszawskie znosić. Chce pracować, niech pracuje. Ale rano, przed śniadaniem, po śniadaniu, zamiast śniadania. To ostatnie się zresztą Elce nie zdarza, najwyżej wyskoczy zrobić komuś pazur między jednym śniadaniem a drugim. A potem obiad ma być wyszykowany na trzynastą.

Zresztą czy to w ogóle jest praca? Stary Zachara ciągle nie może wyjść ze zdziwienia, że ktoś jego żonie za te malowanki płaci prawdziwymi pieniędzmi. Praca to jest wyprodukować auto, zrobić rozrząd, pantofle wytworzyć, sklep otworzyć, tworzyć coś ogólnie, co inni mogą kupić i zanieść do domu. Towar jakiś.

A malowanie paznokci? Kiedy stary Zachara był młodym Zacharą, to dziewczyny też malowały paznokcie. Na perłowo, bo innego lakieru nie było. To jeszcze jakoś naturalnie wyglądało. Czasem przyjeżdżały z Warszawy letniczki z paznokciami pomalowanymi na czerwono. Młodemu Zacharze to się podobało.

Ale teraz? Na żółto se malują, na czarno, jakieś francuskie paznokcie. Elka mu takie pokazywała, jak z żałobą za paznokciami, tylko *à rebours*. Czyli tam, gdzie chłop spracowany ma czarny półksiężyc brudu, kobieta ma białą otoczkę, jakby sól ze ściany w Wieliczce przy pomniku Świętej Kingi wydrapywała.

Dobra, niech sobie robią, co chcą. Obiad na trzynastą musi być, to jest fundament prawdziwej rodziny. „Niech sobie nawet w kozła wierzą, byle dziesięcinę płacili" – wyczytał stary Zachara kiedyś – bo woli czytać, niż się gapić w telewizor – taką maksymę szesnastowiecznego arcybiskupa. I pomyślał, że Elka może się nawet z kozłami rypać ranki i wieczory, byle obiad był o trzynastej. Albo nie pomyślał, bo przecież by oczy wydrapał, jakby go Elka z kimś zdradzała. Oko za oko. Jedno jej, a drugie jej kochankowi, żeby na swoją szpetotę mogli patrzeć. I też to rypanie z kozłami... Owszem, był tu przed laty juhas młody, o którym gadali, że owce rypie w szałasie. Ale o młodych juhasach ludzie zawsze głupoty gadali. A dzisiaj nie ma już juhasów, to może owce za nimi tęsknią.

Tak sobie rozmyśla Zachara, pantofle klei i kończy kolejną parę za pięć pierwsza. Idzie na górę umyć ręce i o trzynastej siada przy stole. Ręce wyciąga przed siebie, kładzie na blacie, pozycję godną przyjmuje. Zacną. Wyczekującą.

Elka, zawsze zapędzona, szybka, nalewa mu zupę. Bo taki jest prawdziwy polski obiad. Niedawno pojechali razem z Anką i Łukaszem Koconiami do Nowego Targu do pizzerii. Elka, Anka i Łukasz wzięli po pizzy. A stary Zachara sprawdził w karcie, czy jest zupa – dobrze, że była pomidorowa – i wziął najpierw zupę, a potem pizzę na drugie danie. Elka się zresztą tym tak ośmieliła, że zamówiła dwie pizze – na pierwsze i na drugie. Każdy ma bowiem swoje schorzenie i musi znaleźć męża albo żonę na zasadzie, żeby te schorzenia pasowały.

Więc Elka, która sobie miłość okazuje, karmiąc siebie za dwoje, karmi też starego Zacharę, bo jak prościej uczucie wyrazić? A Zachara czuje, że ma kochającą żonę, chociaż taką trzpiotkę z zestawem do malowania, jakby była przedszkolakiem.

Niczego jej nie zakazuje. Ani pracować w tej jej dziwnej, udawanej pracy. Ani wyjść gdzieś z koleżankami, powiedzmy, raz na dwa tygodnie. Ani pójść do kościoła w niedzielę i w inne dni, gdyby miała potrzebę. Ale Elka akurat nie ma, bo nogi jej w dupę wchodzą, kiedy musi stać całą mszę.

A nikt jej miejsca w ławkach nie ustąpi, bo młoda jest, chyba że by w ciąży była. Ale to przez całe lata jest u Zacharów temat tabu.

I właśnie tabu leci z hukiem jak lawina z Giewontu do Doliny Strążyskiej. Rozpędza się i ktoś musi przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Józek, pomóżże Elce się na kanapie położyć. Staszek, leć do waszego warsztatu po najwygodniejsze auto, jakie macie, Andrzej ci da kluczyki. A nie wypiłeś tak dużo, chłopie, żebyś tu nie mógł kawałka podjechać – komenderuje stary Zachara, nie wstając od stołu. Jest teraz jak Jagiełło kierujący bitwą pod Grunwaldem, jak prawdziwy patriarcha, jak Pan Bóg brodaty ze świętych obrazków. – A ty… Maryśka, tak? Biegnij po Łukasza, ten żółty dom po drugiej stronie, tam, widzisz, żeby tu szybko przyszedł, bo trzeba Elkę do szpitala zawieźć.

– Ja mogę prowadzić – mówi Maryśka.

I to jest jak grom z jasnego nieba. Józek z Elką zamierają w pół kroku. A Maryśka rozgląda się niepewnie, jakby się nagle znalazła w roli głównej, chociaż się zgłosiła na statystkę.

Bo nie ma takiego prawa, że kiedy patriarcha mówi, co trzeba robić, i dobrze mówi, ze swojego doświadczenia mówi, mówi, bo wie, to żeby coś w tym mieszać. Przynajmniej na Podhalu takiego prawa nie ma i nie będzie, a jak się komu nie podoba, to może do miasta wypierdalać pierwszym busem. Albo do Ameryki.

Chwila trwa już dłużej niż grzmot od tego gromu, którego nie było, bo życie to nie jest słuchowisko z warstwą ilustracyjną. Życie to jest sztuka dokonywania dobrych wyborów w kluczowych momentach. Dlatego teraz stary Zachara kalkuluje, co zrobić. Bo to on powie, co zrobić, jak postąpić słusznie i jak będzie. Całymi dniami się może nie odzywać, ale jak powie, to nie na darmo. I mówi:

– Kierować umiesz?

Maryśka kiwa głową tak ochoczo, jakby startowała w rajdzie Paryż–Dakar. Co zresztą przywodzi niebezpieczne konteksty, bo w kończącym się dwutysięcznym roku rajd stał się głośny w mediach, gdy został przerwany

z powodu zagrożenia terrorystycznego. Ale w Rabce, uczciwie mówiąc, tak to się nikomu nie kojarzy.

– To poprowadzisz – decyduje. I to jest jego własna, niezależna decyzja. – Ja też pojadę. Józek, a ty usiądziesz z Elką z tyłu i jakby co, będziesz jej pomagać.

Dziecko. Teraz do wszystkich dociera to, co stary Zachara chwycił w lot. Jeśli Elka jest w ciąży, to Zacharowie będą mieli dziecko. Chociaż Zachara już jest za stary na ojca, chociaż Elka jest zbyt gruba na taki wysiłek jak poród. Chyba ją będą ciąć, ale czym? Przecież nie skalpelem, bo się przez te warstwy tłuszczu nie przebiją. Musieliby mieć w szpitalu w Nowym Targu miecz samuraja. Nie mają? To jak już przyjdzie ten dzień, to pojadą do Tokio, albo chociaż do Krakowa, i wyciągną staremu Zacharze z brzucha Elżbiety syna. Bo to musi być syn.

– Zaraz, zaraz, ja przecież nie rodzę – protestuje Elka. – Nigdzie nie jadę.

Znów grom z jasnego nieba. Feminizm się na tym Podhalu zaczyna czy co? Przecież Elka wie, że może sobie robić, co chce, dopóki mąż jej nie powie, co ma robić. Wtedy ona nie ma tylko robić tego, co powiedział jej mąż. Ona ma chcieć tego, co mąż powiedział. Takie jest prawo na Podhalu, a jak nie, to bus do Krakowa czeka.

Chwila znów się przedłuża, bliźniaczo podobnie do tej chwili sprzed paru minut. Znów stary Zachara musi przejąć inicjatywę. Bo jakby nie przejął, to dom by się rozpadł, ziemia by się zatrzęsła, a równowaga wszechświata by została zaburzona.

– Józek, idź ty razem ze Staszkiem po to auto. Najlepsze weźcie. I niech ten prowadzi, który trzeźwiejszy. Z Elką to już Maryśka siądzie, bo na Zaborni milicjanci suszą – mówi spokojnym, pewnym głosem. I na koniec się taki miękki, ciepły robi. Jakby nie góral, jakby to był ostatni cud na ten wieczór. – A ja pójdę spakować torbę, bo może ty w tym szpitalu, Elżuniu, zostaniesz.

Jz 1, 50-56

Idziemy Nowym Światem, powoli, bo ślisko. No i trochę wódki jednak poszło, musi się to teraz zmetabolizować. Do tego kurzy coraz bardziej. Jeszcze ze dwie godziny tak popada, a Rabka schowa się pod białą kołderką śniegu. Głupio to brzmi, ale amatorzy białego szaleństwa, którzy zjeżdżają tu tłumnie na święta, uwielbiają te lukrowane metafory z pocztówek świątecznych.

I pod tą kołderką nie widać, że wszystko to chuja prawda. Amatorzy białego szaleństwa powinni Rabkę omijać łukiem szerokim na jakieś dziesięć-piętnaście kilometrów. To może by ich rzuciło na inne wyciągi. Na Śnieżnicę za Mszaną albo z drugiej strony na Spytkowice koło Harkabuza. Tam już kanapy porobili, bo nowe tysiąclecie idzie i standardy Unii Europejskiej muszą być wszędzie adaptowane, także w narciarstwie. Przyjeżdża amator białego szaleństwa i wsiada na kanapę, szusuje do wieczora, potem pocztówkę napisze do szwagra, w jakim to jest kurorcie i jak tu wspaniale.

A w Rabce w kwestii narciarstwa kompletna chujnia. Na Maciejową wjeżdża się orczykiem. To taki wyciąg, że trzeba się precyzyjnie ustawić i złapać pałąk zawieszony na linie i se pod tyłek podłożyć. Jak jesteś naprawdę amatorem i masz z tym kłopot, to możesz się wywalić kilka razy, kiedy orczyk szarpnie na starcie. Aż nabędziesz nowych kompetencji w nieco archaicznej dziedzinie orczykarstwa.

A jak jesteś dziewczyną, narciarką, w kurtce z galerii, czapce z katalogu i spodniach import z Włoch, żeby się ładnie opinały na tyłku, to ci owszem chłopak zatrudniony do pomocy przy wsiadaniu pomoże. I jeszcze w tyłek na drogę klepnie, żeby ci się lepiej jechało.

To żadna patologia, tylko tradycja góralska. Na wyciągu patologia to pociąganie prosto z gwinta. Ale weź stój pół dnia na mrozie, podawaj warszawiakom ten pałąk i nie pociągaj ani nie poklep. No nie da się.

Jędrek tak kiedyś dorabiał w technikum samochodowym w weekendy w latach dziewięćdziesiątych. Przyjeżdżają warszawiaki z Krakowa

i z Katowic, kolejka stoi prawie do mostku, to biorą na wyciąg chętnych chłopaków do roboty za pięć złotych za godzinę. Dwa tygodnie, kurwa, wytrzymuje, a w trzecią sobotę się budzi i już wie, że jak głupi robić nie będzie. Ze szwagrem się dogaduje, że mu przy samochodach będzie pomagał. I tak zaczynają we dwóch jeździć do Niemiec po mienie odzyskane.

– Odzyskiwaliśmy, co Niemcy chcieli już na złom wyjebać. Żadnego jumania, zapamiętaj, młody – zaklina się Jędrek, jak wpada raz do warsztatu Andrzeja, a że Andrzej właśnie po części do Sącza wyjechał, to Jędrek zaczyna ze mną gadać, bo mu się nudzi tak stać.

Jędrek stania, bezruchu nienawidzi. A taka robota w ruchu jest super – wsiadasz w auto, jedziesz do Drezna albo do Berlina, najlepiej żeby nie było za daleko, bo w chuj wachy niemieckiej spalisz, co koszty podnosi. Tam się ze Szwabem dogadujesz, za ile ci opyli swojego grata, wracacie we dwóch w dwie bryki i jak przekraczacie granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, to wartość tego drugiego auta gwałtownie rośnie. Ze rdzewiejącego niemieckiego rupiecia, który pamięta jeszcze NRD i mur berliński sprzed upadku, który śmigał po jednych ulicach z trabantami, któremu na deszcz trzeba by kondona zakładać, bo dach przecieka, zmienia się w importowane auto z gwarantowaną niemiecką jakością. Niemiecka organizacja, czy to blitzkrieg, czy Holocaust, czy produkcja aut, do dziś robi na Podhalu wielkie wrażenie. Każdy góral od dziecka marzy o dwóch rzeczach: żeby pojechać do Ameryki i żeby u nas wprowadzić niemiecki Ordnung.

– No i tak żeśmy jeździli, młody, ze szwagrem. Jak ty masz na imię? Staszek? No to Staszek, tak żeśmy jeździli, aż szwagier do Ameryki pojechał. A ja nie będę wyjeżdżał, bo co, źle mi tutaj? No powiedz, młody, Staszek znaczy.

– Rozrząd robię.

– To słuchaj. Mnie tutaj jest dobrze. W Rabce jest porządek. Dyskoteka – byłeś, młody, w kinie Śnieżka? Co?

– Jeszcze nie.

– A w tej Warszawie to do dyskoteki chodziłeś? Podobno tam dziewczyna z dziewczyną tańczy. No nic, pojedziemy, zobaczymy. A jak szwagier do Ameryki wyjechał, tośmy z Andrzejem zaczęli jeździć po auta.

Jędrek zawsze jak wypije trochę, to powtarza te same historie. A teraz też jest wypity. Więc znów opowiada, jak zmęczeni wracali aż z Hamburga i kiedy tylko przekroczyli granicę, to się zapytali o hotel w Zgorzelcu. Normalnie by sobie na taką fanaberię nie pozwoli, ale w końcu jak człowiek uczciwie pracuje, to może się przespać w drodze jak człowiek, akurat strasznie ciężkie mieli negocjacje z Niemcem. Raz w tej historii u Jędrka było, że przed gestapo musieli uciekać, ale to pewnie jakaś reminiscencja z seriali oglądanych w dzieciństwie. Bo to chyba jednak niemożliwe. Nie żeby Jędrek nie mógł niczego nigdy ukraść, bo przecież Staszek parę razy musiał zamki w aucie sprowadzanym wymieniać na nowe, na szrocie w Nowym Targu kupowane.

Więc po tych ciężkich negocjacjach z Niemcem postanawiają się zatrzymać na nocleg w Zgorzelcu i miejscowi im mówią, że jest taki hotelik za miastem. Przyjeżdżają, meldują się, a to zwykły burdel był z jednym pokojem hotelowym dla niepoznaki. Więc oni próbują spać, a Niemcy za ścianą dziewczyny dupcą. One krzyczą, co tylko umieją z niemieckich pornosów: *bitte, bitte, schluss, mein* tygrys, *mein* tygrys, co akurat już nie jest z pornosów, tylko chyba też reminiscencja z seriali, które ich bracia oglądali w dzieciństwie, a im pały stają od tego bezbożnie. Tylko się krępują, bo we dwóch w jednym w pokoju i co z tym zrobić. W końcu Jędrek wstaje, plik marek z portfela odlicza, co na tych negocjacjach zaoszczędzili, schodzi na dół i za chwilę z dziewczyną wraca. I ją we dwóch obracają przez godzinę, co podobno scementowało ich przyjaźń na amen.

– Co tam, młody? Tylko szybko, bo jeszcze po niemieckiej stronie jesteśmy i nas Szkopy w markach czardżują – rzuca Andrzej do słuchawki. Dobrze, że odebrał, bo jednak bez jego pozwolenia głupio byłoby auto brać.

– Elka Zacharowa rodzi.

– Co? Jędrek, słyszysz, Zacharowa rodzi. Nie pukałeś ty jej czasem? No dobra, żartuję. Młody, jak to: Elka rodzi?

– W ciąży jest, się okazało – mówię i postanawiam na razie pominąć kwestię Maryśki. Za dużo by było tłumaczenia. – Bóle jakieś ma i stary Zachara chce, żeby ją dobrym autem do Nowego Targu zabrać. Strasznie tu pada, zakopiankę zasypało, a pługi jeszcze nie jeżdżą.

– Czekaj… – Andrzej naradza się z Jędrkiem. Nie wiadomo po co, przecież to jego warsztat. Chociaż kto ich tam wie, jakie mają układy z tymi niemieckimi samochodami, które tu z nieba spadają jak manna. Ręką zatyka głośnik, jakby coś mieli w sekrecie do omówienia. – Dobra, trzeba Elce pomóc. Weź tę granatową beemkę, sprawdzisz przy okazji, czy już nie kopci. A jakby co, to dzwoń wieczorem. Jak dojedziemy do Zgorzelca, na noc się tam zatrzymamy.

– Bóg zapłać – wcina się Józek. Bo gadamy na głośnomówiącym. Taki mam tryb w komórce, że można na głos rozmawiać w kilka osób.

– *Gott mit uns* – wcina się z drugiej strony Jędrek. Też gadają na głośnomówiącym. I głośno się śmieją, a ja chyba wiem, co ten śmiech oznacza i że z tym burdelem w Zgorzelcu to nie wszystko było wymyślone. I się rozłączają, tracąc gwałtownie kontakt z rabczańską rzeczywistością, żeby pozostać w swojej. Telefony to jednak magia: łączą różne światy i nagle je rozłączają.

– Chuchnij – mówi do mnie Józek. Patrzy mi w oczy i mówi: – Ja pojadę.

Idziemy do mojego pokoiku, w szufladzie znajduję kluczyki od beemki. Oprócz tego mamy na warsztacie dwa ople, volkswagena i merca, więc nie ma mowy o pomyłce. A jednak podaję Józkowi przez pomyłkę kluczyk z logo volkswagena.

Józek trzeźwiejszy chyba jest, bo odkłada fałszywy kluczyk, bierze właściwy. A nagle się schyla. Na podłodze małe koraliki leżą, bransoletka drewniana. Damska ozdoba. Skąd się tu wzięła?

– Maryśka musiała zgubić – mówię, jakbym miał się z czego tłumaczyć. Jak mi Bóg miły, nie mam.

Ale Józek patrzy na bransoletkę okiem cieśli.

– Co to za drewno jest? Nie leszczyna, nie buczyna. Może sandałowe?

Czyli jednak też się najebał. Bajki z tysiąca i jednej nocy mu się śnią, a tu trzeba Elkę do szpitala zawieźć. Wsiadamy do granatowej beemki i ruszamy na Nowy Świat.

Jz 1, 57-92

Elka podciąga koc prawie pod brodę. Ale za chwilę nie, zsuwa go z wielkich piersi i tylko brzuch zakrywa, też wielki. I wygładza ten koc, żeby lepiej się na tym brzuchu układał, żeby żadną fałdą uwagi do brzucha nie przyciągał.

Brzuch to wstyd. Brzuch to zawsze wstyd, chyba że należy do modelki i jest umieszczony w internecie. Podobno są takie programy w komputerze, że można sobie wszystko wygładzić. Brzuch, zmarszczki, życiorys. Stary Zachara, który ma dar widzenia przyszłości – przynajmniej Elka tak uważa – twierdzi, że kiedyś w internecie powstanie specjalna strona, na której kobiety będą wrzucały zdjęcia swoich idealnych brzuchów i uśmiechnięte bezwstydnie twarze. Bo na chwilę do zdjęcia możesz ten wstyd ukryć, zakłamać i w programie wygładzić na wieki wieków. To po nas zostanie: strony internetowe pełne szczęśliwych ludzi, i archeolodzy z przyszłości będą zachodzili w głowę, co poszło nie tak. I ciekawe, czy ktoś dojdzie do tego, że problemem był brzuch.

Brzuch to wstyd, kiedy jest olbrzymi, za duży, zbyt wystający. Dla Elki Zacharowej to wstyd podwójny. Ma brzuch zdefektowany, zbudowany w całości ze złogów margaryny i szkodliwych kwasów wysokonasyconych. Znajduje się tam zawartość tłuszczowa hurtowni zaopatrujących wszystkie dyskonty na Podhalu. Nie ma tam już miejsca na nic więcej.

Elka tak myśli, od lat tak o sobie myśli. Ale kiedy już ma ten koc na brzuchu idealnie wygładzony, Maria przysuwa do kanapy krzesło. Siada skromnie, na brzeżku, jakby na jakieś kursy skromności w swojej ojczyźnie chodziła.

Elka zerka na nią, ale oczy mówią zbyt wiele, więcej, niż jest w tej chwili w stanie powiedzieć. Więc patrzy znów w przestrzeń, w czasoprzestrzeń, w swoje życie, przeszłe, nie przyszłe, bo ona nie ma daru widzenia przyszłości. I coś z tym musi zrobić, więc zaczyna poprawiać idealnie równiutko leżący już koc.

Maria podnosi rękę, kładzie ją powoli na tym kocu, i dotyka przez ten koc brzucha Elżbiety. Dotyka tego, co w brzuchu, dotyka całej tej przestrzeni, czasoprzestrzeni, całego jej życia.

Najpierw Elce trzęsie się podbródek, potem policzki, potem piersi, potem szloch dochodzi aż do brzucha. I wtedy puszczają jej hamulce, łza leci jej z oka, Elka próbuje udawać, że to nic, ale kiedy lecą następne, ociera oczy. A Maryśka tylko trzyma jej rękę na brzuchu i im bardziej ją trzyma, tym mocniej Elżbieta czuje, że to się dokonało. Że chociaż już w to nie wierzyła, chociaż już straciła nadzieję, chociaż to w zasadzie niemożliwe, chociaż to musiałby być cud, to cud się ziścił. Że jest w ciąży.

– Maryśka, jestem w ciąży – mówi, znów bezbrzeżnie zdumiona. Zdumiona tym, co się stało, bo to się jej w głowie nie mieści. I zdumiona tym, że nagle coś ją pcha, żeby się zwierzyć tej obcej przecież dziewczynie z całego swojego życia. – W piździe mi się to nie mieści, ale jestem w ciąży!

– Masz dziecko pod sercem – dopowiada Maria.

– Maryśka – ciągnie Elżbieta – to się nie miało prawa stać. Tyle w życiu zmarnowałam, taka jestem beznadziejna. Do niczego. Do dupy, do dupy niepodobna, tylko do hipopotama. Stara, brzydka ropucha. I nie mów mi, kurwa, że młoda, bo młode laski to są na zdjęciach w kolorowych gazetach albo w internecie. Ty jesteś młoda, ty masz życie przed sobą. Ja mam za sobą sto kilo doświadczeń. Pomieszkałabyś tu trochę, tobyś wiedziała.

– Masz wspaniałe serce. I nosisz dziecko pod sercem – powtarza Maria i Elżbieta zaczyna płakać. Wypływają z niej łzy i wypływają słowa, jedno za drugim, wypływa cała historia.

Jak pierwszy raz widziała starego Zacharę. Ona to pamięta i ma nadzieję, że on tego nie zapamiętał. Zaczynają się lata dziewięćdziesiąte, nowy świat, idą we trzy do dyskoteki Szeherezada, bo w kinie Śnieżka

wciąż jest kino z filmami. To jest, kurwa, Ameryka zaimportowana na Podhale, tam jest podświetlany parkiet. Jak na nim tańczysz, to jakbyś wyszła z teledysku, tylko na chwilę, i zaraz możesz sobie wrócić do MTV, to taka telewizja w kablówce, ksiądz im na plebanii pokazywał, bo jako pierwszy w Rabce kablówkę założył.

Idą do dyskoteki Szeherezada we trzy, biedne jak myszy kościelne, z kieszonkowego stać je na jedno piwo po zrzutce. I trzech kolesi z Mszany się do nich przysiada. Pierwszy smagły, od wiatru ogorzały, drugi blondyn z włosami na żel na bok uczesanymi, trzeci ostrzyżony na zero w spodniach hiphopowych. Starsi, już po maturze, pracują w zakładzie w Nowym Targu, mają kasę, kupują im piwo, wino, co chcą. Dziewczyny się chichrają jak oszalałe, a chłopaki mówią: zatańczymy. Tańczą do Michaela Jacksona, a ten smagły rasiaczek podhalański Elkę łapie za plecy, za tyłek, ręką pod bluzką krąży. Śmiech, piwo tryska i lądują na ławce w parku. Za cycki ją chwyta, wprawdzie jeszcze nie do końca wyrośnięte, ale już duże, okrągłe, już zapowiadające przyszłe problemy z nadmiarem tkanki tłuszczowej, co jednak na razie bardzo korzystne się wydaje.

Elka się broni trochę, bo wypada. Bo wie, że tak bronić się trzeba, bo jej mama mówiła, że pies nie weźmie, jak suka nie da, bo ksiądz na religii mówił, że ma w sobie owoc, który dla oblubieńca jest przygotowany, bo Maryja zawsze dziewica. Ale jej się robi wilgotno i chęć się w brzuchu pojawia. Brzuch, siedlisko grzechu, popycha ją do chłopaka, żeby bliżej, już nie kilkanaście centymetrów, ale kilka, ręka pod spódnicą, sutki wariują, już niczego nie chce, tylko tego smagłego mieć bliżej, na sobie, w sobie. Tryska wino z butelki, z której pociąga. Smagły góral przyciska ją, ona zaciska zęby. Boli. No boli, pierwszy raz boli, tak dziewczyny mówiły, że boli. Że błona, że krew, że fizjologia kobiety. Ale Elżbieta wie, co boli. Grzech boli, ciężki, śmiertelny, teraz jest już potępiona. Otępiona alkoholem odpływa w inne przestrzenie, przestaje czuć, co się dzieje. A za chwilę, która nie wiadomo ile trwa, smagły z niej złazi.

I wtedy ścieżką przechodzi człowiek. Stary, koło trzydziestki chyba. I patrzy w krzaki z zaciekawieniem, bo jest świata ciekawy,

i z obrzydzeniem, bo nie tak świat powinien wyglądać. Przynajmniej według Zachary, młodego starego Zachary. Ich wzrok spotyka się na chwilę i Elka obciąga spódnicę, jakby się to dało w ogóle obciągnąć. Specjalnie wybrała najkrótszą w całym lumpeksie, pośladki jej widać okrągłe i majteczki jeszcze ze stoiska dziecięcego w Janosiku.

Elka chce wracać, bo jutro musi wstać, lekcje odrabiać i co mamie powie, o której do domu przyszła. Ale wtedy na ścieżce wyrasta ten drugi, blondyn w stylu Backstreet Boys, dokąd pędzisz, gołębico, jeszcze świt daleko. I ją w ramiona chwyta, a kiedy przestaje się wyrywać, to tuli, piwo z butelki podaje, którą w ręku za jej plecami trzyma, a kiedy ma rękę wolną, to pod spódnicę, potem stanik odpina, jedną ręką, mistrz. Wielkie piersi falują oswobodzone i Elka sama już majteczki bawełniane z Janosika ściąga, białe, ale zakrwawione, więc w sumie w barwach narodowych na ten moment. Nogi jej się plączą, pomóż mi, Backstreet Boy, język jej się plącze, ale wszystko nieważne, byle szybciej mieć go w sobie. Już jej się to podoba, już chce się ruchać całe życie, bez przerwy, ciągle. Grzech zalewa jej mózg, alkohol płonie ogniem piekielnym.

Blondyn bierze ją na stojąco pod drzewem. Jezusie, jakie to miłe. Znieczulona od bólu i od wyrzutów sumienia Elka zaczyna mruczeć. Blondyn nieruchomieje, Elka nie rozumie jeszcze, co się stało, że to jest właśnie kulminacja tego seksualnego misterium, bo jeszcze nie wie, co to jest orgazm, jeszcze nie rozumie, że kulminacją na Podhalu jest wyłącznie orgazm mężczyzny, bo kobiety nie mają prawa do orgazmów, a jeśli je osiągają, to po cichu, niechcący, mimochodem i powinny zaraz za to przeprosić chłopaka, Pana Boga i księdza proboszcza. Nic jeszcze nie rozumie. I nie pojmuje, co się dzieje, kiedy za plecami blondyna wyrasta jakiś gość, poklepuje go po ramieniu, niechcący potrącając też za rękę niewidoczną Elkę, i pyta:

– Łukasz, to ty?

Blondyn się odwraca speszony, a facet za nim – stary, trzydziestoletni, ten sam co przed chwilą – peszy się chyba jeszcze bardziej. Szukał Łukasza, a znalazł Sodomę i Gomorę pod drzewem w parku.

– Przepraszam – mówi i wycofuje się. Ale to „przepraszam” jest tylko zwyczajowe, bo on się wcale nie wstydzi, on wie, że to świat powinien się wstydzić zepsucia. Odwraca szybko głowę z obrzydzeniem, ale i tak spotyka na chwilę zamglony alkoholem i rozkoszą wzrok Elki.

Z tego, co było dalej, Elka ma już tylko pojedyncze migawki. Ostrzyżony na zero hiphopowiec wyciąga puszkę piwa ze spodni, podaje jej. Ona pije, ona się całuje. Ona bierze mężczyznę po raz pierwszy do ręki. Do buzi. Ona ma sesję zdjęciową do pisemka pornograficznego. Chłopaki takie do szkoły raz przynieśli dla żartu, śmiali się po lekcjach w szatni, póki woźny ich nie przegonił. Ona robi wszystko, co jej przyjdzie do głowy, a chyba diabeł jej musi szeptać do ucha te pomysły, bo skąd by to miała potrafić. W szkole pozycji nie uczą, tylko chemii, matematyki i wiedzy o społeczeństwie.

Hiphopowiec bierze ją od tyłu, ona oparta o ławkę, już jej wszystko jedno. Hiphopowiec prawie kończy, ona ciągle dojść nie może. I wtedy na ścieżce znów słychać kroki. Elka oparta o ławkę jęczy już bez żenady. Chciałaby się rozpęknąć z rozkoszy, ale ciągle ją coś blokuje.

– Co to? – pyta mężczyzna ze ścieżki. Łukasz – gdyby Elka była trzeźwiejsza, toby się zorientowała.

– To? – odpowiada młody stary Zachara. – A, taka kurwa. Pierdoli się tu od dwóch godzin. Ze wszystkimi.

Elżbieta zastyga teraz na tej kanapie i najchętniej by sobie koc naciągnęła na głowę. Ze wstydu. Kiedy kończy opowiadać, jak to się wszystko zaczęło, otwierają jej się w głowie kolejne sceny. Jak przychodzi do szkoły i wszyscy mówią, że jest puszczalska. Nikt jej za rękę nie złapał, za cycka zresztą też nie, ale cała szkoła wie. Puszczalska idzie, puszczalska do odpowiedzi, puszczalska śpieszy się na obiad, może ci obciągnie na deser.

Jak idzie potańczyć – odważy się dopiero, kiedy otwierają nową dyskotekę w kinie Śnieżka – to cała Rabka oraz delegacje z Mszany i z Ponic wiedzą, że jest własnością publiczną. Że można ją za dupę, za cycki łapać, na ławce w parku się z nią przelizać. Że jak jej drinka postawić z parasolką, to z wdzięczności obciągnie.

A najgorsze jest, że Elka to lubi. Wszystko, każdą akcję, jaką tylko wymyślą znajomi albo nieznajomi. Podnieca się szybciej niż koledzy z klasy. Gdyby znała amerykańskie filmy, to mówiłaby, że ich rucha, że ich zalicza, napisałaby scenariusz *Seksu w wielkim mieście* i byłaby szczupłą, zadbaną ikonką feminizmu, bo przecież nie ikoną, ikony to są, kurwa, w kościołach, i to prawosławnych. Ale mieszka w małym mieście, amerykańskiego się jeszcze nie nauczyła i jest wychowana w kulcie Maryi. Więc zamiast ich ruchać, to ona im się oddaje, jest stroną bierną, jest tym odwróconym krzyżykiem od kółeczka, tak jak symbol samiczki na lekcjach biologii. Kółeczko do ruchania i szatański krzyż.

Elka się wstydzi, Elka się biczuje, Elka chce się wyspowiadać. Idzie do księdza, mówi, mówi, nie przestaje, już chce jej się płakać, że bardzo zgrzeszyła myślą, mową i dziesiątkami uczynków, bo miało ją nie kilku, nie kilkunastu, ale kilkudziesięciu chłopaków z Rabki i okolic. Już wszystko w niej łka, już głos jej się łamie, już z emocji ledwo dyszy. A ksiądz po drugiej stronie kratki też ledwo dyszy i też głos mu się łamie, i też z emocji nie może wytrzymać. Elka w pewnym momencie orientuje się, co się dzieje. I nie wie, czy ksiądz dokańcza w domu, czy dochodzi jeszcze w konfesjonale, ale wie, że do kościoła już nigdy w życiu nie pójdzie. Chyba że na jakieś niezłe ruchańsko z takim księdzem jak z *Ptaków ciernistych krzewów*.

– Nie spowiadałam się od tamtego dnia – mówi Elżbieta.

– Dziś się spowiadasz – odpowiada Maryśka takim anielskim głosem, że Elżbieta aż się wzdryga.

– Tobie się spowiadam? Miła jesteś, ale znam cię od trzech godzin. – Elżbieta jest sama zdumiona tym odkryciem.

– Spowiadasz się Bogu Wszechmogącemu…

– A z czego się mam spowiadać? Po chuj mam się spowiadać? – Elżbieta się nagle najeża. – Coś jest złego w seksie? Że jak facet ma dużo lasek, to jest supermen, a jak laska ma dużo facetów, to od razu kurwa? Wypierdalaj mi z tą łaską uświęconą.

Milczą. I kiedy nie płyną słowa, z oczu Elki zaczynają znów płynąć łzy. Maria wyjmuje chusteczkę jednorazową z torebki z literami w obcym języku i wyciera Elce policzek. Chusteczki na całym świecie są takie same, łzy też.

– Pan Bóg mnie pokarał. Za te wszystkie grzechy nie mogę mieć dzieci.

– Masz dziecko pod sercem.

– Wiesz co ja mam? Tarczycę mam, hashimoto, cukrzycę, wszystko mam, kurwa, poza aidsem. I bezpłodność. I jak mnie Zachara brał za żonę, to mu powiedziałam, że mu dzieciaka nie urodzę.

– Elżbieto, masz dziecko w swoim łonie.

Elka patrzy na Maryśkę i nie rozumie. Nie rozumie, jak miałaby być w ciąży. Nie rozumie, dlaczego o swoim największym tabu rozmawia od pół godziny z osobą, którą pierwszy raz zobaczyła dziś pod wieczór. Co takiego jest w tej smagłej dziewczynie, tej tułaczce ze szramą na policzku, tej kobiecie w muzułmańskich szatach i z chrześcijańskim sercem? Chciałaby znów stanąć mocno na nogach, żartem albo przekleństwem przywrócić świat na właściwe tory.

– Ty mi tu nie zwiastuj – rzuca Maryśce. Ale żart średni, bo Maryśka się w ogóle nie śmieje. Tylko znów rękę kładzie jej na brzuchu. I dzieciak zaczyna kopać jak oszalały, czuć to nawet przez grube fałdy tłuszczu, które Elżbieta wyhodowała przez lata.

Podwórko omiatają światła, auto podjeżdża.

– Elżbieta, czas się zbierać. Jedziemy do Nowego Targu. – Stary Zachara staje w drzwiach pokoju.

Wsiadamy. Za kierownicą Józek, stary Zachara chce żonę ciężarną posadzić z przodu, ale dla Elżbiety ważniejsze od wygody siedzenia jest poczucie, że zna swoje miejsce na ziemi. Miejsce kobiety, jeśli w aucie są mężczyźni, jest na tylnym siedzeniu samochodu. Wszystkie porządne kobiety to wiedzą, czy na Podhalu, czy w Iraku, a Elżbieta znów jest porządną kobietą. Żoną starego Zachary. Elżbietą Zacharową. Zbyt dużo

dostała, żeby mogła to oddać za ten fotel ustawiany w pięciu wymiarach i z podgrzewaniem pod tyłkiem.

Więc Elżbieta siada z tyłu za Zacharą, ja za kierowcą, a na środku Maryśka. Coś się musiało pomiędzy dziewczynami zadziać, jak poszliśmy z Józkiem po samochód, bo się za ręce, za brzuch Elżbiety trzymają.

– Chcę ci służyć – mówi Maria, kiedy ruszamy.

– Weź, Maryśka, wyluzuj. Wystarczy, że mi pogłaszczesz brzuch, bo ktoś tam tak kopie i kopie, że to chyba Maradona będzie – odpowiada Elka.

– Jan – odwraca się stary Zachara. – Nazwiemy go Jan.

– Płeć będzie znana dopiero na USG – oponuje Józek z tylnego siedzenia.

– To jest Jan – odpowiada Zachara z wielką pewnością siebie.

Jz 1, 93-105

To stary sposób doktora Piotra Handzla: jeśli nie ma żadnej rodzącej, wieczorny obchód po oddziale, kawa i szybka drzemka, zanim kawa zacznie działać. Wtedy łapie tyle snu, ile się da, a w razie czego, jeśli przyjeżdża kobieta do porodu, to zrywa się na nogi jak odrzutowiec.

Dziś udaje mu się złapać dwie godziny snu. Pół godziny dostaje chyba od personelu, który każe Elce wypełniać tony papierków, aż Zachara je żonie wyrywa i wpisuje po kolei co trzeba w rubryki.

Zawsze mam co do tych procedur mieszane uczucia. Z jednej strony to niemały idiotyzm wpisywać w te wszystkie rubryki nazwisko panieńskie matki albo kod pocztowy. Chuja to kogo obchodzi, jak się matka Elżbiety nazywała, zanim wyszła za mąż. Była pewnie miłą, małą dziewczynką, nosiła warkoczyki i tornister, co niedzielę przyjmowała pierwszą komunię i już w małżeństwie wstydziła się własnych orgazmów. Może to też byłoby dobrze wpisać w rubrykę? To ciekawsze niż panieńskie nazwisko.

Albo kod pocztowy. Szpital chce jej wysłać pocztówkę z Ibizy, gdyby akurat był tam na wakacjach? Przecież jak ktokolwiek będzie miał sprawę do Elżbiety, to nie będą jej wysyłali pism urzędowych, tylko dryndną do niej na komórkę.

– Ale procedury powinny być – mówi pielęgniarka w okienku, kiedy stary Zachara złorzeczy nad papierami, wpisując adres zameldowania jota w jotę identyczny z adresem zamieszkania. – Jak byłam w Ameryce, to widziałam, jak Amerykanie sprawnie działają. Jakby kosmici wylądowali, to każdy ma już przydzielone zadania w kopertach takich specjalnych zdeponowane w sejfach domowych. Jakby w wieżowiec na Manhattanie wleciał samolot, to z dwustu milionów Amerykanów dwieście pięćdziesiąt milionów by wiedziało, co mają robić. A byłoby jeszcze więcej, gdyby nie niezasymilowani Chińczycy z Chinatown i pół Jackowa.

– A dlaczego pół Jackowa? W ogóle to Jackowo jest w Chicago, największej góralskiej metropolii, wie pani?!– Stary Zachara jakby rwał się do bitki w obronie ojczyzny, nawet jeśli naprzeciwko niego stoi nie rycerz w zbroi, tylko niezbyt młoda pielęgniarka w białym fartuchu z fałdami opresyjnych doświadczeń. Co mu tu będzie Polskę obrażać mimochodem? Że my to jacy jesteśmy, w sensie jako naród?

– Gdyby Polacy mieli zarządzać akcją ratunkową, toby porozwalali z pół Manhattanu i zestrzelili na wszelki wypadek parę samolotów – narzeka pielęgniarka. – Już ja znam takiego strażaka, co ogień podkładał w Harkabuzie i nikt go nie mógł złapać przez kilka miesięcy. Jeszcze został bohaterem gminy, ile to dobytku ludziom uratował. Aż się sam przy wódce wygadał. Napięcia nie wytrzymał od tych orderów.

Stary Zachara przestaje słuchać, oddaje dokumenty i siada koło nas. A Józek kładzie mu rękę na ramieniu, ale nie tym cwaniackim gestem warszawiaków, którzy chcą cię do czegoś przekonać, przeciągnąć, przekabacić i wychujać cię chcą oczywiście, tylko takim ciepłym gestem mężczyzn z Podhala, z Polski prawdziwej, miasteczkowej i anielskiej: bliskich, rozumiejących siebie nawzajem bez gejowskich warszawskich podtekstów.

– Ta pielęgniarka to Hanka Papierz z Harkabuza – mówi Józek Zacharze. – Ją mąż krzywdzi, bije, jak jest wypity. A wypity jest codziennie, póki mu pieniędzy starcza od wypłaty. Jak mu się pieniądze skończą, to z różami na kreskę kupionymi w kwiaciarni do niej przychodzi i obiecuje, że już nigdy więcej kieliszka do ust nie weźmie. I ona mu wierzy, bardziej mu wtedy wierzy niż Panience Przenajświętszej. Idzie do kwiaciarni, dług za róże spłaca i do końca miesiąca żyją jak w raju. Papierz przychodzi po robocie, bo w straży robi, jest kierowcą, ona mu obiad podaje, kolację, zmywa, dzieci spać kładzie i do męża idzie, krzyżówkę sobie razem wieczorem rozwiązują. Potem Papierz ją wydupcy, jak ma ochotę, ale przeważnie nie ma, więc dla niej jeszcze lepiej, bo ma święty spokój. I tak do końca miesiąca.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – pyta stary Zachara. Ale nie tak, żeby się dowiedzieć, raczej zdziwić trochę. Bo stary Zachara ma dar widzenia przyszłości, więc wie, że Józek nie jest zwyczajnym człowiekiem. Że skoro otrzymał taką rolę do odegrania, to musi też mieć szczególne dary.

– To kuzynka moja jest – wyjaśnia Józek.

I siedzą dalej w ciszy, i nic się nie dzieje. I wszyscy – stary Zachara, Józek, Elżbieta, Maryśka i ja – przeczuwamy, że ta cisza coś zwiastuje. Aż uchylają się drzwi.

– Wejść – odzywa się doktor Handzel.

Konsternacja. My z Józkiem siedzimy na krzesłach, jesteśmy tylko asystą, to jasne. Ale podrywa się stary Zachara, chce być przy żonie, lecz zaraz siada, bo przecież do gabinetu ginekologa z nią nie wejdzie. A Elkę stres nagły ścina, bo wie, że za chwilę już nic nie będzie takie jak przedtem. I siedzi jak pomnik kobiety siedzącej na krześle w poczekalni.

Gdyby warszawiaki to rozumieli, to takie by pomniki stawiali na placach w stolicy. Pomnik kobiety siedzącej w poczekalni na krześle. Pomnik mężczyzny chlającego na rogu. Pomnik dziecka, które stoi przed całą klasą i duka bez sensu, płonąc ze wstydu. To byłyby pomniki prawdziwe, a nie ci superbohaterowie, Jan III Sobieski albo książę Józef Poniatowski, którzy chuja kogo obchodzą, jak się skończy gimnazjum.

I wtedy Maryśka wyplątuje ręce z hidżabu, bierze Elkę za rękę takim opiekuńczym gestem, kiedy się czyjąś dłoń ujmuje dwoma rękami spod spodu i z wierzchu, jakby się kogoś chciało ochronić. Warszawka to by w ogóle nie skumała, o co chodzi. A Elka kuma natychmiast, daje się tej dziewczynie, tej przybyszce, poprowadzić.

Doktor Handzel chce zaprotestować, że pacjentka sama, ale tylko podnosi oczy znad biurka, patrzy, głos zawiesza i pokazuje ręką krzesło. Drzwi się zamykają.

Cisza, która zwiastuje. Oczekiwanie bywa trudne, nawet kiedy czeka się na dobrą nowinę. Stary Zachara myślał już latami o sobie jako o starym dziadzie. Nie starym kawalerze, tylko starym dziadzie, którzy zdziadział, a ojcem nie został. Dziadyga, nazwiska swojego nie przekaże, pod mostem zdechnie, pod płotem zamarznie. Gdyby lubił wypić, toby te smutki zapijał, a może by je zapił którejś zimy naprawdę i pod mostem zamarzł. Ale on niepijący przecież, on wódki nie lubi, on się nie lubi zamroczyć, nie lubi nie czuć. Czuje więc pełną piersią, halny mu tam gra jak na organach Hasiora w Kluszkowcach.

Kiedy się z Elką związał, bezbożnicą, ladacznicą, to nie po to, żeby mieć dzieci, tylko krzyż pański sobie na kark wziąć. Nawet mu się nie podobała, grubaska okropna, chociaż buzię ładną miała. Albo kiedyś musiała mieć. Może mu da obiad, może mu da rozkosz, może mu da uśmiech, ale dziecka mu nie da. Tego był pewien do dziś. Bo dziś mu się inne rzeczy zaczęły odsłaniać w tej przyszłości, której cienie czasem widzi, którą widzi, jak się słyszy muzykę z Siwego Dymu, kiedy siedzisz Pod Kasztanami i wiatr z zachodu zawieje.

Drzwi się uchylają.

– Pan wejdzie – mówi doktor Handzel. I nawet taki ożywiony, jakby ta kawa sprzed dwóch godzin zaczęła działać. – Na USG coś panu pokażę.

Elka leży na kozetce, Maryśka przy niej, a doktor bierze taki czytnik, jak ma kasjerka w supermarkecie budowlanym, żeby worki z cementem skanować, i podchodzi do brzucha ciężarnej. A ta leży z brzuchem wywalonym bez wstydu na wierzch. Góry tłuszczu piętrzą się, falują przy

najmniejszym ruchu, marszczą, zapadają jak spienione morze. I chuj, gruba jest po prostu.

Jeśli tam w środku jest dziecko, to chyba to pierwszy na świecie przypadek, że płód pływa nie w wodach płodowych, tylko w tłuszczu.

Doktor Handzel ma już całkiem niezły humor. Co on do tej kawy dolał?

– Gdzie ja w tej słoninie dzieciaka znajdę – rzuca rubasznie, bo chamstwo ma we krwi, wszystkie dziewczyny z Nowego Targu o tym wiedzą i żadna do niego nie chodzi, chyba że prywatnie, bo wtedy jest taki przymilny, że mało ci w dupę nie wejdzie.

– Tutaj jest łono – wskazuje Maryśka. Ale jakby się wstydziła tego Elki brzucha albo jakby jej nie chciała zawstydzić, na własny brzuch pokazuje, hidżab na nim opina.

I wtedy pierwszy raz pokazuje się cud na elektronicznym ekranie. Nie krew Jezusa drewnianego na krzyżu w Sokółce, nie łzy Maryi w Złotoryi, tylko udokumentowany cud na USG, co można potwierdzić błyskawicznym wydrukiem. Elżbieta, której ginekolog po skrobance powiedział, że już nie będzie mieć dziecka, leży tu w ciąży.

– Masz dziecko pod sercem. Masz dziecko poczęte w swoim łonie, Elżbieto – szepce Maryśka, jakby jakieś zaklęcia mówiła, takie hasła, które musisz wypowiedzieć, żeby przejść na kolejny poziom.

Maluch odwraca się pod naciskiem pilota i nawet stary Zachara widzi od razu: to chłopak.

– Damy mu Jan – mówi Elżbieta tonem trochę proszącym, trochę pytającym i zerka na Zacharę.

– Wszystkie byście Jaśków chciały rodzić – dogaduje doktor Handzel. Bo widzi u pacjentek jakiś odwrót od nowoczesności: krótka era na Jessiki i Brajanów minęła, dziewczyny młode chcą rodzić Hanki albo Janków. Coś to zwiastuje, skręt jakiś ogólnonarodowy, powrót do przeszłości, tylko nie jak w filmie, gdzie dotyczyło to jednego bohatera, bo to będzie dotyczyć całego narodu. A przynajmniej połowy.

Stary Zachara chce coś koniecznie powiedzieć, ale głos mu więźnie ze wzruszenia. Słowa się w nim zatrzymały, duszą go. Wypadają przez oczy w postaci łez, chociaż chłopaki nie płaczą, a górale, to nawet jakby ich przypiekali. Ale przez krtań wyjść nie mogą.

Maryśka podsuwa mu kartkę i długopis doktora. I stary Zachara pisze jedno słowo: Jan.

I wtedy odzyskuje głos, ale nic już nie ma do powiedzenia. Przytula tylko Elżbietę, co w gabinecie ginekologicznym jest trochę niezręczne. Ginekologia jednak niewiele ma wspólnego z uczuciami.

Drzwi się uchylają, a potem otwierają na oścież. Elżbieta wychodzi, stary Zachara ją czule obejmuje, ale w progu czułość znika, pojawia się szorstka, podhalańska miłość. Józef przepuszcza Elżbietę w drzwiach, podtrzymując ją delikatnie za łokieć. Chce jeszcze przepuścić Maryśkę.

– Przepraszam panią – woła ją lekarz. Maryśka obraca się powoli, spokojnie. Patrzy na helikopter, patrzy na USG, patrzy na swój hidżab. Patrzy w oczy Elżbiety, Elżbieta mruga oczami na tak, dziewczyny rozumieją się bez słów, jakby znały się od dwóch tysięcy lat. – Może pani jeszcze pozwolić na chwilę?

Drzwi się zamykają. A my – stary Zachara, Józek i ja – jeszcze przez wiele miesięcy nie będziemy tego pojmować.

Jz 2, 1-12

Chleba mu ukroi. Albo nie, niech sobie kroi sam. No dobra, ukroi, nawet mu masłem posmaruje, ale kanapki to niech sobie robi sam, z czym tam lubi – z szynką, z kiełbasą, z salcesonem, z boczkiem. On tylko mięso lubi. I chleb.

Anka Kocoń inaczej – marchewkę, sałatę, a jak jest w Krakowie, to sobie przywozi rukolę paczkowaną, chyba jakoś konserwowaną, bo tydzień wytrzymuje w świeżości. Podobno człowiek jest zbudowany z ciała i krwi. To Anka jest zbudowana z krwi i wody z domieszką warzywnego smoothie. Jak była z dzieciakami na wycieczce w Krakowie i mieli czas wolny, to sobie takie smoothie kupiła w okienku i poczuła, że to jej archetypiczna konstrukcja. Że czuje się energetyczną mieszanką zielonych i czerwonych warzyw. Żółtych niekoniecznie, bo żółty to kolor zdrady, a każdy ma swoje tabu.

Łukasz za to je wyłącznie rzeczy ciężkie. Tłuszcz, białko i węglowodany proste. Z domu to wyniósł: tradycyjna polska kuchnia, polski paciorek na dzień dobry, całowanie kobiet w rękę na powitanie i kwiatki na Dzień Matki.

Stara Koconiowa, matka Łukasza, zakochana w synu. Najlepszą żonę by mu znalazła – energiczną, zorganizowaną, taką, co będzie umiała zadbać o Łukasza jak ona, kiedy jej zabraknie. Tak o tym myśli – nie, że umrze, że jej życie się skończy, tylko że życie Łukasza będzie trwało bez jej opieki i jak on sobie bez niej poradzi. Co zrobi Łukaszek, kiedy zostanie bez anioła stróża. Jej całe życie jest dodatkiem do życia Łukaszka. Polska rodzina w imię Matki i Syna.

Tata Łukasza zakochany w synu, chętnie uczyniłby go na swój obraz i podobieństwo. Od dziecka zabiera go na łażenie po górach, kupuje mu pionierki, koszule w kratę i grube wełniane skarpety do górskich

wędrówek. Uczy go jeździć na nartach z nogami ustawionymi wąsko, równolegle, więc Łukasz do dziś jeździ trochę w stylu „na eleganckiego starszego pana". Rowery górskie to już pasja Łukasza, w którą on wciągnie ojca. Wjeżdżają we dwóch przez Maciejową i Stare Wierchy na Turbacz i to będzie najlepszy dzień w życiu ojca Łukasza.

W drodze powrotnej ojcu Łukasza trudno zjeżdżać po kamieniach, a Łukasz, już nastoletni, jedzie pewnie, mocno trzyma kierownicę, prawie w ogóle nie prowadzi roweru. Czasem tylko się zatrzymuje, żeby poczekać na ojca.

A ojciec Łukasza już wie, że syn sobie w życiu poradzi. Nawet jeśli będzie miał kobietę, która da mu tylko śniadanie, obiad, kolację i powinność małżeńską, a miłości w ogóle nie da. Tak jak matka Łukasza.

Oboje nie wiedzą, że Łukasz trafi inaczej. Że na tym rowerze na stoku Krzywonia będzie spotykał biegaczkę, rudowłosą nauczycielkę wuefu z dwójki. On będzie już wracał z treningu, żeby zdążyć na budowę, a ona będzie na trening wybiegać, żeby zdążyć na ósmą do szkoły. Słońce będzie wschodzić, a przez łąkę pod Krzywoniem czasem przebiegnie stado saren.

– Hej! Koleżanki pobiegły na południe – woła raz Łukasz do biegaczki. Już od jakiegoś czasu pozdrawiają się skinieniem głowy albo machnięciem ręki, od jakiegoś czasu się wypatrują. A w tym momencie Łukasz zaczyna bajerować dziewczynę. Łania, górska sarna, kozica niskopienna. Anna przymierza do siebie te wszystkie niewypowiedziane epitety i z każdym czuje się dobrze. Zauważa, że czeka na kolejne bieganie wcale nie po to, żeby obcować z przyrodą, tylko z nadzieją na obcowanie z człowiekiem. Ciekawe, jak on ma na imię?

– Jak masz na imię? – woła Łukasz do biegaczki dwa dni później. Ona podbiega ścieżką, on zjeżdża z przeciwka, na rozmowy mają zawsze pięćdziesięć sekund.

– Do której chodzisz klasy? – Anna reaguje błyskawicznie. Mogłaby odpowiedzieć wprost, banalnie, ale ma tak banalne imię, więc teraz ona zaczyna bajerować. Rzuca cytatem z Pidżamy Porno, ze Świetlickiego i z Doorsów jednocześnie. Rzuca mu kwintesencję wszystkich kaset

magnetofonowych, które sobie przywozi z wycieczek szkolnych do Krakowa. Złapie haczyk?

– Gloria? – Łukasz odkrzykuje, niby to zgadując imię, a tak naprawdę otwierając serce Anny. Doorsami otwiera drzwi do jej serca, można powiedzieć. Procentują godziny, które Łukasz spędza w samochodzie, słuchając kaset z zespołami, które poznał na studiach na AGH. Mało tam humanistów, ale każdy trzyma poziom. W pokoju w akademiku mieli wypisany na ścianie cytat, chyba z głębi lat dziewięćdziesiątych: „Nigdy w życiu nie pokocham dziewczyny, która słucha disco polo". Łukasz zawsze uważał, że to się nadaje na refren piosenki, i jeśli kiedyś w ich pokoju będzie nocował dobry zespół, to sobie go na pewno zapisze. A disco polo w górach się nie przyjmie, ludzie tu się bawią albo przy kapeli Pietrka, albo przy amerykańskim disco, nieważne, czy z Anglii, z Niemiec, czy ze Stanów, ważne, że amerykańskie. Wszystko, co na północ od Myślenic, to warszawiaki, względnie krakusy. Wszystko, co na zachód od Odry i Nysy, to Amerykańce.

A Szczecin? Takie warszawiaki, którzy jak tylko wejdziemy do Unii, będą mieli na duże zakupy najbliżej do Berlina.

– Chciałbym kupić bilet na pociąg, dwa miejsca naprzeciwko siebie, i pojechać z tobą do Szczecina – mówi Łukasz do Anki, kiedy w końcu wymieniają się imionami, telefonami i umawiają się na wino Pod Kasztanami. Siedzą naprzeciwko i po trzecim kieliszku zaczynają już lekko płynąć, już łapią wspólny balans na fali. Już odkrywają to, co razem kochają – góry, wiatr na policzkach i pot na ciele.

– Dlaczego do Szczecina? – pyta Anka.

– Bo podróż by trwała długo. A ja bym siedział i patrzył na ciebie – odpowiada Łukasz, a ona nie wie, czy śmiać się, czy zachwycać. Łukasz idzie do baru po jeszcze jedno wino i prosi, żeby puścili *Come On Baby Light My Fire*. Tak się zaczyna ta miłość – w ogniu i winie.

No i teraz rano Anka pogłaśnia Doorsów z kaseciaka w kuchni i postanawia, że zrobi Łukaszowi te kanapki z masłem i położy mu na talerzu. A potem niech sobie robi z tym, co chce. Nie będzie go niańczyć,

przyrządzać mu drugiego śniadania, jak dziecku. Musi podrzucić małą do przedszkola, u sióstr przyjmują dzieci przed trzecim rokiem życia, więc tam chodzi, a Ance to nawet nie przeszkadza. Jako nieortodoksyjna buddystka, której nic na świecie nie przeszkadza, nawet czarnosukienny katolicyzm, ma na wszystko luza. Jakby była upalona non stop bez palenia. Nie lubi palić, jest kobietą z płynów, a nie z dymu.

Jedno tylko ją wkurza. Mamusia. Do własnej matki mówi po prostu „mamo", a do mamy Łukasza mówi się „mamusia". I koniecznie w trzeciej osobie, z szacunkiem. Mamusia siądzie, mamusia weźmie, czego się mamusia napije. Mamusia, bleeee. A czasem w skrócie: musia.

Musia przyjdzie w niedzielę po kościele, musia weźmie wnuczkę na spacer, musia martwi się o Łukaszka, czy on ma koszule wyprasowane, przecież zawiera kontrakty na tych budowach, Łukasz taki poważny dyrektor, a dla niej wciąż Łukaszek, trzeba o niego dbać, ubrać, oprać, nakarmić, zaspokoić, ale to już ty, Aniu, musisz, musia nie może, to poza sferą działań musi. Musia was zaprasza na obiad niedzielny, będzie kurczaczek, jak Łukaszek lubi, z ziemniaczkami okraszonymi masełkiem, ale bez skwarek, od skwarek się odzwyczaił w tym Krakowie na studiach, tak miastowo się teraz odżywia, ale my z tatą też teraz bez skwarków jemy, żeby cholesterol tacie nie urósł, więc i o Łukaszka dbać musimy, żeby go żadne choroby nie łapały, cukrzyca, tarczyca ani zawał. Dobrze, że z Łukaszkiem tak sobie biegacie, jeździcie, to bardzo zdrowo, a wszystko nieważne, zdrowie ważne. Tylko jak ty mu coś ugotujesz w takiej kuchni? Laminat na blacie, piekarnik nie działa, garnki z Janosika chyba, to pewnie ci mama w wianie dała, ale trzymała od maleńkości. Kobieta jest, Aniu, królową kuchni i musi mieć odpowiednie królestwo, żeby mogła rządzić i dbać o poddanych.

Anka mięśnie napina pod stołem. Wykonuje proste asany, oddycha przeponą, żeby nie wybuchnąć. Łukasz widzi, że Anka buzuje, więc szybko zmienia temat – z obiadów, których Anka nie gotuje, na obiady, które gotuje musia.

– Fantastyczne te skrzydełka, Amerykanie to same skrzydełka jedzą. Jest taka restauracja, że tylko skrzydełka podają w panierce. Sieć restauracji, w Krakowie czasem coś tam na szybko zjadałem, a teraz mają taką otworzyć przy zakopiance. Ale jak skrzydełka przyrządzić, to Amerykanie mogliby się uczyć od musi – chwali Łukasz. Musia się rozpływa, przez chwilę jest kobietą z pianki cukierniczej z lukrem.

Anka grzebie w sałacie na talerzu. Dziadek karmi małą kawałkami kurczaczka z ziemniakami.

– Może byśmy pojechali kiedyś do Krakowa – proponuje Łukasz.

– Aaaa, ty sobie jeździj po świecie, jak chcesz, Łukasz. Ja się mogę do Nowego Targu przejechać, na basen. Za tydzień moglibyśmy pojechać, małą może weźmiemy – mówi dziadek. – No i może na narty pojedziemy do Żura, jak więcej napada. A pamiętasz, Łukasz, jak się wywracałeś na wyciągu, liny nie mogłeś złapać…

Anka oddycha spokojniej. Lubi nawet te historie z dzieciństwa Łukasza. Jej rodzice nie zabierali w góry, na wędrówki, na narty. Ona widywała tych wędrowców albo narciarzy, jak ruszali z Rabki w góry. Chętnie posłucha, jak to kiedyś było. Kiedyś, dawno temu nie było nart carvingowych ani polarów, tylko wełniane swetry. Kiedyś w schroniskach były tłumy ludzi, że czasem nocowało się na podłodze. Kiedyś wiatr był bardziej porywisty, widoki szersze, a góry wyższe niż dzisiaj. W Łukaszu, który po tych górach wędrował, się zakochała i chętnie teraz o nim posłucha. Bierze małą na ręce, może tak z nią będzie za kilka lat wędrować.

Ale nie docenia musi. Musia siedzi przyczajona. Musia kalkuluje. Musia wybiera moment do ataku, przed którym nie będzie już obrony. Musia wstaje, podchodzi do kredensu, otwiera drzwiczki i spomiędzy ułożonych równo poszew i prześcieradeł wyciąga kopertę. Drepce do stolika, niby bezradnie, niby jak staruszka, ale jest zwyciężczynią, osiągnęła swoje. Za chwilę osiągnie.

– Odłożyliśmy tu z ojcem parę groszy, żebyście sobie kuchnię porządną zrobili. To taki prezent świąteczny od nas dla młodych. – Podaje kopertę

mężowi, który wręcza ją Łukaszowi. Wiadomo, sprawy finansowe załatwiają mężczyźni, jakby pieniądze były dla kobiet trochę nieczyste.

– Dziękujemy bardzo – mówi Łukasz. I wszystko jest załatwione. Anka leży znokautowana na deskach do krojenia chleba i szatkowania warzyw. Nie, jeszcze nie.

– Umówiłam wam na poniedziałek Józka, tego cieślę, co najlepsze kuchnie robi. U nas też zrobił, zobacz, jak gustownie. Chociaż musiałam mu te rzeźbienia w projekcie poprawić, on tak za prosto chciał wszystko. Ale się wyrobi. Kiedyś ludzie z Ameryki się będą zabijać o jego projekty i wykonawstwo, zobaczycie. – Musia kładzie Ankę na deski prawym prostym. Anka czuje, że ma twarz poobijaną, zmasakrowaną, jakby ją ktoś przepuścił przez maszynkę do mielenia kotlecików dla Łukasza. Łukaszka.

Teraz, czekając na Józka, kroi chleb na starym blacie bez deski. Raz sobie zrobi szramę na blacie, a nawet dwie, jak będzie chciała, i nikt się nie przypieprzy.

Jz 2, 13-20

– Pokój temu domowi. – Józek wchodzi i buty w drzwiach zdejmuje, zanim jeszcze kurtkę odwiesi. Sam sobie otwiera, bo jak ludzie się znają i są na innych otwarci, to ani drzwi nie muszą zamykać, ani do drzwi stukać. A warszawiaki to podobno budują teraz wszędzie grodzone osiedla. Ochroniarz z bronią stoi przy furtce i jeśli kogo nie zna, to go przeszukuje całego, jak na lotnisku w Chicago. A nawet jeszcze dokładniej, bo Amerykańce też za bardzo serca mają otwarte, naiwni jak dzieci, jeszcze się kiedyś na tym braku kontroli przejadą.

– Wchodź do pokoju, już idę – odkrzykuje Anka z kuchni. – Kończę zmywanie. Chcesz herbatę? Zrobię ci, ciepłą, bo podobno dziś kurewsko zimno, teściowa dzwoniła, żeby Łukaszowi kalesony przyszykować.

– Serio mówisz? Tak ci męża niańczy? – Józek się dziwi. Ale zaraz mu się włącza zaprogramowany szacunek. – No, to matka w końcu.

Jakby bycie matką dawało papiery na to, żeby dorosłemu mężczyźnie zakładać kalesony na odległość, a dorosłej kobiecie urządzać kuchnię na swój obraz i podobieństwo. A raczej swojej, nie swój.

Anka stawia na stole dwa kubki herbaty.

– Co słychać? – zadaje najgłupsze na świecie pytanie. Ale przecież nie ma głupich pytań, to czy jakieś może być najgłupsze? Na razie okazuje się najlepsze.

– Nie uwierzysz, co ci o Elce Zacharowej opowiem – rzuca od niechcenia Józek.

– No co? – Anka już jest cała jednym zdziwieniem. Ale nie można powiedzieć, że wielkim, bo Anka jest drobna, a przynajmniej szczupła. – Przytyła?

– A żebyś wiedziała. Przytyła, i to z dwajścia kilo. Ale wiesz dlaczego? Okazało się, że jest w ciąży!

– Jak to? Elka? Ze starym Zacharą?

– A z kim? Z Duchem Świętym?

– No tak. – Anka się urealnia. Trudno wyobrazić sobie Elkę wyrywającą kolesi na siłowni w Mszanie.

Józek milknie. A Anka czuje potrzebę, żeby dowiedzieć się więcej.

– Ale jak to? – podrzuca Józkowi pytanie. Bo czasem ludzie mają dużo do opowiedzenia, a potrzebują tylko pytania, żeby ogłosić dobre nowiny.

– Elkę coś brzuch zaczął boleć, jak żeśmy ze starym Zacharą i Staszkiem przy stole u nich siedzieli. I mówi, że może w ciąży jest. Tośmy pojechali do Nowego Targu do szpitala i się okazało, że owszem, i to w dziewiątym miesiącu.

– No nie! Pojebało ją? Jak można przez dziewięć miesięcy nie wiedzieć, że jest się w ciąży? Takie rzeczy to na TLC pokazują, ale żeby u nas, w Rabce?

– Myślała, że tyje, że stres zajada czy coś takiego. Tak nam w drodze powrotnej mówiła.

– A miesiączka?! Józek, kobiety mają miesiączkę raz w miesiącu. Jak można się dziewięć razy nie zorientować, że ci się okres spóźnia? – Anka zaczyna tak krzyczeć z emocji, że budzi chyba Łukasza na górze i małą.

– Tego ja już nie wiem, w życiu miesiączki nie miałem. – W tym temacie akurat Józek się trochę krępuje. – Ale słyszałem, jak mówiła takiej Maryśce, że myślała, że już przekwitła.

– Ona? Przecież stare baby przekwitają, nie my – mówi Anka. I jakby nagle dotarło do niej wszystko, co Józek mówi. – Jakiej Maryśce?

– To długa historia – odpowiada Józek. Mówi, jak się dziewczyna zjawiła z dwiema szramami na policzku na drodze z Ponic, jak jej trzeba było pomóc, jak ją ze Staszkiem do Zacharów zaprowadzili i że jest teraz u nich taką służką, bo tak o sobie mówi: służka pańska. I że dobre ma serce, Elce pomagała, nie tak naprawdę, żeby ją podtrzymać czy coś, bo do tego to takiego chłopa jak Józek albo jak stary Zachara potrzeba. Ale jej tak pomagała po babsku, rozmową, razem sobie szeptały, płakały. No, ogólnie ją podtrzymywała na duchu.

Nie mówi, że chodzi cały czas w hidżabie, że chyba cały plecak hidżabów nawiozła stamtąd, skąd przybyła. Nie mówi, że nikt nie wie, skąd przybyła. I nie mówi, że mu się bardzo podoba. Że jakby miał figurkę świętej wyrzeźbić z drewna, toby ją wziął na modela, a przynajmniej miałby ją przed oczami. I że jak zamknie wieczorem oczy, to nawet jak nic nie rzeźbi, ma Maryśkę przed oczami.

Zanim herbata ostygnie, z góry schodzi Łukasz z małą. Książkę jej czytał rano, taki krakowski zwyczaj. Anka to podpatrzyła raz, jak krakusom pokój w wakacje wynajmowali, i Łukasza nauczyła, że tak się dzieci na obywateli świata chowa.

– Co tam dziś na śniadanko? – zagaduje niby w imieniu córeczki i puszcza do niej oko.

– Co na śniadanko, na śniadanko, mamusiu?

– Śniadanko będzie w przedszkolu, Magdusiu – odpowiada Anka. – A tobie, Łukasz, kanapki zrobiłam z masłem. Chcesz szynki? To ci dołożę.

Patrzy na zegarek. I już musi lecieć. Plaster szynki – jednak, bo wiadomo, że nawet jak się pobuntujesz, to w końcu przed tradycją musisz skapitulować – w locie nakłada. I już skrzydła rozwija, małej Magdzie jedną ręką buciki zakłada zimowe, drugą kurtkę, trzecią czapkę, a czwartą policzki kremem smaruje, żeby jej od mrozu naczynka nie popękały. Jest jak czteroręka bogini z hinduizmu, ale nie pamięta jaka, hinduizm nie jest jej mocną stroną, ona się bardziej czuje buddystką, ale też nie do końca. W ogóle nie za bardzo rozumie to zadęcie z religiami, połowa wiadomości w telewizji to wojny religijne, a tak naprawdę liczy się, czy masz co jeść, czy masz gdzie mieszkać i czy zdrowa jesteś, a wszystko, co ponadto, od złego pochodzi.

– A jaką ci tę kuchnię mam zrobić, Anka? – pyta Józek, bo przecież w tej sprawie tu przyszedł.

– Już ci mówię. – Anka wpada z powrotem z sieni do pokoju i przelatuje migiem do kuchni. – Zrób mi tak, żeby się tu naczynia brudne zbierały, tu żeby się same zmywały, tu odstawiały. A tutaj w ścianie trzeba zrobić wielkie okno, przez które będą nam przywozić z Krakowa pizzę na telefon!

Józek staje na środku kuchni niepewny. Łukasz patrzy na żonę lekko zdziwiony. Dopiero mała Magda – rezolutna dziewczynka z zadartym noskiem, ciemnooka, ale po mamie rudawa – wybucha śmiechem: pizza na telefon, pizza na telefon. Widział kto takie cuda?

– To ja zaraz wszystko pomierzę i zrobię ci ładny projekt, że nawet teściowa wam pozazdrości. Pomyślicie sobie po świętach, a po Nowym Roku zamówię materiały i na Matki Boskiej Gromnicznej będzie gotowe – odpowiada Józek. – Zmywarkę ci zaprojektuję, to naczynia się będą same zmywać. Tylko z Krakowa będziecie musieli sprowadzić, bo już ja wam tego wybierać nie będę. A okna ci tutaj nie wywalę, bo bym potrzebował zgody nadzoru budowlanego.

– A ja jako inżynier takiej zgody nie udzielę. – Łukasz uśmiecha się szeroko. Dla Łukasza każda scena w życiu musi się zakończyć szerokim

uśmiechem. Gdyby Łukasz reżyserował życie, to wszyscy by się cały czas uśmiechali, jak w Japonii. Ciekawe, w jakiego boga wierzą Japończycy, że są cały czas tacy uśmiechnięci. Pewnie na układach scalonych i ciekłych przewodnikach.

– Wpadnijcie wieczorem do Zacharów, zobaczymy, co u Elki. Może im coś trzeba pomóc przed rozwiązaniem. – Józek goni jeszcze krzykiem wybiegającą już za drzwi Ankę. Bo Józek woli, jak scena się kończy czymś, co otwiera przyszłość, a nie zamyka przeszłość.

Jz 2, 21-39

Stukają do drzwi, dzwonią, w końcu łomocą. Napierdalają w nie z całej siły, ale albo drzwi pancerne, albo siły nie mają od wódki i od wędrówki.

– Sezamie, otwórz się – wrzeszczy Kacper. Melchior flaszkę podnosi do góry i potrząsa nią w geście, który nie wiadomo co znaczy i którego nikt nie widzi. A Bazyli dopowiada dodatkowe zaklęcia, które zazwyczaj działają: – Otwierać, kurwa. Otwierać, do kurwy nędzy.

A w środku ani Elka, ani stary Zachara, ani Koconiowie, bo przyszli oboje, małą z babcią zostawili, ani Józek, ani Maryśka niczego nie słyszą. Śpiewają *Przybieżeli do Betlejem*, Elka uradowana drze się na całe gardło, jakby pół flaszki wypiła, a przecież nie pije, bo lada dzień będzie rodzić. Stary Zachara wyciągnął gitarę i nawala akordy bardziej nawet po punkowemu niż po harcersku. My z Józkiem i Łukaszem robimy za chórek Beatlesów, a Anka śpiewa czysto jak Debbie Harry. Maryśka dostała do ręki mały tamburynek, więc rytm wystukuje i próbuje się uczyć słów. To nie jest trudne, bo znamy wszyscy tylko po dwie zwrotki każdej kolędy, więc śpiewamy je w kółko i przy trzecim kółku Maryśka zna już zwykle cały tekst.

Ciekawe, po co kolędy mają więcej niż dwie zwrotki, skoro i tak każdy zna tylko dwie, poza siostrami w klasztorach zamkniętych? A śpiewać

tasiemcową kolędę w klasztorze zamkniętym to też jest gest, którego nikt nie widzi, no chyba że bogowie różnych religii i narratorzy wszechwiedzący.

– Dawajcie, dawajcie! – Elka rządzi. Czuje że to jej czas, jest wielka, gruba, ale ma alibi, urodzi, to będzie z automatu z dychę lżejsza. A w tej swojej wadze czuje się najlepiej. Nikt nie wymaga od niej, żeby była seksowna i wodziła na pokuszenie. A może wodzić rej. Wyszukuje w śpiewniku, czego jeszcze Maryśkę trzeba nauczyć. *Jezus malusieńki, W żłobie leży* i koniecznie *Mędrcy świata, monarchowie,* chociaż tu są trudniejsze akordy i się staremu Zacharze zaczyna coś mylić, aż odkłada gitarę pod koniec kolędy.

– Otwórz się. Sezamie, otwórz się – słychać z podwórka krzyki kilku mężczyzn.

– Co to? – Józek patrzy pytająco na starego Zacharę.

– Otwierać, kurwa. Tu Ali Baba z flaszką – wrzeszczy ktoś, ale widać, że „polska język, trudna język". Spróbuj powiedzieć „Ali Baba z flaszką" po flaszce, nawet na trzech, bez bełkotania – no nie da się.

– Co jest? – Stary Zachara otwiera drzwi. Na ich skrzypienie mężczyźni odsuwają się o kilka kroków i cichną. Stary Zachara zapala światło nad drzwiami i widzimy trzech podpitych chłopaków bez czapek, w kurtkach porozpinanych, pod spodem białe koszule, spodnie od garnituru i buty eleganckie. A przynajmniej takie, które były eleganckie, zanim wyruszyli w drogę, a teraz są tak ujebane pośniegowym błotem, że trudno powiedzieć, czy szli godzinę ze schroniska na Maciejowej, czy miesiąc, powiedzmy, z Bliskiego Wschodu.

– My jesteśmy! – uśmiecha się szeroko, otwierając jeszcze szerzej ramiona, ten, który rej wodzi. Co to jest, nawiasem mówiąc, ten rej? I czy Elka może wodzić jeden rej w domu, a trzej przybysze drugi na podwórku?

– No widzę – odpowiada stary Zachara, a my z Józkiem i Łukaszem stajemy koło niego, żeby zdobyć przewagę liczebną na wszelki wypadek. Anka, Elka i Maryśka stają za nami, w cieniu, w ukryciu. Patrzymy na nich, oni na nas. Siła jest po ich stronie. Chłopy mocne, widać, że na siłowni jest

biceps robiony i klata, a potem szejk białkowy i kurczak bez ryżu. Trzech King Kongów.

– Nie poznajesz nas, Zachara? To jest Melchior, a to Bazyli, królowie Mszany jesteśmy!

– Kacper? – Stary Zachara uśmiecha się, ale z czołem zmarszczonym, jakby coś sobie przypominał. Coś wesołego, ale niekoniecznie akurat do chwalenia się przed żoną.

– A kto, kurwa, nie jak Kacper? – Kacper znów rozwiera ramiona, ale idzie z nimi do przodu ze starym Zacharą się bratać. Zachara odwzajemnia misia, ale z rezerwą, więcej tu chyba wódki niż wielkiej zażyłości.

– No wejdźcie, tylko spokojnie – upomina Kacpra. – Mamy taki wieczorny posiad.

– Jak, kurwa, spokojnie? – Kacper sięga do kieszeni kurtki po flaszki, wyjmuje jedną półlitrówkę, drugą, trzecią, zatrzęsienie butelek, gdzie mu się to zmieściło. – Spraszaj sąsiadów, wódka zmrożona, dla całej ulicy wystarczy. Chyba że już wszyscy są. Bo myśmy w Mszanie słyszeli, że wielka impreza dzisiaj u was będzie. Wigilia Wigilii.

I zaczynają pochód jak z obrazu Bruegla. Kacper się zatacza, ale taką trajektorię wybiera, żeby na flaszki, które powyjmował z kieszeni, nie wlecieć. Melchior próbuje iść prosto, ale potyka się na prostej ścieżce, po czym rusza w przód, jakby miał przymontowaną do nóg deskorolkę, i zatrzymuje się dopiero na schodkach. A Bazyli opiera się o ścianę domu i wykrzykuje na nieznaną melodię coś, co niesie się ponad sosny, ponad świerki, aż po rozgwieżdżone niebo nad Rabką:

– Będzie kolęda, będzie zabawa, będzie się ziało i snowu nocy będzie mało, będzie głośno, będzie radośśśnie!

– Zabieraj mi tych pijusów – mówi do Zachary Elka, wychodząc z cienia. I widać, że ona wodzi tu największy rej.

– Kacper, jaka impreza? – zaczyna stary Zachara, przytrzymując gościa za ramiona, trochę w przyjacielskim geście, a trochę, żeby się nie

przewrócił. – Żona mi będzie rodzić zaraz, nikt tu teraz nie pije, bo nie wiadomo, kiedy do szpitala trzeba będzie jechać.

– A co z imprezą, kurwa? – wtrąca się Melchior z takim smutkiem w głosie, że staremu Zacharze robi się go żal.

– Będzie. Za pół roku. Przyjdźcie za pół roku, zrobimy imprezę!

Pijanemu musisz powiedzieć dwa, a nawet trzy razy to samo. Musisz mu powiedzieć, że imprezy nie ma. Ale że za pół roku będzie.

– Ale osochozi? – pyta Bazyli.

– O to, że za pół roku jest impreza. Musimy poczekać – odpowiada Melchior.

– Idźcie do siebie poczekać, chłopaki. I wracajcie za pół roku. – Stary Zachara inteligentnie obraca Kacpra i nadaje mu kierunek w dół, co ciało Kacpra natychmiast podchwytuje.

– Za pół roku wracamy – mówi i idą w dal, a niebo rozgwieżdżone nad nimi. Gwiazd dziś na niebie tyle, że można by się nimi kierować. Ale prościej iść według drogowskazów na Nowy Sącz i z buta do Mszany. Bo busy już o tej porze nie jeżdżą, chociaż dopiero po dwudziestej – stara Rabka mocno śpi.

– W porządku, Elżuniu? – Stary Zachara odwraca się do żony. Czuły się dla niej zrobił jak z *M jak miłość*. Ale Elki już obok nie ma.

Wchodzimy do pokoju, a tam Elka siedzi gruba, jak jeszcze nigdy w życiu nie była, i oddycha tak ciężko, jak jeszcze nigdy nie oddychała. Nie wiemy, co zrobić, bo przecież żaden człowiek nie wie za bardzo, jak pomóc drugiemu człowiekowi, chyba że jest Matką Teresą z Kalkuty. I wtedy wolnym, spokojnym krokiem podchodzi do Elki Maryśka. Podciąga hidżab, dziś ma niebieski, ładny, przykuca przy niej, bierze ją za pulchną rękę. Chyba tak się pomaga drugiemu człowiekowi: bierze się go za rękę. A potem wszystko toczy się po bożemu.

– Wody mi chyba odeszły – mówi Elka, nie zwracając uwagi na mężczyzn, którzy przecież o takich rzeczach nie powinni słuchać. – Co to ja, kurwa, rodzę?

Jz 2, 40-57

Wyjeżdżamy na Nowy Świat, bo główna ulica w Rabce nazywa się Nowy Świat. Zawsze mnie to śmieszyło, bo znam dwie takie ulice w Polsce. W Warszawie to salon stolicy, do dziś przechadza się tam Bolesław Prus z *Lalką* pod rękę, jak się zamyśli na Krakowskim Przedmieściu. Kawałek dziewiętnastowiecznej Warszawy, okruch starego świata dla niepoznaki nazwany Nowym Światem.

W Rabce Nowy Świat niczym się nie różni od reszty miejscowości, tylko co innego znaczy. Bo nowy świat to świat nadziei, oczekiwań, czegoś, co nadejdzie. Ziemia obiecana. Czyli Ameryka. W Ameryce możesz spełnić wszystkie marzenia swoje i sąsiadów. Ameryka to raj na ziemi. Ameryka to Atlantyda, która nigdy nie zatonie. Ameryka to kraj, w którym górale są szczęśliwi, dutki im się z kieszeni wysypują, a cepry muszą gadać gwarą albo po angielsku.

Ktoś kiedyś na radzie miasta zgłosi wniosek, żeby tego streeta – bo w Rabce w dobrym tonie jest czasem wtrącić amerykańskie słowo – przezwać z Nowego Świata na Amerykańską. A radni przyklasną: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, okej!

– W prawo czy w lewo? – pytam. Ale kogo pytam? Starego Zacharę chyba, bo jedziemy do szpitala w Nowym Targu całą gromadą z Józkiem i Maryśką, na wszelki wypadek, jakby mieli pomóc. Chociaż strasznie ciasno w starym cinquecencie Zacharów, ale dziś nie ma czasu na skombinowanie wypasionej bryki z warsztatu od Andrzeja i Jędrka. Elka może urodzić w każdej chwili. W razie czego Maryśka będzie poród odbierać na zakopiance, Józek ma wtedy wezwać od razu pogotowie – stary Zachara już przed wyjazdem porozdzielał zadania. No to niech teraz powie: w prawo czy w lewo?

W prawo jest droga bezpieczniejsza, przez Chabówkę, ale dłuższa. W lewo prowadzi przez Rdzawkę, krócej o kilka kilometrów, ale jest ryzyko, że cinquecento nie podjedzie pod stromą górę przed zakopianką.

– W dół – mówi krótko stary Zachara.

Patrzę, gdzie tu jest w dół, bo dla mnie ta droga jest równa, prosta. Ja nie mam w głowie wysokościomierza, tylko kompas. Na całym świecie tak określamy kierunki: północ, południe, wschód, zachód. Na północy jest zimno, na południu ciepło, na wschodzie biednie, na zachodzie bez zmian. Życie jest jak labirynt: idziesz do przodu, czasem się cofasz, na rozstajnych drogach musisz wybierać – w prawo czy w lewo. Wszystko rozgrywa się dla nas na płaszczyźnie. A przyjedziesz w góry i ważniejszy robi się trzeci wymiar: do góry czy w dół. Wznosisz się czy opadasz. Droga w dół, do wiosek, miasteczek, do ludzi czy w górę, do szczytów gór, do Boga.

Spróbuj spytać kogoś na ulicy w górskim kurorcie o drogę. „Pójdzie pan w dół, za czerwonym kościołem drogą do góry, a jak pan zobaczy kapliczkę na zakręcie, to w dół". Tyle tych znaków transcendencji nastawiali, za co im Pan Bóg w rewanżu okolicę ciekawiej niż na Mazowszu ukształtował, że tak świat widzą.

Jedziemy Nowym Światem, przy czerwonym kościele droga skręca – ja bym powiedział, że w lewo, Stary Zachara, że w dół. Mijamy kapliczki nastawiane po całej Rabce w funkcji drogowskazów, przejeżdżamy przez Chabówkę i koło muzeum kolejnictwa wjeżdżamy ślimakiem na zakopiankę.

– Dobrze się czujesz – pyta stary Zachara Elżbietę, ale bez pytajnika na końcu, jakby raczej chciał jej nakazać dobre samopoczucie. Przecież to on ma głos decydujący.

– Ugh – jęczy w odpowiedzi Elka i pół życia przelatuje jej przed oczami. Dyskoteki w Rabce, dyskoteki w Mszanie, a potem już znudzenie, szukanie nowych bodźców. Nie miastowych – jak raz w Myślenicach chłopak zamachał jej torebką z białym proszkiem, to nie pytała, co to, tylko zaczęła tańczyć z innym. Tylko swojskich: wino, wódka, nawet piwo, chociaż gorzkiego smaku nie lubi. I wreszcie odkrywa jedzenie – przyjemność większą niż picie, po której w dodatku głowa nie boli. Większą niż seks, który już ją znudził powtarzalnością akcji. Wstęp, rozwinięcie i jak dobrze pójdzie, to i zakończenie.

Chorób się zaczęła bać. Czytała w pismach, że można aidsa dostać bez kondona, jak się nie ma stałego partnera. Jednemu dość inteligentnemu z krzyżem wytatuowanym na przedramieniu – w Mszanie to było – to nawet taki artykuł pokazała, ale nic nie rozumiał. Bo nie było napisane „eros" ani „kondon", tylko „zabezpieczenie". Było „partner", ale nie wiedział do czego, bo przecież do łóżka to tylko mąż i żona. I w ogóle się znudził, bo nie na czytanie gazet wyszli z dyskoteki do auta, tylko żeby jej mógł pokazać, do czego się tylne siedzenie w jego samochodzie nadaje. I ją tam leciutko popchnął, spódnicę Elce podciągnął i wyruchał na szybko.

Górale to lud pobożny, w prezerwatywach dymać nie będą, bo to grzech. Siostra tak na religii uczyła, ksiądz w kościele powtarza: w gumie się nie rucha. Nie ma wtedy tej bliskości między małżonkami, tego zbliżenia nie tylko cielesnego, ale i duchowego. Nie ma wtedy w akcie tego, co jest jego esencją i kwintesencją – pragnienia, by począć dziecko. Nie ma możliwości zwieńczenia miłości między małżonkami. Guma to wszystko w chuj zabija.

Tamten z krzyżem w Mszanie doszedł szybko, przed Elką, a to rzadko się zdarzało. Zostawił ją na tym tylnym siedzeniu, a na odchodnym rzucił: „Pomódl się tylko, żebyś w ciąży nie była".

I wtedy właśnie miała tę skrobankę u takiej lekarki w Krakowie. I miała już się nie obawiać, przynajmniej ciąży. A teraz w ciążę zaszła i jedzie do szpitala urodzić. Cud? Wcale się o to nie modliła, bo się nie modli poza tym „w imię Ojca i Syna, bo zaraz cosik będzie się działo".

– Już dojeżdżamy – mówi stary Zachara. A że ma dar widzenia przyszłości, dodaje: – Zaraz się zacznie.

Parkujemy pod szpitalem. I chociaż nie mam daru widzenia, czuję, że stary Zachara ma rację. Kiedy rodzi się dziecko, zaczyna się nowa historia. Zwykle jest banalna, nie prowadzi do niczego innego niż przedłużenie gatunku. Ale nigdy nie wiadomo. Jak mama Mozarta rodziła chłopca, nie wiedziała, kogo rodzi. Jak Rosemary rodziła dziecko, też nie wiedziała. A jak Elżbieta, żona starego Zachary, rodzi, to co wiadomo? Oprócz tego, że syn będzie miał na imię Jan?

Stoimy pod szpitalem we trzech. Aż się prosi, żeby zapalić, ale nikt z nas nie pali. Napić się też nie za bardzo, szkoda, że nie ma takich fajnych małych buteleczek, które by można schować za pazuchą, ktoś to na pewno kiedyś wymyśli. Dwieście mililitrów, a dla kobiet i kierowców setka. Więc zabijamy ręce. Czekamy. Nic się nie dzieje.

Na izbie powiedzieli, że z rodzącą może wejść jedna osoba. Może mąż, ale niekoniecznie. Stary Zachara aż się wzdrygnął, miałby swojej babie w cipę zaglądać? Warszawiaki niech sobie takie cyrki wyprawiają, on tu poczeka, tak jak jego ojciec czekał, dziad, pradziad. No nie, prababka to chyba w domu rodziła, ale to był inny świat.

Elka też chyba sobie takiej Ameryki z mężem nie wyobraża.

– Ona idzie – pokazuje na Maryśkę.

– Imię? – pyta recepcjonistka z okienka.

– Maria.

– Nazwisko?

Maria milczy.

– Nazwisko?

– Ja mam tylko imię – mówi Maria cicho.

– Nie można mieć tylko imienia – upomina pani z recepcji, podnosząc wzrok znad formularzy.

Maria milczy.

– Dowód pani poproszę.

Maria milczy.

Recepcjonistka wymownie milczy.

A Elżbieta bierze sprawy w swoje ręce:

– Ałaaaa, ała, aaaaa! Skurcz! Wieźcie mnie na oddział. Maryśka, weź ten wózek i jedziemy. A ty nie bądź taką biurwą, wpadnij kiedyś na pazur, to ci w promocji za darmo zrobię. Tylko muszę urodzić i się ogarnąć.

Fiku-miku i już są na położniczym. A my stajemy pod szpitalem i myślimy, co robić dalej. To znaczy stary Zachara myśli, a my czekamy.

– Jedziemy do domu – mówi po chwili. – Nie będziemy tu tkwić przez całą noc. A i wigilię na jutro trzeba w domu przygotować.

– Będziesz lepił uszka? – żartem pyta Józek.

– Zrobię, co umiem. A z czym nie umiem, to mi baby pomogą – odpowiada spokojnie stary Zachara. Wigilia w domu musi być. I stół będzie czekał na Elżbietę, aż wróci do domu.

Jedziemy do Rabki powoli. Stary Zachara włącza radio. Wszystkie stacje puszczają teraz kolędy, zaczyna lecieć „Oj maluśki, maluśki, maluśki" i człowiek się od razu refleksyjny robi.

– Ta Maryśka wam z nieba spadła – mówi Józek.

– No, Elce pomoże przy dziecku. A i zginąć jej nie damy.

– Jakby co, to ja też mogę pomóc.

– Elce? Czy Maryśce? – domyśla się Józek.

„A nie lepiej by tobie, by tobie siedzieć było w niebie?/ Wszak twój tatuś kochany, kochany nie wyganiał ciebie". Józek milczy. Stary Zachara też. Ja kieruję, radio gra.

– To wpadnijcie wieczorem na wigilię. Posiedzimy sobie we trzech.

– Anka z Łukaszem mówili, że zajrzą, jak żeśmy ruszali do szpitala.

– To w pięcioro posiedzimy. Ustalicie sobie, kto będzie kierowcą w razie czego, to innym wódkę postawię.

Jz 2, 58-66

– No dobra, mamy wieczerzę. Na ostatnią chwilę, ale mamy – mówi w drzwiach Anka. Kiedy stary Zachara dzwoni do niej rano, żeby przyszli na wigilię, ale że kobiety żadnej nie ma i ona musi się zająć jedzeniem, Anka odpowiada: no pewnie. Ma luza, że zawsze da się znaleźć rozwiązanie.

Zresztą cała jest w skowronkach. Inaczej poszliby do musi, a tak ma doskonałe wytłumaczenie – sąsiadka rodzi i idą modlitwą wspomóc sąsiada. A potem do niej dociera, że nie ma pojęcia, jak zapełnić stół wigilijny. Nakładzie do misek sałaty i marchewek, a do koszyczka powkłada wafle ryżowe. Nie? W takim razie co zrobi?

W szkole dziś jest wolne, więc ma dużo czasu. Włącza komputer i w wyszukiwarkę wpisuje, jak przygotować kolację wigilijną. Po godzinie wymięka. Idzie do kuchni upiec ciasto, pamięta, że trzeba wymieszać mąkę, jajka, cukier, ale co dalej?

Dociera do niej, że nie tędy droga. W Krakowie zamówiłaby sobie wszystko w cateringu, a w Rabce?

Idzie do sklepu, może ktoś wpadł na pomysł cateringowych zestawów wigilijnych? Nie, nie wpadł. Na pewno kiedyś wpadnie, w Warszawie, w Krakowie: syntetyczne pierożki i wszelkie zafoliowane potrawy w czerwonej torbie Świętego Mikołaja z dołączoną zgrzewką coli z limitowanej świątecznej edycji, płytą z dżingel bels i opłatkiem, na którym Jezus Chrystus będzie po amerykańsku pokazywał „okej". Ale jeszcze nikt na to nie wpadł.

I kiedy już podłamana stoi przy kasie, kiedy zastanawia się, po co sobie ten ciężar bycia przez jeden dzień prawdziwą gospodynią wzięła na głowę, czuje, że ktoś ją stuka w ramię. Musia.

– Kupujesz coś, Ania? To już nie dokupuj. Ja tyle naszykowałam kapusty, barszczu nagotowałam, pierogów nalepiłam, i z mięsem dla Łukaszka, i z kapustą, żebyś ty też zjadła. I co ja z tym teraz zrobię? Przecież tego z tatą nie przejemy.

– Ale... – Anka znów chce się tłumaczyć, że do sąsiada muszą iść. Musia jej przerywa.

– Wiem, wiem, idźcie do państwa Zacharów, jasne. Tylko dam ci trochę tego, co przygotowałam, już zresztą w słoiki część popakowałam. Podjedź do mnie za godzinkę.

I teraz Anka wkracza do Zacharów z wielkimi siatami brzęczącymi jedzeniem. Rozkłada je w kuchni, barszcz trzeba będzie zagrzać, pierogi

podsmażyć. Przez chwilę jest panią domu nie swojego. Łukasz już przyszedł, bawią się z Magdą w „Równa droga, równa droga”.

Siadamy do stołu. W imię Ojca i Syna. Opłatek, nawet jeśli nikt za bardzo nie wierzy, że zmienił się on właśnie magicznie w ciało Jezusa Chrystusa i jemy człowieka. Ciekawe, jak to rozwiązują chrześcijanie wegetarianie, bo jeśli to potraktować ortodoksyjnie, to tak jakby jedli mięso.

Po godzinie stary Zachara mówi:

– Czas na prezenty.

I wyciąga dla każdego z nas pantofle własnej produkcji do chodzenia po domu, za którymi zabijają się wczasowicze. Robi się sielsko jak na Krupówkach, tylko wełnianych skarpet i swetra brakuje.

– A jaki prezent dla ciebie? – pyta Józek.

– Ja na swój prezent czekam – mówi stary Zachara. – Wiele lat czekam.

I nie tak że od razu, ale w końcu odzywa się telefon.

– Cześć, no cześć, słyszysz? Aj… Maryśka, przytrzymaj mi tę słuchawkę, bo mi z ręki wypada. Mamy syna, mamy Janka! Słyszysz mnie, Zachara? Janek, śliczny, oczy ma po tobie. Ustaw sobie przyjmowanie MMS-ów w telefonie, to ci fotkę przyślę.

Ale, kurwa, nie przysyła godzinami, aż wigilia się kończy, wychodzimy z Józkiem na pasterkę we dwóch, Koconiowie idą do siebie, Łukasz małą Magdę na rękach niesie, bo usnęła. Stary Zachara zostaje z telefonem w ręku, aż zasypia.

Jz 2, 67-78

Telefon dzwoni do starego Zachary rano. Maryśka.

– Pokój temu domowi.

– Pokój z tobą.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że już wszystko dobrze.

– To dobrze. – Stary Zachara odpowiada spokojnie, jakby całą mądrość rycerzy z Giewontu połknął.

– Dam teraz Elżbietę, to sama opowie.

Zachara się podnosi, podchodzi do okna i patrzy w stronę Obidowej – dalej jest Nowy Targ, a on chce mieć chociaż namiastkę kontaktu wzrokowego z żoną do tej rozmowy. Czuje, że to coś ważnego będzie. Ma w końcu dar.

– Hej, hej! Słyszysz mnie? Tak? To słuchaj. Ciężka noc za nami. Po tym telefonie zaraz położna przybiegła, że z Jaśkiem niedobrze, żółtaczka mu nie schodzi czy jakieś parametry. Chuj wie, przecież nie jestem lekarką i medycyny nie kończyłam. To tylko pytam, co robić. A ona, żeby się pomodlić. I wiesz, co Maryśka wtedy mówi?

– No nie wiem.

– Że każdy ma swoje do zrobienia. Lekarki go będą ratować, ja się mam pomodlić w swoim języku, a ona go ochrzci.

– Jak to, kurwa, ochrzci?

– No wodę weźmie, z naczynia poleje i imię mu nada.

– I co?

– I żeśmy Janka ochrzcili. Jan mu dałam po prostu. Tak jak chciałeś, prawda?

– Tak. Tak chciałem. Ale co z nim teraz?

– Dobrze, już wszystko dobrze. Podłączyli go pod monitoring, w inkubator wsadzili i się ustabilizował. Podobno to od tego fioletowego światła. Ale wiesz, co ci powiem?

– No nie wiem.

– Od fioletowego światła to człowiek może najwyżej oczopląsu dostać. Jak takie w Szeherezadzie zamontowali, to ludzie rzygali na parkiecie, i to wcale nie od alkoholu. Jak Boga kocham. Więc ja myślę, że to od tego chrztu mu te parametry poleciały.

– Elka, bądź racjonalna.

– Dobra, dobra. Ja bym lekarki na księdza nie zamieniła. Ale ksiądz nie zaszkodzi.

– To był ksiądz?

– No nie, mówiłam ci przecież, że Maryśka była księdzem.

– Przecież to niemożliwe!

– Co niemożliwe? Oj, w przenośni mówię. Wiadomo, że nie skończyła w nocy zaocznie seminarium i nie wyświęciła się na kapłankę, ale była księdzem w tym sensie, że ochrzciła naszego Jaśka. Ja siły nie miałam, byłam przy tym, ale ona ceremonię spełniła.

– Elka. Przecież to kobieta…

– A co ci to, kurwa, przeszkadza, że ktoś jest kobietą? Ance powiem, to ci kazanie zrobi. W Krakowie to byś już życia nie miał, szowinisto jeden, nikt by pantofli od ciebie nie kupił, bo by cię zbojkotowali. Jak masz ten swój dar widzenia przyszłości, to sobie popatrz, gdzie będą faceci na Podhalu za dwadzieścia lat. W czarnej, kurwa, dupie będą, bo żadna już taka głupia nie będzie, żeby za górala wychodzić. I sami sobie będziecie wieczerzę wigilijną przyrządzać i się wódą zadupcać. Albo sobie pizzę na telefon zamówicie, dużą wigilijną z podwójnym serem i śledzikiem.

– Elka, nie wkurzaj się, bo ci się mleko zwarzy.

– No dobra, dobra…

– Ale Maryśka to kobieta ze Wschodu. Muzułmanka chyba.

– A co to ma do rzeczy? Ja akurat w Ameryce robiłam raz pazur jednej muzułmance, która sobie lubiła pogadać. I dla niej bóg był jeden. Tak jak dla was, mówiła, więc mamy się kłócić o jego imię? Powiem Allah, to dobrze, a powiem God, to źle. Ty nie mówisz God, ty mówisz… Jak ty to mówisz po polsku? Bóg, tak? Bóg to inaczej niż Allah, ale też inaczej niż God. Kłócić się o imię Boga, zabijać albo wysadzać z tego powodu w powietrze? Bóg jest jeden.

– No tak, Elżbieta, ale widzisz, nasz Bóg uczy, żeby mieć jedną żonę, a tamten, żeby mieć ich wiele.

– Otóż to, z Maryśką też o tym sobie gadałam. I Maryśka mówi mądrze, że człowiek powinien mieć jakiś kod kulturowy do dekodowania transcendencji. No co? Jak się z mądrymi obcuje, to się człowiek rozwija. Zapamiętaj to sobie: kod kulturowy do dekodowania transcendencji. Poczekaj…

– Halo, tu Maria…

– Tak?

– Chciałam się tylko wytłumaczyć, bo wam się może nie podobać, że waszego syna ochrzciłam. Ale nie miejcie mi tego za złe, proszę, bo ja to w dobrej wierze zrobiłam. A dobra wiara to jest ta, którą matka i ojciec wyznają. Nie można kogoś ochrzcić na muzułmanina. Zrobiłam nad nim znak krzyża, bo my, muzułmanie, wierzymy przecież w proroka Jezusa, ostatniego przed Mahometem. Mnie nie o to chodzi.

– A o co?

– Jeśli wasz syn będzie kiedyś poszukiwał Boga, czegoś więcej niż to, co widać, to żeby miał do tego podstawowy aparat pojęciowy, kod swojej religii.

– Maryśka, skąd ty się taka uczona wzięłaś?

– Ja…

– Hej, słyszysz mnie? Speszyłeś dziewczynę, ej, stary, a głupi. Ciesz się, że mądra dziewczyna nam z nieba spadła, nie głupia. Pomoże nam trochę. A może i więcej. Dobra, muszę się położyć. No niby cały czas leżę, ale w sobie się muszę położyć. I Jaśka nakarmić, je jak stary góral. Lekarz powiedział, że jak wszystko będzie dobrze, to nas na trzeci dzień wypuści.

Jz 3, 1-19

Wiosna w Rabce zaczyna się przy stacji benzynowej koło dworca PKP. Bo w samym centrum miasta jest stary CPN kupiony za judaszowe srebrniki w ramach złodziejskiej prywatyzacji przez jakiegoś krakusa. Krakus tu chyba ani razu nie przyjechał, żeby zobaczyć swoją inwestycję, bo jakby przyjechał, toby się chyba z miejsca zrzygał, jeśli ma jakiś zmysł estetyki. W konkursie na najbrzydziej zagospodarowane centrum miasta Rabka wygrywa nawet z Warszawą z bazarem ery biedakapitalizmu dookoła socjalistycznego pałacu.

Dystrybutory na tej stacji pamiętają benzynę na kartki, tylko czekać, aż przyjedzie wojewódzki inspektor zabytków, zaplombuje i zakaże dotykać. Zadaszenie w ruinie, nawet na złom się nie nadaje w dobie europeizacji kraju, trzeba by je chyba spalić, gdyby to akurat nie była stacja benzynowa. Najgorszy syf na ziemi. Tej ziemi, na tej stacji.

Śląska ziemia rodzi węgiel, czarnoziem rodzi zboże, a ziemia na CPN-nie w sercu Rabki-Zdroju rodzi błoto. Wszyscy, co tu tankują, rozwlekają to błoto po całej okolicy, wiozą je do Ponic, na Zabornię, na Słone, nawet na Zaryte. Jak zobaczysz tam kiedyś na drodze błotnisty odcisk opon, to będzie to na pewno błoto z CPN-u w centrum miasta.

Otóż w grudniu to błoto zamarza. Ziemia twardnieje jak serce księdza proboszcza. Mróz trzyma wszystkie grudki ziemi za mordę, śnieg przykrywa to warstewką hipokryzji. Jak jeszcze oprószy dystrybutory przez dziury w zadaszeniu, to rabczański CPN zaczyna wyglądać jak zajezdnia dla mechanicznych reniferów.

Aż przychodzi wiosna. Do Rabki to raczej przyjeżdża fajnym autem stuningowanym, z szerokimi oponami, które tankuje na CPN-nie i zaciąga w rowkach bieżnika pierwsze drobinki błota. Słońce roztapia grudę i auta jak emisariusze zaczynają rozwozić błoto po okolicy.

Przychodzi halny, starzy górale po tym poznają wiosnę. Ciepły wiatr od tatrzańskich hal jest jak Duch Święty. Tylko ludzie się przez to wieszają, cierpią na depresje, na bóle. Więc to chyba jakiś zły duch na Podhalu wiosnę zwiastuje. I topi śnieg na CPN-ie, a stąd się błoto zaczyna nawet samo, nawet po nocach, nawet bez udziału transportu samochodowego rozprzestrzeniać. Idzie do góry, z jezdni na chodniki, pomiędzy domy, na łąki, dosięga zagajników. Wchodzi w pradawny las, wpierw na północ w Beskid Wyspowy, bo te góry pokazują Rabce południowe stoki, a potem w Gorce między wielkie świerki i sosny jak mutanty. Kiedy patrzeć z centrum Rabki na Luboń Wielki, to widać, jak czernieje z godziny na godzinę, pozbywa się śniegu. A kiedy ze stoków Lubonia spojrzeć na Gorce, to widać, że i Gorce z Maciejową i Starymi Wierchami wydostają się spod białej pokrywy. I że zaraz będzie się działo, w imię Ojca i Syna. Przyroda górska zmartwychwstaje.

Jędrek na góry nie patrzy, bo on z tych górali, którym góry tylko widok zasłaniają. Ale ma najlepszą definicję wiosny na całym Podhalu. Wiosna zaczyna się wtedy, kiedy w piwnicy zaczyna być widać białą ścianę.

– Węgiel się kończy, niedługo nie będzie czym palić, to musi przyjść wiosna. No nie, młody? – zagaduje do mnie. – Tak jak słońce wstaje, bo kogut pieje. Albo dziewczynom się robi kisiel w majtkach, bo Andrzej przyszedł na dyskotekę.

– Co ty młodemu opowiadasz – obrusza się Andrzej. Wystawia głowę z kanału. – Do roboty byś się wziął lepiej.

– Ale co ja mam do roboty? – pyta Jędrek. – Ach, prawda, trzeba kupić flaszkę, bo dziś idziemy do kina Śnieżka. Może młodego weźmiemy ze sobą?

– Rozrząd robię – odpowiadam.

– Ja też rozrząd robię. – Andrzej śmieje się rubasznie, wystawiając znów głowę z kanału. – Ale wieczorem idziemy, młody, do dyskoteki i ja na przykład jakiejś laleczce zrobię taki rozrząd, że jej sutki zaczną świecić jak światła mijania.

Śmiejemy się wszyscy dobrym, męskim śmiechem facetów w warsztacie samochodowym. Warsztat to ostatnia wyspa maskulinizmu w czystej postaci. Na ścianie musi wisieć kalendarz z gołymi babami. Jakby nie wisiał, to Polski Związek Motorowy mógłby wstrzymać licencje na naprawy, a klienci by spluwali koło biurka i więcej nie wracali. Baba z cyckami jest jak samochód z reflektorami. Musi je mieć, i to na wierzchu, dobrze widoczne.

Jak kiedyś przyjdzie do Polski feministyczna rewolucja, że nie będzie można baby po tyłku poklepać bez pisemnego zezwolenia, to wszyscy faceci, którzy jeszcze zostaną, schronią się w warsztatach samochodowych. I tylko nocą będą wychodzić na polowanie, a w dzień będą się kryć po warsztatach. Całe kanały będą pełne seksualnych uchodźców, nie będzie jak aut naprawiać.

– Nie mogę, na brydża się umówiłem u Zacharów – odpowiadam.

– Brydż u państwa Zacharów. Wielkomiastowe ą, ę. A jak tam ta ich mała?

– Mały – poprawiam. – Janek mu dali na imię. Rośnie, jak to bobas. Elka całkiem ześwirowała, do roboty go ze sobą bierze, jak idzie pazury dziewczynom malować. Ale stary Zachara też się dzieckiem nawet umie zająć. Karmi, kołysze, widziałem raz, jak go przewijał. Tylko z wózkiem na Rabkę nie wychodzi, żeby się z niego inni nie śmiali, że pantoflarz.

– Ale ta mała… Zośka czy jak jej tam.

– Maryśka.

– No, ta Maryśka, co z nimi mieszka.

– A pomaga im, naprawdę. Jeździ z Elką do tej roboty i małemu śpiewa piosenki, żeby nie nudził. Zakupy im robi, posprząta chyba czasem, żeby tak na krzywy ryj nie siedzieć. Honor ma, taki jakby góralski.

– Jaka ona góralka, co w takich szatach chodzi?

– W hidżabie, przywiozła to od siebie. Ale jej Elka podarowała swoją sukienkę z liceum, nawet ładnie wygląda…

– No, czarnulka, Mulateczka. Widziałem w internecie taki film z dwiema Mulatkami… – rozpędza się Jędrek.

– Cicho, daj młodemu skończyć – przerywa Andrzej.

– No nie, że ładnie wygląda, tylko mówi, że na Rabkę w tym nie wyjdzie, bo by się ludzie gapili.

– A jak w tym, jak ty to, młody, powiedziałeś, hidżabie wychodzi, to się w ogóle nie gapią – śmieje się Andrzej.

– No właśnie, ubrałaby się jak człowiek – wtrąca się Jędrek.

– Mnie tam obojętne, jak kto się ubiera. Stary Zachara mówi, że nie szata zdobi człowieka… – zaczynam.

– Tylko brak szaty – wcina się Jędrek. I znów się śmiejemy rubasznie, nawet goła baba z kalendarza się lekko uśmiecha.

Jz 3, 20-26

– Brydż to nie jest taka sobie gra. To jest gra towarzyska. I ważniejsze, że towarzyska niż to, że gra. To jest wielki test solidarności międzyludzkiej i sprawdzian przyjaźni – rozpędza się stary Zachara.

– Może coś mu wypadło ważnego? – próbuje mu przerwać Elka. Ale stary Zachara jest naprawdę zły. Bo skoro umówili się dziś na dziewiętnastą na brydża we czwórkę, a nikt nikomu pistoletu nie przystawiał do głowy, to powinni punktualnie o dziewiętnastej rozpocząć pierwsze rozdanie. On jest na miejscu, Elka też, Łukasz jest, tylko Józka nie ma.

– Może zagramy z „dziadkiem”? – Elka próbuje ratować sytuację. Ale stary Zachara tylko piorunuje ją wzrokiem i powietrze wypuszcza ostentacyjnie. Aż się taki ciepły powiew robi przy stole, jakby halny na małą skalę. Ale też trochę wiosennie się od tego robi, bo stary Zachara nagle się rozpromienia.

– A może z Maryśką zagramy? – proponuje. Dziewczyna bystra jak woda w Poniczance, w lot wszystko chwyta. Wprawdzie w tym jej Iraku to grali w jakiegoś młynka, a nie w brydża, ale szybko się nauczy. No i stała się tu kimś jakby domownikiem, jakieś dobro w niej jest, że wszyscy ją lubią. I taki uśmiech ma jak Gioconda albo Mona Lisa. Na jakimś obrazie Zachara to widział, tylko nie może sobie przypomnieć na jakim.

– No, tyle że Maryśka gdzieś wyszła. – Elka przepraszająco rozkłada ręce. – Mówiła, że coś ma dzisiaj wieczorem, jakieś spotkanie. W sukienkę się ubrała pierwszy raz chyba, więc pewnie coś ważnego. No co? Wy myślicie, że ważne są te wasze brydże, biznesy i samochody stuningowane? Ważne rzeczy to są te, kiedy kobieta zakłada sukienkę.

Gdyby tu był Jędrek, to zaraz by powiedział, że najważniejsze, żeby potem tę sukienkę zdjęła, i byśmy się wszyscy brechtali. Bo to, co powiedziała Elka, to jest kawał prawdy o życiu, ale to, czego nie powiedział tu dziś Jędrek, to też kawał prawdy o życiu.

A Maryśka jakby miała w sobie jakąś inną prawdę. Jakąś nie z tej ziemi. Taką dobroć anielską. Uśmiech taki szczery, naturalny. Taki, w którym o nic nie chodzi. Myślę o tych licealistkach z Warszawy, które się uśmiechały, żeby dostać dobry stopień, czwórkę, chociaż trójkę, byle nie laskę. O tych kobietach z Warszawy, które się uśmiechały dokładnie w odwrotnym celu. O tej jednej, która była i licealistką, i kobietą, chwała Bogu, że siedemnastoletnia była. Zwłaszcza o tej… Ludzie się uśmiechają, żeby coś uzyskać.

Maryśka się rzeczywiście uśmiecha inaczej, Józek ma rację. Nawet ten jej hidżab tu w Rabce nie przeszkadza, nawet Andrzejowi, chociaż to nie pasuje do takiego karka z siłowni. Jak on idzie w Mszanie do Hadesu, to przecież nie powie do chłopaków „hej, słuchajcie, znam taką fajną muzułmankę w hidżabie, kolegujemy się”. Ale dobrze, że twarzy nie zasłania chustką, bo są w Rabce pewne granice. No i uśmiechu by wtedy nie było widać. Czarujący ten uśmiech ma, taki naturalny, Józek ma rację.

Jz 3, 27-50

Dla Józka wiosna zaczyna się wtedy, kiedy ulica Orkana zamienia się w potok. Topnieje śnieg na Nowym Świecie i woda płynie w dół koło kina Śnieżka. Studzienki kanalizacyjne nie nadążają z odbieraniem nadmiaru wody i woda szoruje brzegiem ulicy, podmywając kolejne zaspy, robi się wodna lawina i koło Kasztanów sunie już całą szerokością jezdni w dół, obok parku zdrojowego aż do Orkana. I tam, gdzie Orkana gwałtownie idzie w dół, tak ostro, że nawet cepry widzą, że to w dół, woda rwie jak potok.

– Nie wiem, czy lubisz białe róże, ale myślę, że niczego piękniejszego na dzisiejszy wieczór nie mogła sobie ta róża wymarzyć. – Józek mówi Maryśce naprawdę wyszukany komplement. Prawie spontaniczny, a na pewno szczery. Maryśka odpowiada uśmiechem szczerym i spontanicznym.

Idą przez park zdrojowy, a kroki między topniejącymi pryzmami śniegu pozwalają zagłuszyć niezręczność. Bo co oni tu robią? Spacerują tak zwyczajnie po parku? Czy cosik będzie się działo?

– Park ma być rewitalizowany. – Józek znów wchodzi w rolę przewodnika. – Wytną te chaszcze, tu ma być strefa słońca. A tam będzie duży plac zabaw dla dzieci. Wiesz, że Rabka to miasto dzieci świata? Dlatego w herbie miasta jest uśmiechnięte słońce z połową twarzy uśmiechniętego dziecka.

– Lubisz dzieci?

– Wiesz, ja… – Józek jest trochę zaskoczony. Lubi dzieci, pewnie, że lubi. Jakby miał córeczkę, wyrzeźbiłby jej z drewna małą laleczkę albo jeszcze lepiej konika pony. Takiego samego jak na dziale zabawkowym w Małgosi, tyle że niepowtarzalnego, jedynego, drewnianego, nie z plastiku. Zrobionego jego rękami, a nie rękami pakistańskich dzieci na eksport. A jakby miał synka, to w ogóle by oszalał. Konika by mu wyrzeźbił bujanego, autko drewniane i klocki, żeby mógł budować. Wybudować dom,

rodzinę, co by chciał. Bo na Podhalu mężczyzna jest od budowania, a kobieta ma go wspomagać.

– Kocham dzieci. Tylko jeszcze nie znalazłem…

– Odpowiedniej kobiety?

– Nie, dziecka w kapuście – śmieje się Józek. Maryśka też się śmieje. A potem poważnieje i zmienia temat. Że ten Elki mały taki rozkoszny, mogłaby godzinami go prowadzać w wózku po Rabce. Że się tak marszczy, jak mu śnieg przyprószy, że lubi słuchać wiatru i patrzy już, jak się gałązki na wietrze poruszają. Ale że ona nie może tylko zajmować się dzieckiem, cudzym dzieckiem, że siedzi Zacharom na głowie, że powinna znaleźć jakąś pracę, robić w życiu to, co dorośli. Że nie ma nawet kasy na podpaski, gdyby potrzebowała. Albo żeby sobie dezodorant kupić. O podpaskach i dezodorancie oczywiście Józkowi nie mówi. No niby chleba jej nie brakuje, ale chleb to nie wszystko, bo człowiek potrzebuje na przykład doładowania do komórki na kartę, żeby móc zadzwonić w razie czego.

– Chcesz wrócić do siebie? – pyta Józek. Stara się ukryć niepokój w głosie, ale chyba nieskutecznie, bo Maryśka staje i zatacza rękami dookoła siebie.

– Ja tutaj jestem jak u siebie – uśmiecha się. Józek podchwytuje ten uśmiech.

Idą przez park. Na trawniku widać krokusy albo przebiśniegi. W każdym razie „wiosna, panie sierżancie”.

– Skąd ty właściwie jesteś? – pyta Józek. Naturalnie i spontanicznie.

– Z daleka. I z bliska – odpowiada Maryśka. – Mama była lekarką, jest stąd, z Rabki. Ale na studiach poznała kogoś z daleka i wyjechała do niego. Urodziłam się daleko, ale co wakacje przyjeżdżaliśmy tu, do Rabki.

– Nigdy cię nie widziałem. A na pewno bym zapamiętał – mówi Józek. I stwierdza, że nie zabrzmiało to wystarczająco dobitnie. – Bym ciebie zapamiętał.

– Mieszkaliśmy w Zarytem, pod Luboniem – odpowiada Maryśka. – Aż rodzice sprzedali dom i parę lat tu nie przyjeżdżałam. Zresztą stamtąd,

gdzie mieszkałam, nie było łatwo w ostatnich latach tak sobie po prostu wyjechać.

– Jednak wyjechałaś.

– Musiałam. Uciekłam. Musiałam się ratować. Tylko ja się jeszcze mogłam uratować – mówi Maryśka powoli, stawiając co chwila kropki. A każde zdanie jest ciężkie. Jak bomba.

– I dotarłaś aż tu, do Rabki?

– To jest moje miejsce. Dom mojej mamy. Nawet jeśli tego domu już nie ma. I mamy nie ma.

Wchodzą w mroczną część parku. I w jakąś mroczną część historii Maryśki, nawet jej uśmiech by tego nie rozjaśnił. Zresztą Maryśka wcale się nie uśmiecha.

– Uciekaliśmy przed żołnierzami, przed ogniem, przed złem. Tata zginął pierwszy, potem mama. Nie pytaj, Józek, proszę. A ja nie chciałam zginąć ostatnia. Dotarłam do obozu, tam ludzie marli, wszyscy chorzy na śmierć. Ciężarówką dotarłam do Ponic, komuś tu było po drodze. Nie pytaj komu. Nie pytaj, jaka była cena.

– Marysia… – Józek szepcze jej imię z jakąś nabożną czcią.

– Już dobrze – odpowiada Maryśka. I spontanicznie, naturalnie szuka ręki Józka. Józek ma dłonie duże i spokojne. Idą przez park za ręce, obojgu robi się od tego cieplej. Nikt, kto by ich zobaczył, nie powiedziałby, że to uchodźczyni wojenna i polski cieśla, tylko „zakochana para Jacek i Barbara”.

– Zakochana para Jacek i Barbara! – krzyczą dzieciaki. Maryśka odruchowo puszcza Józka, ale Józek czuje, że ten krótki dotyk był ważny i jest ważny, i będzie ważny dla nich obojga. Ta sama Maryśka, która nie wiedziała, jak przywitać się ze Staszkiem pierwszego dnia, kiedy tu przybyła, która nie potrafiła podać mu ręki, teraz potrafi iść za rękę z Józkiem po parku.

– Chodźmy Pod Kasztany. Napijemy się ciepłej herbaty. A może zjesz coś? – proponuje Józek.

I nagle Maryśce włącza się muzułmańskie wychowanie.

– Ale tak sama z mężczyzną do lokalu?

Józek robi wielkie oczy. I żegna się teatralnie: w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

– Matko Przenajświętsza, co to będzie?

Maryśka zaczyna się z tego śmiać. Poprawia kurtkę na sukience po Elżbiecie i mówi:

– Dobrze, ale musisz mnie zaprosić. Oddam ci, jak zacznę zarabiać. I koniecznie poproszę barszczyk solo.

Jz 3, 51-71

Wiosna dla Anki zaczyna się trochę później, bo dopiero wtedy, kiedy można biegać w krótkich spodenkach. Kiedy można z dziećmi wyjść z sali gimnastycznej na boisko. Kiedy można z Magdą pójść w sobotę na rower.

Jeżdżą sobie na tych rowerach co sobotę od wiosny do jesieni, często, prawie rytuał taki mają. Ale rytualna to jest dopiero niedziela. Rano idą do kościoła. Spotykają się tam z musią, jakby musia czuła, że musi tego dopilnować. Żeby Łukaszek przyszedł się wyspowiadać do Bozi, moja wina, moja wina, Łukaszka wina, no chodź, mamusia ci przebaczy, Bozia też już się nie gniewa, skoro się mamusia nie gniewa. Mówiłeś brzydkie słowa, Łukaszku, przeproś Bozię, przeproś musię. Miałeś myśli sprośne, no, Łukaszku, przeproś Bozię, ale musia rozumie, tak młodzi chłopcy mają. Nie odwiedziłeś musi przez cały tydzień, to Bozi może nie dotyka, ale musię dotknęło, no ale po kościółku pójdziemy na spacerek, potem na obiadek, dziadziuś się z Magdusią pobawi, patataj, patataj, a my sobie posiedzimy, mamusia ci włoski poprawi, koszulkę w spodnie włoży, żeby poważnie wyglądał pan inżynier, może kawusię i serniczek po obiadku poda. No tobie, Łukaszku, i tej całej twojej Ance. Chociaż ona sernika nie je, musiałby być bez cukru, bez sera i bez sensu. Ona to chyba tylko ciasto

marchewkowe albo urojone, bez składu. No dobrze, Łukaszku, dobrze, taką sobie żonę wybrałeś, to musia nic przeciwko niej mówić nie będzie. Jeździcie sobie na tych rowerach, tak? Dobrze, tylko trzeba do wiosny poczekać, żeby cieplutko było, żeby się Madzia nie przeziębiła. A jakby jakiś katarek, to musia ma soczek z malin w lecie zrobiony w słoiczkach, trzeba tylko powiedzieć, bo herbatka z takim soczkiem to każdego na nogi stawia.

Idą tak sobie przez park, musia z Łukaszem, bez słów mu to wszystko mówi, albo mimo słów.

– Tę huśtawkę, na której się bujałeś, jak wychodziłeś na pole, odmalowali na biało – mówi musia i myśli, jak okrutny jest czas, że Łukasz już nie wychodzi na pole na huśtawkę i nie wraca do domu z podrapanymi kolanami, cały zziajany, głodny i spragniony miłości musi.

– O, to się Magda ucieszy – odpowiada Łukasz i myśli, że już nie jest małym chłopcem, ale sam ma teraz małą dziewczynkę, cudowną, z wielkim potencjałem, która dokona wielkich rzeczy w życiu. I że dobrze, żeby jego mama przerzuciła już te rozćwierkane uczucia na wnuczkę.

Magda jeździ wtedy na rowerku, strasząc wróble i gołębie, bo bardziej atrakcyjne ptaki jeszcze nie wróciły do kraju, wiosna dopiero się zaczyna przecież. A Anka idzie z teściem, gadają o ważnym meczu reprezentacji siatkarzy, o piłkarkach ręcznych, o mistrzostwach w podnoszeniu ciężarów. Teść już wiele lat temu całe swoje emocje ulokował w sporcie, kiedy oglądają z Łukaszem mecze, to cieszy go tak samo to, że kiedyś je oglądali razem, jak i wynik, o ile jest korzystny dla naszych. A Anka żyje sportem, żyje nim z Łukaszem, kiedy jeżdżą razem na nartach, na rowerach, na wszystkim, albo ze szkolną reprezentacją siatkówki, kiedy zakwalifikują się do powiatowego turnieju i jadą na finał do Nowego Targu. Widzi już Magdę jako atakującą, jeśli odziedziczy wzrost po jej rodzicach, albo przyjmującą lub libero, jeśli nie odziedziczy.

I nikt nie wie, jaką rolę będzie miała do odegrania Magda. Bo i skąd miałby wiedzieć?

Spacerek zmienia się w obiadek, obiadek w deserek, a deserek w sportową niedzielę, jeśli jest jakaś transmisja z meczu. Potem do domu,

trzeba położyć Magdę. I punktualnie o dwudziestej czterdzieści pięć Anka z Łukaszem siadają koło siebie na kanapie przed telewizorem i zaczynają się przytulać, głaskać, całować, pieścić. I niezauważalnie z kanapy przenoszą się na łóżko, gdzie Łukasz kładzie Ankę na wznak.

Anka nie ma w seksie wielkiego doświadczenia. Łukasz jest jej pierwszym i jedynym. Wie, że seks przynosi endorfiny podobnie jak półgodzinne bieganie. Poddaje się pieszczotom Łukasza, bo Łukasz wie, że życie seksualne to więcej niż rąbanie drew na stoku Krzywonia, akurat ma w tej kwestii trochę doświadczeń. Anka wie, co to orgazm, i często dochodzi nawet przed Łukaszem. Ale nie przychodzi jej do głowy, że mogłaby wyjść z roli, w której szczytem fanaberii jest pozycja misjonarska z nogami zaplecionymi na biodrach mężczyzny.

Tak jest codziennie. Ale nie w pierwszą prawdziwą niedzielę wiosny. Bo o dwudziestej pierwszej piętnaście dzwoni telefon.

– Tak, słucham. O, cześć, Maryśka. Dobrze, ale teraz? Okej. Tak, tak, będę miała czas, żeby pogadać, przyjdę przed dziesiątą. Macie sok z marchewki? O, to super.

Jz 3, 72-78

– Wybaczcie panowie, ale już zamykamy. – Maryśka podchodzi jak mniszka do Andrzeja i Jędrka, obaj dopijają szybko piwo, żegnają się do jutra i wstają, bo ta dziewczyna jakiś szacunek w nich budzi i uczucia religijne, choć religijni to obaj są głównie na pasterce, serca im się wtedy do Boga otwierają, bo to jedyna msza w roku, kiedy wręcz nie wypada przyjść na trzeźwo.

Maryśka jak mniszka z dziwnego obrządku, bo znów w hidżabie chodzi. Sukienkę Elki założyła na siebie tylko raz, wtedy z Józkiem, a i tak siedziała Pod Kasztanami w kurtce, co jednak można było wytłumaczyć dużym chłodem. Józek, trzeba przyznać, umie zmotywować, umie dodać

człowiekowi wiary w siebie, dużo umie, w ogóle jest najlepszym, co Maryśkę na polskiej ziemi spotkało. Więc kiedy dopijają – ona sok z pomarańczy, chociaż ten już nie smakuje tak jak w tamtej ziemi, z której przyjechała, a on piwo, bo mężczyzna w Rabce o ile nie pije wódki, to musi wypić piwo, choćby miał akurat ochotę na czekoladę z bitą śmietaną – kiedy już dno szklanek obwieszcza koniec spotkania, Maryśka patrzy jeszcze na Józka, ten mówi: „No, idź", i idzie zapytać się z głupia frant, czy kelnerki tu nie potrzebują.

I potrzebują, owszem, wieczorami zwłaszcza. Tylko najpierw tydzień bezpłatnego przeszkolenia, potem tydzień stażu z urzędu pracy, co z tego, że nie ma papierów, to się inne papiery w urzędzie podsunie, a potem już dostanie pracę na pół etatu. Najniższa krajowa, bo jak się będzie ładnie uśmiechać i po tyłku da się poklepać, to sobie napiwkami dorobi. Chyba że płatne do ręki, to wtedy półtorej najniższej krajowej.

Ziemia obiecana, kapitalizm normalnie, jak w tamtej powieści o Łodzi, którą mi mama dała, myśli Maryśka. I godzi się na wszystko, bo nie pieniądze są tu najważniejsze. Musi być kimś. I musi to mieć formalnie potwierdzone, na piśmie, umową. Więc wybiera najniższą pensję na legalu, uśmiech ma naturalny, a z klepaniem to się jeszcze zastanowi, co zrobi.

– I co? Masz problem, że cię po tyłku klepią? – pyta Anka lekko zdziwiona, kiedy siedzą już we dwie przy stoliku w zamkniętej knajpie, ona z sokiem z marchewki, a Maryśka z wodą niegazowaną. Woda niegazowana jest na całym świecie taka sama. A faceci na całym świecie też jednacy, muszą dziewczynę po tyłku poklepać. Tak było od wieków i bez tego by nie było napędu cywilizacji. Więc jakkolwiek by się człowiek zrobił nowoczesny, miastowy, wyzwolony i feminizujący, to klepanie po tyłku musi zaakceptować. Nawet w tych korporacjach w Krakowie zachodnich, co to laski chodzą na szpilkach i w garsonkach w pracy, to – Anka czytała o tym w piśmie – jadą potem na wyjazd integracyjny i się same nadstawiają, żeby je klepać, upijać i wykorzystywać.

– Nie klepią – odpowiada Maryśka i pokazuje na swój hidżab. To zaleta takiego stroju. Nie można kobiety poklepać po tyłku, bo nie wiadomo, czy się nie trafi na pustą przestrzeń. Czy się o nogę nie zawadzi, powodując problem z utrzymaniem równowagi, co w przypadku kelnerki jest podwójnie niebezpieczne, także dla klepiącego, zwłaszcza jeśli kelnerka ma na tacy wrzątek lub inne napoje. Czy się w nerki kobiecie nie przyłoży, a góral kobietę szanuje każdą i nigdy by jej w nerki nie uderzył, najwyżej po gębie sprał, ale to tylko kiedy ma ją już na własność.

– No to o co chodzi, Maryśka? Jak ci mogę pomóc?

– Z tym moim strojem jest trochę problem…

– Że ci nie dają się ubierać jak chcesz w pracy? – Anka się cała oburza. – To jest dyskryminacja, czytałam o tym w gazecie i tak nie wolno, zgłosimy to do inspekcji. Nie można się godzić na takie rzeczy. To znaczy są takie, na które trzeba się godzić, i takie, na które nie można, i daj mi, Panie, mądrość, abym umiała odróżnić jedne od drugich. Jak wrócę jutro ze szkoły, to możemy zadzwonić do inspekcji w Nowym Targu albo nawet w Sączu…

– Nie, nie w tym rzecz – przerywa Maryśka, bo widzi, że Anka już się rozpędza. Że już jest jedną wielką niezgodą. Że już jest obrończynią uciśnionych, już przestaje być dziewuchą z Rabki, a robi się panią w garsonce, nadętą krakuską, która będzie mężczyzn z Podhala pouczać.

– To w czym? – dziwi się Anka.

– Zaraz ci powiem. Ale najpierw ty mi powiedz, co myślisz o Józku.

– Józek, ten cieśla? – zastanawia się Anka chwilę. I wypala: – To dobry chłopak. Bier go!

Maryśka się zawstydza. Nie przerobiła w gimnazjum tego gadania o chłopakach, tej nieustającej giełdy, na której notowania jednych rosną, drugich spadają, a maklerki z trzeciej A wszystko mają zapisane, zaobserwowane, na bieżąco weryfikowane i przegadane na przerwach, po lekcjach albo przez telefon, kiedy już Rabka została okablowana siecią telefonii stacjonarnej. Tych dyskusji o uczuciach, na czym mu zależy, a temu na czym, a czemu nie temu. Tego czekania na poklepanie po tyłku.

– Józek po mnie przychodzi codziennie, do Elki mnie odprowadza. Gadamy sobie. Dziś mu tylko powiedziałam, żeby nie przychodził, bo chciałam z tobą pogadać.

– Jeśli o Józku, to możemy już skończyć. Bier go i tyle, ja ci nic więcej nie powiem. Niby prosty cieśla, ale taki mądry w sobie. Raz go do szkoły zaprosiłam, żeby mojej klasie opowiedział o swojej pracy, to im mówił jak uczony. Że każde drewno było drzewem i żyło, a teraz kiedy jest martwe, to ważne, żeby życiu służyło. I że to człowiek decyduje, co z drewna wytworzy. Czy kołyskę, co jest życiem, czy trumnę, co jest śmiercią, czy krzyż, co jest pośrodku. Tak to zapamiętałam, bo taką sentencję jak filozof powiedział. Taki ksiądz Tischner, tylko świecki.

– Kto?

– Ksiądz taki, jedyny góral, co go Kraków uważa za krakusa, a Warszawa za warszawiaka. Opowiedzieć ci? Bo w kwestii Józka to się nie ma co zastanawiać. On jest jak święty.

– Nie no, to jest bardziej skomplikowane. Bo mówiłam o tym hidżabie. Że jest problem, bo nawet w takim ubraniu już zaczyna być widać.

– Co widać?

– No, Anka. – Maryśka patrzy błagalnie. Sama nie umie tego powiedzieć i woli, żeby Anka się wszystkiego domyśliła, żeby to za nią powiedziała i żeby jeszcze za nią wymyśliła, co dalej.

– Maryśka, co to ja Duch Święty, żebym miała wiedzieć, co już widać nawet w hidżabie? Powiedzże wreszcie.

– Widać, że jestem w ciąży. To już szósty miesiąc.

– Jezus Maria. – Ance szczęka opada. Dlaczego to właśnie ją Maryśka wybrała sobie na powiernicę? Nie mogła wszystkiego Elce opowiedzieć, przecież mieszka u Zacharów, tyle Elce pomogła, tyle jej pomaga. Dlaczego do Elki nie poszła, tylko do niej? I nagle zaczyna rozumieć. Bo Elka jest jak sól podhalańskiej ziemi, jak żywe muzeum etnograficzne, tyle że z ukrytą salką o swawolach, do której się dzieci nie wpuszcza. A Ankę Maryśka

pewnie kojarzy z Krakowem, z tym całym miejskim kurestwem i z wyjazdami na Słowację. Tylko że to już szósty miesiąc!

– Chcesz usunąć w szóstym miesiącu?!

– Nie, nie, broń Boże – zarzeka się Maryśka. – Chcę urodzić. Przysięgłam Bogu, że jak dotrę do Rabki, to na pewno urodzę. To było jak ocalenie w drodze do ziemi obiecanej. Dotarłam do Rabki i teraz pora na moją część umowy.

– Nie wiesz, jak się pokazać światu z brzuchem.

– Bo co sobie pomyślą? – Maryśce puszczają nerwy. Zaczyna płakać, głos jej się załamuje.

– A co mają pomyśleć? Że w ciąży jesteś i będziesz miała bejbusa.

– Pomyślą… – Maryśka rozpłakuje się na dobre – …że jakaś dziwka tu przyszła, dziecko sobie dała zrobić, nie dość że sama obca, to jeszcze bękarta przywiodła do Rabki słowackiego, węgierskiego czy może z Bośni. Takiego, co to się musi zawszony urodzić, co będzie mieć futro baranie na plecach, jak podrośnie, co zacznie żebrać na ulicy, jak tylko zacznie chodzić. Pomiota jakiegoś.

– Maryśka, gdzieś ty się tego naczytała? Kosińskiego ci mama podsunęła? Jest dwudziesty pierwszy wiek i nawet jeśli Rabka jest jeszcze w dwudziestym, to nie ma u nas Ku-Klux-Klanu. Uspokój się. – Anka, chociaż nigdy by siebie nie podejrzewała o taki gest, bierze Maryśkę za rękę. – Mam prośbę: nalejesz mi piwo? Małe, z sokiem.

Maryśka idzie za bar, trochę już uspokojona, rozluźniona, krokiem swobodniejszym, jakby lżejsza, jakby jej kamień spadł. Anka przypomina sobie, jak w tym samym miejscu powiedziała Łukaszowi, że jest w ciąży. Łukasz się cały rozpromienił.

– Nareszcie. Mama mi od dziecka mówiła, że mam się ożenić tylko z kobietą, która da mi syna. To znaczy dziecko.

Ankę to trochę zdziwiło, bo po co akurat mama w tym momencie? Ale szybko zaczęli planować, co dalej. Który to miesiąc, czy brać ślub szybko

teraz, czy jednak poczekać, aż się dzieciak urodzi. Żeby nie było, że Anka z brzuchem do ślubu idzie, bo to tak trochę nie wypada.

– Już wiem, co zrobić – mówi zdecydowanym tonem Anka, kiedy Maryśka wraca z piwem. – Rozmów się z Józkiem. Niczego przed nim nie ukrywaj. Co będzie, to będzie. Ale ja czuję, że dobrze będzie. Tylko szybko, bo jak ma się czegoś dowiedzieć, to niech się dowie od ciebie, nie od ludzi.

– A co powiedzieć o ciąży?

– Prawdę mu powiedz.

– Nie wiem...

– Nie wiesz, kto jest ojcem?

– Nie wiem, czy potrafię zrozumieć prawdę.

Anka pociąga piwo. Duży łyk. I nic, nadal nie potrafi zrozumieć, czego nie potrafi zrozumieć Maryśka. Jeszcze jeden łyk piwa. Jeszcze jeden. A ponieważ nie piła tego napoju od lat, mimo że jest szeroko reklamowany w mass mediach, to czuje się już pijana.

– Wiesz, co będziemy mówić?

– No?

– Że to Duch Święty.

I obie się śmieją, jakby się znały od zawsze, Anka z piwem w ręku, Maryśka z wodą.

Jz 3, 79-86

To nie jest tak, że górale nie kochają dzieci. Albo bab – baby też kochają. Tylko że najbardziej kochają siebie. Bo takie jest odwieczne boskie prawo: będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego. Czyli co? Czyli najpierw siebie trzeba umiłować, sobą się zachwycić, sobą się zająć. I dopiero wtedy ten samozachwyt, to umiłowanie siebie możesz innym dawać. Żeby dać, musisz najpierw mieć. Proste jak sosna na szczycie

Tatarowej. Albo jak maszt telewizyjny na Luboniu, ale on ma wartość mniejszą, bo ludzką był ręką postawiony, a sosna z woli Bożej wyrosła.

Mówią, że góral jest wygodny, że se każe obiad podawać. Że musi mieć oprane, oprzątnięte w domu, aby godne miał życie. Te kurwy krakusy gardłują, że kobieta jest równoprawna i nie powinna mężowi usługiwać. Tfu. Z owcami na łby się pozamieniali. Przecież kobieta mężczyźnie nierówna, na sam wzrost wystarczy spojrzeć i tężyznę fizyczną. Owszem, są takie tyki, koszykarki, ale czy Pan Bóg nie miał w tym jakiego zamysłu, że kobietę uczynił niższą od mężczyzny o jakieś dziesięć centymetrów zazwyczaj?

Mąż i żona mają się o siebie troszczyć. To znaczy on się troszczy o byt rodziny, o zarobek dba, żeby było czym w piecu napalić i co do pieca włożyć. A ona się troszczy, żeby dzieciska miały ubrania czyste i pupy popodcierane. I o męża się troszczy, to już zależnie od upodobań. Ale stary Zachara nie ma tu jakichś wielkich wymagań, podupcą się czasem i starczy.

Przez to całe gadanie o równych prawach to się w miastach rodziny tylko rozpadają. Ludzie się ze sobą rozwodzą, jeszcze zanim ślub wezmą. Jadą w Krakowie do kościoła Mariackiego ślub brać dorożką, a w kieszeni już mają pozew rozwodowy *in blanco*. To jest kryzys rodziny, a nie że – Zachara przyzna, że to się na Podhalu zdarza, chociaż u niego w chałupie nigdy – chłop babę czasem spierze, jak halny mu duszę rozrywa. Bo tak to on się od halnego uratował i rodzinę ocalił. Rodziny im się w miastach rozpierdalają przez to całe równouprawnienie.

Dlatego Zachara stawia sprawę jasno. Janeczka kocha nad życie, kierpce mu pierwsze zrobi, jak tylko chłopak zacznie chodzić. Strój góralski mu z Krupówek przywiezie, bo tam takie komercyjne dla dzieciaków małych sprzedają. Zadba o niego, żeby był posłuszny ojcu i matce, grzeczny i jak dąb żeby wyrósł. Nawet go w domu może przewinąć albo butelką nakarmić, bo kocha tego bąbla, no i nikt nie widzi. Ale wózka z dzieciakiem pchać na Rabce nie będzie.

Tak myśli stary Zachara i ma to wszystko ugruntowane. Może to każdemu powtórzyć, cały wykład albo w skrócie, jak teraz Elce, kiedy idą przez park zdrojowy i tak sobie spacerują na wiosnę. Wiosna dla starego Zachary zaczyna się, kiedy można wyjść z dzieciakiem na spacer do parku, przynajmniej od tego roku tak się zaczyna. I kiedy dzieciak wystawia buzię do słońca i śmieje się do ciepłego wiatru. Bo dziecko inaczej halny odczuwa, nie ma jeszcze tylu traum i przemyśleń.

A Elce nie trzeba tego dwa razy powtarzać. W ogóle jej niczego nie trzeba dwa razy powtarzać. Ona swoje miejsce zna. I swoje wie. I zdania nie zmienia, oczywiście z zastrzeżeniem, że póki stary Zachara zdania nie zmieni.

W ogóle to ona tego wózka nikomu nie odda. Jasieniek taki maleńki, oczka czarne, a jaki bystry, już rączkami macha, po grzechotkę wiszącą sięga, co mu ją Anka z Łukaszem przynieśli, jak dziecko oglądać przyszli. Będzie to jakiś geniusz góralski chyba. Zbójnik albo informatyk. I książki o nim będą pisać.

Dużo się też między nią a starym Zacharą zmieniło, od kiedy mają Jaśka. Taki się czuły zrobił, tak po góralsku, szorstko, ale czuły. Elka zresztą lubi taką twardą czułość. Jak choćby teraz: idą przez ten park w niedzielny poranek, ona z wózkiem, stary Zachara obok i nagle ją tak obejmuje mocno i do niej się nachyla.

– Popatrz, a to nie nasza Maryśka? W kościele była sama, a teraz z chłopakiem jakimś sobie idą i gruchają jak synogarlice – mówi stary Zachara.

– No, dobrześ wypatrzył. To Maryśka z Józkiem – mówi Elka, bo oczy ma młodsze. O, i to jest też dobry przykład na to równouprawnienie. Krakusy sobie wyobrażają, że jakby u Zacharów mieli równouprawnienie, toby oboje widzieli tak dobrze jak Elka. A to tak nie działa, Pan Bóg inaczej świat urządził. Jakby mieli równouprawnienie, toby mieli wzrok nieostry jak stary Zachara i gówno by oboje zobaczyli.

A Maryśka z Józkiem dochodzą już do kardiologii w rogu parku. Józkowi serce bije, bo się teraz taka wiosna dla niego zaczyna, że hej. Taka wiosna,

jakiej nigdy jeszcze nie było. Wiosna miłosna. Miał już kiedyś dziewczynę, nie raz i nie jedną, ale chyba jeszcze nigdy dziewczyny nie kochał, chociaż z kilkoma się kochał.

Nie ma co dłużej ukrywać, zakochał się w tej Maryśce na amen. Chciałby całemu światu o tym powiedzieć, ale najpierw jej powie. Dzisiaj, zaraz.

– Maryśka…

– Co? – O Jezu, jakim ona miękkim głosem odpowiada. Jakby może na coś czekała. Jakby też taką wiosnę czuła, europejską, nieznaną wcześniej.

– Maryśka, nie wiem, jakie są zwyczaje w kraju, w którym dorastałaś, ale u nas to było tak. Jak chłopakowi się dziewczyna w gimnazjum podobała, to ją prosił o chodzenie.

– Chodzenie? – śmieje się Maryśka. – Tak jak my teraz chodzimy po parku?

– Nie, bliżej. – Józek odpowiada uśmiechem, ale cały jest poważny, spięty. Nie wie, co powiedzieć, więc bierze Maryśkę za rękę. A Maryśka ręki nie cofa. Idą, na pozór nic się nie dzieje.

– Fajny zwyczaj – mówi Maryśka.

– Albo jeszcze bliżej. – Józek waży każde słowo. Skręcili za kardiologią w stronę parkowej kafejki i przechodzą za rzędem choinek nawet przed bystrym wzrokiem Elki ukryci.

– Jak? – pyta Maryśka.

Na to już Józek nie znajduje słów. Zatrzymuje się, gładzi Maryśkę po twarzy, ona przytula się do jego ręki. I nagle jakby trąby anielskie zagrały, a to tylko pierwszy pocałunek.

Maryśka się cała rozpływa. Jakby ją żywcem do nieba wzięli. Rozkosz. A więc to tak wygląda. Pocałunek, ileż wierszy o tym czytała, i to w różnych językach.

Ale w tym pocałunku jest coś więcej, niż było w poezji. Wreszcie nie jest tu sama, na tej ziemi, obcej ziemi. Wreszcie ta ziemia nie jest obca. Wreszcie jest z kimś. Bo Maryśka też miewa przebłyski przyszłości

i w takiej chwili natchnionej widzi siebie z Józkiem nie tylko dziś i nie tylko jutro.

Od początku jej się spodobał, dobry człowiek, fajny chłopak, dobrze mu z oczu patrzy. I taki troskliwy, taki jej Janosik, harnaś, tak jak mama jej opowiadała na dobranoc o zbójnikach. I ona by się widziała jako żona harnasia.

Dobrze że nie założyła dziś hidżabu, tylko tę sukienkę po Elce. Bo to by jakoś nie pasowało do takiego pocałunku w parku. Ale chyba ten hidżab zostawia za sobą. Wychowała się w islamie, ale skoro w Rabce nie ma meczetu, to chodzi do kościoła. Czy tak ważne jest imię Boga? Zwyczaje, co wolno, czego nie wolno? Ewangelia mówi, że trzeba się kochać, a ona chyba pokochała tego cieślę z Rabki-Zdroju. O tak, on tak cudownie całuje.

Mija tysiąc lat chyba, odrywają się od siebie i z miejsca wyrasta między nimi góra problemów.

– Przeprowadzisz się do mnie na Traczykówkę? Cały dół właśnie odremontowałem – mówi Józek. – Dla ciebie.

– Józek… – Teraz Maryśka waży słowa. – Czy to nie za szybko?

– Na co czekać? Chodź do Parkowej, bo się zimno robi tak chodzić i chodzić, wszystko obgadamy.

Wchodzą, Józek zamawia dwie herbaty z cytryną. Niedawno zlikwidowali w Parkowej szklanki z trzymadełkiem i podają herbatę w filiżankach, a cytrynę na osobnym talerzyku.

– Kurtki nie zdejmiesz? Ciepło tu w środku.

– Zaraz zdejmę, ale wtedy coś zobaczysz. I najpierw ci powiem, co zobaczysz.

– Co? – Józek jest zdezorientowany.

– Brzuch.

– Jak to brzuch?

– Mam dziecko pod sercem.

– Co masz?

– Jestem w ciąży. W szóstym miesiącu.

– Jezus Maria!

– Jeśli chcesz teraz wyjść, pojechać do siebie i nigdy więcej mnie nie znać, to rozumiem. – Teraz Maryśka nie jest w stanie ważyć słów, bo każde ma ciężar głazów prawem chronionych z Tatrzańskiego Parku Narodowego.

– Marysia, coś ty. Ja już wszystko rozumiem. – Józek przypomina sobie, co Maryśka mu mówiła o podróży do Polski. Głaszcze ją po ręce. – Marysia, kochana. Co zrobić, co zrobić? Trzeba cię będzie gdzieś wysłać, ukryć. Mam znajomych w Harkabuzie, może się zgodzą. Albo dalej, do Skawy, do Pcimia, do Limanowej… A potem tu wrócisz…

Jz 3, 87-89

I w tym momencie w kieszeni Józka dzwoni telefon.

– Halo, Staszek? Z nieba mi spadasz. Musisz mi coś poradzić. – Józek odsuwa słuchawkę i mówi: – Marysiu, przepraszam na chwilę, zaraz wrócę, pogadam ze Staszkiem na zewnątrz.

Kiedy opowiada całą tę historię, to włos mi się jeży.

– Józek, pojebało cię? Kochasz ją, tak?

– Tak.

– Chcesz z nią być, tak? To bądź! – Naprawdę się wkurzam i robię Józkowi regularne kazanie. – Ona właśnie teraz potrzebuje twojej pomocy. Ona właśnie teraz bardzo potrzebuje mieć ciebie przy sobie. A ty ją właśnie chcesz wysłać jak paczkę do Harkabuza? Co wy, górale, macie z tym rozporządzaniem losem kobiet? Jakby przysłać sztab psychologów na stypendium z Fundacji Batorego, żeby wam przez dziesięć lat robili warsztaty z relacji i równouprawnienia, to nic by nie pomogło!

– Myślę, jak jej pomóc, Stachu.

– I chcesz ją oddalić?

– Jak to oddalić?

– W sensie biblijnym. I to właśnie, kiedy się zbliżyliście? Pojebało cię, Józek.

– Ale co ludzie na Rabce powiedzą? Będą gadać.

– I pierdol to, że będą gadać. Nie masz wpływu na to, co ludzie powiedzą. Masz wpływ na to, co ty powiesz, co zrobisz.

– To powiedz mi, co mam zrobić. Bo nie wiem, głupi jestem jak Giewont.

– A co ty chcesz od Giewontu?

– Głupia góra, dla ceprów. Powiedz, co byś zrobił na moim miejscu?

– Weź ją do siebie i daj jej wszystko, czego potrzebuje. A wiesz, czego potrzebuje? Miłości. Reszta sama wyjdzie, bo ty dobry człowiek jesteś, Józek.

Józek wraca do Parkowej, Maryśka patrzy. Nie pyta, nie naciska, ale widać w jej oczach, że czeka na dobrą nowinę.

– Przepraszam, Marysiu, nie wiedziałem, co zrobić. Czasem dobrze jest coś przegadać… przez telefon. Zamieszkasz u mnie, dobrze? Nie jest za szybko, wszystko idzie swoją koleją.

– Dobrze. Skoro tak mówisz – odpowiada Maryśka i robi się czerwona jak róża. – Ale o jedno cię poproszę, Józek… Nie zbliżysz się do mnie aż do rozwiązania.

Zdejmuje kurtkę i nawet pod luźną sukienką po Elce widać okrągły ciążowy brzuszek.

Dla Maryśki właśnie zaczyna się wiosna. Cicha i piękna.

Jz 4, 1-8

W Rabce nie trzeba światłowodu, żeby wszyscy wiedzieli wszystko. W miastach mają internet, ogólnoświatową sieć stworzoną przez system korporacji dla zniewolenia ludzkości. W Rabce też mają, ale nie muszą korzystać. Bo mają swoją sieć więzi sąsiedzkich, lokalnych i towarzyskich.

Jest taka teoria, że każdy człowiek ma z dowolnym człowiekiem na świecie znajomość w pięciu krokach. Weźmy na przykład Józka i prezydenta Ameryki. Faktycznie, Józek zna Staszka, Staszek zna naczelnego gazety, w której pracował w Warszawie, naczelny zna ważnych polskich polityków, ważni polscy politycy znają ważnych amerykańskich polityków, a ważni amerykańscy politycy znają prezydenta Ameryki. Fikumiku i Józek jest prawie kumplem prezydenta.

Otóż w Rabce każdy zna każdego. Albo osobiście, albo w dwóch ruchach. Bo każdy zna zegarmistrza, a zegarmistrz jest tylko jeden, na Manhattanie. Tak się mówi na drewniane pawilony koło stacji kolejowej – Manhattan. Więc w Rabce każdy zna każdego przez zegarmistrza z Manhattanu.

I ta sąsiedzka sieć nie jest po to, żeby ludzi zniewolić. Chociaż miastowi tak to pewnie odbierają, stąd mała popularność Rabki jako celu migracji. Ta sieć jest po to, żeby ludziom pomóc się rozeznać, co jest dobre, a co złe.

W kwestii migracji został w Rabce dostrzeżony na przełomie dwutysięcznego i dwa tysiące pierwszego roku jeden przypadek dziewczyny ubranej na islamską modłę, która zjawiła się nie wiadomo skąd w środku zimy i zamieszkała u Zacharów. Fakt ten zresztą pozytywnie wpłynął na odbiór niecodziennej sytuacji, jaką było pojawienie się obcej kulturowo i religijnie przybyszki.

Niestety. Dasz palec, a oni zaraz chcą wziąć całą rękę. I to prawą, bo lewa służy im do podcierania i jest uważana za nieczystą. Czy rabczańska opinia

społeczna może się czuć bezpieczna, gdy okazuje się, że muzułmańska imigrantka przybywając do nas niby samotnie, w istocie pojawia się w ciąży? Nie wiadomo, czy urodzi dziewczynkę, czy może chłopca.

Powiecie: bez różnicy i to jest ta warszawska naiwność krakusów. A jak ten chłopiec będzie chciał brudnymi łapami młode rabczanki na pokuszenie wodzić? Będzie je mamił i obłapiał? Stworzy sobie harem z rabczańskich dziewcząt z warkoczami jak malowanie?

I kiedy już w Rabce zaczęło się gadanie o tym i spojrzeniami wyrażano dezaprobatę w sposób otwarty, opinia publiczna została zaskoczona wydarzeniami pod kościołem na górze nad parkiem zdrojowym, blisko kina Śnieżka, w dniu Bożego Ciała.

Idziemy w Boże Ciało do kościoła we troje: Maryśka, Józek i ja. Siadamy w pierwszym rzędzie, miejsca jeszcze są, bo przyszliśmy przed wszystkimi. Wchodzą ludzie, siadają w ławkach, koło nas długo jest pusto. Ale w końcu przyszedł Pietrek, góral wąsaty, z żoną swoją Maryną w chustce ludowej na ramiona narzuconej. Oni zawsze z przodu siadają, bo głos męski i żeński prowadzą. Więc siedli koło nas, Pietrek mężczyznom rękę podał, pokój z Józkiem, pokój ze mną, a Maryśce się lekko ukłonił, bo z nią też pokój, tylko bez podawania ręki, co jednak z płci wyłącznie wynika, a nie z niechęci.

Wchodzi ksiądz, ministranci dzwonią, ludzie się podnoszą. My też i kiedy Maryśka wstaje, ksiądz nieruchomieje na ułamek sekundy, podchodzi do ołtarza, zaczyna odprawiać, ale widać, my widzimy, że mu Maryśka w głowie utkwiła i siedzi.

Przychodzi do kazania. Najmilsi, Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, wszystko z dużych liter, zaczynam odpływać, bo ja zwykle odpływam, jak ktoś mówi do mnie z samych dużych liter. I wtedy ksiądz nawiązuje:

– Dwa tysiące lat temu przyjęliśmy do siebie Baranka Bożego, choć nie było dla Niego miejsca w stajence. I On nas nauczał, abyśmy każdą owcę przygarnęli, nie patrząc, jaką ma wełnę ani skąd pochodzi. A już tę, co zbłądziła i dotarła pomiędzy nas, w szczególności. Okażmy więc nasze

chrześcijaństwo i przyjmijmy tę, co nawróciła się na naszą wiarę, z otwartymi sercami. Nie wytykajmy jej grzechów, bo kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Bądźmy prawdziwymi chrześcijanami.

W Rabce, tak jak na Podhalu, tak jak w Polsce całej niestety jest więcej prawdziwych katolików niż prawdziwych chrześcijan. Wezwanie księdza nie do wszystkich więc dociera, bo Polak katolik obywa się w swojej wierze bez tych chrześcijańskich bredni o miłosierdziu. Ale Maryna bierze to sobie do serca i kiedy mamy sobie przekazać znak pokoju, omija Pietrka, Józka i wpierw ściska rękę Maryśki. A za nią wyciągają się ręce z drugiej ławki, a nawet trzeciej, choć trzeba zauważyć, że nie wszystkie.

Kiedy wychodzimy z mszy, przed wejściem do kościoła wita nas stary Zachara. Musieli z Elką wyjść na zewnątrz i słuchać mszy przez głośniki, bo mały Jasiek zaczął w wózku płakać. I wtedy, jakby duch w niego wstąpił, stary Zachara wyciągając ręce przed siebie jak prorok, zatrzymuje Maryśkę i Józka. Gestem nakazuje im, żeby uklękli – co Maryśce z trudem przychodzi ze względu na stan błogosławiony, jednak się Zacharze nie sprzeciwia – po czym czyni nad nimi znak krzyża, jakby im błogosławił. On, stary Zachara. Nie ksiądz, którego ludzie wprawdzie słuchają, ale słyszą tylko to, co chcą usłyszeć, tylko on, świecki człowiek, on, sumienie Rabki, on, prorok obdarowany przez Boga dzieckiem, którego już miał nie mieć.

Cała Rabka patrzy. A kto nie widzi, to się jutro dowie na rynku, w Adasiu albo w Małgosi na zakupach.

Idziemy powoli do samochodu.

– Przyjdźcie dziś do Siwego Dymu wieczorem, Pietrek będzie grał – mówi Maryna. – Mały lubi muzykę? Albo mała, bo to chłopak czy dziewczyna będzie?

– Będzie, co Bóg da – odpowiada Maryśka. Ale przede wszystkim odpowiada uśmiechem.

Jz 4, 9-29

Józek stara się nadrobić zaległości towarzyskie, naspotykać się z wszystkimi na zapas. A może chce jak najszybciej i najmocniej wpleść Maryśkę w rabczański network. Albo chce chwytać dobrą koniunkturę, zakontraktować jak najwięcej relacji, zanim kredyt zaufania zacznie wietrzeć od halnego.

Domówki, wyjścia do Parkowej, posiady Pod Kasztanami po zamknięciu lokalu. Ciepłe czerwcowe wieczory zachęcają też do przesiadywania nad Poniczanką w budce u Władka albo po prostu na trawie. Dziś będzie wielkie ognisko na Świętego Jana. Nawet Zacharowie powiedzieli, że przyjdą, bo to pierwsze imieniny ich Jaśka, więc małego w wózek zapakują i niech śpi, jak będą bojcyć.

Jędrek z Andrzejem też się wybierają, a ja przez to dotrę później. Bo mamy takie auto z Niemiec fajne, beemkę rocznik osiemdziesiąty dziewiąty, więc to żywy pomnik upadku muru berlińskiego, rozrząd w niej zrobiliśmy, jest już na nią kupiec, tylko trzeba w niej jeszcze zmienić tłumik na nowy, regenerowany. I Andrzej się dogadał z gościem w Murzasichlu, co też ma warsztat i się w tłumikach specjalizuje i w beemkach, żeby mu auto dzisiaj podrzucić, to on je jutro zrobi.

Mam pojechać po robocie beemką, samochód zostawić w warsztacie, a z garażu sobie wyciągnąć ich fiata punto i wrócić nim do Rabki. Klucz jest w umówionym miejscu pod donicą z palmą, więc wszystko dograne.

Już mam wyjeżdżać, kiedy dzwoni Józek.

– Maryśka!

– Co Maryśka?

– Rodzi. A mnie się auto zepsuło.

– Ożeż! Poczekaj, poczekaj. Mam kurs do Murzasichla, to was podrzucę do szpitala do Nowego Targu.

– Dzięki, Stachu.

– Bogu niech będą dzięki – rzucam takim eunuchowatym tonem jak ksiądz na mszy dla rozładowania napięcia. I obaj się śmiejemy.

Podjeżdżam na Traczykówkę i nie muszę nawet dzwonić, bo bmw z uszkodzonym tłumikiem słychać chyba na szczycie Tatarowej. U Józka drzwi się otwierają i Maryśka wychodzi z domu bolesna. Twarz ma zbolałą, przygina się, Józek ją podtrzymuje, stają na chwilę. Oho, skurcz.

– Cześć, tu samarytańskie pogotowie ratunkowe, jedziemy do Nowego Targu, by powołać na świat nowe życie – żartuję.

– Hej, Stachu, dzięki, że tak szybko przyjechałeś.

– W samarytańskim pogotowiu ratunkowym jesteśmy zawsze na czas, a w razie konieczności znajdujemy niestandardowe rozwiązania. – Nawet się dobrze bawię. Ale Józek z Maryśką skupieni jak nie wiem, zdenerwowani trochę.

– Czy młody człowiek też jest na czas?

– Lekarka nam wyliczyła termin na pierwszego lipca, więc myśleliśmy, że mamy jeszcze parę dni. Ale dziś rano przyszedł jakiś gościu, ankieter, powiedział, że jest z Narodowego Spisu Powszechnego, i o wszystko się wypytywał. Imię, nazwisko, numer PESEL, numer buta, kolor oczu, czy mam samochód, telewizor, pralkę, lodówkę, dzieci legalne i nielegalne, pornosy na kasetach wideo…

– Serio o pornosy cię pytał?

– No może akurat nie, ale o wszystko. Prawie że do szafek zaglądał, wszystko skurwiel chciał spisać. No i się pyta, ile osób zamieszkuje w gospodarstwie domowym. Mówię, że dwie, Maryśka wychodzi zresztą z drugiego pokoju. A on zaraz do niej: imię, nazwisko, numer PESEL, numer buta, pornosy na kasetach…

– Józek, jeszcze Staszek pomyśli, że my rzeczywiście oglądamy zepsute filmy – wtrąca się Maryśka, akurat trochę rozluźniona między jednym skurczem a drugim.

– No dobra, o pornosy nie pytał. Ale taki był wścibski, taki dupek, urzędas. Imię – się pyta. Maryśka mówi, że Maryśka. A on nie, że zapisze

Maria. Dobra. Nazwisko. I tu się zaczęło, że jak to nie ma nazwiska? Nie można nie mieć nazwiska. Niech pani pokaże, co ma pani w dowodzie. Jak to, dowodu pani nie ma?

– Józek, przecież to nie pana wina, on ma zadanie, żeby zebrać takie dane, to zbiera. A jak nie może zebrać, to się dopytuje – próbuje go usprawiedliwiać Maryśka.

– Akurat. Przyjemność mu sprawiało takie pastwienie się nad kobietą w ciąży. O ciążę też się zaczął wypytywać. Kto jest ojcem dziecka. A chuj go to obchodzi – złości się Józek.

– Józio, już dobrze, już dobrze – uspokaja go Maryśka. – Rany boskie!

Maryśka pokazuje na przeciwległy pas na zakopiance. Dwa tiry zakleszczone po zderzeniu. Kierowcy chyba tylko ranni, bo pogotowie kogoś ładuje do karetki. Policja mruga kogutami, chyba czekają na straż, żeby rozkleszczyła te samochody. Będą je pewnie z tydzień pilnikiem rozcinać. I zaczyna się za nimi korek większy niż w Nowy Rok, jak ludzie wracają z sylwestra. Dobrze, że to nie zima, bo by pozamarzali, zanim by pomoc nadeszła, z pół nocy tu będą stać.

– No i co z tym ankieterem od spisu? – zagaduję za chwilę.

– Wszystko dobrze, pogoniłem fiuta. – Józek się uspokaja. – Ale Maryśka tak się tym zdenerwowała, że jak tylko wyszedł, to się zaczęły bóle. No nie tak było?

– Było, było. Ale przecież wiadomo, że muszę kiedyś urodzić.

– Akurat jak mi się mój nissan rozkraczył, japończyk jeden – złorzeczy Józek.

– No to akurat też było wiadomo, że się musi rozkraczyć, bo on chyba pamięta czasy, kiedy Lech Wałęsa zapowiadał w Polsce drugą Japonię. Czytałem, że to w osiemdziesiątym roku było.

– Rocznik osiemdziesiąty, zgadza się – mówi Józek.

– Na szczęście jest samarytańskie pogotowie ratunkowe, które właśnie dowiozło państwa do nowotarskiego szpitala.

– Dzięki, Stachu.

– Wejdę lepiej z wami.

I dobrze, że wchodzę, bo w okienku pojawia się problem nie do przejścia. Imię? Maria. Nazwisko? Ja mam tylko imię. Nie można nie mieć nazwiska, dowód poproszę. Nie mam. PESEL. Nie mam.

– To w takim razie pani dla nas nie istnieje – mówi recepcjonistka.

– Jak to? Może mnie pani dotknąć, właśnie rodzę. – Maryśka akurat ma kolejny skurcz, teraz pojawiają się już trzy-cztery na godzinę.

– Widzę, ale nie mogę pani wciągnąć do systemu, więc szpital nie będzie w stanie udzielić pani pomocy – odpowiada pielęgniarka.

– A jak pani przywiozą ofiary z wypadku, to też się pani będzie pytała, czy mają dowód osobisty, a jak nie, to won? – włącza się Józek.

– Jeśli pacjent jest w stanie braku przytomności, to jest przyjmowany ze statusem osoby nieprzytomnej – odpowiada pielęgniarka.

– Czyli jakbym żonę ogłuszył ciosem w głowę, toby ją pani przyjęła? – Józek się nakręca. I właściwie nietrudno zauważyć w tej nerwowej sytuacji, że się w pewnym sensie akurat oświadcza Maryśce, tyle że bez pierścionka, co jest starą polską tradycją zawłaszczoną później przez państwa Unii Europejskiej i inne kraje.

– Jeśli taka sytuacja nastąpi, postąpię zgodnie z procedurą przyjęć – deklaruje pielęgniarka.

Józek ma dwa i pół metra i ciągle rośnie. Z uszu zaczyna mu się wydostawać biały dym, na podobieństwo tego, który obwieszcza wybór nowego papieża, i nie wiadomo, czy Józek zaraz nie wybuchnie. Co oczywiście jest pewną metaforą, podobnie jak papież jest metaforą Boga na ziemi.

Ale fakt, że nigdy nie widziałem Józka w takim stanie. Może udusić, może rozszarpać, może zagryźć. Ryk w nim drzemie i zaraz się wydobędzie. Przejmuję dowodzenie.

– Józek, musimy pomóc Maryśce. Potem przyjedziemy tu, pokroimy panią na kawałki tępymi skalpelami, ale teraz pierwsza rzecz to pomóc Maryśce bezpiecznie urodzić. Mam plan. – Popycham Józka w kierunku

wyjścia i daję znak głową Maryśce, żeby szła z nami. – Po pierwsze wychodzimy na dwór wziąć siedem spokojnych oddechów.

– Może siedemdziesiąt siedem? – mruczy Józek. Dobrze, uspokoił się.

– Siedem teraz, a siedemdziesiąt w drodze. Jedziemy do Murzasichla.

– Po kiego czorta?

– Bo do Rabki nie dojedziemy do jutra przez ten korek na zakopiance. I będziecie mieć pierwsze w dwudziestym pierwszym wieku dziecko urodzone w Polsce w samochodzie. A w Murzasichlu znam bezpieczną metę. Tylko jeszcze jest kwestia, kto odbierze poród.

– No właśnie.

– Elka odbierze.

– Elka? Przecież ona maluje paznokcie, a nie odbiera porody.

– Mówiła raz, że jak trzeba będzie, to odbierze. Wypytałem ją i powiedziała, że w Ameryce odbierała. Pracowała u luksusowej położnej.

– U kogo?

– U luksusowej położnej amerykańskiej obracającej się wśród gwiazd estrady i kina. Sprzątała jej w domu, zajmowała się dziećmi. A jak luksusowa położna jechała odebrać poród, to ją brała ze sobą za asystentkę. No a Elka taka jest, co podpatrzy, to potrafi. Jakby asystowała w tej Ameryce przy operacjach na otwartym sercu, toby tu wróciła i została drugim Religą. Deklinacyjnie to by nawet lepiej pasowało: ta Religa, nie ten Religa.

– Ale odebrała kiedyś jakiś poród?

– Mnóstwo. Czarne, białe, żółte, we wszystkich kolorach tęczy. Bo ta luksusowa położna pracowała z matką, głaskała ją po ręce, mruczała jej „ommmmmm" do ucha i powtarzała: „*Perfectly, baby*". A Elka w tym czasie wyciągała dzieciaka i wtedy położna przecinała pępowinę i inkasowała czek.

– Co ty, detektyw jesteś, żeś tak Elkę wypytał? – dziwi się Józek.

– Wiedziałem, że tak będzie – odpowiadam.

No i jedziemy do Murzasichla. Podjeżdżam pod warsztat kumpla Andrzeja, klucz pod palmą leży, wszystko jak miało być. Wjeżdżamy beemką do garażu, dwa auta już tam stoją, jakiś opel na kanale i punciak, którym mamy wrócić.

W pakamerze na ścianie wisi kalendarz z gołą babą. Na biurku kasa fiskalna, ale zakurzona, widać, że dawno nieużywana. Fotel na kółkach, no i sofa wygodna typu wypoczynek.

Dzwonię do Elki na stacjonarny, jeszcze są w domu.

– Elka jest sprawa. Poród trzeba odebrać.

– Już lecę – śmieje się Elka. – Ale serio?

Wyjaśniam Elce całą sytuację. Od ankietera ze spisu powszechnego, przez korek na zakopiance w stronę Krakowa, odlotową pielęgniarkę z Nowego Targu po warsztat w Murzasichlu.

– Ożeż! – zaczyna Elka. – Cinquecento mi się wczoraj rozdupcyło, muszę je do warsztatu oddać. Zrobicie mi? No dobra, ustalimy. Do Murzasichla za Boga nie dojadę. Ale zaraz, zaraz… Poczekaj chwilę przy słuchawce.

I słychać w tle, jak Elka woła starego Zacharę, gdzie się podział, idzie i coś z nim obgaduje. Za chwilę wraca.

– To jakiś cud. Przyjechali do nas właśnie królowie Mszany. No ci, co przyszli przed wigilią, pamiętasz, jak żeście mnie potem odwozili do szpitala i też trafiliśmy na tę kosmitkę. Zachara im wtedy powiedział, że impreza będzie za pół roku, więc przyjechali dzisiaj. Tylko zadupceni są już wszyscy, strach z nimi jechać. Chyba że Przenajświętszą Panienkę o opiekę poproszę. Daj no mi adres i jedziemy.

Jz 4, 30-39

Stuningowane audi słychać z daleka. Najwyższy czas, bo Maryśka ma już skurcze co pięć minut, co zwiastuje rychłe rozwiązanie. Wychodzę

otworzyć im bramę, samochód wjeżdża z piskiem opon. Otwierają się drzwi kierowcy i z auta gramoli się Elka, co w wielkim mieście zostałoby natychmiast skorygowane na kierowczyni, ale dopiero w bliskiej przyszłości.

– Powiedziałam im, że z pijakami za kierownicą jechać nie będę, i upchnęłam ich na tylnym siedzeniu. Flaszkę jeszcze w drodze chyba zrobili, bo teraz śpią jak baranki – wyjaśnia Elka. – No dobra, gdzie Maryśka?

– Rodzi.

– To wiem, ale gdzie mam jej szukać? W stajence?

– W warsztacie. Chodź, tu jest taka pakamera.

Idziemy i Elka każe wszystkim chłopom – czyli Józkowi i mnie – wydupcać. Wprawdzie są w miastach teraz takie fanaberie, że ojciec może być przy porodzie, ale tu nie jest miasto, tylko Murzasichle. Więc karnie wychodzimy, wsiadamy do audi, bo noc się chłodna robi, chociaż świętojańska. Józek znajduje w schowku piersiówkę cytrynówki, boski napój kierowców, podczas kontroli drogowej udaje gumę miętową.

– Dawaj, pociągniemy, w końcu niecodziennie się człowiekowi dziecko rodzi – mówi Józek.

– Józek – zaczynam ostrożnie. – Mogę cię o coś spytać?

– To ja ci od razu mogę odpowiedzieć. Biorę Maryśkę na dobre i złe. Ze wszystkim, co dobrego i złego jej się przydarzyło. Ze wszystkim, co mi przynosi.

– Ale nie pomyślisz sobie kiedyś: czyj to dzieciak?

– To mój dzieciak. Kopie nóżkami, słuchaliśmy z Maryśką. Imię mu wybraliśmy, albo jej. Dla dziewczynki i dla chłopaka, zobaczymy, co będzie. I wychowam jak swoje.

Siedzimy, pijemy i słuchamy. W Murzasichlu też obchodzą chyba świętojanki, słychać śpiewy przy ognisku, kapela też jakaś przygrywa. Dziewczyny piszczą, będą się dzisiaj same puszczać, bez wianków. Normalnie poganie.

Przed północą muzyka cichnie i w niebo zaczynają lecieć fajerwerki. Huk, gwizd, światło – od czego budzą się Kacper, Melchior i Bazyli na tylnym siedzeniu, coś bełkocą, nie do końca przytomni. I nagle przez to wszystko przebija się płacz dziecka, jak na kiczowatych filmach.

Otwierają się drzwi i staje w nich Elka.

– Chcecie zobaczyć dzieciaka?

– Aniele, nie teraz – odpowiada Melchior, przy czym widać wyraźnie, że kontakt ze światem doczesnym ma chwilowo znikomy. – Strasznie mi się chce pić, nie masz może wina?

– Wody się napij, pijusie – opieprza go Elżbieta. – Józek, do ciebie mówię. Nie jesteś ciekaw, co tam się urodziło? Chłopak! Syna macie.

– W imię Ojca… – Józek zaczyna robić znak krzyża z emocji, ale go nie dokańcza, jakby nie chciał dzieciaka witać krzyżem na tym świecie na złą wróżbę. – Nazwiemy go Lech.

I wszyscy po kolei na miękkich nogach, bo okazało się, że tej cytrynówki to było kilka butelek w schowku, idziemy obejrzeć Maryśkę z dziecięciem. Lecha idziemy zobaczyć, co ma imię jak legendarny założyciel państwa naszego polskiego i zarazem bliskie sercu każdego górala piwo markowe.

Maryśka zmęczona, ale spokojna leży na wypoczynku, kocem w motywy mieczów i tarcz z orłem przykryta. Obok dzieciak mały w pieluszkę już zawinięty. Lech. Jak na Lecha to smagły trochę, kopia Maryśki, jakby miał sto procent jej genów. Szuka ustami piersi, żeby szybko wypić co trzeba z mlekiem matki.

– Pić mi się chce, królowo. – Melchior znów swoje, tym razem do Maryśki. – Nie masz ty może wina dla strudzonych wędrowców?

Na co Elka mówi:

– Koniec odwiedzin, wracamy do samochodu.

A potem patrzy jeszcze na Melchiora i nie wytrzymuje od dezaprobaty dla jego wyraźnie widocznego alkoholizmu:

– Idź, ty żłobie!

Jz 4, 40-44

To nie koniec dziwnych zdarzeń w tę dziwną noc świętojańską roku Pańskiego dwa tysiące pierwszego. Bazyli, najtrzeźwiejszy z królów Mszany, dzwoni do swojego kumpla ze Rdzawki, co ma stuningowanego volkswagena, opowiadając mu całą akcję. A po uzyskaniu życzliwego zainteresowania obdzwania zmotoryzowanych kumpli z Lubnia, ze Skawy, z Klikuszowej. Jak się dowiadują, że się dzieciak w warsztacie samochodowym urodził, to uwierzyć nie mogą tudzież karierę wielkiego kierowcy Formuły 1 mu wróżą. Gdyby w panteonie greckich bóstw obok boga kupców, boga wojny i boga zabawy był jeszcze bóg motoryzacji, to ten mały miałby duże szanse w konkursowym jury. Na koniec Bazyli pada na kolana, co nie wiadomo, czy ze zmęczenia, czy z uniesienia religijnego wynika, i telefonuje do Ludźmierza, gdzie w kościele przechowywany jest cudowny obraz Matki Boskiej, a *vis-à-vis* mieszka Jakub, motocyklista, który wygrywa zawsze w wyścigach na patelni. I to Jakub rzuca pomysł zlotu gwiaździstego w Murzasichlu. Teraz, zaraz i już. Wsiadają jak jeden mąż w auta, z wyjątkiem Jakuba i jego paru kumpli na motorach, i łącząc się przez CB-radio, zjeżdżają się na miejsce narodzin Lecha. Nadają już dziecku imię od siebie: Pan Samochodzik.

Hałas wyciąga na podwórko Elkę.

– Co tu za raban robicie? Dziewczyna dziecko urodziła, wyłączyć mi te silniki. Fu – krzywi się. – Aleście tu nakadzili tym dymem.

– Uprzejmie przepraszam – mówi Jakub, zdejmując kask z głowy – ale chcemy was odeskortować bezpiecznie do domu.

– Kuba – wali mu prosto z mostu Elka, bo Elka zna wszystkich i wszystkim wali prosto z mostu. – Ty mi tu nie pierdol, chcecie się chyba pościgać w nocy na szosie.

– Elka, będzie bezpieczna jazda, zobaczysz. Budź dziewczynę i jedziemy.

– Nie trzeba jej budzić, bo już żeście dzieciaka obudzili tym hałasem i właśnie je.

– Pan Samochodzik – rzuca Jakub.

– Co?

– Pan Samochodzik. Tak żeśmy go nazwali w drodze – śmieje się Jakub, a inni, co już powysiadali ze swoich aut, mu wtórują.

– A my z Maryśką nazwaliśmy go Lech. – Nieoczekiwanie z beemki, która zostaje tu do remontu, wysiada Józek. Podchodzi do Kuby, chyba się kiedyś widzieli w Siwym Dymie. Ale teraz nagle nie wiadomo, czy są w jednej kompanii, czy w przeciwnych, skoro się pojawiła kontrowersja z imieniem już na wstępie. Czy skrzyżują ciupagi, czy przeciwnie, przeciw wspólnemu wrogowi je skierują.

– No pewnie, Lech piękne imię. Polskie, słowiańskie. Ale z Panem Samochodzikiem żeśmy dobrze wykombinowali, nie? Że jak się w warsztacie urodził, to Pan Samochodzik – mówi Jakub lekko, ale spod oka patrzy.

– No mnie się nie za bardzo podoba – odpowiada Józek. Gdyby wlani byli, toby do bitki zaraz doszło. A tak to nie wiadomo, kiedy dojdzie, ale dojdzie, bo ciupaga już wisi w powietrzu.

– Bo łby wam zaraz pourywam! – drze się nagle Elka. – Nie dość, że dzieciak się musiał w warsztacie rodzić w Murzasichlu, to jeszcze będziecie tu bitkę urządzać. Siadać do samochodów, ino już! Kuba, chcecie nam eskortę robić, to zróbcie, ale żadnych kłopotów żeby tu nie było. Józek, a ty chodź ze mną.

Wchodzą do pakamery. Zagaduję do Jakuba, bo nic do niego nie mam, że Józek miał ciężki dzień. Najpierw ten szpicel ze spisu powszechnego, potem pierdolnięta recepcjonistka w szpitalu, cały ten stres i gdyby nie Elka, to różnie by mogło być. Jakub kiwa głową ze zrozumieniem.

Za kilka minut wychodzą z małym Lechem w łachman jakiś zawiniętym. Józek go trzyma, bo on nie stary Zachara, dzieciaka przytuli nawet przy wszystkich. Za nim Elka z Maryśką. Zamykam bramę, klucz pod palmą chowam i ruszamy kawalkadą. Ja wiozę punciakiem Maryśkę z Lechem i Józkiem, Elka beemką transportuje trzech królów Mszany, otaczają nas

same wypasione fury. Na jednej pojawia się na dachu migający kogut policyjny i ktoś włącza syrenę. Gdzie oni to zajumali?

Jz 4, 45-67

Do domu cieśli Józefa w Rabce na Traczykówce ciągną całe pielgrzymki. Każdy, kto się zna chociaż trochę z Józkiem – a trochę kuchni albo remontów stolarki okiennej Józek w Rabce i okolicach porobił – chce usłyszeć na własne uszy historię o dziecku urodzonym w warsztacie samochodowym. Co to za wróżba na całe życie? Będzie kierowcą? Może dilerem? A może taki będzie ważny, jakiś polityk albo na stanowisku dyrektorskim lub w zarządzie firmy, że go będzie szofer wszędzie woził?

Lech? Piękne polskie imię, słowiańskie. Ale raczej przychodzą pytać o Pana Samochodzika. Gdzie jest nasz Pan, Samochodzik?

Józek już się z tego śmiać zaczyna. Wtedy w nocy był jakiś zmieniony, bo niby po co miałby się bić z Jakubem z Ludźmierza? A teraz znów jest sobą. Pogodny uśmiech, buddyjski spokój, niech będzie pochwalony. Dusza człowiek normalnie. Przychodzi Maryna od Pietrka muzykanta i siostry dwie ze sobą przyprowadza, a Józek opowiada, jak do Nowego Targu do szpitala przyjechaliśmy, jak się nie dało przebić przez babę z recepcji, jak pojechaliśmy do Murzasichla, bo miałem klucze do warsztatu, i jak się Lech mały na kanapie typu wypoczynek urodził. Przychodzi Anka z Łukaszem i koleżanką z pracy, Teresą, która uczy chemii, a Józek opowiada, jak do Nowego Targu do szpitala przyjechaliśmy i całą resztę. Przychodzi Adaś, co pracuje na sklepie i towary w skrzynkach dźwiga i się z Elką zaprzyjaźnił, bo paznokciami się ponoć interesuje, a Józek opowiada o szpitalu w Nowym Targu i całej reszcie. Przychodzą następni, a Józek opowiada.

– Wiesz, chyba to będę musiał nagrać i puszczać wszystkim, żeby se posłuchali. Albo spisać. Bo robotę mam przecież – mówi Józek Maryśce

wieczorem, kiedy zostają sami i mogą sobie usiąść przy łóżeczku, i patrzeć na śpiącego Lecha.

– Martwię się o ciebie, kochany – mówi Maryśka. – A jeszcze trzeba jedną rzecz załatwić. Mój urlop macierzyński.

– Nie trzeba, zapracuję na nas, na naszą trójkę – odpowiada Józek.

– Trzeba, Józek, mamy prawo do urlopu macierzyńskiego, to grzech go nie brać.

– Ale zaraz – dziwi się Józek. – Jak ty masz prawo do urlopu? To ciebie Pod Kasztanami zatrudnili na legalu? Jakim cudem, jak ty przecież dowodu nie masz i w szpitalu na przykład nie istniejesz?

– Mam umowę, tylko *in blanco,* bez nazwiska. Trzeba by się dowiedzieć w ZUS-ie, co z tym teraz zrobić.

Ósmego dnia od narodzin Lecha jedzie więc Józek do ZUS-u w Nowym Targu wywiedzieć się, jakich dokumentów trzeba. Wraca ze złą nowiną – bez dowodu osobistego Maryśki się nic nie da zrobić.

Ale ma też dobrą nowinę.

– Robiłem raz szafę trzydrzwiową do przedpokoju kierowniczce Urzędu Stanu Cywilnego w Rabce, wiesz. Ona jeszcze chciała, żeby jej pawlacz dorobić w tej samej tonacji kolorystycznej, ale mnie się wtedy to drewno skończyło, czasu nie miałem, no i się jakoś rozeszło. Więc zaszedłem do niej z winem półsłodkim w torebeczce podarunkowej i mówię, że jest sprawa. Ona mnie wysłuchała dokładnie i mówi, że jest problem. To ja jej na to, że po to jesteśmy w Rabce, mieszkańcy jednej społeczności i górale, których przepełnia szlachetność, żeby sobie pomagać. I że ja mógłbym dla niej to drewno zdobyć i jej ten pawlacz zrobić, i to za darmo – ciągnie Józek. – Ona się rozejrzała, czy nikt przez okno nie podsłuchuje albo mikrofonu nie wkłada. I mówi, że ten pawlacz to ja jej już byłem winien, więc ona to chętnie przyjmie w rozliczeniu plus dodatkowo pięćset złotych tytułem opłacenia ryzyka, bo sprawa nie jest prosta.

– I co zrobiłeś, Józek?

– Ja już kopertę miałem przygotowaną, w środku równo pięćset, i jesteśmy na jutro umówieni o siedemnastej w urzędzie. Ślub bierzemy.

– Co bierzemy? – Maryśka jest kompletnie zaskoczona.

– Ślub, Marysia. – Józek bierze ją za ręce. – A, prawda, nie zapytałem, czy wyjdziesz za mnie. Wyjdziesz za mnie?

I Józek sięga do kieszeni, i wyciąga z niej pierścionek w pudełeczku.

– Poczekaj… Wyjść za ciebie? Józek, czy to aby nie za szybko?

– Nie chcesz? – pyta Józek szybko.

– Chcę, chcę – odpowiada Maryśka jeszcze szybciej. – Tak, chcę.

– Ale z tym pierścionkiem to trochę nie do końca. Bo już jubiler był zamknięty, więc tylko coś takiego znalazłem na stoisku z pamiątkami z uzdrowiska.

Józek otwiera pudełeczko, a tam dziecinny pierścionek srebrzysty z trupią czachą. Pamiątka z Rabki-Zdroju za sześć pięćdziesiąt.

– Kiedyś ci kupię inny, ładniejszy.

– Ha, ha – śmieje się Maryśka. – Nie chcę innego, żadna dziewczyna takiego nie ma.

Rzuca się Józkowi na szyję. Ale przytulają się po cichutku, bo mały Lech zaczyna się budzić od hałasu.

I następnego dnia o siedemnastej w Urzędzie Stanu Cywilnego w Rabce-Zdroju stawiają się Maria i Józef wraz z dzieckiem Lechem w wieku niemowlęcym celem zawarcia sakramentu małżeństwa. W charakterze świadków Anna i Łukasz Koconiowie, którym Józek niedawno kuchnię robił, a dobrze jest mieć w trakcie ślubu przy sobie zadowolonych klientów. Jedynymi gośćmi na uroczystości są Elżbieta Zachara z mężem i dzieckiem, przy czym ich rolą jest też opieka nad pozostałymi uczestniczącymi w uroczystości dziećmi, konkretnie Magdaleną Kocoń i Lechem, który jednak śpi cały czas w wózku głębokim.

Maria nie musi przedstawiać dokumentu tożsamości, ponieważ w urzędzie znajduje się już informacja o jego zagubieniu oraz wniosek poświadczony fałszywym podpisem notariusza o stwierdzenie

niemożności dotarcia do dokumentów źródłowych. Po ślubie żona przyjmuje nazwisko męża: Papierz. A po uznaniu ojcostwa przez Józefa Papierza syn jego, Lech, również otrzymuje nazwisko Papierz.

Po uroczystości państwo Papierzowie zapraszają państwa Koconiów i państwa Zacharów na pizzę do Hulaj Duszy. Amen.

Jz 4, 68-80

Lato dwa tysiące pierwszego obfituje w Rabce w szybkie śluby. O kolejnym dowiaduję się zresztą jako pierwszy z mieszkańców miejscowości. Do warsztatu Andrzeja przychodzi Jędrek, cały wzburzony. Papierosy wyciąga i fajkę odpala, nie zważając na bliskość samochodów, smarów i zacieków z benzyny i wynikające stąd zwiększone ryzyko zaprószenia ognia.

– I mówiłem tej dziwce, żeby to załatwiła, zanim wrócimy z Niemiec. Kasę dostała, namiary dostała, miało być już wszystko wyczyszczone. A ona mi teraz mówi, że postanowiła urodzić, bo nie można zabijać nienarodzonych. – Jędrek się cały gotuje ze zdenerwowania. – Co te kurwy w głowie mają? Najpierw się pierdolą jak dzikie, chociaż Bozia nie kazała. A potem jak się trzeba wyskrobać, to im się odpala w głowie katechizm i życie poczęte w sobie noszą. Nagle się okazuje, że to nie było niezłe rżnięcie po pijaku, tylko boski akt prokreacji.

Andrzej już dawno klucz odłożył na bok, patrzy na Jędrka i czeka, aż ten skończy. Za chwilę będzie musiał przemówić jak mędrzec, ale zaprawdę dziwni są ci góralscy mędrcy w spodniach roboczych ufajdanych. Może jednak w tym jest ta mądrość właśnie – że ona z pracy pochodzi, a nie z krakowskich fanaberii albo i warszawskich.

Ja siedzę w kanale, rozrząd robię. Jędrek wie przecież, że tu jestem, ale i tak staram się być cichutko i głowy na zewnątrz nie wystawiam.

– I co ja mam z tą kurwą zrobić? Łeb jej ukręcić?

– Ożeń się z nią.

– Pojebało cię? Nie chcę do końca życia z jedną babą siedzieć.

– A kto ci każe z jedną babą siedzieć? Gotować umie?

– Chuj wie. Ale każda umie.

– Na Podhalu każda umie – precyzuje Andrzej.

– No tak – przytakuje Jędrek.

– To musisz mieć żonę z Podhala, sam widzisz. Tobie się już żona przyda, dzieciaki będziesz niańczył w niedzielę. A w poniedziałek pojedziemy do Reichu i będziemy żyli jak dotąd. Co za granicą, nie szukaj ze świcą.

– Masz łeb, Andrzej – kiwa z uznaniem Jędrek. I milkną obaj na dłużej, żeby się to wszystko uleżało, żeby się z tym głowa mogła zgodzić i całe ciało.

– Dawaj na zapowiedzi – zarządza Andrzej.

– Czasu nie ma, ona zaraz z brzuchem jak balon będzie chodzić.

– To ubierz się ładnie, weź narzeczoną pod pachę i idź z kopertą do księdza, tylko taką mocno napchaną i mów, że sprawa pilna. I powiedz księdzu jeszcze, żeby przyjechał ze swoją skodą, to mu zrobimy rozrząd, bo miał się umówić.

I w ostatnią sobotę lipca w kościele na górze ślub biorą Jędrek Nawara i Paulina z domu Fusek. Organista gra im marsza, a wierni tworzą orszak.

Przyjęcie odbywa się w domu weselnym w Ponicach. Zaczyna się o siódmej wieczorem, a kończy się tak ostatecznie w sierpniu. W tym czasie dochodzi do jednego zaledwie incydentu, co jak na wesela w Ponicach należy uznać za dużo poniżej normy.

Przed północą stuningowaną beemką docierają na miejsce królowie Mszany – Kacper, Melchior i Bazyli. Oni mają dar wyczuwania imprez w promieniu trzydziestu kilometrów, co zazwyczaj stanowi okazję do wypitki, rzadko kiedy do dupcenia, już częściej do bitki. I tym razem zachodzi ten ostatni przypadek.

Jakub z Ludźmierza, który na motocyklu przyjechał i wzorową trzeźwość pokazuje, żeby maszyny nie rozbić w drodze powrotnej, na

widok królów Mszany przerywa taniec z dziewczyną nowo poznaną, która by chętnie mu wsiadła na motor, z atencją odprowadza ją do stolika i pewnym krokiem idzie pozornie na powitanie kumpli.

– Hej, Bazyli, coś ty mnie na minę wpierdolił?

– Ale osocho? – pyta Bazyli.

– Z tym całym Panem Samochodzikiem. Co ty myślisz, że jak jest ciemno, to ja nie zauważę? No to dobrze myślisz. Bo jak ciemno w nocy było, to nie widziałem, że ta matka jakaś trefna. Ale mi dobrzy ludzie powiedzieli, że to przybłęda, co tu przyszła w worku na głowie.

– No ja nie wiem, w czym przyszła.

– To ja ci powiem. W pierdolonym worku przyszła nam dzieci na islam nawracać.

– Komu? Tobie, Kuba? Przecież ty nie masz dzieci. – Kacper próbuje bronić kumpla. Tym bardziej, że sprawa robi się coraz bardziej publiczna. Już nawet muzyka przestała grać i wielu się przysłuchuje, podciągając rękawy.

– Dla ciebie to Jakub, nie Kuba, dobra? A ta w worku przyszła przerobić na islam dzieci z Rabki, a potem z Mszany i z całego Podhala.

– Co ty opowiadasz, Kuba – oponuje Bazyli, co akurat jest odpowiednim czasownikiem, bo się z oponami do auta kojarzy, jednak tu staje się oliwą dolaną do ognia. Jest w wulkanizacyjnym slangu takie określenie „palić gumę" i oponowanie Bazylego ma mniej więcej taki efekt.

– Co ja opowiadam? – Jakub doskakuje do Bazylego. – Co ja opowiadam? Już jednego islamskiego bękarta w Rabce przez nią macie. A to się dopiero zaczyna. Już se meczet pobudujcie. Albo dolny kościół, ten koło muzeum, zamieńcie, bo będą do was pielgrzymki muzułmanów ściągać, jak do Mekki.

Bazyli wzrusza ramionami, co jest lekko samobójczym gestem, bo takiej zniewagi to już Jakub ścierpieć nie może i mu z dyńki wylatuje pod oko prawe. A potem wykorzystując przewagę trzeźwości, ustawia go sobie do

ciosu i ładuje prawym sierpowym, dzięki czemu obrażenia Bazylego robią się symetryczne.

Kacper z Melchiorem czują, że ich honor został teraz znieważony, ponieważ kumpla biją, i we dwóch ruszają z łapami na Jakuba. Co staje się oczywistym zarzewiem większej bitki, bo nie sam tu przecież Jakub przybył, ale też ma kumpli swoich, braci motorowych, z którymi na patelni w zawodach regularnie uczestniczy, przez co braterstwo się między nimi wytworzyło. I nie sam jeden tak myśli, że co tutaj ta przybłęda w Rabce robi. Stary Zachara se może robić cyrki z błogosławieństwem przed kościołem, ale co stary Zachara może? Chuja może. Teraz nadchodzi czas młodych, a młodzi mogą mieć inne zdanie. Na przykład, że tu się taka muzułmanka nie powinna osiedlać. Uciekał Mahomet z Mekki do Medyny, to niech ona ucieka z Rabki do Medyny, może se jakiś odłam feminizujący religii islamskiej z tego utkają.

I idą pięści w ruch za wolność waszą i naszą. Za wolność wyznawania naszej religii, w obronie tradycji. To prawdziwa bitwa o odzyskanie Rabki, która się przyczółkiem obcości stała być może wbrew swej woli.

– Ej, kurwa – oponuje na to wszystko Jędrek. A że ma szacunek i w końcu to jego impreza, bijatyka ustaje. Tym bardziej że już się pojawiła pierwsza krew, a tu sami katolicy, nikt nie chce nikogo zabić, tylko go z błędu wyprowadzić, co już, można uznać, się w pewnym sensie dokonało. No i dziewczyny zlęknione piszczą i latają podniecone. Można by je teraz ułapić i w krzaki zaciągnąć. Wiadomo: jak jest wesele, to jest dyspensa.

– Spokój, kurwa – zarządza Jędrek i uznaje rozpoczętą tu właśnie dyskusję światopoglądową za zawieszoną, a wymianę argumentów za zakończoną, czemu daje wyraz: – Mordy w kubeł i ani słowa o polityce. Kto się ze mną napije, to do stołu, a reszta wypierdalać.

Wódka przywraca pokój. Jakub, wiedząc, że będzie musiał zostawić motocykl, wybiera wariant B – zostaje tu, aż wytrzeźwieje, co nie nastąpi prędko, bo i z Jędrkiem musi przepić, i z panem młodym, i z Kacprem, bo charakterny jest, i z Bazylim ciupagę zakopać. Nie będzie ich żadna islamska kurwa dzielić.

Opromieniony walką staje się zresztą łakomym kąskiem dla obecnych na uroczystości góralek. Z jedną wprawdzie tańczył wcześniej obiecująco, ale teraz to naprawdę może przebierać.

Jz 4, 81-86

Jak człowieka wyrwie życie z Harkabuza, to trudno się na początku odnaleźć. Ale Paulina bystra jest, na jogę się zapisuje, na pilates dla kobiet w ciąży i już ma koleżanki, ale nie takie od serca jeszcze, tylko od plotek rabczańskich. Wchodzi w ten sposób w góralski network i już wie, co ma teraz do zrobienia. Pazur – koniecznie u Elżbiety Zacharowej, która ma też aktualne doświadczenia macierzyńskie oraz świeży epizod akuszerski w CV.

Elka zwykle jeździ do swoich klientek, ale Paulina nie czuje się jeszcze u Jędrka na swoim. Zresztą Jędrek też nie jest na swoim, na piętrze u jego rodziców przecież mieszkają. Teraz im obiecali zrobić osobne wejście, ale to chyba już jak Paulina urodzi. Bo w umyśle góralskim każda decyzja musi dojrzeć, musi się odleżeć jak serek krówski zwany przez warszawiaków oscypkiem. To debile, nie wiedzą, że oscypek tylko owczy może być i jak maj się skończy, to już oscypków prawdziwych nie kupisz.

Więc Paulina prosi Elkę, żeby ją przyjęła u siebie w domu, i Paulina przyjeżdża do niej na Norwida, przecznicę od Nowego Światu. Symbolicznie to nazewnictwo wyszło radnym rabczańskim, jakby nowy świat się tam krzyżował ze starym, gdzie jak wiemy z lektur, kruszynę chleba i tak dalej.

Elka to nie jest wprawdzie lokalne biuro pośrednictwa pracy, ale kiedy Paulina zwierza jej się – bo po to idziesz przecież na pazur, żeby się zwierzać – że w Harkabuzie w sklepie na kasie siedziała i szuka jakiejś roboty w Rabce, to ma dla niej idealną propozycję.

– Możesz pracować Pod Kasztanami. Tam taka Maryśka jest kelnerką, znam ją, fajna dziewucha. Ale teraz jest na macierzyńskim, słyszałaś, ta, co jej dzieciaka odbierałam, Lech mu na imię dali. I szukają w Kasztanach kogoś na zastępstwo. Od kiedy? Od jutra, jak chcesz, a zaraz możemy tam podejść. Tak, przejdę się z tobą i powiem, że ty jesteś ode mnie. Dobrze ci z oczu patrzy jak na blacharę, to co mam nie pomóc.

Paulina nie wie, czy się za tę blacharę ma obrazić, czy rozpłakać, w końcu nic nie robi. No i idą do Kasztanów – Elka z wózkiem, Paulina z brzuchem. A Elka opowiada dalej.

– Maryśka zaraz ten swój urlop skończy, bo Józek, jej mąż, ma iść na urlop macierzyński. Jezus Maria, co to się teraz porobiło, żeby ojciec był matką, no ale dobra. A ty się nic nie martw, bo tam jeszcze taka pinda pracuje ze Słonego, tylko że ona ma już wizę do Stanów i na początku września leci. Więc będziecie z Maryśką pracować na zmianę, obieście fajne, to się polubicie.

Jz 4, 87-91

Rabka-Zdrój to nie jest zwykłe miasteczko, a Polska to nie jest zwykły kraj. To kraj, który sobie Bóg szczególnie umiłował, a w nim wszystkie miasteczka, w tym Rabkę-Zdrój. Rabkę zresztą chyba bardziej niż Harkabuz, gdzie psy dupami szczekają, albo Zakopane, gdzie warszawiaków zwożą pociągami i busami z całej Polski, żeby górale życia nie mieli.

Polski są właściwie dwie. Jedna to Warszawa, a druga to Polska prawdziwa. I w tej prawdziwej jest prawdziwe życie i prawdziwe prawa w niej obowiązują, ludzkie, ale przez Boga objawione.

Warszawiak, jak go zapytasz o urlop macierzyński, to ci wszystkie formułki wyrecytuje, paragrafy, co się należy, co trzeba złożyć, kiedy matce przysługuje, kiedy ojcu, a kiedy takiego wała. No i od tego jest prawo, żeby

obowiązywało, każdy góral ci to potwierdzi. Ale to prawo ludzkie przez ludzi stworzone. Obowiązuje w miastach bez Boga i tam nie ma miejsca już na nic więcej.

A w Rabce plecie się z nim też prawo Boże. Masz krzyże w urzędach, żeby urzędnik zgodnie z Bożą mądrością urzędował. Masz kapliczkę przy szlaku z Maciejowej na Stare Wierchy, żeby Matka Boska strzegła turystów, także warszawiaków. Masz park przy kościele, żeby ludzie mieli gdzie o Bogu wspomnieć po mszy i słowo Jego rozważyć.

I masz pewne przykazania, nie Boże, nie kościelne, ale góralskie, które z Bożych i kościelnych wynikają. Więc jeśli już matka chce być taka warszawianka, że do pracy pójdzie, nim dzieci odchowa, to musi dopełnić jednego. Chrztu świętego.

U Papierzów nie ma nad tym dyskusji. Bo co? Nie chrzcić dziecka to jakby mu nie dać do ręki kredki, żeby mamę i tatę narysowało. Jakby mu nie dać łyżki, żeby zupę jeść umiało. Jakby mu nie dać ubranek czystych, tylko żeby dzikie latało w łachmanach albo nago jak zwierzę.

Chrzest musisz dziecku dać, jak je kochasz. A ono sobie z tym chrztem już będzie wiedziało, co zrobi, jak dorośnie.

Józek chce się upewnić, czy i Maryśka tak myśli o Lechu.

– Maryś, wiarę mu trzeba dać jakąś. Ale może chciałabyś, żebyśmy go wychowali w wierze islamskiej? Nie wiem, czy bym potrafił, ale kocham cię ponad siebie. Więc co ty o tym myślisz?

– W wierze islamskiej? – pyta Maryśka i bierze Józka za rękę. – Nie teraz, nie tutaj, nie potrzeba. Bóg ma wiele imion, nazywajmy go swojskim imieniem, skoro tu żyjemy. Lubię tę Rabkę. Ciekawe, kim bym była, gdyby mama nie wyjechała stąd z tatą?

– Byłabyś sobą – uśmiecha się Józek.

– To kim jestem dziś? – pyta Maryśka. Po czym nagle zmienia temat: – Wiesz, Lechu dziś tak grzecznie śpi…

Skromna dziewczyna zostawia wielokropek. Szczery góral wie, jak go przeczytać i co z tą miłością zrobić.

A rano postanawiają: trzeba iść do księdza, chrzest ustalić. Po drodze zachodzą jeszcze do Zacharów.

– Słuchajcie, chcieliśmy was na chrzestnych prosić – mówi Maryśka do Elki.

– W imię Ojca i Syna, aleś mnie zaskoczyła – cieszy się Elka.

– A ja nie za stary jestem na chrzestnego? – kryguje się stary Zachara.

– A co, waszego Jaśka mam prosić, żeby Lecha do chrztu trzymał? – żartuje Maryśka.

– Świetny pomysł – podchwytuje dla żartu Elka. I do małego zagaduje: – Jasiu, mógłbyś ochrzcić Lecha?

Śmieją się wszyscy chwilę, po czym Marysia poważnieje.

– Ja waszego syna chrzciłam, kiedy jego losy się ważyły. Byłam wam wtedy pomocą.

– Pamiętam – odpowiada poważnie stary Zachara. Przypomina sobie to czekanie na telefon ze szpitala, tę niepewność, strach, czy nie straci tego, co tak nieoczekiwanie dostał. I Maryśkę jak anioła z nieba w tamtych dniach.

– Kiedy was proszę na chrzestnych, to też was z powagą proszę, żebyście byli mu wspomożeniem, kiedy jego losy ważyć się będą – mówi Maryśka z taką mocą, że aż się robi niezręcznie od nadmiaru patosu.

– Maryśka, coś ty? – dziwi się Józek.

Ale stary Zachara bierze ją wyprostowanymi rękami za ramiona.

– Dobrze, Mario. Póki zdrów będę.

Zawisa to jakoś w powietrzu, ale nie jak ciężka siekiera, tylko jakby się chusta Maryśki do góry uniosła i w powietrzu lekko zawisła. Bo lubi sobie, nawiasem mówiąc, dziewczyna muzułmańskim zwyczajem chustę na głowę założyć od słońca albo od deszczu, albo od spojrzeń. Hidżaby, czadory, zestawy mody bliskowschodniej na każdą okazję.

I idą do księdza.

– Pochwalony – mówi Józek od wejścia.

– Kto? – pyta ksiądz.

– Jak to kto? – Józek robi minę zaskoczony. – Jezus Chrystus.

– A, Jezus Chrystus. No dobrze, dobrze wiedzieć – zaczyna ksiądz. Na krześle się opiera, odchyla do tyłu i zaczyna kazanie. – Bo ja już nie byłem do końca pewien, czy wy nadal Jezusa Chrystusa macie w sercu, jak wasz ojciec, wasz dziad. Są pewne rzeczy, których nie pochwalam. Ja rozumiem, że teraz czasy są inne, młodzi się ze sobą zapoznają. Biblijnie też się zapoznają. Mnie się to nie podoba, ale ja to rozumiem. Ale są rzeczy, których nie rozumiem. Których umysłem ludzkim nie ogarniam. Jak można, wiążąc się ze sobą tak trwale, tak nierozerwalnie, jak to u was widzę, poprzestać na świstku z urzędu? Myślicie, że jak przed urzędem jesteście mężem i żoną, to dla Boga też jesteście mężem i żoną?!

Ksiądz robi pauzę dla lepszego efektu. Patrzy na Józka. Działa. Józek już się chce zabierać do tłumaczenia, że dokumentów nie było, że Maria, jego małżonka według prawa cywilnego, bo już że żona, to się w zakrystii nie odważy powiedzieć, aby nie zbluźnić, więc że żona jego cywilizowana Maria nie może przedstawić dokumentów chrztu świętego, bierzmowania, nauk przedmałżeńskich, gdyż dorastała w obcym kraju, innej wierze, uciekała przed zawieruchą, morderstwami i takich Pan Bóg najbardziej chyba miłuje według Ewangelii. Ale oczywiście zgrzeszyli, więc Józek się już kajać zamierza i łaski księdza prosić.

Ale zanim zdąży się odezwać, do przodu wysuwa się Maryśka. Chustkę z głowy na plecy opuszcza, włosami potrząsa. Działa. Ksiądz prawie usta otwiera ze zdumienia.

– Ja przepraszam, jeśli Pana Boga uraziłam – mówi Maryśka. – Ale mam wiarę, że Bóg mi wybaczy. Ja nie mogę inaczej. Kocham Boga, tak jak Bóg mnie kocha, ale wiem, że miłość Boska nie jest lekka, jak między kochankami. Że to brzemię. Ale ja to brzemię dźwigam jak potrafię. Proszę teraz księdza, by mi z tym ciężarem ulżył. By nam ulżył, bo z Józefem, cieślą, to brzemię razem dźwigać będziemy. I proszę księdza o chrzest dla Lecha. I jeszcze, aby ksiądz nas nie osądzał, pokornie o to proszę.

W brydżu nazywa się to szlemik z rekontrą i wyłożenie wszystkich kart na stół.

– Kiedy chcecie ten chrzest?

– W niedzielę.

– W tę? No dobrze, mam tu jeszcze termin… – Ksiądz wpisuje w księgę. – Chrzestnych już macie?

– Zacharowie, boży ludzie – wyjaśnia Józek.

– Tak, Zacharowie, pobożni oni i Bóg ich potomkiem pobłogosławił w późnym wieku. – Ksiądz wydaje się już prawie udobruchany. Podnosi na nich wzrok znad księgi i rozkłada ręce.

– A tu koperta – pośpiesznie dodaje Józek, wyciągając pieniądze z kieszeni spodni.

– A, nie trzeba. Ale Bóg zapłać, Bóg zapłać.

Ksiądz otwiera szufladę, wkłada kopertę, zasuwa ją i wstaje. Będzie się żegnał.

Papierzowie odwracają się ku drzwiom, ale ksiądz ich jeszcze zatrzymuje, kładąc im ręce na ramionach.

– Mario, ja się za tobą w kazaniu wstawiłem.

– Pamiętam, wdzięczna jestem.

– Cicho, nie przerywaj. Wstawiłem się za tobą, bo nas Pan naucza, że zagubiona owca jest najcenniejsza, gdy do stada wraca. Gdy chce się ze stadem połączyć, zwyczaje jego przyjąć i wiarę. Widzę cię w kościele co niedzielę, więc mogłem… musiałem się za tobą wstawić. – Ksiądz się zaczyna rozkręcać. – Ale wierzaj mi, że jeśli zagubiona owca chce ze stada wystawać, to nawet jeśli pasterz ją miłuje, stado inaczej się na nią patrzy. I zacznie widzieć, że ta owca się jednak odróżnia. Może kolorem? Może to jest czarna owca? A wtedy poznasz, że w owczej skórze też wilki mogą się chować.

– Rozumiem, proszę księdza.

– Ty nie mnie musisz prosić, ale ludzi musisz prosić o łaskę miłości. I ja rozumiem, że jest nowoczesność. Ja więcej rozumiem, niż wam się wydaje.

Są takie pary, że nawet jak sakramentu zaniedbają, to Bóg jest z nimi, bo w zgodzie z przykazaniami żyją. Ty jednak, Mario, będziesz to zawsze musiała tutaj udowadniać. Nie mnie. Ludziom.

Chrzest odbywa się w niedzielę. Ksiądz polewa Lecha po czółku święconą wodą i czyni znak krzyża. Elka Zacharowa przypomina sobie, jak Maryśka jej Jaśka tak wodą polewała destylowaną, ale znakiem krzyża poświęconą. A stary Zachara myśli, ile z tego krzyża zdoła udźwignąć.

Jz 4, 92-93

Maryśka oddaje Józkowi Lecha pod opiekę, pokarm mu odciągnęła, ubranka na zmianę zostawiła. Ale Józek przecież jest ojciec na medal, jakby się w mieście wychował. Kąpie Lecha, przewija, jeszcze nie karmił, ale sobie poradzi.

Wraca do pracy, nie żeby pieniądze zarabiać, ale żeby w domu nie wariować. Bo kiedy siedzi tak sama w domu całymi dniami, to jej duchy przeszłości spokoju nie dają. Wszystko jej się przypomina, co chciałaby zapomnieć. Lepiej jej między ludźmi być.

Umówili się na jej powrót do pracy pierwszego września, ale Józkowi się jakaś robota przesunęła, więc zadzwoniła Pod Kasztany, że zacznie od poniedziałku dziesiątego. Co nawet się okazało, że lepiej się składa, bo mają już na zastępstwo kogoś, jakąś Paulinę, a ta ze Słonego – na imię ma Wiktoria – do Ameryki wylatuje właśnie dziesiątego września.

Akurat dziesiątego września.

Dobrze, że w wakacje Pod Kasztanami zainstalowali telewizor. Bo kiedy jedenastego września dwa samoloty rozwalają World Trade Center, to Maryśka z Pauliną oraz nielicznymi początkowo gośćmi oglądają wszystko na wielkim ekranie.

Jz 5, 1-12

Jesień w Rabce zaczyna się w tym roku przedwcześnie, dwunastego września. Stary Zachara kupuje w kiosku gazetę i tam czyta zdanie, które zapada mu w pamięć: „Tak się zaczyna dwudziesty pierwszy wiek". A dalej o tym, że wiek dwudziesty był wiekiem totalitaryzmów, a wiek dwudziesty pierwszy będzie wiekiem terroryzmu.

Stary Zachara widzi więcej, niż napisali w gazecie. Widzi totalitaryzmy przyszłości używające terroryzmu, żeby przesuwać kontynenty, zmieniać granice tego, co dopuszczalne, mieszać ludy i rozbijać sojusze. Ale co będzie o tym w Rabce opowiadał. On swoje wie, a Rabka wie swoje. Polska wie swoje i cały świat wie.

Cały świat to jest oczywiście Europa i Ameryka. Do tego Rosja w przedpokoju, Chiny awanturujące się z portierem, Ameryka Południowa, która wali w żyłę na podwórku, Australia, która wyjechała na wakacje, i Antarktyda, której nie ma. A gdzieś w tym naszym wielkim wspólnym domu tyka bomba zegarowa ukrywająca się pod Azją i Afryką jak pod hidżabem. Islam. To nie jest nasz świat, to jest reszta świata.

Świat wie, kto zaatakował Amerykę i pozabijał ludzi. Kto rozwalił nie dwa wysokie budynki, ale fundamenty tego całego posthippisowskiego systemu społecznego. W którym miłość, kwiaty, tolerancja. Chcieliście mieć piękne multi-kulti? To mieliście, aż przyszedł ktoś i się zesrał, i podtarł się lewą ręką. Islam.

Rabka też wie, kto ugodził ją prosto w serce. Bo przecież Rabka ma serce w Ameryce. Co, będziemy udawać, że to brodaci mężczyźni nieznanego pochodzenia? Że to japońscy piloci kamikadze reinkarnowani za sprawą przemielonego przez multi-kulti Buddy? Nie, nie, Rabka wie. To Maryśka.

Oczywiście nikt teraz nie przyjdzie do Maryśki z kamieniem. Nie rzuci jej w twarz: „To ty rozwaliłaś World Trade Center", „To ty zabiłaś Laurę

Palmer", „Twoja wina, twoja wina, twoja bardzo wielka wina". Nikt tak nie zrobi.

Tak jak do Żyda się nie podchodzi ze słowami: „To ty zabiłeś Pana Jezusa". Ale Rabka wie, że jak przyjeżdża do Oświęcimia wycieczka młodzieżowa z Izraela, to jeden budował krzyż, drugi go wkopywał w ziemię, trzeci wykuł gwoździe. Każdy to wie i nikt nie musi mówić. Wystarczy, że będą patrzeć. Zimno. Twardo. Jak w reklamie piwa stary góral patrzy w oczy wilkowi, a wilk ogon podkula i czmycha do lasu. Zgiń, siło nieczysta.

Więc na Maryśkę teraz patrzą, kiedy idzie przez jesienny park Pod Kasztany. Kiedy zakupy w sklepie robi. Do koszyka jej zerkają: co tam kupuje? Może macę? Ach, prawda, macę to nie ci, tylko tamci. Patrzą, kiedy z Józkiem idą na spacer i wózek pchają. Do wózka zaglądają: jakie tam dziecko? Mały terrorysta? A może oni bomby pod kocykiem przewożą? Może już się szykują?

Może tam na przykład w tym wózeczku leży przyszły prezydent przyszłej Polski. Prezydent Polskiej Republiki Islamskiej, która tu powstanie, jeśli oni temu nie zapobiegną. Ciupagami, twardym słowem, twardym spojrzeniem, gołymi pięściami i iskier krzesaniem.

Nikt jej hidżabu nie zedrze. Zresztą dobrze, że w sukienkach zaczęła chodzić, mąż jej przywiózł z Krakowa nawet. Nikt jej słowa złego nie powie. Zresztą ci, co by mieli ochotę, to mniejszość, jakiś promil. Ale dobrego słowa też prawie nikt nie powie. Tych, co jej w Rabce sprzyjają teraz, można na palcach jednej ręki policzyć. Lepiej prawej.

Nazajutrz po zamachu Pod Kasztanami dzwoni telefon. Władysław, szef knajpy, odbiera. To Wiktoria ze Stanów. Wpuścili ją na lotnisku do tej Ameryki, musiała się dostać metrem, autobusem, kapsułą czasu tam, gdzie jej kumpela podała adres, a jak wchodziła do mieszkania, to pieprznął akurat pierwszy samolot. Ale nie słyszała, tylko w telewizji, bo ona raczej na peryferiach Nowego Jorku zamieszkuje, bo tak jest bardziej ekonomicznie. A uderzenie terrorystyczne to w samym centrum było, w centrum New York City, w centrum handlu i w centrum wszechświata.

I ona już musi kończyć, bo pojechała tam przecież pieniądze zarabiać, a nie rozpirzać. I dzwoni tu do szefa tylko dlatego, że szef ją fajnie pukał od czasu do czasu i premię dawał, ale tego mu rzecz jasna nie powie, bo o pewnych rzeczach się nie rozmawia.

– Wiktoria cała! – krzyczy Władysław do dziewczyn. Akurat w pracy są i Maryśka, i Paulina, bo na telewizję dużo osób dziś przychodzi. Czekają na newsy i chcą sobie wszystko razem przegadać, bo my jesteśmy tacy ku sobie, tacy z sercami otwartymi, tacy jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, nie jak te Araby pierdolone, psubraty.

– Wiktorii nic się nie stało! – powtarza, kiedy nie reagują.

– Chwała Bogu! – odpowiada Maryśka.

– No, spoko – dorzuca Paulina, bo ją to kompletnie wali.

Ale Władysława nie. I nie dlatego, że czuje miętę do Wiktorii, bo dla niego co było, a nie jest, pozostaje tylko jako motyw do walenia konika. On się z tego cudownego ocalenia Wiktorii autentycznie cieszy. Bo co mu tu będą pierdolić w telewizji o wojnie islamu z zachodnią cywilizacją. Akurat Wiktoria wylądowała w Nowym Jorku i akurat samolotami Arabusy w wieże pieprznęły. Przypadek? Nie wierzę!

To może jest tylko taka metafora, ale znacząca, myśli Władysław. Cała islamska machina wojenna jakby chciała w Wiktorię naszą uderzyć. W każdą z tych naszych dziewcząt pięknych i czystych. We wszystkie polskie dziewczyny, a w facetów rykoszetem, bo trzeba by większą eskadrę zebrać na dzielnych górali.

I Wiktoria przeżyła. Nie dała się. Jak Władysław Jagiełło pod Grunwaldem i Bogurodzica, gdy razem bili Turków pod Wiedniem, co Władysław widział raz podczas wycieczki szkolnej do Warszawy w pałacu Jana III Sobieskiego… A nie, więc to jednak inny król. W każdym razie na koń i trzeba walczyć.

Tyle że ta walka jest dla Władysława równie metaforyczna jak ten koń. I na tyle abstrakcyjna, że nie przekłada mu się na Maryśkę. Bo Maryśka cicha i piękna jak wiosna, a do tego sprawna kelnerka i uczciwa nad miarę. Nic z kasy nie ginie, jak jest na zmianie.

Więc Wiktoria się nie dała i Polska też się nie da. I Rabka się nie da. I Władysław się nie da. Co pomyślawszy, zasypia w fotelu, gdyż trochę pociągał w ukryciu i się po cichutku zrobił, więc go zmorzyło akuratnie.

Jz 5, 13-24

Przed Bożym Narodzeniem poruszenie narodowe i religijne w Rabce opada. Miasto dzieci świata szykuje się na przyjęcie Świętego Mikołaja, który akurat w Rabce stworzył sobie logistyczne centrum na Europę Środkowo-Wschodnią. Prezenty, choinka, wszystkie dzieci nasze są. Wszystkie polskie. To z Rabki Mikołaj wyrusza na saniach odwiedzić każde polskie dziecko, a to zobowiązuje.

Kiedy we wszystkich rabczańskich sklepach rozbrzmiewają srebrzyste dzwoneczki kolęd w cukrowych aranżacjach, uzbrojeni po zęby wyznawcy islamu znikają ze społecznej wyobraźni jak za dotknięciem czarodziejskiego fletu. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Maryśka pod ciepłą kurtką ukrywa jakby swoją tożsamość. I dobrze: czego oczy nie widzą, tego Rabce nie żal. Na wigilię są zaproszeni z Józkiem do Zacharów. Zmieniło się tu wszystko w ciągu roku. Pusty dom, w którym największą rozrywką była wódka z brydżem, stał się nagle pełen dzieci. Mała Magda biega dookoła stołu, roczny Janek próbuje zrobić krok od mamy do taty, a Lech już siada.

Dzieci to jednak jest radość dla dorosłych. I przyszłość jakaś. Co oni by bez dzieci robili? Anka by pewnie poszła pograć w siatkę zamiast na wigilię. Łukasz by poszedł do mamusi i przeprosił, że jest sam, co musi by wcale nie zmartwiło – nic się nie stało, Łukaszku, nic się nie stało. Zacharowie by siedzieli przy stole sami, może by sobie w kanastę do karpia zagrali? A może by jednak sprosili niedobitków, Józka, no i mnie, i byśmy gadali o wielkiej polityce i o tym, kiedy drogę na Traczykówkę wyasfaltują, bo obiecywali już w zeszłej kadencji. A tak to gadamy o kupkach. Lechu

nawet trzy dziennie robi, czym się jednak Elka radzi nie przejmować, bo Janek też często robił, ale z tego wyrósł. I się napijemy, dziewczyny po kieliszku czerwonego wina, bo karmią, a my zrobimy flaszkę na chwałę Pana Naszego, amen.

Przychodzi pora prezentów. Anka wszystkim pokupowała polary, bo mówi, że się już w swetrach z Krupówek w góry nie chodzi. Prezent na bogato, ale z pensji Łukasza ją stać. Zachara ma dla wszystkich pantofle, bo jest silnie przywiązany do tradycji, a w jego tradycji jest, żeby ludzi pantoflami obdarować, aby im ciepło było. Zachara intuicyjnie wypełnia w ten sposób piramidę potrzeb Maslowa. Co na Podhalu tłumaczy się prosto: baba ma ci dać ciepłe żarcie, musisz mieć ciepły przyodziewek i dach nad głową. A wszystko co ponadto z miasta pochodzi i na wyższych piętrach piramidy się sytuuje.

Dla dzieci ma stary Zachara specjalne obuwie. Magda dostaje kierpce, Jasiek też.

– A dla ciebie, Lechu, mam coś specjalnego. – Przyklęka nad dzieckiem, aż się Lechowi od jego wielkiej postaci i tubalnego głosu robi podkówka. – Mam dla ciebie takie sandały z rzemykami, żebyś pamiętał, skąd się wywodzisz, skąd matka twoja przyszła. Pamiętaj o tym, chłopcze, abyś się nie wyrzekał tego, co było, i udźwignął to, co będzie.

Cisza, zapada taka cisza w pokoju, tylko tykanie zegara słychać.

– No, jeden nie pije, a się narąbał. Zapachem chyba. – Elka wali się po udach z uciechy. I zaczynamy się śmiać, bo dobry śmiech w wigilijną noc przykrywa wszystko co trudne lub niezrozumiałe jak śnieg.

Dzwoni dzwonek u drzwi.

– Głodny wędrowiec? – pyta Józek.

– O kuźwa, znowu królowie Mszany, zobaczycie – odpowiada Elka. – Oni zawsze wódkę zwietrzą.

Ale to Andrzej, wyjątkowo bez samochodu.

– Idę na pasterkę do kościółka na Rdzawce. Co tak będę sam szedł, może się ktoś z was zabierze?

– A z Jędrkiem nie idziesz? Wy przecież wszędzie razem?

– Aaaa, Jędrek z żoną do Harkabuza na wigilię pojechali, do jej rodziców. Paulina w ciąży, ona tam już chyba zostanie, żeby jej rodzice pomogli po porodzie.

– No wejdźże, co tak będziesz stał? – zaprasza Elka.

– No na jednego mogę wejść, ale potem ruszamy na Rdzawkę. Z godzinę będziemy iść przez Krzywoń. Na szczęście śnieg ubity, coraz słabsze te zimy zresztą. No to jak? Ktoś pójdzie?

– Ja pójdę – niespodziewanie odzywa się Zachara. – I Staszek z nami pójdzie, a Elka z małym zostanie.

– My bierzemy Lecha i pójdziemy razem do naszego kościoła przy parku – mówi Maryśka. – Prawda, Józek?

A Józek tylko potakuje, głaszcze Maryśkę po ręce i patrzą się sobie w oczy jak gołąbki, jak synogarlice.

– A potem się widzimy u Władka, nie? – dorzuca Józek. I wszyscy kiwają, że no pewnie, no pewnie. To tylko rok temu taka nadzwyczajna sytuacja była, Elka rodziła, oni tu jak na szpilkach siedzieli i na wieści ze szpitala czekali. A tak to przecież wiadomo, że każda pasterka kończy się w budzie z piwem i kiełbasą u Władka.

Docieramy na Rdzawkę już trochę zrobieni. Jak wchodzisz na Krzywoń, to to jednak jest pół godziny szybkim krokiem i się zmachasz samym wchodzeniem. Odpoczynki trzeba robić co parę minut i wtedy Andrzej wyciąga kieliszek i przepija do mnie, a ja do starego Zachary przecież nie przepiję, więc potem przepijam do Andrzeja i pod górę docieramy już lekko narąbani. A potem idzie droga po grzbiecie aż do Rdzawki, a że się Andrzejowi pół litra kończy, to ja wyciągam swoją półlitrówkę i piję do Andrzeja.

To jest podstawowa zasada turystyki górskiej, chociaż nieskodyfikowana przez GOPR: w zimie w góry bez flaszki nie wychodź, bo jak cię zawieje, to się nie rozgrzejesz inaczej, jak tylko wódką.

Tacy jesteśmy rozgrzani, że stajemy pod murem kościółka na Rdzawce, do środka wchodzić nie będziemy, powitamy przyjście na świat Pana Naszego Jezusa Chrystusa skromniej, nie w pierwszym szeregu. I można tu znajomych spotkać, ziomków – chociaż ciemno trochę, bo tak jak pod latarnią najciemniej, to pod Gwiazdą Betlejemską też niezbyt jasno. A kiedy msza się kończy, ruszamy na nasz świecki obrządek pasterki – do Władka.

Z górki idzie się łatwiej, bo jest z górki. Chociaż przerwy na rozgrzanie ciała i ducha też trzeba robić. Na szczęście nie ma zamieci, bo to się tragicznie skończyć może, gdy człowiek swoje ciało lekkości ducha w zaufaniu zawierzy i mocno na nogach nie stoi. No i jest stary Zachara, trzeźwy jak ministrant, więc w razie czego nas by do Władka bezpiecznie doeskortował, co jednak nie jest konieczne.

U Władka spotykają się co roku wszyscy. Bo wszyscy na święta wracają do siebie. Jest pół Chicago. Glaca i Dziara z Nowego Jorku. Tobi z Londynu i Reagan z Niemiec. Miejscowi z całej okolicy. Kożuch, Wentyl i Makumba, który mimo mrozu przyjeżdża na rowerze i w słomkowym kapeluszu, grają na kongach. Się pije, się pali. Dziewczęta wystrojone i młode chłoną tych mężczyzn o twarzy Jezusa Chrystusa z całunu z zarostem lub bez, z długimi włosami, z dredami, z głosem białym i nośnym. Kolędy, Bajm, Budka Suflera i *Przeżyj to sam* Lombardu. Pocałunki na mrozie, takie że dziewczynom się nogi uginają. „Przykazanie nowe daję wam, byście się wzajemnie miłowali”[1]. Czy nie tak mówił ksiądz na pasterce? Więc się miłują, a mało co się skończy zgorszeniem, bo wódka się leje strumieniami i prędzej posną, niż zaruchają.

Aż tu Andrzej cały się rozpromienia, bo gość całkiem niespodziewany z Harkabuza, Jędrek, druh jego najbliższy i kompan do wypitki.

– Co ty? – pyta krótko. Bo krótkie pytania są najlepsze. Lepsze od nich są tylko długie odpowiedzi.

– No jużem się przy stole wigilijnym nasiedział. Paulina spać poszła, bo bandzioch ma wielki, ciężko jej łazić. Z teściem żeśmy flaszkę rozpili i oni też się już spać brali. To wsiadłem i jestem. Na pasterkę żem nie zdążył, ale

na poprawiny jezuskowe u Władka, jak widzisz, jestem – odpowiada Jędrek i ramiona szeroko rozkłada, misia z Andrzejem przybijają.

W kurtkach porozpinanych, z białymi koszulami, co się na klacie im opinają, wyglądają jak archetyp górala zduplikowany. Dziewczęta młode spojrzenia im puszczają, a oni tylko mogą wybierać, kogo nad ranem na warsztat do Andrzeja zholować.

Przychodzą też Józek z Maryśką i małym owiniętym w pięć kocyków. Józek się z nami napije, a Maryśkę dziewczyny częstują winem, no jeszcze drugi kieliszek, ale więcej nie może, bo dziecko jej odbiorą, syndrom FAS opóźniony wykryją, do patologii ją wrzucą i kuratora przydzielą. Tak się śmieją, bo tu Maryśka jest swoja, jak tylko można sobie to wyobrazić. Nie wyróżnia się z tłumu bardziej niż długowłosy Wentyl albo Glaca z powpinanymi w ciało i ubranie agrafkami.

Władek puszcza Marleya, bo Marley mu tu pasuje w tę świętą noc. *No Woman, No Cry*.

– Ale osocho? – pyta oparty o ścianę Glaca.

– Że jest taka kobieta, bez której ten kraj by nie istniał. Ten kraj by sczezł. By się zesrał – odpowiada ktoś też oparty o ścianę koło Glacy, ale tak napruty, że sam nie wie, kim jest.

– Co to za kobieta? – pyta Glaca.

– Czarna Madonna. „Madonno, Czarna Madonno" – intonuje i pobożny góralski ludek, frakcja odmieńcy, zaczyna śpiewać. „Jak dobrze Twym dzieckiem być".

– A Elki nie ma? – pyta starego Zacharę Adaś, co w sklepie pracuje. – Szkoda, bo chciałem się poradzić z lakierem.

– Lakierem do paznokci? – śmieje się Zachara. – Wpadnij do nas któregoś dnia, to Elka ci wszystko powie, ona jest taka specjalistka z kosmetologii, że pewnie własny salon otworzy.

Józek patrzy na konstrukcję drewnianej budki. Belki niby trzymają pion, ale zaczynają pękać. Nie, jednak nie trzymają pionu i to nie jest kwestia alkoholu. Knajpka Władka się po prostu wali, zaraz się chyba przewali, i to

na wszystkich, a na Józka najpierw. A nie, to alkohol, bo Józek dostał ćwiartkę w ramach karniaka, że na Rdzawkę nie szedł i w drodze nie popijał. Więc konkluduje: budka jeszcze się trzyma, ale trzeszczy.

– Jeszcze z dziesięć lat postoi albo krócej. A gdzieś tak za dziesięć lat i tak się wszystko zawali – mówi Józek. I to ostatnie, co pamięta z tego wieczora.

– Gdzieś tak za dwanaście – mówi stary Zachara, który jest tu jedynym trzeźwym nie tylko w promieniu sześćdziesięciu metrów, co wyznaczałoby strefę wokół baru U Władka, ale kto wie, czy nie nawet sześćdziesięciu kilometrów, bo może w Krakowie się znajdą jacyś krakusi abstynenci. Idzie do Maryśki, która się chichra z dziewuchami, jakby jakaś wolność do niej wróciła i swoboda, i mówi:

– Hej, musimy Józka odprowadzić, bo się zwarzył. A mały śpi?

– Lechu? Śpi cały czas, to śpioch jest straszny. Muzyka mu nie przeszkadza ani śmiech – śmieje się Maryśka.

A stary Zachara głową kiwa.

– Cud, że się nie obudził.

Jz 5, 25-29

Po zimie przychodzi odwilż, a po napięciu jakieś wyluzowanie. Maryśka, rozważając wszystko, nazywa to w skrytości ducha „cudem u Władka". Nie żeby tam się coś szczególnego zadziało, ale klimat w Rabce się jakby zmienił.

Już wilkiem na Maryśkę nie patrzą. Już nie wypatrują hord islamskich wyłaniających się zza Starych Wierchów, zza Babiej, zza Hali Krupowej. Już by spróbował teraz Jakub z Ludźmierza splunąć na Maryśkę, toby mu chyba wpierdolili, bo ona jest może muzułmanka, ale oswojona, rabczańska.

Już sobie dowcipy opowiadają o miastowych. Czy jak warszawiaki uciekają z pociągu na stacji metra, to znaczy, że kanary wsiedli? Nie, że facet z brodą. Ha, ha, ha, debile miastowe. Albo dlaczego jak w górach jest drugi stopień zagrożenia lawinowego, to się chowają za skałą i zaczynają się ostrzeliwać? Bo myślą, że to zagrożenie terrorystyczne. Krakusy, warszawiaki, paniusie, całe to miastowe pedalstwo.

Maryśka z Pauliną Pod Kasztanami rządzą, Władysław tylko kasę przelicza. Maryśka nawet pitę do menu wprowadza z falafelem, jednak ta potrawa kulturowo obca nie cieszy się powodzeniem, więc pita z menu wypada. Paulina ma bejbusa u matki w Harkabuzie, pazury pielęgnuje, Jędrek jej z Niemiec zawsze fajny ciuch przywiezie. Normalnie sielanka pod kasztanami, które wiosną kwitną tak niewinnie i zwiastują w tym roku wiosnę całej Rabce.

Józek ma zleceń dużo, bo to dobry cieśla, więc dziewczynę czasem do Lecha biorą, bo do żłobka dzieciaka nie chcą oddawać, a do przedszkola go jeszcze nie zapiszą, dopiero zaczął chodzić.

W niedziele po mszy jeżdżą sobie nad Poniczankę z kocykiem. Jasiek to już się nieźle umie bawić, razu jednego bierze wodę do wiaderka, chodzi po całej plaży i ludzi wodą polewa, za co go Elka chce okrzyczeć. Ale ludzie się śmieją tylko, bo lato gorące przyszło wcześniej niż zazwyczaj i taka woda dla ochłody po nogach jest dobra. I „chrzciciel" na niego dla jaj wołają.

– O, chrzciciel idzie, polej tu, synku, polej.

Jasiek niezły urwis. Kiedy już mu się to polewanie znudziło, idzie do Lecha z łopatką i wali go z całej siły w policzek. Elka cała przeprasza, podnosi swoje osiemdziesiąt kilo, bo dwadzieścia wskutek porodu zrzuciła, i biegnie skarcić małego, a Lechu cały w płacz i dopiero u Maryśki na rękach się uspokaja po dobrych kilku minutach.

A Elka zabiera Jaśkowi łopatkę i mu tłumaczy, że nie można, że fu dzidzia, że ne-ne-ne. Pojętny chłopak nad wyraz, bo tak słucha mądrze, patrzy oczami. I kiedy mu Elka mówi: „Idź, ukochaj Lecha", to podnosi się,

podobnie niezdarnie jak Elka zresztą, i idzie Lecha uściskać, misia z nim dziecięcego przybić, skruchę wyrazić i żal za grzechy.

Bawią się dalej dzieci, gawędzą dorośli. A w Jaśka znów coś wstępuje. Tym razem chce Lechowi ściągnąć sandały, co je od Zachary pod choinkę dostał.

– Nie ruszaj chłopczykowi rzemyczka, nie ruszaj. Ne-ne-ne – mówi Elka.

Jasiek natychmiast rękę cofa i powtarza, bo już zaczyna sylabizować:

– Ne-ne-ne.

I potem jakby się w nim jakaś walka dobra ze złem dokonywała. Wyciąga rękę do rzemyczka, żeby Lechowi but rozwiązać, ale zanim go dotknie, sam się karci: „Ne-ne-ne". I tak co chwila przez dobrą godzinę, jakby scenę jakąś odgrywał.

Stary Zachara patrzy i się śmieje. Fajny ten jego dzieciak i fajne sandały temu drugiemu wyrychtował z rzemykami.

Jz 5, 30-42

Ubrana w białą sukienkę z wiankiem na głowie Magda szykuje się do pierwszej komunii. Jak ten czas leci, ile zmian. Polskę właśnie przyjmują do Unii, a Magda przyjmie pierwszą komunię. Niedawno jeszcze była przedszkolakiem, a tu panna z niej rośnie. Uroczystość organizuje mama Łukasza, bo Anka stwierdziła, że ma luza, mogą po kościele pójść do Spyrki na kebab. To takie arabskie danie, ale lepiej się przyjmuje w górach niż te pity i falafele Maryśki Pod Kasztanami parę lat temu, bo jest z mięsem. A mięso to kwintesencja polskości. Przyszła komuna, to nam, Polakom, mięso zabrała, ochłapy rzucała, kartki wprowadziła. Zwłaszcza w wielkich miastach, dlatego te wielkie miasta się nie mogą z tej komuny podnieść do końca. Bo górale to sobie radzili, tu szynka była, podziemie mięsne i gospodarka drugiego obiegu z handlem wymiennym.

A teraz jak Polska jest wolna, to chce jeść mięso. Kotlety, potrawki, udka kurczaka, szaszłyki i kebaby. Fajnie te Arabusy to wymyśliły, posiekane, dobrze doprawione i w takim naleśniku, co chociaż obcy kulturowo, jest smaczny dla polskiego podniebienia. Więc co się dziwić, że się w Polsce przyjął – on jest właśnie przyjęty, a nie narzucony, a my, Polacy, jesteśmy przecież otwarci na to, co chcemy przyjąć.

Skoro tak, to musia postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i komunia Magdy odbędzie się u nich. Na stole dwanaście potraw – wszystkie mięsne. Wódkę Łukasz kupuje, bo honor przecież ma. A rano, zanim Anka Magdę ubierze w sukienkę białą, uczesze w warkocz francuski, Łukasz leci na Krzywoń. Zna tę trasę na pamięć: tu leśniczówka, tu polana z widokiem na Traczykówkę, tu jagody przy wyjściu na grzbiet. Ale zawsze mu ta godzinka biegania daje tyle co sok z gumijagód. Anka ma luza w sobie, on go musi łapać w górach, do kieszeni schować i wtedy przeżyje każdą imprezę rodzinną, każdą naradę w pracy, wszystko, czym go Pan Bóg postanowi wychłostać danego dnia, przyznajmy zresztą, że niezbyt mocno.

Ranek wstaje słoneczny, Łukasz wraca do domu w świetnym nastroju. Wchodzi po schodkach, otwiera drzwi i coś mu nie pasuje, jakieś dźwięki zakłócają dzień święty, kiedy jego córka idzie pierwszy raz do komunii.

– Czekaj, mam groszek w zamrażalniku, to ci przyłożę. Dobrze, ostrożnie, wiem, że boli, czekaj. Przydałoby się, żeby cię lekarz obejrzał, czy nie ma złamania, czekaj – słyszy głos Anki z kuchni. Coś się stało Magdzie?

Nie. W kuchni siedzi na krześle facet, trudno go rozpoznać, bo twarz ma jak kotlet. Skóra poprzecinana, na czole pościerana aż do mięsa.

– No popatrz, wpierdolili Adasiowi – krzyczy Anka do Łukasza.

Rzeczywiście, to Adaś, sprzedawca z ich spożywczaka, który mają pod domem. Dojeżdża z jakiejś wioski, chyba z Chabówki, Łukasz nie jest pewien, bo Adaś się z dziewczynami najbardziej zaprzyjaźnia. Do Zacharów przychodzi czasem i z Elką gada. Do Anki też zawsze zagaduje, a to gdzie była, a co w Krakowie, a że sobie kolor zrobiła na włosach, czego nawet Łukasz częstokroć nie zauważa. I że ta bluzeczka do tych tenisówek to nie pasuje, lepsza była tamta, co wczoraj miała.

Inny taki. Odmieniec. Jakiś pedzio czy jak? Łukasza to nie interesuje, bo ma w tej kwestii luza jak Anka.

– Co się stało? – pyta, bo czuje, że Anka potrzebuje tego pytania.

– Poszłam rano do sklepu, bo mi się marchewka skończyła. I Magdzie chciałam chusteczki kupić, bo się zaraz wybrudzi, kocmołuch jeden, a dziś w tej białej sukni będzie paradować cały dzień, już się tam na górze od rana stroi. No i sklep zamknięty – opowiada Anka. – Tylko jakiś jęk usłyszałam. Patrzę, a tam za rogiem ten bidok leży pokrwawiony cały i jęczy. No to przyszliśmy tu, żeby go jakoś opatrzyć. Trochę się tej krwi udało zmyć, ale nie do końca. No i spuchnięty jest na twarzy. Nie wiem, do lekarza powinien jechać, na policję trzeba zadzwonić.

– Nie, nie – oponuje Adaś. – Ja do pracy muszę pójść, dziękuję ci, Anka, pięknie. Już się lepiej czuję. A jak skończę, to do lekarza pójdę, obiecuję. Najdalej jutro, bo w niedzielę to przychodnie nie pracują, tylko sklepy.

– No, ale na policję trzeba to zgłosić – mówi Łukasz.

– Nie, nie.

– Jak to? Wiesz, kto ci to zrobił? – pyta Łukasz.

Zapada cisza. I trwa, i się rozrasta, i zamienia się w cień, który się kładzie na Rabce. I dzień się robi trochę mniej słoneczny, i już zawsze odrobina mroku, złego sekretu będzie leciutko gnić na zapleczu sklepu spożywczego.

– Jakbym wiedział – odpowiada Adaś po chwili, cicho i spokojnie – to byłoby lepiej, gdybym nie mówił.

– A wiesz za co?

– Za pomalowane paznokcie? – pyta w odpowiedzi Adaś. – Wiesz przecież za co. Za pedalstwo.

Łukasz oczywiście wie. Ale oczywiście wolałby, żeby takich rzeczy nie nazywać po imieniu. Jakoś łagodniej. Albo lepiej w ogóle o tym nie mówić. Jeśli geje chcą sobie żyć jak geje, to niech sobie żyją. Cała Rabka by się pod tym podpisała. Nawet jeśli chcą sobie iść po ulicy, to niech sobie chodzą. Tak uważa Łukasz, chociaż z tym jest w Rabce w mniejszości. Ale czy nie

mogliby jednak stać się niewidzialni? Nie zmuszać Łukasza do zajmowania stanowiska, do ustosunkowywania się. Żyć sobie w swojej szuflandii i z gejostwem na świat nie wychodzić.

Oczywiście Łukaszowi nie przyjdzie do głowy, żeby za gejostwo uderzyć. Ale ciszej nad tym gejem.

– Po co ty sobie te paznokcie malujesz? – wtrąca się Anka.

– A po co wy chodzicie na to swoje bieganie? Bo lubicie. Ja lubię mieć paznokcie pomalowane – odpowiada Adaś, po czym zaczyna się podnosić z krzesła. – Pójdę już, dziękuję wam.

– Poczekaj – protestuje Łukasz. Nie chce zostać na koniec z taką ciężką atmosferą. Chciałby, żeby historia zakończyła się uśmiechem, jakimś happy endem. – Wody się chociaż napij przed wyjściem, musisz ochłonąć.

I wtedy z góry zbiega Magda, chcąc rodzicom pokazać, jak się ładnie sama ubrała. A taka sukienka komunijna to wyzwanie: tyle plączących się koronek, tiuli, znajdź tu jeszcze guziczki, haftki.

Tylko że na dole widzi scenę jak z horroru. Odwrócony plecami ojciec, matka klęcząca z miską z wodą przy siedzącym na krześle człowieku ucharakteryzowanym na ofiarę kataklizmu.

– Aaaaaa! – wrzeszczy Magda. I robi to, co każde dziecko zrobiłoby na jej miejscu. Pędzi z krzykiem do mamy.

– Nie, Magda, stój! – Anka próbuje ją zatrzymać, gwałtownie się podnosząc. Ale jest już za późno. Magda wpada z impetem w objęcia mamy, plami górę sukienki od zakrwawionej szmatki, dodatkowo zbierając jeszcze trochę krwi na dole z butów Adasia.

– Już dobrze, już dobrze – przytula ją Anka.

– Chodź, Magdusiu, zrobimy śniadanko – zagaduje córkę Łukasz. – Ach nie, Magdusia dzisiaj nie może jeść, bo ma pierwszą komunię, a wtedy trzeba być w kościele bez śniadanka.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, przepraszam – wycofuje się Adaś. Kiedy znika za drzwiami, Anka patrzy na upapraną krwią sukienkę Magdy i załamuje ręce.

– Coś ty zrobiła? I jak ty teraz do kościoła pójdziesz i do babci? Cała ufajdana, jak kocmołuch – złorzeczy.

– Znajdziemy Magdusi inną sukienkę. Może taką dla lalek. Nie, będzie za mała. – Łukasz mówi ni to do Magdy, ni to do Anki.

– Nie. – Anka gwałtownie zmienia zdanie. – Pójdzie w tej sukience i każdemu powiemy, że to jest krew homoseksualisty pobitego dziś rano w Rabce. Księdza poproszę, żeby to z ambony ogłosił. Tak tu nie będzie.

Jz 5, 43-51

Ksiądz dobrze trafił z terminem komunii, to pierwsza naprawdę ciepła niedziela tej wiosny. Przed kościołem zbierają się ludzie ogrzać się na słońcu po zimie. Janek z Lechem. nieodłączni, ganiają po placyku. Już duże chłopaki, mają po cztery-pięć lat, więc rodzice mogą postać i spokojnie porozmawiać.

Zwykle jest z nimi Magda, więc ludzie na nich nawet mówią święta trójca. Albo papużki nierozłączki z opiekunką. Ale Koconiów ciągle nie ma, więc papużki bawią się same.

– Anka się pewnie zastanawia, czy przyjść w dresie, czy jednak wystroić się na Ritę Hayworth, franca jedna – mówi Elka.

– Nie no, w taki dzień to raczej skromniej – odpowiada Maryśka. Sama jest w niebieskiej sukience za kolano, prostej. Niebieski to jej kolor, pasuje do jej ciemnej karnacji.

– Ale te bąble fajnie latają. – Stary Zachara wpatruje się w chłopaków. Podnosi na ręce Jaśka, który właśnie wpada na niego, odstawia. Jasiek leci z Lechem, robią sobie wyścigi do drzewa. A Zachara pyta: – Nie chcecie mieć jeszcze jednego? Ja to już stary jestem, ale wy, młodzi? Co?

Józek głowę pochyla, z pokorą taką albo ze wstydem jak w konfesjonale, i mruczy pod nosem:

– Nie, nie…

Maryśka bierze go pod ramię, głaszcze po twarzy wierzchem dłoni. Tyle lat już są ze sobą, a ciągle jak gołąbki.

– Powiedzmy im – mówi. – W końcu po co się ma przyjaciół, jak nie po to, żeby z nimi rozmawiać. Także o tym, co boli. A może przede wszystkim.

– Chcieliśmy – dopowiada Józek.

– I co, i co? – dopytuje Elka. Podrzuca pytanie, na wszelki wypadek dwa razy: jakby jedno w Józku uwięzło, to drugie dla Maryśki.

– Próbowaliśmy i nie możemy. Wiele razy, wiele lat. Nie możemy mieć dziecka. Los tak chciał, Bóg tak chciał, bociany nas omijają, nie wiem – uśmiecha się smutno Maryśka.

– A do lekarza chodziliście? – Elka czuje, że ich przyjaźń wkracza na wyższy poziom. Zwłaszcza że ta rozmowa odbywa się we czwórkę, stoją tu przecież i Zachara, i Józek, chociaż chyba trochę zażenowani, że się tak o życiu rozmawia bez oporów, jak w serialu na TVN-ie o problemach warszawiaków.

– Tak – przełamuje się nagle Józek. I prostuje się, jakby kajdany jakieś zrzucał, jakby się z łańcuchów wyswobadzał. Już nie ze wstydem w konfesjonale, ale z zaufaniem, jak z przyjaciółmi.

Stary Zachara też coś takiego chyba czuje, bo patrzy na Józka z taką otwartością, naturalnością. I z pytaniem.

– Jeździliśmy do lekarzy do Nowego Targu, nawet w Krakowie byliśmy. Myśleliśmy o *in vitro*.

– *In vitro*? – Elka z emocji aż zatyka sobie usta. Ona też czuje, że się zrobiło jak w TVN-ie. Proszę państwa, nadajemy reality spod kościoła w Rabce-Zdroju, ważny społeczny temat, jak mieszkańcy tej miejscowości odnoszą się do tematyki regulacji poczęć i sztucznego zapłodnienia. Materiał nagrywany jest za pomocą mikrofonów kierunkowych i mikrokamer zainstalowanych na dzwonnicy kościelnej.

– *In vitro* – potwierdza Maryśka. – Skoro Bóg dał ludziom taką wiedzę, to grzech z niej nie skorzystać.

– No i co? No i co?

– Mieliśmy najpierw badania wstępne i okazało się, że z Maryśką jest wszystko w porządku. Ale ja mam… – Józek nie wie, jak dokończyć. – No, za mało tych… No, nasienia.

– Dajcie chłopu spokój! – bierze go w obronę stary Zachara.

– Nie, powiem. Trudno jest czasem znaleźć słowa, ale to przecież ludzka rzecz – oponuje Józek. A Maryśka go mocno ściska pod ramię. – Za mało mam plemników. Musi być z milion, a ja mam tysiąc w centymetrze.

– I co teraz?

– Mamy Lecha – uśmiecha się Józek. A Lechu wpada akurat na niego i Józek podnosi go wysoko, wysoko do góry. – To cud, że Maryśkę spotkałem, bo inaczej bym dzieciaka nie miał.

Maryśka ściska go jeszcze mocniej.

– A jaki mądry jest skubaniec. Dodaje w pamięci i czytać się uczy, chociaż ma dopiero pięć lat – rozpędza się Józek. Maryśka mięknie jeszcze bardziej, bo Józek zakochany w Lechu jak ojciec, jak prawdziwy ojciec.

– No, ja widziałam, jak u nas literki razem układali takie dla dzieci. Wiecie co napisali? Dupa – śmieje się Elka.

– Pewnie Magda ich nauczyła – dodaje ze śmiechem Maryśka. – Ale rzeczywiście myślimy, żeby Lecha rok wcześniej posłać do szkoły. Poszedłby z Jaśkiem.

– Jak do jednej klasy trafią, to nie wiem, czy kto z takimi ancykrystami wytrzyma – cieszy się Elka.– Wykończymy szkołę, świetny pomysł.

Od strony parku idą Koconiowie.

– Przepraszamy, nie zaczęło się jeszcze, co? Magdzie sukienkę musiałam zmienić w ostatniej chwili – mówi Anka.

– A co się stało?

– A nic, kiedyś wam opowiem. Teraz trzeba by wchodzić do kościoła chyba – rzuca szybko Anka, bo organy zaczynają grać.

Magda ma najładniejszą sukienkę z wszystkich dziewczynek. Białą, ale zwykłą, za kolano.

Jz 5, 52-64

Pod Kasztanami rządzą Maryśka i Paulina. Paulina, chociaż z dwójką dzieci, daje radę na pół etatu przychodzić. Nawet nie żeby pieniądze zarabiać, tylko żeby w pieluchach cały czas nie siedzieć. Babcia z chęcią bawi wnuki, to grzech nie skorzystać.

Z napiwków jej dużo wpada, odpicowana jak warszawianka, pazur zrobiony u Elki, makijaż podpatrzony w pismach kobiecych, które Pod Kasztanami dla klientów prenumerują. Opalona nawet w środku zimy, bo na solarium jej zawsze Jędrek daje, nawet nie musi prosić.

Nie wie, że Jędrek w tych Niemczech najbardziej w Turczynkach gustuje. Jak ma do wyboru Turczynkę prawie bez cycków, ale taką Mulateczkę, taką z lekka czarniutką, no nie ma na to dobrego słowa, więc jak ma taką czekoladkę mleczną z jednej strony, a z drugiej rasową Niemkę blond niebieskooką z balonami, jakby karmiła, to zawsze wybierze Turczynkę. A Andrzej odwrotnie – blondynę z cyckami. Co zresztą zmniejsza pole konfliktu i powoduje, że męska przyjaźń bez gejostwa pięknie kwitnie w tym wypadku.

Maryśka i tak ma ciemniejszą skórę od Pauliny. I to się staje jakimś znakiem firmowym Kasztanów w owym okresie. Chłopaki od Władka jak się upalą przy Marleyu, a zimno im zaczyna doskwierać, to mówią: „Chodźmy tam, gdzie czekoladki obsługują”. I też se każą puszczać reggae albo inne klimaty, jak już przyjdą. Tylko że napiwków żadnych nie dają, bo wszyscy gołodupce, jedno piwo na dwóch zamawiają i coś sobie tam pociągają na boku czy dolewają pod stołem. Maryśka nie wnika co, bo ich lubi. Ona wszystkich chyba lubi zresztą.

Andrzej warsztat by chciał rozwinąć, ale jednocześnie jest ciągle w rozjazdach, niemieckie biznesy go mocno pochłaniają. I chyba dochód niezły przynoszą. Ostatnio mówi do mnie:

– Staszek, ja ci dam premię.

– Dziękuję, szefie.

– Ale dam ci w markach. Będziesz musiał do Niemiec pojechać, żeby je sobie na euro wymienić – śmieje się. – Ruszysz się w końcu z tej Rabki, bo ty przecież ze świata jesteś, warszawiak, no nie? To nie możesz całego życia przesiedzieć w kanciapie nad warsztatem.

A potem Andrzej mówi, że trzeba będzie jeszcze wziąć kogoś do warsztatu. I spotkał takiego magika mechanika niedawno na wyścigach na patelni.

– A co to są wyścigi na patelni?

– Nie wiesz? To weź tę całą swoją paczkę w niedzielę po kościele. Albo chodźcie na dziesiątą do kościółka na Rdzawce, a potem pojedziemy razem, pokażę wam. Tylko żeby mi samochody były ładnie wymyte.

W niedzielę spotykamy się na Rdzawce. To miejsce zawsze mi się kojarzy z pasterką, furą znajomych i znakiem pokoju przekazywanym z pijacką wylewnością. A teraz, w ciepłą wiosenną niedzielę, to takie sanatorium dla warszawiaków. Stoją i się rozglądają po ścianach, jakby chcieli sobie to zeskanować. O, tak wygląda stara architektura góralska. O, Jezusek w drewnie wyrzeźbiony. O, obraz święty, ikonografia Podhala.

– Widzisz, jak te ściany, te obrazy oblukują? Jakby się chcieli starej architektury góralskiej nauczyć na pamięć – mówi do Andrzeja Jędrek, któremu też widocznie Andrzej dał cynk, żeby przyjechał. – Debile, to nie jest stara architektura góralska, to jest Polska. A nie te ich biurowce.

Po mszy warszawiaki odjeżdżają, a Andrzej mówi do nas:

– Zostawiamy tu auta i idziemy w dół, na tę górkę. Stamtąd jest najlepszy widok, spójrzcie zresztą sami.

Patelnia się warszawiakom kojarzy z czymś płaskim. No i dobrze kombinują. Ale w Rabce płasko to nigdy nie jest, więc patelnia w Rabce to

stromo wznosząca się do góry droga. Ale szeroka, dwupasmowa, dwujezdniowa, jak patelnia. Może patelnie nie są dla warszawiaków w charakterystyczny sposób szerokie, ale ta w Rabce jest.

No i dla kogo taki tor wyścigowy zrobili? Dla warszawiaków, co swoimi autami ledwo tu podjeżdżają w drodze do Zakopanego. A nawet jeśli auto lepsze mają, niemieckie albo i ze Szwecji nówka sztuka, to i tak się będą rozglądać, piękno gór podziwiać. To jest Polska, a nie te ich wieżowce w miastach, niech się rozglądają.

Tyle że nie wykorzystują wtedy tej szosy do tego, do czego jest stworzona. Do szybkiej, dzikiej jazdy. A jak taka droga szybkiego ruchu została podarowana mieszkańcom Rabki i okolic, to grzech nie skorzystać.

Siadamy na trawiastym wale trochę powyżej poziomu szosy. Przy drodze stoi kilku motocyklistów z zestawami CB-radia.

– To obstawa – tłumaczy Andrzej. – Jakby psy wjechały na kogutach, to będzie szybko cynk. I wtedy pamiętajcie: przyszliśmy sobie tu na spacerek po kościele.

Minuty mijają, Lech z Jaśkiem zaczynają ze zniecierpliwienia biegać w kółko, udają, że jeżdżą na motorach.

– Tylko żeby na drogę nie wylecieli – martwi się Łukasz. A że widzi, że jego Magda też się zaczyna nudzić, podrzuca: – Magda, weź ich tam dalej na łąkę, ty jesteś taką superopiekunką.

Ale długo sobie nie pojeżdżą, bo z daleka słychać, jakby zmutowane osy nadlatywały. Nagle zza zakrętu od Chabówki wyskakują dwa motory, składają się rasowo na skręcie. Im bardziej się położysz, tym bardziej jesteś gość. Kto nie ryzykuje, ten nie ma brania. Liczy się prędkość, ale też liczy się styl.

Za chwilę wyjeżdżają kolejne motory. Maluchy stoją jak zaczarowane, tylko Lechu uszy po dziecięcemu zasłania, ale oczami chłonie widok jak z bajki dla dzieci, z tych, których nie wolno mu oglądać.

Facetom też się podoba. Bo na Podhalu takie harnasiowanie podoba się każdemu. Auta autami, można je kochać. Ale tutaj masz wiatr we włosach,

tutaj chroni cię własna pierś tylko, żadnej blachy. A w kasku wyglądasz jak pilot z filmów science fiction.

A z dziewczynami jest różnie. W Paulinie odzywa się blachara, jara się na maksa, aż ją Jędrek musi wzrokiem uciszyć, bo pomyślą, że baba go nie szanuje, że mu fika. Dobrze, że dziecisków ze sobą nie zabrali, babcia je wzięła nad rzekę, bo by ich Paulina zupełnie nie pilnowała. Elka się jara, ale z dystansem. Maryśka nie jara się wcale, wtula się w Józka, gołębica jedna.

A Anka ma w ogóle na to wywalone. Dla niej takie motory, silniki, huk, warkot to jakaś cholerna cywilizacja śmierci. Dla niej sprawność to jest wtedy, jak potrafisz stanąć na rękach, jak zrobisz piękną wystawkę w punkt przy grze w siatkę, jak biegniesz na Krzywoń i wracasz bez zadyszki albo zjedziesz z góry na rowerze bez zsiadania. Ostentacyjnie.

Na koniec są pokazy. Motocykliści wypadają przed oczy publiczności na jednym kole albo na stojaka, co kto potrafi. Jeden jest taki w biało-czerwonym kasku z orłem, co rzeczywiście potrafi. Ręce trzyma na kierownicy, tyłek podnosi z siodełka i nogi szeroko ustawia w literę V, jak Victoria.

A na sam koniec jest odbieranie podziwu. Podjeżdżają wszyscy, zdejmują kaski, rozdają uśmiechy. Jakub z Ludźmierza pozdrawia wszystkich, bo chyba prawie wszystkich zna. Do Andrzeja, do Jędrka też macha, po mnie, Józku i Maryśce wzrokiem przejeżdża. Gościu w biało-czerwonym kasku też macha, ale bliżej nas stoi i na Ance wzrok zatrzymuje.

– Ej, ty, ja cię znam. Ty mojego dzieciaka uczysz.

– Może, jestem nauczycielką. Wuefu – odpowiada Anka.

– To może… – gościu nagle zmienia ton, zmienia spojrzenie, intencje chyba też zmienia – …byś mnie czegoś mogła nauczyć.

Chwila ciszy. I niemal jednocześnie Łukasz zaczyna się rozglądać za dziećmi, co ta trójca zwariowana robi, czy się gdzieś nie zgubili, ach, wariaty, wariaty, a Anka odpowiada oficjalnie:

– Proszę się zgłosić do mnie po wywiadówce w dniu otwartym dla rodziców.

Łukasz dzieciaki sadza, bo już trzeba kamyki z butów wyrzucić, ochłonąć i zaraz wracamy. Ojciec Wirgiliusz normalnie, Anka go tak po krakowsku przekręciła, że chyba mu jaja urwała.

I wtedy podjeżdża Jakub z Ludźmierza. Teraz widzimy z bliska, że ma w biały kombinezon wszyty obraz Matki Boskiej Ludźmierskiej w miniaturze sprzedawanej dla warszawiaków, którzy to sanktuarium chcą odwiedzić w drodze z Zakopanego do tej swojej Warszawy. Z kaskiem białym wygląda jak rycerz Maryi przeczysty.

– Huk tu straszny, więc z dziećmi bym tu nie przyjeżdżał – mówi, po czym pokazuje głową na Lecha. – Zwłaszcza z takim.

Jz 5, 65-69

„Gdyby park mógł opowiadać, to ja pierdolę" – mówi stare rabczańskie przysłowie. A przynajmniej tak mawia Elka. Ale Adasiowi park się nie kojarzy z imprezami pod „Grzybkiem", z tanim winem na ławkach i z rozpustą w krzakach. Jemu się kojarzy groźnie.

Elka mu wprawdzie pokazała lakier bezbarwny. Może sobie nim pomalować paznokcie, jak lubi czuć się piękny, albo piękna, jeśli woli. Wtedy nikogo nie drażni, nie obraża, nikomu się nie narzuca i niczego nie narzuca. Wynalazca lakieru bezbarwnego to musiał być mężczyzna, zapewne kryptogej i geniusz, normalnie geniusz.

Ale poczucie czającego się za każdym drzewem wpierdolu nie opuszcza Adasia nigdy. Właściwie to nawet się z nim zżył. Wprawdzie od tamtego czasu nic się nie powtórzyło, może mądrzejszy też jest, bo już tak nie prowokuje, na patelnię na zawody w ogóle nie chodzi popatrzeć, ale nigdy nie wiadomo, co się czai po drugiej stronie przełęczy. To też takie rabczańskie przysłowie, ale mniej trafione i przez to mniej popularne.

A z drugiej strony Adaś nie chce mu ulec, temu poczuciu. Mógłby wracać z pracy do Chabówki przez Orkana i Zakopiańską, ulicami jasno oświetlonymi i dającymi poczucie bezpieczeństwa. Ale nie będzie drogi nadkładał. Taką ma dumę w sobie, a co! Będzie sobie szedł przez park, krócej i w dodatku może przyrodę podziwiać. I zapach wiosny, zapach drzew, zapach lata. Każda pora roku inaczej w Rabce pachnie, zima najgorzej – ogniskiem ze starych opon.

Ale mniejsza o zapachy, Adaś ma taką wolę niezłomną iść przez park, minąć kardiologię, zejść po schodkach i skrótem przy Poniczance dotrzeć do Zakopiańskiej. Szybciej, szybciej, będzie dzięki temu w domu o dobre dziesięć minut wcześniej, więc może sobie te zaoszczędzone dziesięć minut wykorzystać jak chce. Wszystko może zrobić. Zazwyczaj siada i siedzi. Uspokaja serce, uspokaja myśli, dochodzi do siebie, bo jak w sumie na to spojrzeć, ta droga przez park wiele kosztuje. Podobnie jak każda inna zresztą.

Więc dzisiaj też Adaś idzie przez park z duszą na ramieniu. I nagle włosy na żel ułożone, jak widział w piśmie, dęba mu stają na głowie. Ktoś się czai na ławce w krzakach. W parku ani żywej duszy, już po dwudziestej drugiej. Nawet aut żadnych nie widać na parkingu przy kardiologii, tylko jeden motor stoi.

Motor?! Przyjechali mu znów spuścić wpierdol! Przecież już im w drogę nie wchodzi, więc dlaczego? Adaś stara się szybko skojarzyć fakty, co w sytuacji emocjonalnej jest oczywiście trudne. Ale zbiera się w sobie i coś mu się nie zgadza. Bo jeżeli by przyjechali, to na kilku motorach. Choćby na dwóch. Bo jak spuszczasz komuś wpierdol, musisz mieć świadka, inaczej nie ma satysfakcji indywidualnej i funkcja społeczna nie zostaje spełniona. Inaczej to jest to jakaś napaść, wendetta, łobuzerka. A do wpierdolu, uzasadnionego tradycją wyroku na jednostce nierespektującej uświęconych praw społecznych, potrzebny jest świadek, który może być też współwykonawcą oczywiście, bo nie wolno szafować siłami wobec wroga. Poza tym nie jest możliwe, żeby dwóch motocyklistów przyjechało na jednym motorze. Nie będą się tak po pedalsku wozić, nie oni.

Więc co to? Adaś od strachu przechodzi lekko w stronę ciekawości. Co to za dźwięki, co to za motor? Idzie po cichu, po cichutku, skrada się. Teraz to on jest myśliwym, może kogoś zobaczy, on poluje na wrażenia.

I nagle widzi w niewyraźnym świetle odległej nieco latarni po kolei motocyklowy kask biało-czerwony z orłem, faceta w czerni i Ankę. Tę, co mu pomogła, kiedy leżał jak zbity pies. Oni go nie widzą, bo się liżą jak na pornosie. Rękami się dotykają po wszystkim jak szaleni, jęczą, wariują. Adaś z niesmakiem odwraca głowę i wyrywa mu się jęk obrzydzenia.

– Co to? – przerywa motocyklista. Dostrzega sylwetkę Adasia, ale pod światło, więc nawet gdyby go znał, nie miałby szansy go rozpoznać. A chyba nie mieli ze sobą przyjemności. – Co się gapisz, pedale? Wpierdolić ci?

– Nie, nie, zostaw, ja go znam – odpowiada Anka. Nie myśli racjonalnie, chciałaby jak najszybciej wrócić do dzieła. Więc rzuca tylko: – To co, mamy sekret, chłopcze? A teraz leć już.

Adasiowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Biegnie do kardiologii, zbiega po schodach, jeszcze kawałek wzdłuż rzeki i już jest przy jasno oświetlonej Zakopiańskiej.

Anka wraca do domu za godzinę.

– Hej, hej, czy to zapracowana pani nauczycielka? – Łukasz wita ją szerokim uśmiechem. – Mam dla pani herbatę z cytryną.

– Aj, nie mam siły – odpowiada Anka, bo nie wie, co ma odpowiedzieć. Gdyby park mógł mówić, toby wiedział.

– A gdzież to była tak długo zapracowana pani nauczycielka? Magda na ciebie czekała, ale padła – mówi Łukasz.

– No, wywiadówka mi się przedłużyła – macha ręką Anka.

– A potem może odwiózł panią do domu wspaniały motocyklista w lśniącej zbroi? – żartuje Łukasz.

– No nie. – Anka się śmieje najbardziej naturalnie, jak umie. Sięga po najgłębsze rezerwy luza, wszystko, co odłożyła na czarną godzinę. Bo jest właśnie godzina nocna i czarna, jak się obawia.

– Motocyklista był bez zbroi? – ciągnie żart Łukasz. W złą stronę.

– Potem spotkałam w parku Adasia, tego geja, co go pobili niedawno pod sklepem. Taki był przerażony, że go musiałam eskortować do Zakopiańskiej.

– No, no, dzielna pani nauczycielka – chwali Łukasz. I idzie spać, a Anka zostaje z kubkiem ciepłej herbaty. Kubek parzy.

Jz 5, 70-78

Epopeje opisują herosów. Romanse – kochanków. Żywoty świętych – wiadomo kogo. A świat jest gdzie indziej.

Kiedy w niedzielę w południe zbierają się ludzie na patelni kibicować motocyklistom, to na nich świecą reflektory w tej historii. Ale historia, opowieść, to jedno, a jest jeszcze inna historia. Historia, która dzieje się na naszych oczach. Zmieniający się świat. To, co w badaniach socjologicznych nazywa się społeczeństwem. To, co się cieszy, wiwatuje, entuzjazmuje albo zaczyna mruczeć, buczeć i knuć. I z jakich powodów.

Herosi w skórzanych kombinezonach wyczuwają te nastroje. Dlatego kiedy Lechu ma pięć lat, Jakub bez zażenowania podchodzi do grupki, w której siedzi Maryśka, gromi ją wzrokiem, naznacza twarzą stężałą jak stemplem. Mówi jej całym sobą, że jest tu niemile widziana. I wystarczy, że powie tylko słowo, a ono rezonuje, wzmacnia się wśród publiczności, napełnia się mruczeniem i buczeniem, twardnieje od złych spojrzeń. Na początku było słowo przecież. Więc na koniec słowo uderza Maryśkę w smagły policzek.

Wtedy na tym policzku znów pojawiają się tamte dwie blizny, pamiątka z Ponic prawdopodobnie. Maryśka nie chce o tym mówić, ale Józek jest pewien, że ją w Ponicach miejscowi pocięli, kiedy jak przybłęda szła od zakopianki do Rabki obiecanej. Ja też jestem pewien, że tak było, że tak ją przywitała Polska.

Byli z tym z Józkiem u lekarza, takie dziwne znamiona. Lekarz popatrzył, podotykał i stwierdził, że tkanka zagojona, nic nie powinno się pojawiać. Ale od stresu, od strachu, od złego, ciężkiego powietrza, od złych emocji to się może odnawiać. Będzie się czasowo pojawiać, kiedy wystąpią czynniki.

Kiedy Lechu ma pięć-sześć lat, Maryśka chodzi znów z tymi dwiema szramami. Wchodzi z nimi do sklepu spożywczego, kupuje chleb w dni powszednie, bo w niedzielę unikają zakupów, niedziela ma być dla rodziny, choć dyktat kapitalizmu jest inny i w sumie można z tego też czasem skorzystać, kupując drożdżówkę dla Lecha. Straszny żarłok się zrobił, ale ruchliwy, więc nie tyje, tkanką, która by go przy ziemi trzymała, nie obrasta.

A kiedy Lechu ma siedem-osiem lat, to jakaś odwilż przychodzi w kraju. Zimy się robią łagodniejsze i ludzie także. W lecie Jakub nie podejdzie do publiczności ze złym wzrokiem dla Maryśki, bo historia się odmieniła. „Dajże spokój", by mu krzyknęli, „spoko", a nawet „chillout", jeśli ktoś by bywał w Krakowie i znał takie warszawskie słowa. Ej, chill, Jakub, wyluzuj, hasta la vista, Jakub, ziomie, a Maryśka jest nasza ziomalka, elo i do zo Pod Kasztanami.

I Maryśce te szramy znikają. Najpierw jedna, a kilka dni później druga.

Ance za to wyskakują pryszcze ze stresu. Anka ciągnie Magdę na te emocje motocyklowe, bo ma tam swoje emocje do ugrania. Ci faceci z wiatrem we włosach. Może nie we włosach, ale na kasku, no ale zawsze z wiatrem. Demony prędkości. Trochę źli, trochę zepsucia krakowskiego w sobie mają. Całują demonicznie. Tak, Anka wie, sprawdza, wybiera, decyduje, co, z kim, w jakim stopniu. Przeżywa swoją historię, swoje historie. Których z Łukaszem przeżyć by jej nie było dane, bo z Łukaszem jest wszystko jasne i proste jak moskol. Niby smaczne, ale płone.

Łukasz na patelnię nie jeździ. Nie jego klimat, nie jego świat. Co Ance daje większe możliwości jeszcze. Anka SKS-y w szkole prowadzi, na turnieje siatkówki jeździ z młodzieżą szkolną. Ale spoko, Łukasz daje radę w domu, z budowy wraca, córkę ogarnie. Życie ogarnie, jak umie.

Łukasz najbardziej lubi czwartki, wtedy prowadzi wesoły autobus. Zapisali dzieciaki na piłkę nożną do Nowego Targu. Anka wynalazła te zajęcia: piłka nożna dla dziewcząt i chłopców. Łukasz najpierw był zdziwiony – jak to, dziewczyny mają piłkę kopać? W rabczańskim KS Wierchy nie ma takiej grupy, bo przecież jasne, że piłka nożna jest dla chłopaków. Ale Anka się uparła, że będąc na szkoleniu dla wuefistów w Cracovii, sama widziała grupy dziewczęce, jak grały mecz w korkach na boisku treningowym bocznym. Że tak jest w wielkich miastach, a jak będziemy brać do Rabki to, co jest w wielkich miastach, to nasze życie będzie nowocześniejsze i przyjemniejsze, jak w stolicach Unii Europejskiej: Wiedniu, Madrycie lub Warszawie. Myśląc przy tym zresztą bardziej o równouprawnieniu seksualnym. Bo dlaczego ma być tak, że jak facet zdradza w związku, to jest niezły buchaj, a jak kobieta, to kurwa? Czego oczywiście Łukaszowi nie powiedziała, poprzestając na tym, że wprawdzie w Rabce jeszcze nie, ale w mieście powiatowym Nowy Targ podjęto wielkomiejskie trendy i jest dziewczęca grupa piłkarska.

Piłka nożna to najtrwalsza polska religia, a nawet europejska z agendą misyjną w Ameryce Południowej. Chłopcy chęć kopania skórzanego balonu, który coraz częściej robiony jest z syntetyków na Dalekim Wschodzie, wysysają z mlekiem matki. Uczą się tego od ojców. A ojcowie, nawet ubodzy duchem, tę jedną rzecz swoim synom zawsze przekażą. Jak uderzyć z półwoleja, jak zagrać piętką i że nie gra się z czuba. Miłość do piłki im przekażą.

Więc gdzieś tak w klimacie dwa tysiące siódmego roku i lat kolejnych – bo co się w Warszawie w dwa tysiące siódmym roku zmienia, do Rabki spływa aż przez kilkanaście miesięcy – zapisują Magdę na piłkę nożną do grupy dziecięcej rocznik dziewięćdziesiąt siedem. Elce od razu świta pomysł w głowie, żeby i Jaśka tam zapisać, dzwoni do Maryśki i razem z Lechem ich zapisują, roczniki dwa tysiące i dwa tysiące jeden chłopców. Łukasz mówi, że całe towarzystwo będzie woził, i nie chce przyjąć zrzutki na benzynę, bo honorowy jest jak góral, chociaż może nie tak charakterny. Ale różni są górale przecież. Łukasz się ostatnimi czasy bardzo rodzinny

zrobił, Magdę wszędzie bierze i jeszcze innym dzieciom by dał siebie, choć ludzie nie wiedzą dlaczego. Tylko ja wiem, patrząc z bliska, że całą tę miłość do Anki, która się od niej odbija i do niego wraca, musi gdzieś ulokować.

Jz 5, 79-88

Podhale Nowy Targ ma sztamę z Wisłą i wojnę z Cracovią. Cracovia ma sztamę z Legią, a Legia z Pogonią Szczecin. Pogoń Szczecin ma wojnę z Fordonem Toruń, a sztamę z Budowlanymi Bydgoszcz, bo Bydgoszcz ma zawsze wojnę z Toruniem. Łódź ma wojnę z Warszawą, więc i Widzew, i ŁKS powinny mieć sztamę z Podhalem. Albo wojnę.

Lechu próbuje sobie to wszystko poukładać w autokarze. Mijają Jordanów, Zator, Wadowice, za oknami pojawiają się kopalnie, o jakich uczą się na lekcjach przyrody. Takie kółka na długich nogach jak w *Imperium kontratakuje*, co mu tata pokazywał niedawno na VHS-ie.

Kopalnie dają węgiel, a węgiel to sól tej ziemi. Taka czarna sól, więc jakby odwrotność soli, ale jednak sól.

– Ej, nie śpij – szturcha go Jasiek, który siedzi obok. – Kopalnie widzisz? Albo te *Gwiezdne wojny*.

– Cicho, konusy – upomina ich chłopak ze starszej drużyny. – Modlić się!

I tylne siedzenie w autokarze rży. To zawsze najgorsze miejsca, najbardziej tam chce się rzygać, nawet jak nic nie pijesz. A najbardziej pożądane. Normalnie by tam już była flaszka rozpijana, poza dwiema sytuacjami, kiedy nie jest. Pierwsza, to kiedy drużyna jedzie na mecz, bo piłka jest święta, nie po to tyle trenują, tyle sobie odmawiają na co dzień i wysilają się na treningach, żeby na mecz mieli wyjść najebani i z już dopisanymi ujemnymi punktami jakby. A druga sytuacja – kiedy jadą na pielgrzymkę kibiców do Częstochowy.

W alei Najświętszej Marii Panny idą obok siebie wszystkie szaliki, a Matka Boska zsyła na nich pokój. Zabiera im wszystkim serca, ale na sekundę, czyści ze rdzy, z frustracji, z „kurwa, wypierdalaj", ze wszystkiego, co w nich zalega i gnije, a potem oddaje takie czyste, jakby dziecięce. Nie domyka im zastawek, żeby byli otwarci na świat. Żeby nie trzymali gardy, tylko ramiona otwierali szeroko.

I idą jak baranki potulni pokłonić się cudownemu obrazowi Matki Boskiej. Ksiądz kapelan cały na czarno jak sędzia piłkarski w dwudziestym wieku prowadzi ich, wiedzie przed Jej oblicze i wtedy te serca się wypełniają miłością, na sekundę, ale zawsze to coś. Z obrazu patrzy na nich kobieta o bardzo ciemnej skórze, a nikt przez tę sekundę nie pomyśli, że czarnuchy powinny wypierdalać z Polski.

Magda wchodzi do kaplicy z obrazem pierwsza z Podhala, bo chłopaki przepuszczają przodem dziewczyny. Taki polski zwyczaj przecież. I Magda się zastanawia, jak to jest, że wszyscy biali rasiści z całej Polski tak gorąco modlą się do ciemnoskórej Matki Boskiej z obrazu w Częstochowie. Z mamą ostatnio o tym rozmawiała i z tatą, i w szkole, i z koleżankami. I nie rozumie, ale musi zrozumieć, bo jak masz już prawie szesnaście lat, to chcesz zrozumieć cały świat i swoje miejsce na świecie, i siebie.

– Pomóż mi, Matko Boska, zrozumieć świat – prosi Magda. A Matka Boska milczy, przez co Magda rozumie, że sama będzie musiała poszukać odpowiedzi.

Jasiek jest jeszcze dzieckiem, w przededniu mutacji. Nie wie, o co miałby prosić Matkę Boską, więc mu Matka Boska musi przekazać telepatycznie, że wielką ma rolę w życiu i żeby ją godnie dźwigał. Co w zasadzie mogłaby hurtem wysłać na wszystkie telefony w postaci esemesów, bo w dwa tysiące trzynastym roku to już każdy ma komórkę w kieszeni, nawet dzieci.

Lechu jest jeszcze na pewno dzieckiem, ale on ma pytanie do świętego obrazu. Chciałby wiedzieć, czy jest inny. Czarny, ciemny, kolorowy? Tak czasem słyszy, ale tego nie widzi, nie może na siebie spojrzeć z zewnątrz, z innymi siebie zestawić. I kiedy staje w kaplicy, nie słyszy odpowiedzi, ale ją widzi. Matka Boska na obrazie jest taka jak on. Rysy białej kobiety,

a skóra czarnej. Może on jest inny, ale jeśli jest tylko tak inny jak Matka Boska, jak matka narodu polskiego, co siostra na religii kazała zapisać flamastrem niebieskim, bo to kolor Matki Boskiej, więc jeśli jest taki jak ona, to właściwie jest taki sam jak wszyscy. Mógłby być nawet niebieski, a Matka Boska by go zawsze obroniła, bo by był w jej kolorze.

Z Częstochowy szybko wracają autokarem na trening, bo seniorzy mają ważny mecz w Pucharze Polski. Jak wygrają z Murzasichlem różnicą dwóch bramek, to przechodzą do kolejnej rundy, a to jest do zrobienia. Więc maluchy i średnie roczniki też mają trening, tyle że później. Dziś jest żonglowanie piłką, Jaśkowi udało się odbić ją tylko cztery razy, a Lechu umie już żonglować przez pięć minut. Cudotwórca jakiś.

Z powodu późnej pory przyjeżdża po nich do Nowego Targu Łukasz. Teraz, kiedy już tak podrośli, jeżdżą sami busem we trójkę. Ale Łukasz chętnie pomoże, skoro trening się kończy prawie o dziewiątej.

Wyjeżdżają z miasta i na podjeździe pod górę przed stacją benzynową silnik zaczyna dziwnie pracować, jakby się dusił, światła robią się słabsze, sprzęgło przeskakuje. Łukasz wjeżdża na górę, ale musi jechać ostrożniej, powoli, równo. Korek się za nim robi, bo tam naprawdę nie masz jak wyprzedzić, o ile nie jesteś samobójcą, i auta trąbią „ty chuju".

Łukasz się nie przejmuje, wie, że jak będzie jechał powoli, to dojedzie do Rabki, a jutro go zholujemy do warsztatu. Ale na światłach w Klikuszowej musi się zatrzymać i silnik gaśnie. Rzęzi, piłuje i nie chce zapalić. Objeżdżają go wszystkie samochody, które dowiózł tu za sobą z Nowego Targu, wygrażają mu i kurwują przez szybę. Ale Łukasz jest naprawdę spokojny, bo to bardzo spokojny człowiek. Już chce wyjąć komórkę i dzwonić do mnie, żebym ich ściągnął do Rabki, kiedy zmienia się światło i od strony Ludźmierza wyjeżdża motor.

– Hej, Łukasz, co się stało?! – To Jakub z Ludźmierza. Ostatnio się kumplują, Łukasz był nawet w tym roku parę razy na wyścigach na patelni. Z Anki jakieś napięcie zeszło, coś się w niej zmieniło, mogą sobie znów pojechać do górnej Rdzawki na mszę i potem siadają na trawie popatrzeć. Magda tylko nie zawsze chce z nimi zostać, czasem prosi tatę, żeby

zapakowali rower do bagażnika, i zjeżdża sama wcześniej do domu zjeść sobie sałatkę ze szpinaku z jarmużem. Co Anka z zadowoleniem obserwuje, że jej krew, a Łukaszowi to nie przeszkadza, bo jemu nic nie przeszkadza i on się niczym nie zdenerwuje.

– Łukasz! Może pomóc, inżynierze? – powtarza Jakub. Kumplują się też dlatego, że pracują teraz razem. Jakub jest brygadzistą na budowie Łukasza, tak im się trafiło, kościół remontują w Mszanie. Chociaż nie wiadomo, po co w Mszanie kościół, jak tam same pijaki i rastafarianie. Już lepiej niech go na świątynię buddyjską przerobią. Ale może to tylko Rabka tak plotkuje.

– O, Jakub. Nie, dziękuję. – Pokażcie mi Polaka, który odpowiada inaczej na propozycję pomocy niż „nie, dziękuję", więc co się dziwić, że Łukasz robi tak samo. Ale po chwili się mityguje. – A wiesz, właściwie to mógłbyś. Jakbyś mnie popchnął, żebym zapalił i na Rdzawkę wjechał, toby mi pomogło. Dzieci wiozę.

– Dzieci wieziesz? – Jakub zagląda do auta. Macha mu Magda z przedniego siedzenia trochę zdezorientowana, bo świata jeszcze nie rozumie, a Matka Boska odmówiła współpracy i teraz Magda nie wie, co to za dziwne pobudzenie przy tych motocyklach albo motocyklistach. Jakby jej ktoś manetką gazu dodawał. Oj, lubią z Anką na te wyścigi na patelni popatrzeć, matki krew.

Z tyłu dwóch bąbli. Posnęli ze zmęczenia po całym dniu, pielgrzymce i treningu.

– To chyba nie twoje, co, ojciec Wirgiliusz? – żartuje Jakub.

– Nie – śmieje się Łukasz, ta ksywka mu się podoba. – Ten starszy to Zacharów dzieciak. A młodszy to Józka cieśli i tej Maryśki.

– Maryśki? – pyta Jakub i dziecku śpiącemu uważniej się przygląda. – No rzeczywiście, ciemny jakiś po mamusi. Tobie to nie wadzi, że ona taka czarna?

– Nie jest czarna przecież – oponuje Łukasz.

– Czarna może nie, ale czarniawa. Brudnawa. Bo ja wiem, jak to powiedzieć? No taka jakaś… ciapata.

– Ciapata? – dziwi się Łukasz. – Nie ma takiego słowa.

– To będzie – wkurza się nieoczekiwanie Jakub. Wyprostowuje się gwałtownie i mówi Łukaszowi w twarz: – Ciapata kurwa jebana.

Zawisa to jak siekiera, a halny odbija to zdanie o Turbacz, o Stare Wierchy, o Giewont. Łukasza jednak nic nie zdenerwuje. Gdyby nie obawa przed rakiem i kampanie antynikotynowe, toby sobie teraz pykał z fajeczki.

– To podepchniesz nam to auto, mocarzu? – żartuje jak gdyby nigdy nic.

A Jakub jak gdyby nigdy nic popycha samochód przez światła. Inne samochody nie trąbią, bo je ręką zatrzymał, więc stoją i czekają. Auto się krztusi raz, drugi i odpala. Łukasz mruga dwoma kierunkowskazami na podziękowanie. A Jakub zawraca do Ludźmierza. Nie będzie jechał do Klikuszowej, przed Matką Boską Ludźmierską się pokłoni, bo ma sprawę do niej ważną. A jak nie, to z sąsiadem przy wódce pogada, bo tak nie może być, że wszystko jak gdyby nigdy nic.

Jz 5, 89-93

– Dobra, Łukasz, dojedziesz? Z górki się zepchniesz na Norwida, to zapalisz. A my obejrzymy, co jest, ja już chyba nawet wiem – mówi Andrzej do słuchawki. Żegna się, rozłącza i mówi do mnie: – Łukasz przyjedzie, auto mu siadło w drodze. Rozrząd mu trzeba będzie zrobić, coś tak czuję. Bardzo prosił, żeby to na jutro było, bo w niedzielę jadą z Anką nad Białkę i Zacharowie też. Ciebie nie biorą?

– Proponowali, ale ja mam inne plany – odpowiadam. – Ale dziś mogę zostać dłużej, jutro też, jak będzie trzeba. Rozrząd trzeba zrobić, tak?

– Taaa… – mówi Andrzej. Coś go jakby gryzie. Jakby mu brakowało Jędrka, że przyjdzie i pogada. Wiadomo, wyjazdy do Niemiec mają, drugie życie chyba, a może i pierwsze. Ale między tymi wyjazdami Jędrek jednak z babą siedzi. Jakieś interesy swoje robi. Stał się taki obcy. Może i kradną razem samochody, kto ich tam wie, ale koni już by razem nie kradli.

A może mu brakuje w ogóle kogoś, z kim by pogadał? Bab ma, ile chce, ale baby nie są od gadania. Żenić mu się nie chce. Do domu przychodzi, piwo otworzy i w telewizor popatrzy.

– Jędrka dawno nie było – zagaduję.

– Tak, jakieś swoje biznesy robi. Ale jedziemy do Reichu za tydzień. – Oczy mu rozbłyskują. Tak, tam na pewno jest pierwsze życie.

– Może się tam szef przeprowadzi?

– Do Szwabów?!

– No a co?

– Oj, młody, jak ty coś wymyślisz! Komu ja będę kibicował? Hercie Berlin?

– A komu szef kibicuje?

– Jak to? Wisełce. Wiśle Kraków.

– To może szef kibicować na odległość. Samolotem z Berlina to chyba tyle samo co autem z Rabki przez te korki na zakopiance – żartuję, a że żart celny, to się obaj śmiejemy. Ale za chwilę Andrzej poważnieje, jakby miał mi wyjawić największy sekret życia.

– Wiesz… Myślałem o tym nawet, żeby tam zostać. Język już trochę znam. *Mein Name ist Andrzej, ich wohne in Rabka und ich bin der Herr des Lenkrads*. Wiesz, co to znaczy? Sprawdź sobie w translatorze w internecie. Kontakty mam, fach w ręku mam. Zarabiałbym w euro lepiej niż tutaj.

– Ale tutaj jest szefa dom – podpowiadam.

– Ojczyzna – poprawia Andrzej. – Ale ojczyznę możesz mieć w sercu, a na święta śmignąć autostradą. Wiesz ty, młody, jakie w Reichu są autostrady? Umieją w tej Unii jednak drogi budować.

– To o co chodzi?

– Oni tam mają takie multi-kulti, że idzie ocipieć.

– Ale o co chodzi?

– Chodzi o to, że tam wszystko jest normalne. Masz kościół, a obok meczet. Masz na podwórku dzieci białe i takie ciemne, jak by to określić…

– Ciapate – podpowiadam, bo gdzieś takie słowo usłyszałem.

– O właśnie, takie ciapate. Masz na ulicach takich w skórach albo na kolorowo ubranych jak papugi. Pedałów, tylko oni nie mówią pedał, jakoś tak inaczej…

– Gej. – Chyba zaczynam robić za słownik współczesnej polszczyzny.

– O tak. Gej okej, takie hasła sobie wypisują. Paradują z tym po ulicy i nikt im nawet wpierdolu nie spuści. Za rękę chodzą, całują się. Widziałeś kiedyś, jak się facet z facetem liże?

– U nas nie.

– Bo u nas tego nie ma. Ja wiem, że są takie zboczenia, ale to sami w domu, jak nikt nie widzi. I w Rabce tak było od wieków, i tak będzie. A te Niemcy, ta Warszawa… Ja tam lubię pojechać do Berlina albo chociaż do Lipska, jak do Disneylandu, w którym w dodatku nie muszę wydawać kasy, tylko zarabiam, i to nieźle. Na twoją pensję też zarabiam, młody.

– Dziękuję, szefie, a podwyżka będzie?

– Ja ci, kurwa, dam podwyżkę. – Andrzej niby to się złości. – Ale premię ci jakąś dołożę, tylko uwiń się z tą robotą dla Łukasza, dla znajomych pracujemy szybko. Widzisz, to jest właśnie Rabka, tu wszyscy są znajomi. A w tym Berlinie wszyscy obcy. Jakby z innej planety.

– Ale laseczki niemieckie fajne. Dużo potrafią, szefie?

– Aaaa… – Andrzej macha ręką. – Dziwki Turczynki albo kurwy z Polski. To ja ci już powiem, że wolę te, jak to powiedziałeś, ciapate. Przynajmniej nie wyjadą nagle z tekstem „bier mnie od tyłu”, bo wtedy wszystko człowiekowi opada. Już jak do tego Berlina jadę, to się wolę poczuć jak na innej planecie. A potem wracam tu do siebie, do Rabki.

– Starej, dobrej Rabki.

– Taa. Wiesz co ci, młody, powiem? Czytałeś, że Hitler sobie tysiącletnią Rzeszę wymyślił? I chuj mu z tego wyszło na szczęście. A ja ci powiem, że ja widzę taką tysiącletnią Rabkę. Warszawa będzie się pierdolić, Kraków, wszędzie geje i pełno ciapatych. A Rabka będzie, jaka była.

– A jak cosik zacznie się dziać? W imię Ojca i Syna, za chwilę? U nas?

– Wypluj to słowo, młody. I bier się do roboty, Łukasz podjeżdża.

Jz 6, 1-18

– Tato, tato, raz możemy nie pójść do kościoła. Derby Krakowa to jest taki supermecz – męczy Lechu.

– To rano pójdziemy do kościółka, a potem wsiądziemy w auto i pojedziemy – odpowiada spokojnie Józek.

– Oj tato, ja się nie będę mógł doczekać.

– Wiesz co, Józek? Czuję, że Pan Bóg się nie pogniewa, jak raz nie pójdziemy na mszę w niedzielę i zrobimy sobie wyprawę do Krakowa. Możemy sobie iść najpierw do galerii, a potem ja obejrzę kościół Mariacki, bo nigdy jeszcze nie byłam, a wy pójdziecie na mecz. Albo dobra, pójdę z wami.

Tak oto spotykają się trzy wielkie religie. Trzy wielkie religie współczesności.

Pierwsza to religia Boga, nadzieja na zmartwychwstanie i życie wieczne. Jest jeden Bóg, czy to w kościele przy parku, czy w kościółku na Rdzawce, czy w meczecie, chociaż Maryśka już sto lat nie była w meczecie, nawet nie za bardzo pamięta. I jest jeden raj. A czy z powabnymi hurysami i co za tym idzie, z wieczną erekcją, czy z bezpłciowymi aniołami, to się okaże. Chociaż mogą tu wyjść niespodzianki, bo co to jest na przykład takie „świętych obcowanie"? Wielka orgia bez ograniczeń w czasie i przestrzeni?

Druga to religia konsumpcjonizmu. Jej świątynią są galerie handlowe, jej obietnicą dobra doczesne, a zaspokojenie chęci posiadania nie jest możliwe. To się musiało pojawić w wielkich miastach, skoro warszawiaki tak odchodzą od religii Boga. Dla takiego warszawiaka życie traci ten napęd, bo kiedy znika dążenie do życia wiecznego, to do czego taki warszawiak ma pędzić? Do śmierci? Dlatego budują w tych Krakowach, Berlinach czy Warszawach od pyty galerii, stawiają je sobie gęściej niż kościoły parafialne. Chodzą tam warszawiaki co niedziela szukać sensu

życia między bluzkami i najnowocześniejszą elektroniką. A zamiast komunii mają fast food.

A trzecia religia to piłka nożna. Ona łączy wyznawców obu pozostałych religii, ale tylko mężczyzn. Oczywiście mogą sobie na mundialu wybierać miss trybun, mogą sobie w Podhalu tworzyć sekcję dla dziewcząt, mogą sobie nawet zrobić własny mundial i tytuł na pewno zdobędą Niemki, bo takie są postępowe te szwabskie zdziry. Może Maryśka pójść na mecz, ale to trochę na zasadzie dzikiej karty, jakby była na wycieczce oprowadzana: „A tu mamy spotkanie piłkarskie, rozrywkę chłopców na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku". Bo bądźmy poważni – piłka nożna to jest modlitwa wspólna wszystkich facetów na kuli ziemskiej. Gwizdek sędziego jest jak znak krzyża, półksiężyca i gwiazda Dawida w jednym oraz inne mniej ikoniczne symbole z ying i yang na czele, który świetnie się wpisuje w minimalistyczną estetykę czasów współczesnych.

Piłka nożna łączy cały świat męski. Nawet jak jedziesz do tej spedalonej Warszawy i idziesz na mecz z Legią, to nagle widzisz, że to nie jest tak, że całe miasto to wypindrzone geje. Idziesz na trybunę gości i widzisz po drugiej stronie Żyletę pełną dzikich zwierząt, wojowników takich jak ty. Wyznawców piłki. Chcesz ich zabić, rozszarpać, przegryźć im grdykę i nienawidzisz jak psów, bo to kibice wrogiej drużyny, która jest dla ciebie szmatą i kurwą i nie jest godna, żeby cokolwiek. Okej. Ale też zyskujesz odrobinę szacunku dla miast, że tam też są ci, którzy kochają piłkę. Myślisz sobie, że pewnie też haratali kiedyś w gałę po lekcjach, że kochają swoją drużynę, choć haniebnie ulokowali swoje uczucia. Są trochę tacy jak ty.

Jak oni muszą się czuć w tym obcym mieście, między tymi garniturowcami wypielęgnowanymi u manikiurzystki, u fryzjera, u stylisty? Andrzej się tak raz zastanowił po meczu wyjazdowym, na który z Wisłą pojechał, i mi to wszystko opowiedział. Pewnie w podziemiu żyją, kanałami się poruszają, nie wychodzą przed zmrokiem, żeby ich psy nie zobaczyły.

Lechu ma dwanaście lat i nawet jeszcze nie szuka odpowiedzi, kim jest. Kocha mamę, tatę, Boga, którego przyjął w Pierwszej Komunii Świętej i dostał z tej okazji telefon komórkowy, ale nie ma sensu się nad tym zatrzymywać, bo Boga to on i tak ma w sercu. Ale kocha też piłkę, kocha soczyste uderzenia na bramkę, potrafi już tak piłkę kopnąć. I kocha mecze w telewizji, kiedy aniołowie, kiedy herosi, kiedy bożkowie strzelają gole w największych świątyniach współczesności na Estadio Santiago Bernabéu, na Camp Nou, na Wembley. To jest najpiękniejszy obrządek, bo powtarzany z każdego ujęcia, w zwolnionym tempie, do upojenia.

A teraz mają pierwszy raz iść na mecz, o którym chłopaki w klubie gadają od miesiąca. Derby Krakowa. Wisła, bo tu się kibicuje Wiśle, a jak ktoś zażartuje, z czego trysła, to ma od razu w ryj, więc Wisła rozjedzie Cracovię. Pasy to kutasy, o, to jest dobry żart. Chociaż Lechu z Jaśkiem się z tego akurat nie śmieją, żeby się nie musieli spowiadać z brzydkich słów.

Jasiek na derby nie jedzie, bo stary Zachara machnął ręką, a Elka tylko zażartowała: „Pierdolić derby. Pojedziemy po mszy na lody do Nowego Targu, zanim jesień przyjdzie" i mrugnęła do Jaśka okiem, a chłopakowi wydało się to też jakoś tam atrakcyjne.

Ale Lechu to będzie miał! Zobaczy z bliska Brożka, bo dwunastoletni chłopcy kochają strzelanie bramek i uwielbiają napastników, którzy są przez Boga po to stworzeni, żeby je strzelali. Paweł Brożek ma nawet takie nazwisko jak bożek.

Ruszają do Krakowa o siódmej, bo Maryśka chce być na samo otwarcie galerii. Nikt jej nie powiedział, że galerie otwierają o dziesiątej, w Rabce wszystko otwiera się przecież o ósmej, a o szesnastej, maksimum siedemnastej zaczyna się wieczór. Myć ząbki, paciorek i spać.

Więc najpierw sobie spacerują w niedzielny poranek we trójkę po Plantach i po pustym Rynku. Lechu biega i gołębie płoszy jak dzieciak mały, ale co mu się dziwić, całe życie w Rabce siedzi poza tym wypadem autokarem do Częstochowy i paroma wyjazdami z rodzicami nad morze – bo Maryśka uwielbia po takim piasku na plaży pochodzić boso albo w sandałach – to świata za dużo nie widział. Więc teraz lata jak dzieciak.

Maryśka się zastanawia, czy któryś z tych gołębi nie mógłby być Duchem Świętym, a jeśli tak, to jak go rozpoznać. A Józek myśli sobie, że jeśli taka ich tu chmara i na parapety ludziom wchodzą i paskudzą na okna, to nie ma się co dziwić, że warszawiaki tylko plastikowe okna se robią. Łatwiej to wytrzeć i się nie weźre jak w drewno, więc biznesu by tu dla niego nie było.

Chodzą po Rynku i widzą, że kościół Mariacki jest otwarty, mogliby pójść na poranne nabożeństwo. Ale Maryśka, pokuszona przez wizję galerii, dzisiaj się zwalnia z coniedzielnej mszy i Józka w drugą stronę ciągnie. No i Bóg już obmyśla adekwatne konsekwencje. Nie karę, bo mamy przecież dwudziesty pierwszy wiek i nie będzie na Maryśkę ogni zsyłał ani klątwy rzucał, zresztą przewinienie niewielkie. Ale myśli nad delikatną konsekwencją, która by Maryśce uświadomiła, czym kończy się zdrada religii Bożej na rzecz konsumpcjonistycznej.

O dziesiątej otwierają się wrota raju. Józek myśli, że więcej w poprzednim miesiącu zarobił, więc może by Maryśce coś kupić, bluzkę albo sukienkę, co tam kobiety lubią. Może małemu grę do komputera, pewnie będzie chciał nową Fifę, jakby stara nie wystarczała. Jakby ludzie sobie tak okna wymieniali, jak się nowe gry na kompa kupuje, to byłby krezusem. Ale niech ma, niech się dzieciak cieszy, wkłada serce w tę piłkę, trenuje, że po treningu to wieczorem nieraz tylko uklęknie, pacierz szybko zmówi i zaraz śpi, to kupi mu tę Fifę, jak będzie chciał. A może i sobie kupi odtwarzacz mp3. Można tam zmieścić kilka płyt w całości, a jest wielkości pudełka zapałek. Będzie sobie mógł wgrać całych Doorsów z komputera i słuchać w czasie pracy.

Jak w tej galerii pachnie, innym światem, taki rajski zapach. I nagle dokonuje się to, przed czym przestrzegają publicyści – rozbicie rodziny. Każdy pędzi do swego jak szalony, jak omamiony, jak otumaniony. Oczywiście spokojnym krokiem idą za rękę po marmurowych podłogach, ale każdy ma tylko swoją konsumpcję w głowie. To jest to zepsucie właśnie warszawskie, krakowskie: zamiast Boga w sercu pożądanie.

Pierwsza odpływa Maryśka do pachnącego mirrą i kadzidełkami sklepu z indyjskimi sukienkami. Że zaraz ich znajdzie, a jakby co, to się zdzwonią,

przecież mają komórki.

Potem Lech się urywa ojcu do wielkiej księgarni, w której można kupić gry komputerowe. I że przecież się zdzwonią, przecież się odnajdą.

A Józek zatapia się w stoiskach ze sprzętem elektronicznym. To nie jest jak świątynia, to jest jak katedra. Boczne nawy wypełnione aparatami fotograficznymi, w których się zapisują zdjęcia i nie trzeba oddawać do punktu, żeby wywołali. W nawie środkowej komputery płaskie jak deska do krojenia chleba. Na chórze odtwarzacze mp3, każdy ma takie malutkie słuchaweczki z białymi kabelkami, że to aż niemożliwe, żeby dźwięk mogły wydawać poza piskiem. Dalej wielki ołtarz z telewizorów, marki Hosanna, Alleluja i Amen. Józek czuje, że już mu dzwonią na tę mszę, już go dzwon wzywa..

– Tato, tato, pójdę do sklepu sportowego zobaczyć szaliki. Może byśmy kupili na mecz dzisiaj? – szarpie go za rękaw Lechu. Bo Fifa na komputer dziś przegrywa z prawdziwym meczem. Nie budzi emocji, a nadchodzący mecz owszem.

Maryśka przymierza, wychodzi, przechodzi, wchodzi, przymierza. Zaczyna rozumieć to zepsucie, to podniecenie. W kościele tak nie masz. Że idziesz do obrazu Świętego Nikodema, stoisz chwilę, a już cię korci pobiec do figury Świętej Łucji przy konfesjonale. A potem do siódmej stacji Drogi Krzyżowej, a jeszcze lepiej do ósmej, bo są wywieszone dookoła nawy na ścianach. Nie, w kościele stoisz w miejscu, a jeśli dokądś idziesz, to w siebie. Albo odpływasz do swoich marzeń, jeśli masz marzenia. I marzysz, że Bóg ci w nich pomaga, że też marzy z tobą. Aż do pełnego zjednoczenia w Eucharystii, kiedy Bóg staje się tobą, a ty stajesz się Bogiem.

Józek zastanawia się, czy nie zarobił na tyle, żeby do tej empetrójki, którą już na pewno kupi, nie zainwestować jeszcze w głośnik, też mały, a mocny nad wyraz. Będzie sobie słuchał muzyki głośno, z rozmachem. Ona będzie wchodziła w słoje, okna nasycone Doorsami, a jak puści Queenów albo Blondie, to może będą inne, innego ducha mieć będą, inaczej się drewno będzie starzeć. Stoi i ogląda, i nie wie. Jak w Gaździe są

trzy radiomagnetofony do wyboru, może porównać cenę, parametry i podjąć decyzję. Tu jest oszołomiony, oczarowany. Pewnie podobnie się czują ludzie w raju – oczarowani nieskończoną liczbą najcudowniejszych propozycji. Bo w raju wszystko musi być luksusowe, na najwyższym poziomie. Kwiaty zapierające dech w piersiach, takie pachnące, takie okazałe. Głosy anielskie jak Kate Bush i Madonna w jednym, a nawet jeszcze bardziej anielskie. Łoża z najlepszymi materacami, telewizory nie grubsze niż sieć pająka, kawa najlepsza we wszechświecie. Wszystko zachwyca, nic nie powszednieje, święto nieustające stąd do wieczności.

A Lecha spotyka niespodzianka. W sklepie sportowym szalików klubowych nie ma. Lechu tego nie rozumie, bo jest dzieckiem, ale to przecież jasne – kibice nie przychodziliby tu kupić szalika swojej drużyny, tylko zniszczyć szalik wroga. Nie przeciwnika, bo w piłce nożnej są wrogowie, z czego też Lechu jeszcze nie do końca zdaje sobie sprawę Na razie jest rozkochany w piłce, nie tylko trenuje, kopie, ale też czyta, ogląda i analizuje.

Niespodzianka jest jednak inna. Przed derbami Krakowa będzie spotkanie z byłym piłkarzem Wisły, który dzisiaj jest trenerem Górnika Zabrze. Lechu próbuje sobie w głowie odtworzyć, czy Podhale z Górnikiem ma kosę, czy sztamę, ale nie jest w stanie. Ważne, że trener był też asystentem Leo Beenhakkera w reprezentacji Polski. A jak prawdziwy Polak kocha swoją ojczyznę? Poprzez miłość do reprezentacji piłkarskiej.

Zaczyna się za godzinę, krzesła już przygotowane. Lechu siada w pierwszym rzędzie i czeka. W końcu pojawia się trener, paru gości, bo kto przyjdzie w Krakowie na spotkanie z trenerem Górnika w dniu derbów? Może tacy, co pamiętają trenera jako piłkarza, ale to są jakieś dinozaury albo leśne dziadki w wieku dziadków Lecha. A Lechu dziadków nie ma, ci od strony mamy zginęli na dalekiej wojnie, a ci od strony taty to jakaś tajemnica jest.

Trener ocenia do mikrofonu szanse Wisły: oczywiście Wisła wygra, pokona, zaatakuje, chociaż będzie musiała mieć się na baczności. Lechu już zna te okrągłe banały i nie może się doczekać, kiedy mikrofon trafi do

publiczności. W szkole by się może wstydził, jak to dzieciak, ale nie tutaj, prawie że na boisku piłkarskim, tu czuje się pewnie jak Robert Lewandowski, taki młody napastnik.

– Panie trenerze, pan kiedyś pracował w reprezentacji, to myśli pan, że po remisie z Czarnogórą mamy szanse na awans? – pyta Lechu.

– Matematyczne. A piłka to nie matematyka, tylko sport – uśmiecha się do dziecka trener.

– A dlaczego nie wygraliśmy tego meczu? – dopytuje Lechu.

– Za słabo atakowaliśmy.

– Z czego to wynika? Może Lewandowski potrzebuje wsparcia w ataku. To chyba nie przypadek, że prawie przez półtora roku nie strzelił bramki. – Lechu nie daje za wygraną.

– No, widzę, że rośnie nam tu mały trener reprezentacji. To powiedz nam, chłopcze, jakie widzisz wsparcie dla Lewandowskiego?

– Arkadiusz Milik.

– Ten, co odszedł z Górnika do Bayeru Leverkusen? – Trener jest trochę zdziwiony wiedzą chłopca.

– Teraz go wypożyczyli do Augsburga – mówi Lechu. A po widowni przebiega szmer.

– Tak, rzeczywiście… – Trener traci rezon.

– To zupełnie inny typ napastnika niż Lewandowski. Nie ma takiego wyszkolenia technicznego, ale jest bramkostrzelny i szybki. Uderzenie z dystansu ma chyba nawet lepsze od Lewandowskiego.

– Skąd ty o tym wszystkim wiesz? – Trener nie kryje zdumienia.

– Czytam, a czasem jak pójdziemy z wujkiem Staszkiem do wujka Andrzeja, to oglądamy mecze na niemieckiej kablówce.

– Czyli Milik, powiadasz?

– Tak – odpowiada Lechu. – On jest młody, może się bardzo rozwinąć.

– Rozwinąć skrzydła – dopowiada trener.

– Skrzydła to drugi problem. Jakbym był trenerem, tobym poszukał dla Błaszczykowskiego takiego partnera jak kiedyś Krzynówek. I najlepszy byłby Grosicki.

– Grosicki?

– Tak, tylko trener musiałby pomóc mu się odbudować w reprezentacji. No i nie może wychodzić na cały mecz, bo on tak mocno biega, że nie da rady przez pełne dziewięćdziesiąt minut – ciągnie Lechu. – To nie problem, ale problemem jest brak spokoju w środku pola.

– No, dlatego Fornalik przegrał eliminacje – przyznaje trener.

– Na lidera pomocy wyrasta Krychowiak, ale musi do tej roli dorosnąć. A na razie sięgnąłbym po Milę. On jest starszy, ale mądrzejszy. No i potrafi huknąć z daleka, nawet Niemcom mógłby bramkę strzelić – wylicza Lechu.

I wtedy z krzesła w dalszym rzędzie podnosi się facet: prawie dwa metry wzrostu, wąsaty, z szalikiem Wisły. Rękę podnosi, że będzie mówił, mikrofonu nie chce, bo jemu w płucach halny dmie.

– Trenerze, ja przepraszam, już muszę wychodzić, ale chciałem tylko dwa słowa do młodego. Bo tak się, młody, znasz na piłce, że mi to zaimponowało, chociaż szczawik jesteś. I ja ci chciałem dać teraz ten szalik Wisły. – Zdejmuje go z szyi i podaje Lechowi. – I powiedz mi, skąd jesteś? Z Rabki? To ja ci jeszcze na przyszłość powiem, że ja jestem z Harkabuza, prawie krewniaki jesteśmy. Pytaj o prezesa GS-u, to ci każdy powie. A zresztą i wizytówkę ci dam, jakżeś taki ekspert. I jakbyś czegoś potrzebował, to wal jak w dym, nawet w środku nocy. Bo takim jak ty trzeba pomagać, żeby nas ta Unia nie przerobiła na tanią siłę roboczą.

– Dziękuję, dziękuję – odpowiada góralowi trener. A że inni zaczynają się podnosić, że to już koniec spotkania, kiwa na Lecha. – Ty, młody, poczekaj. Narysuj mi tu, gdzie widzisz Milika. Fałszywa dziesiątka?

– Już trenerowi wszystko pokażę…

Siadają przy stoliku, zaczynają rysować, bazgrać na kartkach, cały notes trenerowi zapisują we dwóch. Dyskutują, kłócą się, przekonują. Nie jak trener i dzieciak, ale jak mistrz i mistrz. Trener prosi o wodę, dwie

szklaneczki i dalej tworzą zręby kadry, która pokona Niemcy, pojedzie na mistrzostwa i da Polsce dumę. Godzinami nad tym siedzą, aż się obsługa sklepu zaczyna niecierpliwić, bo pora zamykać, w niedzielę krócej czynne, tylko do dziewiętnastej.

I wtedy do sklepu wpada roztrzęsiona kobieta w długiej indyjskiej sukience, a za nią zdenerwowany mężczyzna.

– Tam jest, popatrz, tam siedzi – krzyczy mężczyzna.

A kobieta podbiega, przyklęka, łapie Lecha za ręce i zawodzi:

– Lechu, czemuś nam to uczynił?

– Ale co, mamo? – Lech powoli wraca na ziemię.

– Myśmy cię z ojcem pół dnia szukali. Ojca serce rozbolało.

– Sorki. Ale ja mówiłem tacie, że idę do sportowego. Czemuście mnie tu nie szukali?

– Tata myślał, żeś poszedł na mecz ze mną, a ja, że z ojcem jesteś. Komórki nie odbierasz.

– Przepraszam, rozładował mi się telefon – tłumaczy się Lechu, ale patrzy, że komórka działa, tylko ją przed spotkaniem wyciszył i ma teraz dwadzieścia nieodebranych połączeń. – Przepraszam.

– Martwiliśmy się, że ci w tym mieście coś zrobią, synku. – Józek już się uspokoił i przytula Lecha. Chyba ostatni raz w życiu, bo Lechu przestaje już być małym chłopcem. Staje się nastolatkiem, a nastolatkom wyrastają kolce jak u jeżozwierza i trudniej je przytulać

Na razie biorą się wszyscy za ręce i idą do samochodu. Tylko trener siedzi nad notatkami i coś jeszcze dopisuje, rozrysowuje.

– Przepraszam, zamykamy – mówi dziewczyna z dużym znaczkiem „Ania, chętnie pomogę" na piersi.

– Nie, to ja przepraszam – odpowiada trener. Patrzy na zegarek i wali ręką. – A niech to, derby się już kończą.

Jz 6, 19-30

A taka mucha to jest życie czy biologia? Chodzi między szklankami, podfrunie, bzyknie. Bez sensu trochę, bo co to jest mucha w październiku? Wszystkie inne się już zahibernowały albo co.

Maryśka obserwuje muchę, bo od rana taką mobilizację z Pauliną miały, że już są gotowe, chociaż do meczu jeszcze ponad godzina. Więc może się pozastanawiać nad sensem życia muchy.

Muchę to tylko pacnąć ścierką, co to za życie. Ale już z gołębiem jest inaczej. Ksiądz to nawet hoduje gołębie. Duch Święty może przybierać postać gołębicy. Czemu nie gołębia? Bo gołąb jest chucią splamiony, a gołębica nie? Może... Ale czemu nie muchy? Mucha to jest kompletnie byle jaka.

A ona? Jest inna, ma inne życie za sobą. Pamięta inne miejsca. Nie bawiła się z koleżankami w borach wysokich sosnowych, tylko na pustyni. Inny język? Po jakiemu myśli? Już po polsku, z mamą przecież zawsze po polsku mówiła. Po arabsku mogłaby mówić, w ogóle do języków jest utalentowana, wieloma językami by mogła mówić, gdyby miała chwilę, żeby się pouczyć. Więc mówić by mogła i pisać, ale myśli już po polsku.

Nikt tej zmiany nie zauważył. Skórę ma ciemniejszą, jak miała. Józkowi to się nawet podoba, nawet bardzo. Pieści ją, „czekoladko", „czarnulko", „słoneczko opalone". Lubi to, czuje, że ma oryginalną urodę. Pamięta, jak się na nią w Krakowie gapili, jak po galerii sama biegała. Aż wstyd jej się robiło.

Ale w Rabce też się czasem gapią. Że inna, nietutejsza, obca, skórę ma brudną, duszę ma zabrudzoną, zanieczyszczoną obcą domieszką. Nigdy nie będzie góralką, nigdy nie będzie Polką, nigdy nie będzie miała prawa powiedzieć „kto ty jesteś, Polak mały". Swoją drogą to seksistowski wiersz, Anka tak mówi, bo nie ma „kto ty jesteś, Polka mała". Jak by się wtedy rymowało? „Jaki znak twój? Gołębica biała"?

Są kochani, tacy z sercem na dłoni, jak Elka. Albo tacy, którzy nie są wylewni, ale serca dobre mają, jak stary Zachara albo Łukasz. Łukasz to się

też zawsze uśmiechnie i Maryśka czuje, że ten uśmiech dla niej jest szczególny. Tacy prawdziwi chrześcijanie.

W ogóle Maryśka czasem myśli, że najlepiej byłoby żyć w czasach pierwszych chrześcijan. Takich z sercem na dłoni i z nadstawianiem drugiego policzka. Józek taki jest. Dlatego go pokochała, zanim się w nim zdążyła zakochać. Najpierw poczuła miłość, a potem te motyle w brzuchu, które każda dziewczyna pod każdą szerokością geograficzną czuje, tylko nie wszędzie może sobie na to pozwolić. I nie w każdych czasach.

Dziś pewnie o to łatwiej niż w erze pierwszych chrześcijan. Ale coś w tamtym okresie było pięknego. Nie było jeszcze wojen między mahometanami a chrześcijanami, bo nie było jeszcze Mahometa, a Jezus był prorokiem wyznawców islamu. Nie było wojen między chrześcijanami a żydami, bo wszyscy pierwsi chrześcijanie byli Żydami z krwi i kości. Coś takiego jak w *Imagine* Lennona musiało być, myśli Maryśka i zaczyna nucić w głowie.

Do baru podchodzi Adaś.

– Jeszcze dwa piwa, kierowniczko.

– Adaś, ale to ostatnie. Bo za godzinę zaczną się schodzić na mecz – odpowiada Maryśka spokojnie. Jest tu nie tylko kierowniczką, barmanką, ale też niezależną przychodnią psychoterapeutyczną i agencją ochroniarską w jednym. Jej nie przeszkadza, że Adaś przychodzi na piwo z przyjacielem. Ale wie, że są tacy ludzie i takie sytuacje, że mogą być wtedy problemy.

– Jasne. – Adaś szybkim ruchem zabija muchę na kontuarze. Bo co to za stereotyp, że gej ma kochać wszystkie stworzenia i nie skrzywdzić nawet muchy? Gej ma nie dać sobie zrobić krzywdy, dlatego obaj wypijają piwo niemal duszkiem i znikają.

Teraz wszystko gotowe na mecz, myśli Maryśka. I to jest bardzo pragmatyczne myślenie. Szklanki pomyte, mucha zabita, geje wyszli.

Za godzinę przychodzi husaria roku Pańskiego dwa tysiące czternastego. Do boju. Szaliki biało-czerwone. Andrzej siada przy stoliku z najlepszym widokiem na telewizor, trzyma miejsca dla najbliższych

kumpli. Jędrek przychodzi chwilę później, wita się z Pauliną, która dziś też zmobilizowana na wieczór, co Paulinę w pierwszej chwili dziwi, skąd się tu mąż wziął, ale Jędrek dzieciaki teściom właśnie podrzucił i się na mecz karnął. Dobry ojciec w sumie, dzieciakom przywiezie niemieckich cukierków, a żonie trypra nie sprzedał, widać za granicą w gumie rucha.

Jakub z Ludźmierza na motorze przyjeżdża, w skórzanej kurtce wchodzi, kask na stół rzuca. Zaraz za nim wchodzą Kacper, Melchior i Bazyli, we trzech przyjechali jak zwykle, królowie Mszany. Witają się, patrząc sobie w oczy, nie jak warszawiaki, co patrzą zawsze za ciebie, przez ciebie, jak powietrze cię traktują. Już jest zgoda między Bazylim a Jakubem, od lat. Ale Andrzej wskazuje im miejsce przy sąsiednim stoliku, żeby sobie usiedli. Tu królowie Mszany, a tu trzej królowie Rabki i okolic, bo przecież Jakub z Ludźmierza, to jest z dwadzieścia kilometrów, czyli na motorze ze trzy minuty.

Wchodzimy razem ze starym Zacharą. Jego wprawdzie piłka nożna niezbyt obchodzi, ale mecz z Niemcami to nie jest mecz piłki nożnej. Mecz z Niemcami to jest zawsze bitwa pod Cedynią, bitwa pod Grunwaldem, w polu karnym zaparkujemy wóz Drzymały, przy boisku posadzimy dzieci z Wrześni, obrzucimy Szwabów butelkami z benzyną i wystawimy rachunek za powstanie warszawskie. Wprawdzie, jak to powiadają, „Rabka-Zdrój – Warszawa-Chuj", ale to są nasze wewnętrzne porachunki, nie będzie nam Niemiec stolicy bezkarnie rozpirzał.

– Chodźcie tu, siadaj, młody – woła nas Andrzej. Dwa piwa domawia i zagaduje Zacharę: – Cożeś z Jankiem zrobił? Duży chłopak już, mógłby z nami mecz obejrzeć i piwa się napić.

– Do Koconiów go dałem, jeszcze tam Lechu ma być i Magda oczywiście. Mają z Anką mecz obejrzeć, a Łukasz przyjdzie na męskie granie – mówi Zachara. Maryśka i Paulina uwijają się z piwem, królowie Mszany już drugą kolejkę biorą, degeneraci. Wszystko idzie, jak powinno, mężczyźni piją piwo, kobiety im usługują, a niedługo Niemcy spuszczą nam rytualny wpierdol, bo od Grunwaldu jeszcze się nie zdarzyło inaczej.

Aż nagle otwierają się drzwi, ktoś je przytrzymuje, jakby wpuszczał przed sobą kobietę. I rzeczywiście, Pod Kasztany wchodzi Anka, a za nią Józek. Wita się z Maryśką i z Pauliną, kiwa z daleka do królów Mszany, potem idzie do naszego stolika. A tu wszystkim szczęki opadły. Dziewucha na męskim oglądaniu meczu?

– A gdzie Łukasz? – zagaduje niby neutralnie Andrzej. Chociaż wie, gdzie – w kompletnej dupie, z dzieciakami usadzony, pantoflarz, co udaje warszawiaka, że taki gender w domu mają. Może jeszcze zmywa naczynia i podłogę odkurza. To jest problem, taki jawny zamach na tradycyjne wartości. Póki to w Warszawie było, to ich sprawa, ale teraz się wsącza do Rabki. A to się ciemnoskóra dziewczyna pojawi, a to druga na mecz przyjdzie, a to facet zostaje opiekunką do dzieciaków. Andrzejowi się to nie podoba trochę, Jędrkowi trochę bardziej, a Jakubowi najbardziej, bo on jest najbliżej Matki Boskiej, cudowny obraz ludźmierski ma *vis-à-vis* domu.

– Stwierdził, że sobie z młodymi mecz obejrzy. A ja obejrzę w pubie, a bo co? – Anka jest gotowa zaraz ściągnąć stanik i wywijać nim w Rabce jak feministki w latach sześćdziesiątych w Paryżu. Ale Rabka to nie Paryż, a jeśli już, to najwyżej Paryż przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

– A nic, siadaj, siadaj. Tylko przy naszym stoliku już miejsca nie ma, siądźcie sobie gdzieś z Józkiem, żebyście dobrze widzieli – odpowiada Andrzej. A Jakubowi jakby kamień z serca spada, że się Anka do nich nie przysiądzie.

Józek do Maryśki podchodzi, nie będzie mu piwa podawać, jakoś by się głupio czuł. Sam przyniesie sobie i Ance, tylko Ance z sokiem, bo są granice równouprawnienia i dziewczyny wolą słodsze piwo niezależnie od szerokości geograficznej.

Kiedy wszystko jest już gotowe, wpada Elka Zacharowa. No nie! Że lokalna feministka Anka warszawianka, co ciągle do Krakowa jeździ, przyszła oglądać mecz z facetami, to można jeszcze zrozumieć. Takie bunty sobie odstawia. Ale że Elka?

– Jużem myślała, że nie zdążę. A tu przecież taki mecz dziś, stary Zachara mówił, że trzeba obejrzeć, to ja się męża słucham i będę oglądała. O, Anka! Siedźże, stary, nie wstawaj, buziaczka ci dam w domu, a teraz sobie z Anką i z Józkiem siądę. Marysia, Paulina, chodźcie, dziewczyny, do nas, lejcie piwo i chodźcie. – Elka rozmawia ze wszystkimi naraz, wszystkim odpowiada. A że już pokazują w telewizji hymny obu krajów, to się żegna szybciutko. – W imię Ojca i Syna, zaraz cosik będzie się działo.

Jz 6, 31-39

Piłkarze w telewizji też się szybciutko żegnają w imię Ojca i Syna. Jak to może być? Proszą Boga o zwycięstwo, żeby im dopomógł. Ale jak? Żeby stanął w bramce za plecami bramkarza i interweniował w krytycznych momentach? Żeby złapał za koszulkę nacierającego napastnika drużyny przeciwnej albo go podciął, zanim odda strzał? Za to jest żółta kartka, albo i czerwona; czy Bóg mógłby wtedy dostać czerwoną kartkę?

A podwójnie skomplikowana sytuacja się robi, kiedy obie drużyny proszą o wsparcie tego samego Boga. Mecz Polska–Arabia Saudyjska można by przynajmniej potraktować jako starcie dwóch religii, a nawet swoisty plebiscyt. Kto silniejszy? Nasz Panbucek czy Mahomet? Ale jeśli spotyka się jedno wyznanie i zarówno jedni, jak i drudzy proszą Boga o pomoc? Bóg ma wtedy rozterki wewnętrzne? Walczy z samym sobą? Waży w sobie, kogo bardziej lubi: Niemców czy Polaków?

A sytuacja robi się potrójnie skomplikowana, kiedy po drugiej stronie stają Niemcy. Polacy w imię Ojca i Syna, Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i Bóg z nami, taką gonitwę myśli mają. A ci Niemcy, co oni sobie myślą? *Gott mit uns*? I nie czują się wtedy jak szwadrony SS?

A może każdy mógłby obstawiać inną opcję w ramach tej monoteistycznej religii? Niemcy Boga, a Polacy mogliby ich sprytem podejść. Poprosić Jezusa o pomoc, Króla Polski. Jezusie, Królu Polski,

zwracają się do Ciebie zawodnicy oraz wszyscy kibice, a szczególnie królowie Mszany i królowie Rabki, żebyś pomógł Polsce w tym nierównym boju. Dogadajmy się jak król z królem.

Albo jeszcze lepiej – prośmy o pomoc Matkę Boską. Matka Boska jest przecież Polką i co z tego, że Żydówką? Jest najbardziej polską królową w zaświatach, Jadwiga ani Bona się nie umywa. To zresztą ciekawe, że jak myślimy o polskich królowych, to z trzech, które nam najpierw do głowy przychodzą, pierwsza jest Żydówką, druga Węgierką, a trzecia Włoszką. Może ziemia nasza rodzi wojowników i królów, ale królowych nie? I może to jest problem tej ziemi? Warszawiaki by powiedzieli o nadmiernej maskulinizacji, ale tego nikt by nie zrozumiał poza profesorami, więc zostawmy.

Zaczyna się mecz. Dziewięćdziesiąt minut, to raczej blitzkrieg. Rozstrzeliwujemy Niemców dwa do zera. Pierwszy raz w historii, nie licząc Grunwaldu oczywiście. Pierwszą bramkę strzela Milik, drugą Mila. Polska jest w szoku. Nowy trener reprezentacji, który wcześniej prowadził Górnika Zabrze, a przed laty grał w Wiśle Kraków, jest chyba najbardziej zaskoczony.

Tylko w Rabce dwóch ludzi się uśmiecha, jeden stary, drugi młody. Pod Kasztanami stary Zachara, który ma dar widzenia przyszłości, choć nie zawsze, nie wszystko i nie wyraźnie, i chwała Bogu, bo wtedy by można było chyba zwariować. A w domu u Koconiów uśmiecha się szeroko trzynastoletni Lech Papierz.

Jz 6, 40-52

– On mi te dzieci chyba specjalnie robi, żeby mnie udupić. Przykuć mnie do domu szpileczką jak motyla – skarży się Paulina Maryśce, kiedy zamykają Kasztany.

– Szpileczką to można przykłuć, nie przykuć. Przykuć można kajdanami – mówi Maryśka.

– Oj, co ty, na polonistykę się zapisałaś? Byłabyś najlepsza w grupie dla kolorowych.

Maryśka zatrzymuje się w pół ruchu, a Paulinie robi się trochę głupio. Kurde, walnęła coś bezmyślnie, powtórzyła, co gdzieś jej jednym uchem wpadło, a drugim nie do końca wyleciało.

– Przepraszam. – Ściska Maryśkę za rękę.

– Spoko. – Maryśka się uśmiecha, bo wie, że to się Paulinie wymsknęło. – Ja rzeczywiście jestem trochę bardziej kolorowa, ale świat bardziej kolorowo też widzę.

– A słyszałaś, że warszawiaki tęczę spalili na placu Zbawiciela? – To też Paulinie wpadło jednym uchem, tylko że tu nie za bardzo wie, o co chodzi. – Popieprzyło ich tam w tej Warszawie, jedni tęczę stawiają, inni palą. U nas w Rabce to inaczej, zgoda jest.

W milczeniu krzątają się ze szmatkami, sprzęt wyłączają, po tylu latach każda wie, co ma robić. W Rabce nie jest tak, że się modne knajpy przy Zbawiksie otwierają i zamykają co pół roku i życie jak na karuzeli. Niby fajne, ale chciałbyś w końcu zejść na ziemię i stanąć twardo na nogach. W Rabce cały czas stąpasz mocno po ziemi. Jak na skraju parku przy Tetmajera są Kasztany, to są i będą. I Maryśka z Pauliną będą tam piwo podawać, względnie frytki z mikrofali, bo właściciel nie zamierza inwestować w kuchnię molekularną ani nawet europejską. Bo Warszawa weszła wprawdzie do Unii Europejskiej, ale Rabka to się cały czas zastanawia, a z nią reszta kraju. Rabka stoi w drzwiach, a może wyszła mimochodem na balkon i patrzy, czy by się nie dało buchnąć trochę srebrnych widelców do kieszeni i spierdolić po prześcieradle na pole.

– No i ten, co ja mówiłam… A, że mnie Jędrek te dzieciska tak robi jedno za drugim, żebym się już nigdzie z domu nie ruszyła. Trójkę to jeszcze szło ogarnąć, ale teraz przy czwórce jest ciężko. Mama na szczęście pomoże.

– Błogosławiona kobieta.

– Taa, święta może jeszcze, co? Dług mi spłaca za dzieciństwo. Była jak macocha bez serca. Gdybym ja była warszawianką, tobym latami chodziła przez to na terapię. Ale my tu twardsze jesteśmy. Tylko o pazury dbam, muszę do Elki znowu pójść przed weselem Hanki, bo mi się odklejają – mówi Paulina. Ogląda swoje tipsy i zastanawia się, jakie barwy wojenne byłyby najlepsze. W Rabce kobieta nie ma paznokci, jak te warszawskie pańcie, tylko musi mieć szpony. Na wszelki wypadek.

Hanka Papierz też ma mocne pazury, bo ona sobie życie musi wydrapywać. Przez całe lata wszystko idzie u niej po bożemu – wychodzi za mąż, jeszcze w dwudziestym wieku, rodzi dzieci, mąż ją mało zdradza, ale dużo pije. Dużo za dużo, a jak pije, to bije, a jak już przepija, co ma do przepicia, to z kwiatami przychodzi. Hanka go przyjmuje zawsze, jak Pan Bóg przykazał, a i ksiądz przy spowiedzi potwierdza, że taki ma swój krzyż, a krzyż to się nosi na chwałę Pana. Może warszawiaki myślą, że jak sobie założą krzyżyk na szyję, a potem uprawiają nierząd i nieczystość w dyskotekach, to są katolikami. Ale nie są. Katoliczką to jest Hanka, bo swój krzyż nosi, zęby zagryza i wyje w nocy: „O kurwa, ja już tego nie wytrzymam!". A Pan Bóg jest taki miłosierny, że w ogóle się nie gniewa, że brzydkie słowo powiedziała, choć w prawie kanonicznym to podpada pod paragraf bluźnierstwa. Więc ksiądz ją rozgrzesza w imię Ojca i Syna, i Ducha, a Hanka ucałuje stułę i może z czystym sercem przystąpić do komunii świętej.

Trwa to latami i nikt nic nie wie poza księdzem, którego jednak obowiązuje tajemnica spowiedzi, oraz Panem Bogiem, który z radością patrzy, jak Hanka dźwiga swój krzyż. Jak pięknie go dźwiga! O patrz, Jezus, patrz, synku, jak się krzyż nosi. Nie w godzinę, dwie wejść na górę i hop, po robocie. Tak się krzyż niesie przez wiele lat od świtu do nocy, a i w nocy też, chyba że Papierz uśnie od alkoholu, to jej nie przydybie. Wtedy może se oprzeć krzyż o szafę i się kimnąć do rana, póki się dzieci nie obudzą i nie będą jeść wołały.

Aż zdarza się – wiele lat od tego czasu minęło – ten incydent, że mąż Hanki, który jest strażakiem, zaczyna w tajemnicy podpalać budy, szopy,

chałupy nawet, a potem je gasi bohatersko z zastępem strażaków, a wręcz na czele zastępu. Cała wieś mu dziękuje, Świętym Florianem go zaczynają nazywać, ordery mu do piersi przypinać. Aż się wygada po pijaku w knajpie i pójdzie siedzieć.

Wtedy Hanka się odważa. Najpierw oddychać pełną objętością płuc, bo tak to powietrze tylko do połowy wciągała, żeby nie tracić czujności. Potem przestaje się garbić i kulić. A potem z ludźmi zaczyna rozmawiać, o pracę się pyta, bo musi zarobić na dzieciaki i siebie, a z tego, co w gospodarstwie się urodzi, trudno wyżyć. Dostaje trochę prac dorywczych – tu w gospodarstwie, tu przy sprzątaniu, tu wprowadzanie danych w urzędzie.

I do Józka Papierza, kuzyna dalekiego, też uderza, bo to święty człowiek jest, tak o nim mówią, choć świecki. A Józek jej takie ulotki daje, jakie kuchnie robi, jakie okna, i Hanka ma mu akwizycję robić w Harkabuzie i okolicach. I od każdej kuchni, którą mu narai, będzie miała procent. A potem jej procent w dwójnasób wypłaca, więc Hanka oddycha jeszcze bardziej. A Józek ma też swoją korzyść, rynek harkabuski opanowując.

No i masz – sąd wypuszcza jej męża z więzienia. Ten wraca do domu, ale Hanka już jest wyprostowana, już jej się krzyż nie ima, zsuwa się jej z pleców prostych. I Hanka stawia warunek: wódki w domu nie będzie. Pojadą na Górkę podpisać na rok, a jak nie, to niech się stąd zabiera, tak do męża mówi.

I jadą do Zakopanego do słynnego kościoła NMP Nieustającej Pomocy, gdzie można złożyć ślubowanie, że się nie pije – nigdy w życiu albo czasowo. Taki papier potem jest na Podhalu jak immunitet – jak kto na Górce ślubował, to mu się nie dolewa i nie namawia. Co Papierz Bogu ślubował, tego dotrzymuje. Rok bez alkoholu mija i wtedy idzie w cug. Pije, jakby chciał w tydzień roczne zaległości nadrobić, aż się budzi w Kolonii, zarzygany, bez pieniędzy, pamięta, że je dał komuś na bilet do Ameryki, tylko chyba go oszwabili i w samolot do Niemiec wsadzili na lotnisku Balice, z którego papież wielokrotnie odlatywał do Watykanu. I tam se robotę znajduje, i lepszy świat, i w dupie to wszystko ma, kobitę ma nową, co mu laskę po niemiecku zrobi, a nie wszystko po bożemu, jak na

Podhalu. I przez kancelarię prawną niemiecką Hance papiery rozwodowe posyła, a rozpad związku poświadcza niebawem sąd w Nowym Targu.

Tylko dla Hanki to nie jest takie proste, bo co Bóg złączył, tego niech sąd w Nowym Targu nie rozdziela. Ona już jest skazana na samotne macierzyństwo, zajmuje się dwójką dzieci, Papierz na szczęście alimenty przesyła. Idzie do pracy. Kilka lat pracuje w miejscowym GS-ie, a kiedy dostaje propozycję na pocztę do Nowego Targu, to jej szef nie chce puścić i podwyżkę daje dwieście złotych, bo taka pracowita i ludzie ją lubią. Jednak Hanka mu tłumaczy, że nie o pieniądz tu idzie większy, tylko ona musi się wyrwać z tego Harkabuza. Nie może już tylko do sklepu, do domu, do sklepu, do domu, a największa wyprawa życia to na wywiadówkę do szkoły dzieciaków. Zresztą dzieciaki dorastają, na wakacje do ojca jeżdżą popracować w Reichu, też mówią, że się muszą wyrwać z tego Harkabuza, i szprechają już nieźle, Hanka ich na niemiecki do Nowego Targu zapisała.

I wtedy Pan Bóg się nad Hanką pierwszy raz w życiu lituje. Taką jej premię chyba daje za to noszenie krzyża i że dzieci wychowała na dobrych katolików, i że wierności Papierzowi dochowała. No w samych superlatywach myśli o Hance. I zsyła jej miłość, nowotarskiego listonosza po przejściach, Jurka Kościelniaka. Miły, kwiaty przynosi jak warszawiak jakiś, do nowo otwartego sushi Hankę zaprasza i jedzą rybę owiniętą rybą, Hanka stara się przepis zapamiętać, że sama taką ugotuje. Abstynent, wódki prawie nie pije, a piwo nie częściej niż raz w tygodniu. To Hanka sprawdza w pierwszej kolejności: codziennie, kiedy Jurek rozkłada listy, stara się przejść koło niego i powąchać. Jakby już jej się coś kołatało, jakby chciała sprawdzić pole minowe, nim miłość naprawdę wybuchnie.

Jest to jednak dla Hanki pewnym dylematem moralnym i idzie się z tego uczucia wyspowiadać, ale już nie do księdza, bo się do kościoła instytucjonalnego zraziła, kiedy sobie to wszystko przemyślała wieczorami przez te wszystkie lata. A Pan Bóg jej w tych rozmyślaniach nie przeszkadzał, tylko też słuchał i przytakiwał czasem, co Hanka z kolei doceniła.

Więc Hanka idzie się wyspowiadać na Polanę Rusnakową pod Turbaczem, do kaplicy Matki Boskiej Królowej Gorców. Kobieta kobietę łatwiej zrozumie może. I mówi, że całe życie mężczyznom poświęciła – mężowi, dwóm synom, Panu Bogu, bo to też mężczyzna. I deszcz przy tym pada, jakby niebo płakało z Hanką razem nad tym jej życiem ukrzyżowanym. I Hanka się ośmiela powiedzieć, że chciałaby coś dla siebie jeszcze, póki całkiem stara nie jest. I czy mogłaby poprosić o błogosławieństwo. I wtedy zza chmur wychodzi słońce, i takie błyski rzuca, jakby Matka Boska zajączki Hance puszczała. I tęcza się na niebie pokazuje, a to dobry znak jest, radosny, tak Hanka myśli. Bo nie wie, że warszawiaki tęczę palą, ale to barbarzyńcy, mają swoje wojny, których Hanka nie rozumie i rozumieć nie chce. Ona chce tylko z Jurkiem pójść nad Dunajec w ciepły dzień, koc rozłożyć i się do mężczyzny przytulić, czy by więc mogła?

Idzie z polany do schroniska na Turbaczu zjeść zupę czosnkową, bo takiej zupy w dolinach nie dostaniesz. Tam czeka na nią Jurek, bo razem w te góry poszli, tylko poprosiła, że z Matką Boską to ona chce pogadać sama. Zjadają zupę i schodzą do Nowego Targu za rękę, jakby znów mieli po piętnaście lat, a nie prawie pięćdziesiąt.

Ślub biorą w Nowym Targu, w urzędzie. A potem wesele będzie w Harkabuzie, w remizie je wyprawią. I Hanka jeszcze nie wie, że o tym weselu ludzie będą gadać przynajmniej przez dwa tysiące lat.

Jz 6, 53-73

– A może ta będzie dobra? Co? Nie? No nie, dekolt za duży, tak mam wyjść? – Maryśka od pół godziny nie może się zdecydować, w co się ubrać na wesele Hanki. A Józek się dziwi, żony nie poznaje. To jest ta Maria, która przyszła do Rabki na piechotę od strony Ponic w hidżabie? Ona już nie góralką się zrobiła, nie Polką, a normalnie warszawianką.

Maryśka biegnie do szafy, otwiera ją i rozkłada ręce. Oczywiście od wielu tygodni myślała, w co się ubrać, już miała to postanowione, ale jak dziś założyła tę sukienkę niebieską, indyjską z Krakowa, to niestety, ale z takim wycięciem na plecach ona z domu nie wyjdzie, przynajmniej nie na wesele.

Józkowi się to podoba. Bo Maryśka czasem jest taka anielska. Gdyby dobroć miała skrzydła, to ona latałaby jak gołębica. Taką ją pokochał, z taką dziewczyną jest mu dobrze. Plótłby jej codziennie wianki z kwiatów, gdyby nie to, że u nas kwiaty to tylko w lecie, a poza tym mają jednak silną konotację dziewictwa, co gryzie się z instytucją małżeństwa. I z tą drugą naturą Maryśki, kobiecą, miłosną. Taką ją poznał dopiero po ślubie i taką uwielbia, zwłaszcza kiedy przyjdzie noc: zabawa, zmysłowy taniec.

– *O, ja pierdziele,/ Idziemy na wesele* – rapuje pod nosem Lech, idąc z pokoju do kuchni, żeby coś przekąsić. Dorasta, mutację ma, jest ciągle głodny i słucha hip-hopu.

– Lechu!

– No co, mama?

– Jak ty mówisz? – oburza się Maryśka.

– Ja rapuję, mama.

– O Jezu!

Józek czuje, że musi się wtrącić.

– Marysiu, a co myślisz o tej żółtej indyjskiej w kwiaty?

– No proszę cię! – Maryśka załamuje ręce. I trwałoby to pewnie jeszcze z godzinę, gdyby pod domem nie rozległ się klakson. To Elka, miała do nich zajechać w drodze z Harkabuza do domu.

– Wiesz już, w co się ubierasz? Pokażże. – Elka przegrzebuje szybko jej szafę, jednocześnie lustrując Maryśkę od góry do dołu. – Tyś jest taka piękna i smagła, trzeba ci tę urodę podkreślić. Bierz tę, kremową, bo biały kolor to jest dziś dla panny młodej, chociaż ona niezbyt młoda jak na pannę młodą.

Józek też się stroi, w garnitur. A Lechu w białą koszulę, co też jego smagłą cerę i urodę podkreśla. Chłopak włosy zapuszcza, niedługo będzie piękny jak Janosik.

Jedziemy w trzy rodziny i w dwa auta. W jednym mężczyźni – Józek za kierownicą, stary Zachara i ja z Lechem i Jankiem. W drugim kobiety – kieruje Anka, obok Łukasz, a z tyłu Elka, Maryśka i Magda. Dziewczyna jest już pełnoletnia, dzisiaj jej Anka zapowiedziała, że się pierwszy raz oficjalnie będzie mogła wina napić. Bo co w Mszanie na nielegalu było, to Anka się może domyślić, sama do Mszany niedawno jeździła.

– Mamo, co ty z tym winem? Ja wolę wódkę – prowokuje Magda.

– Ja ci dam wódkę! – Anka próbuje udawać sztywną.

– Nie będzie wódki – mówi Elka, jak zawsze najlepiej poinformowana. Bo jak kto wszystkim pazury obrabia w okolicy, to co się dziwić, że wie wszystko. Hance też Elka manicure robiła i makijaż, i ma teraz dobre wejście na rynek harkabuski.

– Jak to? Wesele bez wódki? – dziwi się Łukasz.

– No! Elka ślubowała w kaplicy na Górce, że u nich w domu wódki nie będzie. Wino i piwo tak, ale gorzały nie. Nie wiem, czy na zawsze, ale na pewno na weselu. Ten jej Jurek na to przystał, no i będzie wesele tylko z winem.

– No, ja słyszałam o takich rzeczach w Krakowie – wtrąca Anka.

– Ale mamo, czy tu jest Kraków? Tu jest Rabka! – Magda jest wyraźnie poruszona. Naprawdę wódkę chciała pić? W ramach manifestacji równouprawnienia chyba, bo nie z powodów smakowych przecież.

– Cicho! Nie Rabka, do Harkabuza jedziesz! – Elka niby to się oburza na Magdę, ale zaraz ostry ton śmiechem przykrywa. – A pokaż, jak ty się ubrałaś. Nooo, moja panno!

Magda wyrosła na młodą kobietę. Nie tylko przez to, jak wygląda, ale jak siedzi, jak patrzy, jak się autoprezentuje, co ma w oczach. Trzeba by jej szybko wpleść wianek we włosy, bo to może być ostatnia okazja.

W męskim samochodzie prawie nie gadamy. Coś chłopaki z tyłu mruczą pod nosem, w końcu Józek wrzuca płytę do odtwarzacza, Doorsów oczywiście, i leci *Come On, Baby, Light My Fire*. A Lechu zaczyna nucić refren, ale jakoś tak po swojemu, najpierw cicho, a potem głośniej, coraz głośniej, aż przekrzykuje Jima Morrisona: „Chodź mi, mała, rozpal faje" i pękają ze śmiechu z Jankiem. My też się z Józkiem uśmiechamy, nawet stary Zachara wykrzywia usta w półuśmiechu.

Panna młoda wygląda najwyżej na trzydzieści lat, jak starsza siostra swoich synów. Widać w tym talent Elki i najlepsze podkłady z Mediolanu przywiezione. Jurek w garnitur wbity i jakby czegoś ręką szukał, pewnie torby listonosza. Jesteśmy jednak niewolnikami naszych ról zawodowych.

Urzędnik w USC na przykład zawsze zachowuje się jak megafon. Kilka formułek i Jurek Kościelniak bierze za żonę Hannę Papierz. Całusy, ryż, koperty, chyba się państwu młodym zwróci to wesele. To dobrze, bo z dwóch pocztowych pensji trudno imprezę w remizie wyprawić, Jurek musiał nawet w wakacje do Anglii polecieć tanimi liniami i na zmywaku robił przez miesiąc, żeby kapitał jakiś zgromadzić początkowy.

Za didżeja robi Pietrek. Kiedyś grał z kapelą w Zaborniance, która się z duchem czasu zamieniła w miastowo brzmiący Siwy Dym, żeby kusić warszawiaków jadących z Zakopanego siódemką do stolicy. Teraz ma ze sobą skrzypce, żeby jakieś wtręty góralskie robić, ale płyt też nawiózł i puszcza, dodając słowo wiązane.

– Pani Papierz-Kościelniak z panem Kościelniakiem, zapraszam na pierwszy taniec. Nie można tylko brzuchów napychać, jak się dusze rwą do tańca. I do miłości – zagaja Pietrek przez mikrofon. – Ale z miłością to jeszcze musicie poczekać, teraz pierwszy taniec.

I wszyscy się śmieją, brawo biją, jedzą flaki i wino piją, chociaż nie pasuje. Zimna płyta wjeżdża i wino piją. Tańczą i wino piją.

Jasiek z Lechem zaczepiają Magdę, ale ona trochę prycha na nich, że dzieciuchy. Z kieliszkiem siedzi i przysłuchuje się dorosłym, bo ona się uczy właśnie tej roli zawodowej – dorosłej. Na szczęście trochę dzieciaków

tu jest, więc Jasiek i Lech też mają na kogo prychać i uczyć się roli samodzielnego nastolatka.

Elka rej wodzi przy stole, tam, gdzie ona siedzi, jest najwięcej wybuchów śmiechu. Za to z drugiej strony coś się ponurego czai. W spojrzeniach chłopaków z Ludźmierza, ze Rdzawki, którzy tu na motorach przyjechali, w spojrzeniach ich dziewczyn. W ruchach nerwowych, jakby ktoś manetkę gazu przekręcał i im energii dodawał, buzowania podskórnego, żeby wrzeć zaczęli, zanim się zwolni sprzęgło, i wtedy wystrzelą jak z katapulty w F-16, które pokazywano w zeszłym roku na lotnisku w Nowym Targu, mając na względzie miłość górali do Ameryki.

Tych z Ludźmierza oddziela od nas mur pracowników poczty z Nowego Targu, uśmiechniętych jak pierwsi chrześcijanie. Jakiś transfer z Podlasia chyba.

– A teraz cała sala się bawi! Do kółka zapraszam, do kółka, panie i panowie. Kto tu rej wodzi? O, pani piękna z miejscowości uzdrowiskowej Rabka, proszę, wężyk ciągniemy, jedzie pociąg z daleka, kto nie wsiada, ten kaleka! – Pietrek przechodzi samego siebie. Dobrze, że się tu bez warszawiaków bawimy, bo by zaraz było, że prostaki dyskryminują niepełnosprawnych. No bez przesady. Co by Pietrek miał rzucić, jakie hasło? „Jedzie pociąg niezabawny, nie bierze niepełnosprawnych”? Jeszcze gorzej i nie całkiem do rymu.

Opowiadam to zdaje się na głos Maryśce i Józkowi, którzy usiedli odpocząć, bo Hanka, która właśnie przechodzi podczas Tour de Pologne, jaki odbywają gospodarze po wszystkich stolikach na każdym weselu, zaczyna się śmiać.

– Hania, dziękuję ci za to zaproszenie… – zaczyna Maryśka. Ona zawsze taka skromna.

– Oj, Maryśka, to ja wam dziękuję. Józkowi, że do mnie rękę wyciągnął wtedy. Bo ja bym się może i pod pociąg rzuciła, takie myśli miałam – odpowiada Hanka i zwraca się do Józka: – Żeś mi taki procent z tych kuchni odpalał, że chyba musiałeś jeszcze dokładać. Dzięki, kuzynie.

– Nie bałaś się, że ja tu nie pasuję? – dopytuje Maryśka.

– Ale o co chodzi? – Hanka jest zdziwiona.

– Że ja nie stąd, że ja tu przyjechałam z daleka, z bardzo daleka. A raczej przyszłam tu do was, przybłąkałam się – mówi Maryśka.

– Gość w dom, Bóg w dom, jak to u nas mówią – śmieje się Hanka. Musi lecieć dalej, z gośćmi wszystkimi porozmawiać, ale jeszcze pogadają, noc długa przed nimi. Do stolika ludźmierskiego idzie, szklankę wina chwyta i polewać zaczyna.

– Wino napój bogów – mówi Jakub. – A wiesz ty, Hanka, jaka tragiczna jest historia wina? Opowiedz, Czarna, w końcu historii uczysz.

Dziewczyna obok Jakuba nie wygląda na nauczycielkę. Czarna sukienka, blada cera, tatuaż na przedramieniu, Wielka Polska, chociaż przedramię ma szczupłe bardzo. Więc to taka Wielka Polska na miarę naszych szczupłych kobiet.

– Dionizos, antyczny bożek, dał greckim góralom wino. Popili się, ubawili, ale jak się obudzili z kacem, to byli pewni, że Dionizos ich otruł. I go zaciukali na śmierć. Koniec. – Czarna rozkłada ręce.

– Ale zacne to wino masz, Hanka. Niech ci Bóg darzy – mówi Jakub z taką góralską życzliwością.

A jego kumpel dorzuca:

– A mąż niech cię dupcy.

– W ryja chcesz? – rzuca się do niego Jakub, do bitki widać skory. – Pannę młodą będziesz obrażać?!

– W porządku, Jakub, w porządku, aniołku. My tu sobie na Podhalu lubimy przecież z dupcenia pożartować – załagadza Hanka. Bo my tu sobie na Podhalu lubimy też załagadzać, póki coś tak nie pierdutnie, że iskry lecą.

– Panie proszą panów, halo, halo, teraz panie wybierają. Więc panowie, wciągamy brzuchy, kto ma, i czekamy na damy! – Pietrek ciągle jest w formie.

Czarna wyciąga rękę do Jakuba, ale ten wstawać nie chce, daje jej ręką znak, że może sobie zatańczyć, więc Czarna się na mnie patrzy i do mnie

podchodzi. Czuć od niej wino i czuć chęć zabawy. Gdyby to była Warszawa, toby z Jakubem nie wyszła, ale to jest Podhale, a na Podhalu nie lubimy takich numerów.

Elka z Anką i Maryśką szybko się namawiają i Elka prosi Łukasza. Też już ma trochę wina wypitego, więc mówi mu, żeby taki grzeczny nie był, tylko Ankę za kudły i do wyra zaciągnął, bo jak nie, to ją kto inny zaciągnie. Anka prosi Józka i zaczyna mu w pijackim widzie płakać, że ona niegodna z takim świętym tańczyć i czy jej Józek przebaczy, bo jakby ją Józek rozgrzeszył, to i Łukasz by jej wybaczył, chociaż nawet nie wie co. A Maryśka prosi starego Zacharę. Bez słów się rozumieją. No, prawie bez słów.

– Boję się – mówi Maryśka.

– Masz czego – odpowiada stary Zachara. – Ale pamiętaj, że masz Józka. I mnie, i Elkę, i przyjaciół.

– I wrogów – dokańcza Maryśka.

– Diabeł nie śpi – to Zachara. – Ja też nie będę spał.

– Dziękuję ci.

– Aniołom podziękujesz.

A do Jakuba podchodzi wtedy młoda kobieta.

– Zatańczysz?

Jakub mierzy ją wzrokiem i widzi, że to bardzo młoda kobieta.

– Jak pokażesz dowód.

– Pokażę ci dowód, jak zatańczysz. Każdy dowód.

Jakub wstaje i jeszcze raz patrzy na nią. Szesnaście na pewno skończyła. Po czym chwyta ją w pasie. On z nią nie zatańczy, to ona zatańczy z nim. Na jego warunkach.

– Jak masz na imię? Do której chodzisz klasy? – zagaduje Jakub.

– Magda. A co, chcesz mi pomóc w odrabianiu lekcji? – odpowiada zalotnie dziewczyna.

Stary Zachara jest tu najstarszy i chociaż jedyny niepijący, to jednak braki w kondycji wychodzą. Musi usiąść, Maryśka też chętnie odpocznie. I naraz koło nich się zjawiają państwo młodzi, wyraźnie czymś zdenerwowani.

– Wino się kończy! No jak żeśmy to policzyli? – martwi się Hanka.

– Sto butelek, po jednej na głowę. I wszystko wyszło? – dziwi się Jurek.

– Nie wiem, może wyszło, może ktoś podprowadził skrzynkę, może ktoś stłukł, może motocykliści do baków powlewali. Nie wiem, Jureczku, ale musimy coś zrobić. Ja tam za alkoholem nie jestem, ale nie może być, że na moim weselu zabraknie wina. – Hance się robi podkówka, oczy mokre i zaraz zacznie szlochać.

– Co się stało? – doskakuje do niej Maryśka, pogotowie opiekuńcze i anielskie w jednym.

Wino wyszło. Wesele w toku i taki wstyd, żeby się alkohol skończył.

– Może gdzieś dokupić? My wam z Józkiem pożyczymy pieniądze.

– Pieniądze to my mamy, kopert nam żeście tyle poznosili, że Bóg zapłać. Ale gdzie ja kupię wino w środku nocy?

– Może w Nowym Targu jest jakiś nocny sklep?

– Może jest, ale kto tam pojedzie?

– Stary Zachara jest trzeźwy! Ale on nie ma prawa jazdy – martwi się Maryśka. – Ja się już też napiłam, wiesz, że do alkoholu mnie nie ciągnie, ale na twoim weselu… A może jest ktoś trzeźwiejszy, kto by pojechał?

– Nie! Żadnego jeżdżenia po pijaku. Myśmy to z Jureczkiem Bogu przysięgali. Alkohol nam nie zniszczy życia, ani nikomu. Moje już raz zniszczył, a Jurkowi rozpirzył w drzazgi. Może wam kiedyś opowie, co, Jurek?

– Może – potakuje Jurek. – Na pewno nikt po pijaku przy mnie nie pojedzie. Co robić, co robić?

Maryśka idzie pomyśleć, Józka wyciągnąć z sali tanecznej. I wtedy wpada na Lecha, którego od godziny nigdzie nie widziała.

– Gdzie ty latasz?! – krzyczy prawie.

– A co ty się tak złościsz, mama? Z Jaśkiem żeśmy byli i dzieciakom podchody zrobiliśmy.

– Przepraszam, synku, zdenerwowana jestem.

– A co się stało, mama?

– Wina już nie mają.

– Co?

– No wino im się skończyło! I Hanka się boi, że to wtopa straszna będzie i zła wróżba na całe życie.

– Czy to moja sprawa? Albo twoja? *Zresztą patrzy pani,/ Jacy oni najebani*.

– Lechu!

– No co? *Ja rapuję, mama,/ Ale popatrz lepiej sama…*

Lechu wskazuje na parkiet, a tam się tłum gości zbiera. O co chodzi? Jędrek zaczyna wodzić rej, pożyczył go chyba od Elki, która go wcześniej wodziła, i wszystkich zwołuje na środek. Poza młodą parą. Od Pietrka pożycza skrzypce, bo Pietrek, nawet jak ma być didżejem od płyt, to wozi ze sobą dwie pary skrzypiec – pierwsze i drugie. Jędrek pożycza te pierwsze, Pietrek wyjmuje drugie, będzie Jędrkowi wtórował. Jędrek podaje nutę i wszyscy zaczynają śpiewać. A młodzi mają słuchać, dla nich koncert będzie.

„Nie lij, dyscu, nie lij, bo cie tu nie trzeba…”. Śpiewają pięknie, jak górale, głos się niesie aż do nieba, aż Święty Florian przed remizą zaczyna rytmicznie podrygiwać. Piosenka jest, żeby się deszcz zawrócił do nieba. Jakby miała odgonić burzę, która nadciąga, chociaż nikt jej jeszcze nie widzi, nawet Święty Florian.

Wszyscy się zbierają na parkiecie, bo górale lubią śpiewać, tak mocno, szeroko. To jest ta potęga, górale pod Grunwaldem *Bogurodzicę* śpiewali, pod Wiedniem tę piosenkę, co ją potem splagiatowała Conchita Wurst i wygrała Eurowizję dla Austrii, a w październiku trzydziestego dziewiątego „nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”. Górale piosenką wspomogą ojczyznę w potrzebie.

Jędrek podaje nutę do *Andziu, Andziu pójdź do domu*, Maryśka się do Józka w śpiewie przytula, Elka do starego Zachary, nawet Anka do Łukasza, bo to piosenka, co wszystkie serca niewieście rozmiękczy. Hit górsko polo o Andzi, którą matka wydaje za zbójnika, co jej brata zabił, co Andzia rozpoznała po chusteczce. To jednak niedzisiejsze, bo kto dziś zabija człowieka, żeby mu zrabować chusteczkę? Tytuły by w prasie były: „Zabił dla chusteczki" albo w internecie: „Zabił, żeby ukraść nic niewartą..." i trzy kropki, żeby ludzie kliknęli, chcąc się dowiedzieć, co nic niewartego ukradł.

I wtedy do Jędrka podchodzi Jakub, pomału, jak na zwolnionym filmie. Ludzie się rozstępują, bo widać, że zaraz cosik będzie się działo. Elka Zacharowa prędziutko znak krzyża robi. A Jakub, który nie wiadomo skąd się wyłonił, bierze od Jędrka rej i zaczyna go wodzić z całą mocą.

– Górale, pięknie śpiewacie. My tu w górach tak pięknie śpiewamy, a wiecie dlaczego? Bo nam Pan Bóg dał biały głos. Jest w muzyce głos czarny, zachrypnięty, zabrudzony, warszawiaki mówią: bluesowy. I ja to szanuję. Ale my pod Turbaczem, pod Babią Górą albo pod Giewontem mamy inne głosy. Polskie, bo taki głos jest do polskiej mowy i do polskiego śpiewu właśnie stworzony. Białe głosy. – Jakub na krzesło wszedł, żeby go jeszcze lepiej było słychać i widać. Bo trochę jakby kazanie mówił, jakby wolę Bożą ogłaszał, słowo, które ciałem się stanie.

– Więc my tu teraz naszym gospodarzom zaśpiewamy jeszcze jedną piosenkę. Góralską piosenkę. Tylko zaśpiewamy im to góralską gwarą i góralskim głosem. Białym głosem. Więc teraz na scenie zostają tylko górale, Podlasie siada i słucha – komenderuje przyjaźnie Jakub. Znajomi Jurka z Podlasia, jego rodzina, co się z głębi kraju pozjeżdżała, zajmują miejsca przy stołach, jakby tu Stonesi zaraz mieli wystąpić. Zostaje tylko Harkabuz, Ludźmierz, Rdzawka, Ponice i Rabka oraz rdzenni mieszkańcy Nowego Targu.

– No już prawie gotowi jesteśmy – mówi Jakub niby słodko, ale tak mocno, że Święty Florian do kapliczki się chowa i zdrowaśki zaczyna odmawiać, wznosząc oczy ku niebu, czy ten deszcz już się tam zawrócił.

Gdzie tam, teraz to dopiero czarne chmury. A Jakub ciągnie: – Prawie gotowy skład. Bo mówiłem, że śpiewamy białym głosem, sami górale. Więc jak ktoś nie jest biały, to siada i słucha, może nóżką nawet przytupywać.

I tak się patrzy na Maryśkę, że nie ma wątpliwości, o co mu chodzi. Józek już chce do niego ruszać, bo nie ma wesela bez bitki, a każdej kobiecie należy się szacunek, jak Matce Boskiej. Ale Maryśka go przytrzymuje za ramię.

– Siądę, Józek, posłucham.

Józek buzuje, ale bierze Maryśkę za rękę i oboje wychodzą z sali. Dopiero w korytarzu Maryśka zaczyna się trząść, strach ją łapie, oczy wypełniają się łzami.

– O Jezu! – Józek ją przytula. – Tak nie może być.

Górale śpiewają: „Nie byde tu, ide dalij,/ karcmarecko, winka nalyj" i głupi by aluzji nie pojął. Śpiewają ze złością, bo niedopici. Z pogardą jakąś dla gospodarzy: co to za wesele, nie dość że fanaberie z wódką, to jeszcze wina skąpią. Ze złym błyskiem śpiewają, może się tu zaraz komuś oberwać. Nie gospodarzom, ale jak mówi rabczańskie przysłowie, zawsze znajdzie się Cygana, jak kowal chce kogoś powiesić.

Maryśka ma w oczach wszystkie złe proroctwa. I wtedy do matki podchodzi Lechu.

– Mamo, chyba mogę pomóc. Mogę ci pomóc – i tak ją czule obejmuje, że po nastolatku żadna matka by się tego nie spodziewała, po czym znika w mroku.

Jz 6, 74-80

Lechu wychodzi na drogę i jednocześnie wygrzebuje z portfela wizytówkę. Marian Maśniak, prezes GS-u w Harkabuzie. Żeby tylko odebrał, żeby tylko odebrał.

– Dzień dobry, mam pana wizytówkę ze spotkania z trenerem Górnika w Krakowie przed derbami. Pamięta pan? Ja przepraszam, że o takiej godzinie, ale jest potwornie ważna sprawa. I tylko pan może pomóc. Nie, nie z treningiem kadry. Ja naprawdę poważnie dzwonię. Nie, nie piłem, to ja jestem tym chłopcem, o Jezu, nie pamięta pan? Dał mi pan wizytówkę, żebym dzwonił w razie czego, i teraz jest bardzo w razie czego.

No i Marian Maśniak sobie przypomina.

– Lech, tak? Polskie imię, ciemna skóra? – Chwilę milczy, trudno powiedzieć, czy się namyśla, czy budzi. – Dobra, mów, o co chodzi.

I Lech w telegraficznym skrócie opowiada, że wesele jest w remizie, że wino się skończyło, że goście się burzą i że go mama prosiła, żeby wino zorganizował. I że on wie, że to cud, gdyby się to w środku nocy harkabuskiej miało udać, ale Obi-Wanie Kenobi, jesteś moją jedyną nadzieją.

Marian Maśniak znów chwilę milczy. Tym razem sobie coś przypomina.

– Wesele Hanki Papierz? No tak, prosiła mnie nawet, ale ja… Mniejsza o to. Hanka u mnie robiła, wiesz? Dobra dziewczyna. Prezent jej jakiś chciałem posłać, to teraz już wiem jaki. Podejdźże pod sklep, synu, za dziesięć minut.

Lech pędzi, jest pod sklepem za minutę, bo o ile Rabka to Polska w miniaturce, o tyle Harkabuz to Rabka w miniaturce. Sklep GS-u, remiza, kościółek i dom sołtysa na kupie, a domy mieszkalne ciągną się wzdłuż drogi w siną dal.

Marian Maśniak zjawia się za chwilę na piechotę, bo są jakieś granice rozsądku, dwustu metrów nie będzie samochodem podjeżdżał. Z ciemności wychodzi zasapany, widać, że do chodzenia nienawykły.

– No, ten sam synek jesteś, aleś trochę wyrósł. – Patrzy na Lecha. Otwiera kraty, potem drzwi, a potem wchodzi na stoisko monopolowe. – Wino ma być, powiadasz? Wiem, Hanka na Górce ślubowała, że wódki u niej nigdy nie będzie, i u mnie cały zapas wina wykupiła. Dobrze, że nowe sprowadziłem z hurtowni. Masz tu, synek, dwie skrzynki: jedno czerwone, drugie białe. Jak zmieszasz, to wiesz, co wyjdzie?

– Różowe? – pyta Lech.

– Nie, polskie! – śmieje się Marian Maśniak. – Powiedz Hance, że ma to w prezencie ode mnie.

Za chwilę w remizie rozlega się kopanie w drzwi. Jurek Kościelniak idzie zobaczyć, co to, na wszelki wypadek bierze ze sobą Jędrka i Jakuba, bo oni od paru minut wodzą rej i się nawet zaczynają o niego wadzić, bo niedopici jacyś. A człowiek niedopity jest do bitki skory, dopiero jak się dopije, to legnie spać.

Otwierają drzwi i widzą dwie skrzynki wina, białe na górze, czerwone na dole, jakby na nogach stojące. Aż wychyla się zza nich twarz chłopca, Lecha, syna Maryśki.

– Dziękuję, żeście mi otworzyli, kiedy stukałem. Gdzie to zanieść, panie Kościelniak?

I wszyscy oczy robią, i zaczynają szeptać, jak to możliwe. Jurek wino na stół wystawia, leją do szklanek i chwalą, że pyszne, bo tak im się już napić chciało, że dobry gospodarz. I że to ten chłopiec, Lechu, że jak na skrzydłach po wino poleciał, że je przyniósł chyba z ziemi włoskiej do Polski, że to się w głowie nie mieści, skąd on taki pyszny trunek wytrzasnął w tej ilości w środku nocy, że to cud w Harkabuzie. Tak o tym będą potem opowiadać: na weselu Hanki Papierz i Jurka Kościelniaka zdarzył się cud. Cud w Harkabuzie.

Maryśka idzie uściskać syna. Tyle dokonał, chociaż nieletni, w Warszawie to by wszyscy poszli siedzieć, że niepełnoletniemu dali do przyniesienia dwie skrzynki alkoholu. A tu, w Harkabuzie, mama go uściska, bo tak się wyraża miłość i troska w rodzinie. A matka jest tylko jedna, jak mówi rabczańskie przysłowie, przy okazji stawiając tamę ideologii LGBT.

Ale zanim Maryśka zdąży podejść do Lecha, mija ją Jakub.

– No nieźle się twój dzieciak sprawił – chwali Maryśkę, a że ma w czubie mocno, to kończy bez ogródek: – Jak na czarnucha.

I puszcza do Maryśki oko. Trochę nie wiadomo, co to ma znaczyć. Czy z tym winem biało-czerwonym zostaliby teraz dopuszczeni do śpiewania białym głosem?

Maryśka rozgląda się za Lechem, jest w głębi korytarza. Ale znów nie zdąża do niego podejść, bo z ciemności, z bocznego korytarza, nie wiadomo skąd nagle pojawia się Magda. Potargana, roztrzęsiona, już nie to słodkie dzieciątko, które pamięta z czasów, kiedy przybyła do Rabki. Magda podbiega do Lecha i się bardzo mocno przytula, chociaż jest starsza o cztery, trzy lata.

Lech obejmuje ją ramieniem jak młody mężczyzna. Nagle zauważa matkę i zawstydza się jak dzieciak.

– *No weź, co za scena,/ Przestań, Magdalena* – rapuje pod nosem.

Jz 7, 1-18

Do Rabki można dojść od południa przez Gorce, od strony Maciejowej ścieżką wzdłuż nieczynnego wyciągu przez Słone. To stroma ścieżka, momentami schodzi w malutki wąwóz zarastający krzakami, niezbyt wygodna. Potem idąc przez Słone szosą wzdłuż potoku, trzeba jeszcze uważać na latające między chałupami psy.

Albo głównym szlakiem turystycznym wprost na park zdrojowy. To najładniejsza droga, przy wyjściu z lasu na łąki roztacza się pocztówkowy widok na Luboń Wielki, dolinę Skawy w Jordanowie, a dalej Pasmo Policy i Babią Górę. Gdyby ktoś chciał opiewać piękno naszego kraju, mógłby sobie tu siadać, patrzeć na te małe domki jak z samolotu, na schodzące z gór lasy przetykane polami jak na obrazach impresjonistów, na niebo jak z fototapety.

Można też do Rabki z Gorców zejść przez Stare Wierchy i Ponice. Trzeba wtedy pójść szlakiem w stronę Maciejowej, ale na pierwszej przełęczy skręcić z łąki w lewo w las. Tylko wtedy trzeba trzymać się najszerszej drogi, żeby spokojnie zejść w dolinę, bo wiele ścieżek kończy się tam na leśnych polanach porośniętych dziko krzewami. Bo dzika przyroda jest nieokiełznana, nie możesz jej ustalić, że tu droga, tu polana, tu zalesienia.

Albo przez Rdzawkę – wtedy ze Starych Wierchów musisz iść w stronę zakopianki i odbić z grzbietu w prawo drogą przez pola. Ale panorama już nie taka ładna, jak w rabczańskim przysłowiu – że góry są niby w porządku, tylko szkoda, że widok zasłaniają.

Można jeszcze od południa dojechać zakopianką albo szosą od strony Harkabuza, ale w razie czego to chyba policja by szosy obstawiła i żywej myszy nie przepuściła.

Podobno już nadciągają.

Podobno zatrzymują ich dzielni Achajowie, wojownicy greccy z mitów, o których każde dziecko ma w podstawówce, potem w gimnazjum i jeszcze raz w liceum. Ale Rzymianie nie tacy waleczni, wlewają się przez Italię do Europy, mały strumyczek, który drąży skałę. Podobno Węgrzy, nasi bratankowie, budują przedmurze chrześcijaństwa wzdłuż granicy, żeby nie weszli. Ale oni idą, jak to robactwo, przez szpary się wdzierają. Niosą ze sobą obcych bogów, niepolskie szaty i potrawy. Na to, co nasze, czyhają. Chcą nam odebrać.

I to jest wszystko przez Maryśkę. Przyjęli ją tu w Rabce przed piętnastu laty, pokazali jej góralską gościnność, przygarnęli jak swoją. Piosenek nauczyli, chociaż głosu białego wyuczyć się nie da, skóry też się nie wybieli. Ale przynajmniej oduczyli ją chodzenia w tych zwojach tkaniny, normalne sukienki zakłada, jak Polka, jak góralka. Tylko może lepiej niech nie wybiera tych jasnych, bo po co jeszcze podkreślać tę ciemną skórę? Niech sobie ją ma, skoro się taka urodziła, ale czy trzeba się z tym afiszować?

Józek, święty człowiek, kobietę z dzieckiem w brzuchu przygarnął. To niech mu dziękuje, niech mu nogi myje, a nie całymi dniami piwo Pod Kasztanami podaje i mężów naszych rozpija. Gdyby nie ona, to oni by trzeźwiutcy chodzili po wypłacie z kwiatami do domu dzieci bawić. A przez nią się szlajają. Czy to nie jest plan jakiś na dalekiej pustyni uknuty, żeby naszych chłopów rozpić, a następnie tu się teleportować całymi narodami, sięgnąć po nasz czarnoziem, nasze kobiety i nasze darmowe wi-fi, które pod urzędem miasta Rabka-Zdrój ma być zainstalowane w promieniu dwudziestu pięciu metrów?

Idą pielgrzymkami. Z ziemi włoskiej do Polski jedna pielgrzymka. Z ziemi obiecanej do tej, którą chcą zagrabić – druga. Z Ziemi Świętej do ziemi najświętszej – trzecia. Zlot gwiaździsty na Polskę, na Rabkę, bo ta ziemia najcenniejsza jest przecież. Może na niemieckiej ziemi można otrzymać lepszą zapłatę za pracę, ale nie samym euro człowiek żyje. Oni się tylko przyczają w tych Niemczech, żeby potem ruszyć na Polskę, bo tu dziewczęta mają mleczne piersi, słońce śpiewa między szóstą trzydzieści a siódmą, ludzi budząc, a mężczyźni utrudzeni w przyjaźni się po plecach

poklepują. Mamy jeszcze chłopców ministrantów, jedzenie bez genów i te same niemieckie auta, tylko w dużo bardziej korzystnych cenach.

Jaka jest w tym rola Maryśki? Górale nie są ciemni, oczywiście nie wierzą tym, co twierdzą, że Maryśka na radiostacji nadawała latami raporty, jak tu w tej Rabce cudownie, jak można wszystkich nabrać, przybywajcie, stop, całymi rodzinami, stop, i weźcie dywaniki do modlitwy, bez odbioru. To tylko ktoś strasznie napruty browarami, wódką i śliwowicą łącką może takie rzeczy opowiadać. Ale czy Maryśka, ta ich Maryśka Papierz, nie jest forpocztą zła? Czy to jej intencją było, czy nie było, ale stała się złą wiadomością – o hordach barbarzyńskich nadciągających.

Józek, święty człowiek, jej nasze serce polskie otworzył, do domu ją wprowadził, do polskości jej uchylił drzwi. Angażują się, nie można powiedzieć. Jak ksiądz ogłasza za dwa tygodnie Dzień Modlitwy za Chrześcijańską Europę i Katolicką Polskę w kościele przy parku, to Józek pierwszy się zgłasza do pomocy. Bo mają być też stragany, stoiska, odpust całkowity i zupełny, i z watą cukrową na patyku.

– Ja księdzu takie stragany porobię, że będzie elegancko jak w Sukiennicach – żartuje Józek. – Tylko ksiądz deski musi mi dać, żebym miał z czego montować.

– A, to niech ci Bóg pobłogosławi, Józku, i twojej rodzinie. Choć przed Bogiem to ty nie masz rodziny, ale ja wiem, że po ludzku to wy to inaczej rozumiecie – uśmiecha się ksiądz. – O deski się nie martwcie, zaraz na mszy ogłoszę, to wierni z Ponic, ze Rdzawki, z tych przysiółków bliżej gór tyle drewna nawiozą, że całe miasteczko będziecie mogli wybudować. Dam wam paru ministrantów do pomocy, to dobre chłopaki.

Józek, cieśla dobry, ma już tyle zleceń, że ledwo ogarnia. Musi sobie kogoś znaleźć do pomocy, jakiegoś ucznia, który by też pomógł przy sprawach biurowych: umawianie terminów, płatności, rozliczenia z fiskusem. Ale o tym pomyśli po Dniu Modlitwy. Trzeba przygotować takie miasteczko modlitewne, żeby pielgrzymi z całego Podhala ściągnęli do Rabki, żeby sobie mogli usiąść, odpocząć, o Polsce pomyśleć. Jaka ona ma być? Bo Józek uważa, że taka katolicka, jak w jego dzieciństwie

chociażby – a urodził się przecież w PRL-u, kiedy herodzi Polską rządzili – to już nie będzie. Warszawiaków na Boga nie nawrócisz, choćbyś im misjonarzy wysyłał z Rabki jednego po drugim. Ale też warszawiaki lubią sobie czasem pomedytować, porozmyślać nad sensem życia, jak im się od tego dobrobytu w dupach zaczyna przewracać. I jaki jest klucz do tych rozmyślań? Budda w pozycji lotosu, Mahomet na dywaniku czy Jezus na krzyżu? Rozmawiali o tym z Maryśką wiele razy po nocach, aż Maryśka sama kupiła sobie krzyżyk skromny, srebrny na odpuście w Ludźmierzu i pod bluzką ukryła. I tylko Józek go czasem ogląda.

Dzień przed Dniem Modlitwy przed świątynią stoi prawdziwe miasteczko odpustowe. Stragany eleganckie, aż miło zajrzeć. Proste, ale gustownie zrobione, z desek zbite, ale solidnie, bez fuszerki.

– A te stoły i ławy – Józek pokazuje ciąg ławek i ze stolikami – to sam wymyśliłem. Takie miejsce, żeby ludzie mogli sobie usiąść, pomyśleć, porozmawiać. Ksiądz będzie lemoniadę sprzedawał na jednym straganie, jak w Krakowie, to ludzie sobie siądą, pogadają. Żeby to takie wydarzenie było nie tylko religijne, ale też jednoczące, łączące ludzi. Bo w końcu o to w religii chodzi, a nie żeby walczyć z inną religią, prawda?

– Super to wymyśliłeś – chwalę Józka. – A ten napis to twój pomysł czy księdza?

– „DOM”? Mój, mam nadzieję, że się księdzu spodoba – tłumaczy Józek. – Wiesz, Staszek, bo ja tak myślę o naszej Rabce, że to jest taki dom górali. Ale taki dom otwarty. Tu zawsze warszawiaki przyjeżdżali do sanatoriów, dzieci tu wysyłali. I dziś w każdym mieście spotkasz ludzi, którzy ci powiedzą: „Rabka? A, tak, w dzieciństwie tam byłem, pamiętam…”. Myśmy zawsze drzwi w tej Rabce mieli dla warszawiaków otwarte. I teraz, kiedy oni tacy zapędzeni, zapracowani, zestresowani, to niech do nas w gości przyjeżdżają. Gość w dom, Bóg w dom. Siądziemy pod lipami u księdza, porozmawiamy.

– Idealista jesteś – mówię Józkowi, bo przecież sam z Warszawy jestem i wiem, co warszawiaki o góralach myślą. Że pazerni, że ciemni, że owce ruchają. Zabobon i ciupaga. Nie wszyscy, nie o wszystkich, ale przyjdź

kiedyś w kierpcach i parzenicach na bulwary wiślane, to zobaczysz. – I to w tobie lubię, Józek.

– Dzięki, Stachu.

Księdzu też się stragany podobają. Mówi, że kościół będzie domem modlitwy, a miasteczko Józka domem rozmowy. Bo modlitwa to rozmowa z Bogiem, ale cóż by była warta, gdyby za nią nie poszła rozmowa z ludźmi.

Wieczorem Józek przychodzi tu na spacer z Maryśką, pokazać jej swoje dzieło. Udaje im się namówić na wyjście też Lecha, który już rzadko kiedy chce wychodzić z rodzicami. Ale go budowlanka interesuje, może będzie inżynierem, jak wujek Łukasz.

– Fajny dom, ojciec – chwali Lech, a Maryśce też się podoba.

Nazajutrz pielgrzymi ściągają od rana na Dzień Modlitwy. Kto w Boga wierzy w okolicy, wybiera się na mszę i odpust do Rabki, nawet trochę ludzi z Mszany przyjeżdża i z Myślenic, i z Limanowej, bo księża tamtejsi z ambony ogłaszali dzień modlitwy przeciw innowiercom. Więc skoro trzeba wiary naszej katolickiej bronić, gotowość do tej obrony zamanifestować, to wsiadamy w punciaki, w lanosy, w co kto tam ma i jedziemy.

Księża odprawiają, każą, spowiadają i udzielają sakramentu. Wychodzą też do ludzi porozmawiać przy lemoniadzie, przy kiełbasce z grilla, bo ksiądz się po namyśle zgodził, żeby kiełbaski były na straganach. W końcu dla ciała też coś musi być. Pańską skórkę można kupić, wydawnictwa maryjne i o Najświętszym Sercu Jezusa, albumy piękne z Lichenia, z Medziugorie, obrazki z papieżem Polakiem, bo z obecnym papieżem to się niezbyt sprzedają, ale za to pewniakami są Matka Boska Częstochowska, Matka Boska Ludźmierska, Matka Boska z orłem na piersi i z biało-czerwoną aureolą i Dzieciątko Jezus w pancerzu i ze skrzydłami husarskimi. Artysta jeden przywiózł obraz, tak zwany tryptyk: Sobieski zatrzymuje Turków pod Wiedniem, Matka Boska bolszewików nad Wisłą, a Jezus muzułmańską nawałę na grani Tatr.

– To uchodźcy. – Andrzej przy jednym ze stolików Józka wyjaśnia chłopakom z Mszany nowe słowo, na Podhalu wcześniej nieznane, toteż

nieposiadające obecnie formy gwarowej.

– Ta, uchodźcy. Tchórze zwykłe – wparowuje mu w rozmowę Jakub z Ludźmierza z kubkiem lemoniady w dłoni. Pokazuje, żeby mu miejsce zrobić przy stoliku, więc chłopaki z Mszany się rozsuwają. – Tchórze, co przed wojną uciekają, zamiast walczyć w obronie swoich kobiet i dzieci. Ej, Wera, przynieś nam tu jeszcze po kiełbasce i chodź, siadaj. Czarna! Słyszysz mnie?

Jakub macha do dziewczyny, tej samej, z którą był na weselu u Hanki i Jurka w Harkabuzie, taką dziewczynę to się pamięta i wielu się za nią ogląda. Dziewczyna z tatuażem, z Wielką Polską na szczupłym ramieniu. Pamiętam ją dobrze, jak wygląda i jak tańczy, i że historii uczy. Włosy ścięła na krótko, jeszcze lepiej jej z takimi.

Dziewczyna staje w kolejce, bo tyle ludzi przybywa, że się kolejki do wszystkich straganów robią. Ksiądz zadowolony między ludźmi chodzi, uśmiecha się, rozmawia, na lemoniadę namawia i żeby wydawnictwa święte kupić. Nie cały czas ta telewizja, te internety, tylko usiąść wieczorem, mądre słowo pisane przeczytać. Jest wiele głupich słów, ale te w kościele kupione to mądre, bo to słowa boże.

– Ty, Andrzej, to już się przyzwyczaiłeś do tego multi-kulti w tym Berlinie – ciągnie Jakub. – Ale powiedz, szczęśliwi oni z tym są? Ja wiem, że Hitler to nie ze wszystkim miał rację, ale Niemcy to jest wielki naród cesarzy, to są wielkie katedry, muzyka, literatura i najlepsza na świecie reprezentacja piłki nożnej. Bo przecież nie te brudasy z Brazylii.

– Aleś ty się wyostrzył, Jakub – dziwi się Andrzej. – Co ci Brazylijczycy przeszkadzają? Nie pamiętasz już, jak chciałeś być Ronaldo, jak żeśmy we Rdzawce w piłkę grali? Tamtym brazylijskim Ronaldo, nie tym pedałkiem z Portugalii.

– O, to, to, widzisz. – Jakub aż się unosi. – Zmowa pedalsko-ciemnoskóra, żeby wytwarzać najlepszych piłkarzy i umysły dzieci z całego świata zarażać. I za dzieciaka chciałem być może Ronaldem. Kiedyś nie wszystko widziałem, ale mi Wera na wiele rzeczy oczy otworzyła. Historii uczy, historię rozumie i historię może przewidzieć. Jak tego nie

zatrzymamy, to ci zakażą polskich obyczajów, polskiej mowy i polskiej modlitwy. Nasze dzieci będą miały wybór, czy uczyć się w szkole po arabsku, czy ewentualnie po niemiecku.

– Pierdolisz! Jak się chłopy same usadzą, to zaczynają pierdolić, choćby na księżym polu siedzieli. Posuńcie mi się tu, tylko dla mnie to trzeba dużo miejsca zrobić. – Elka Zacharowa wbija się na ławkę i faktycznie zajmuje tyle miejsca, co dwu chłopa. – Mój stary też historię potrafi przewidzieć i ja ci powiem, co będzie problemem w historii. Nie żadni uchodźcy, tylko tacy jak ty.

No! Aż się cicho robi przy stolikach obok. Co ma Jakub zrobić? Bić baby nie będzie. Starego Zachary też nie, zresztą by musiał go znaleźć. Ale coś zrobić musi.

– Z wariatką nie będę siedział. – Jakub wstaje i odchodzi w stronę straganów. Odwraca się jeszcze do Elki: – Jak ci kiedyś przejdzie, to pogadamy.

Weronika podaje Jakubowi kiełbaskę, on bierze i idzie do innego stolika, tam gdzie Rdzawka siedzi i Ponice. Mniejsze wioski, to im trzeba bardziej wielkie słowa powiedzieć, bo nie rozumieją.

A Weronika idzie do straganu z książkami, bierze do ręki taką w białej okładce z czerwonym tytułem *Wielka Polska. Historia i teraźniejszość*. Obok stary Zachara przegląda *Żydów historię prawdziwą. Fakty i fakty*. Witam się z nim, ale zaczytany taki. Staję więc tak, żeby mnie nie słyszał, i zagaduję do Weroniki.

– Uczysz historii podobno?

– O! Tancerz z Harkabuza – uśmiecha się Weronika. Zapamiętała wyraźnie. – Tak, w Nowym Targu, w zawodówce.

– I takiej historii uczysz? Że Polska zawsze była wielka, wspaniała i Chrystus narodów?

– Hej, jak chcesz sobie podyskutować, to dam ci numer do Jakuba, umówicie się na spokojnie. – Weronika przestaje się uśmiechać. – Ja dziś nie jestem w pracy.

– To ja mam trzy pytania. – Teraz ja się uśmiecham. Ktoś musi rozświetlać tę rozmowę. – Jak masz na imię, czy dasz mi też swój numer i co robisz w tygodniu po pracy?

Weronika patrzy. Myśli. Czuje. Musi się wczuć, bo bywają takie momenty, które są punktami zwrotnymi w życiu. I ona wie, że to być może jest taki właśnie punkt.

– Weronika, ale mów mi Wera – odpowiada powoli.

– Staszek, tylko nie mów mi Stanisław – odpowiadam tym samym i Weronika się uśmiecha.

– Numeru telefonu ci nie dam. Ale powiem ci, że w środę kończę lekcje o siedemnastej trzydzieści. Zawodówka obuwnicza zaczyna często dopiero po porannych praktykach.

– I dasz się zaprosić na sushi? Wiesz, że otworzyli właśnie w Nowym Targu…

– Wolałabym coś polskiego. – Weronika się wyprostowuje, bo już zrobiło się zbyt intymnie, zbyt osobno, zbyt blisko. – Wymyślimy coś. O ile się odważysz przyjechać do Nowego Targu.

Tymczasem przy jednym ze straganów wybucha awantura. W domu rozmowy tuż pod domem modlitwy? Królowie Mszany kłócą się ze sprzedawcą lemoniady.

– No zaraz będzie, musicie pięć minut poczekać, pięć minut to nie jest dużo czasu w porównaniu z wiecznością. Gdzieś nam zniknęło. Ktoś ukradł, wypił? No nie wiem, ale się zdarza. Zaraz będzie druga skrzynka – tłumaczy sprzedawca i powstrzymuje Kacpra, Melchiora i Bazylego przed grzebaniem mu po straganie. Patrzymy z Weroniką zdumieni, aż nagle oboje wybuchamy śmiechem. Do sprzedawanej na widoku lemoniady facet pod spodem dolewa wódkę. Ale chyba mu skradli skrzynkę.

– Normalnie „cud w Harkabuzie 2” – mówię do Weroniki, ale umizgi przerywa mi krzyk Jaśka.

– Wujku, wujku! – biegnie od strony parku Jasiek od Zacharów. – Chodź, musisz pomóc, zanim się ciocia dowie.

Sprawa jest trudna. Jasiek z Lechem szli do skateparku z hulajnogami, a tu nagle leci jakiś gościu ze skrzynką butelek pod pachą. Potyka się, wywala, parę butelek mu wypada, jedna się rozbija, on je zbiera i ucieka. Ale jedna zostaje na trawniku.

– Wujku, będziesz się teraz gniewał – martwi się Janek.

– Opowiadaj dalej, młody – zachęcam go. Sam niedawno byłem młody przecież.

Więc dalej biorą tę butelkę, chowają się w krzakach i próbują z gwinta małymi łykami. Pali, piecze, plują tym, ale piją. Chcą spróbować, zobaczyć, co to za płyn, który napędza całe Podhale, wszystkich mężczyzn i coraz więcej kobiet, jak pisali w necie. Co on robi z człowiekiem. Co im da. Chcą wejść na wyższy level, z czternastolatka stać się dorosłymi. Chociaż na chwilę, póki alkohol nie przestanie działać.

Tylko jak to wypić, kiedy tak piecze, jak spirytus salicylowy wylany na kolano, kiedy człowiekowi ślizg nie wyjdzie na desce i kolanem przejedzie? Lechu proponuje, żeby na siłę, jak lekarstwo. Jaśkowi się pomysł bardzo podoba, bo już mu się wszystko zaczyna bardzo podobać, nawet Magda, chociaż jest aż o trzy lata starsza. Ale kiedy o tym wspomina, to Lechu się jakiś smutny robi, za butelkę chwyta i wlewa w siebie, ile się da.

– No i wtedy on tak na mnie popatrzył. Zrymował po swojemu, coś jakby *Chcesz, bym cię jebnął,/ Magda będzie ze mną*, i się zwalił na ziemię, o tutaj – pokazuje Jasiek, bo właśnie dochodzimy na miejsce. Tyle że poza wygniecioną trawą niczego już nie ma.

– Bałem się, że umarł. – Jasiek prawie płacze.

– To by znaczyło, że zmartwychwstał. – Trudno mi się powstrzymać. Sam niedawno byłem młody. – Teraz musimy go znaleźć, zanim się zaczną problemy.

Ale problemy słychać już z daleka. Biegniemy z Jaśkiem z parku, bo na górze słychać potężną awanturę. Co się dzieje?

Lechu, nieźle napruty po pierwszym w życiu kontakcie z alkoholem, przy straganie z książkami znajduje starego Zacharę. Chce się zapytać, czy

gdzieś jest Jasiek, bo byli w parku i Jasiek nagle zniknął, rozpłynął się w powietrzu jak duch. Ale trudno mu się wysłowić.

I nagle widzi książki, broszury, gazety na stoisku. „Śmiertelni wrogowie chrześcijan", „Żydowskie kłamstwa i oszustwa", „Poznaj żyda", „Maca i inne przepisy – prześwietlamy kuchnię żydowską" i „Gazeta Warszawska" z rysunkiem podstępnego żyda z sakiewką. Antysemityzm w czystej postaci, jak spirytus dziewięćdziesięcioośmioprocentowy.

Lechu nie jest już dzieckiem. Już niejedną godzinę przegadali z rodzicami o tolerancji, o antysemityzmie, o mniejszościach. Zawsze mówił, żeby mu dać spokój, że musi się pouczyć, chce się pobawić, woli pograć. Ale widać, że wszystko w nim zapadło i wykiełkowało. Chwyta za deskę ze straganu. Ciągnie, jednak Józek to na szybko zbijał, bo deska bez problemu odchodzi. I jak nie jebnie w te książki.

Ludzie uciekają z piskiem. Wywalają się lemoniady na stolikach, ileż się tu wódki zmarnuje. Sprzedawcy broszur najpierw próbują zgarniać książki, ale widząc furię pijanego nastolatka, sami uciekają w popłochu.

A Lechu rozwala stragan w drobny mak, strzępy książek mieszają się z wiórami.

– Zabierać mi to! – krzyczy z jakimś ogniem w sobie. – Cożeście zrobili z domu ojca mego?! Targowisko nienawiści! Precz!

W końcu opada z sił. Siada na ławce i jak to po alkoholu bywa, wpada w zupełnie inny nastrój – zaczyna płakać. Maryśka podchodzi do syna, obejmuje go, głaszcze. Lechu przytula się do mamy. Dosiada się do nich jeszcze Józek, obejmuje ich wszystkich. Święta rodzina.

Wolno podchodzi do Józka Jakub. Staje, patrzy na rozwalony stragan, na sprzedawców pakujących resztki ocalałych książek do toreb z Ikei, na rozmazanego Lecha i na Maryśkę ze łzami w oczach. Daje Józkowi swoją wizytówkę, bo otworzył właśnie drukarnię w Nowym Targu.

– To moi znajomi. Ja ich tu zaprosiłem, rozumiesz? Ponieśli dziś straty przez tego twojego syna. Moralne i wymierne, finansowe. Masz trzy dni na załatwienie sprawy, do środy – mówi, czeka, jakby chciał potwierdzenia, że

został zrozumiany, i jeszcze odwracając się, rzuca do Józka: – Trzy dni na odbudowanie mojego zaufania.

Jz 7, 19-24

– Staszek! Wbijaj tu szybciutko do warsztatu, weź kluczyki i tego merca, cośmy go wczoraj klepali. Tak, tego, co licznik mu trzeba było przestawić. Więc bierz go i jedź do Nowego Targu, adres masz zapisany na kartce, koło kluczyków. Tam stoi taki peugeot, rodzinny autobusik. Dojedziesz nim do warsztatu i trzeba mu zrobić rozrząd. Ale migiem, bo to ważny klient. I wieczorem masz kurs powrotny do Nowego Targu, jedziesz peugeotem po reanimacji, a wracasz mercem – instruuje mnie Andrzej. – Ja zresztą na popołudnie dojadę, właśnie żeśmy z Jędrkiem wstali, żegnamy Niemcy i prujemy do domu.

– Dobrze, szefie, robi się – odmeldowuję się, ale Andrzej już nie słucha, za to ktoś mruczy w słuchawkę po niemiecku.

Samo się nie zrobi, ale sprawa prosta. A poza tym składa mi się to idealnie, bo dziś jest przecież środa i jestem umówiony z Weroniką w Nowym Targu. Wachy swojej nie spalę.

Weronika znów cała na czarno. Ona chyba ciuchy sobie kupuje zgodnie z tą starą zasadą Forda – że mogą być w dowolnym kolorze, byle był to kolor czarny.

Szybko wybieramy knajpę. Może być dowolna – sushi, kebab, pizza – pod warunkiem że będą tam podawali schabowego, piwo z kija, a na czekadełko chleb ze smalcem. Idziemy do góralskiej knajpy, ale nie takiej dla warszawiaków, tylko prawdziwej. Bo dla Weroniki to jest ważne rozróżnienie – czy coś jest prawdziwe, czy nie.

Ona na przykład jest prawdziwa Ślązaczka. Ojciec w kopalni, matka kucharka, ona miała iść na sklepową, taka kolej rzeczy. Tyle że kiedy dorastała, wybuchła w Polsce wolność i się wszystkie utarte tory

poluzowały. I zamiast do handlówki poszła do liceum, i to do klasy humanistycznej. I tam wszystko zrozumiała. Że kopalnię ojca zamykają, bo Niemcy chcą wszystkich zmusić do korzystania z wiatru zamiast z węgla, chcą nam narzucić energię odnawialną, wszystko wspierane przez Sorosów i Rothschildów, chcą wykończyć nasze kopalnie, żeby mieć więcej siły roboczej, że to taki holocaust ekonomiczny na Polakach. I przez kogo on jest dokonywany? Przez Niemców, którzy nas nienawidzą od tysiąca lat, przez żydów, którzy nas nienawidzą od dwóch tysięcy, i przez arabskie multi-kulti, które zdobyło już przysiółki w Niemczech i teraz się do zajęcia Polski przymierza. A najgorsze to, że oni tak nic nie rozumieją ci jej biedni rodzice, odmóżdżeni, warszawiaki po prostu. Cały Śląsk dał się sprzedać za odprawy z kopalń i udaje Mazury.

– Jak to Mazury? – dziwię się.

– No tak to! Widziałeś takie billboardy przy drogach „Śląsk, magiczna kraina”? I jakieś mgły, zielone lasy, jeziorka ukryte między drzewami? To ma być Śląsk?! – oburza się Weronika. – Śląsk to są kopalnie, wyrobiska, szyby w oddali, czarny pył węglowy. To nie są żadne płuca Polski, jakieś agroturystyki dla niemieckich turystów, Masuren i sruren, tylko to jest czarne serce Polski. Polak się rodzi z sercem z węgla.

– I tak łatwo stamtąd wyjechałaś?

– A kto ci powiedział, że łatwo?! Dla warszawiaków wszystko ma być łatwe. Moje serce jest z węgla i ciężko mi było mój Śląsk opuścić. Ale nie mogłam patrzeć na tych ogłupionych ludzi. I tutaj znalazłam dopiero ludzi prawdziwych, myślących jak prawdziwi Polacy.

– Czyli że palą węglem i oddychać się nie da? Zwłaszcza w Rabce, bo ona leży w kotlinie, więc jak tu się nakopci w październiku, to dym do wiosny się trzyma, aż go halny przewieje.

– Też się dałeś nabrać tej arabskiej propagandzie z Niemiec. Jakby halny wiał cały rok, jak te ich pustynne wichry nad Nilem albo Eufratem, to można by się przestawić z energetyką. Ale to czysta propaganda, żeby zrealizować plan zniszczenia Polski.

– Wera, jaki plan zniszczenia Polski?

– Satanistyczny. Bo tylko Polska może obronić Boga w Europie. Reszta to sprzedawczyki albo idioci. Wiesz, gdzie jest Mekka? To się lepiej dowiedz, bo ci wprowadzą obowiązkową modlitwę w południe przodem do Mekki na dywanikach – prorokuje Weronika. – Wiesz, kto kupił słynną kiedyś na cały świat polską fabrykę dywanów w Kowarach?

– No kto? – pytam.

– Arabsko-żydowskie konsorcjum z siedzibą w Monachium, finansowane przez Sorosa – odpowiada ściszonym głosem.

Kelnerka przynosi kotleta z ziemniakami dla Weroniki i ruskie pierogi dla mnie. Zjadamy, wychodzimy. Wypytuję ją, czy do Jakuba nie jedzie do Ludźmierza, to mogę ją podrzucić. Nie, idzie do domu, mieszka przy rynku, a Jakub ma jakąś sprawę dzisiaj, powiedział, że mu to dużo zajmie, więc się dziś nie będą widzieć.

Całujemy się na ławce długo, rozkosznie, bezwstydnie. No to pa.

Jz 7, 25-30

Jest taki żydowski szmonces, jak Mosze, łamiąc przykazanie o szabasie, poszedł grać w golfa, uderzył, piłka cudownym splotem okoliczności, złapana przez orła, przeniesiona na grzbiecie przez żabę, popychana wiatrem, wpada do dołka. Uderzenie życia, Jahwe tylko mógł to sprawić. I archanioł dziwi się w niebie, czemu Jahwe Moszemu takie zagranie umożliwił, skoro powinien go raczej ukarać za to, że grał w golfa w szabas. A Jahwe na to: „Wiesz, jaka to jest kara? On nie będzie mógł się teraz nikomu tym pochwalić".

Dojeżdżam więc szybko do Józka, żeby mu opowiedzieć o zdobyciu Nowego Targu, a tam jakaś jatka trwa. Stoi człowiek i rzuca kamieniami w okno, i przekleństwami.

– Mówiłem ci, kurwa: trzy dni. A ty żeś palcem nie kiwnął. Co ty sobie myślisz? Że ten twój brudas, jak sprawił cud w Harkabuzie, to już ma do

końca życia alibi? I może sobie obrażać dobrych Polaków i niszczyć ich dobytek? Pijak rośnie, alkoholik. W polskiej rodzinie to by się nie mogło zdarzyć, żeby taki szczyl się upił i rozrabiał. A wiesz, co by było, jak by się zdarzyło? Ojciec by go pasem sprał. A nie, że mamusia go przy wszystkich głaszcze. Matka, która wszystko rozumie. Biedne skrzywdzone dzieciątko Lech, które omal ludzi deską nie pozabijało – wykrzykuje. Poznaję go, to Jakub. Chyba napruty, bo rzadko kiedy trafia w okno, a po każdym rzucie kiwa się jak matrioszka.

Na dole Traczykówki słychać syrenę policyjną.

– Jeszcze na psy mnie podałeś? Skurwysynu! Polaka na psy podać? – Jakub się zapienia. Bełkocze przy tym, naprawdę jest pijany. – Tobie może daruję, bo Polak Polaka zrozumie, nawet takiego pojebanego. Ale ta twoja ciapata kurwa i ten bachor niedomyty to nie mają życia. Już, kurwa, nie mają życia w Rabce.

I potykając się trochę, Jakub znika między domami. Podjeżdżają policjanci, wchodzą.

– Dzień dobry, posterunkowy Pędzimąż, otrzymaliśmy wezwanie. Co się stało? – pyta jeden służbowo.

– Napadł na nas – trzęsącym się głosem odpowiada Maryśka.

– Kto? I czy doszło do naruszenia nietykalności cielesnej?

– Jakub z Ludźmierza – odpowiada Józek.

– Naruszenie nietykalności? Kamieniami rzucał, szyby nam powybijał – dorzuca Maryśka.

– Proszę po kolei opowiadać. Czyli nietykalność nienaruszona, niby zniszczenie mienia. Te szyby? – Policjant podchodzi do okna. – No ja się nie dziwię, że one powylatywały, ledwo się trzymają. A z tej strony wiatr często wieje. Czy pan wie, że pozostawiając okna w takim stanie, naraził pan małoletniego na groźbę utraty zdrowia? Przecież dziecko ma tu łóżko pod tym oknem, widzę. Mogę wymierzyć mandat dwieście złotych za narażenie.

– Panie, daj pan spokój – nie wytrzymuje Maryśka.

– Ja od tego właśnie jestem, żeby tu był spokój. A widzę, że tu się jakieś niepokoje wzbudza. Słyszeliśmy o przykrym incydencie z udziałem młodocianego w niedzielę pod kościołem. Nie zostało złożone zawiadomienie, więc na razie nie wszczynamy śledztwa. Ale co innego jest śledztwo, a co innego wiedza. – Policjant wchodzi w ton mędrkowania. – Otóż według wiedzy, którą dysponuje policja, to nie obywatel, który miał rzekomo państwa niepokoić, jest przyczyną zamętu w miejscowości uzdrowiskowej Rabka-Zdrój.

– Nie żaden „obywatel", tylko Jakub z Ludźmierza, mówiłem już, kurwa, przecież – nie wytrzymuje Józek.

– Mandat dwieście złotych za obrazę funkcjonariusza dołożyć? – pyta policjant. – A poza tym jaki Jakub z Ludźmierza? W Ludźmierzu Jakubów jak psów. Adres poproszę.

– A skąd ja mam znać adres Jakuba z Ludźmierza? – dziwi się Józek.

– A to skąd ja mam wiedzieć, którego mam zatrzymać? – triumfuje policjant. – Mam pójść, oskarżyć wszystkich Jakubów w Ludźmierzu o napastowanie domu Józefa Papierza? O nie, panie Papierz. Pan już chyba zapomniał, czym się polskie prawo różni od szariatu. Otóż w polskim prawie obowiązuje domniemanie niewinności i ja takiego zawiadomienia po prostu przyjąć nie mogę.

– Jak to?! – Józek w ostatniej chwili powstrzymuje się przed stekiem wyzwisk.

– To co? Wystawić ten mandat za narażenie małoletniego na uszczerbek na zdrowiu? Czy zapomnimy o sprawie? – Policjant zakłada czapkę, stoi chwilę ostentacyjnie, czeka niby na odpowiedź i w końcu wychodzi. Maryśka z Józkiem stoją jak Lot i żona Lota, nie wiedzą, co zrobić. Biorę szufelkę i zaczynam zmiatać szkło.

Szczęście w nieszczęściu, że Lechu jeszcze nie wrócił z treningu piłkarskiego.

Jz 7, 31-39

Tak, kurwa, nie będzie. Nie będzie, żeby obcy pomiatali Polakiem. Ścierwa. Brudasy. Kurwa ciapata z pizdą w poprzek. Żydówa z krainy kozojebców. Terrorystka pierdolona.

– Piwa dawaj! – krzyczy Jakub od wejścia Pod Kasztanami. Paulina leje przestraszona, kolejkę pomijając, zresztą kolejka to dwójka zabłąkanych studentów wracających z wycieczki z Gorców. Bo to piękne góry, polskie.

– Dobrze, że ty tu jesteś, bo ty mi się widzisz. – Jakubowi parują uszami wszystkie emocje. – Gdybyś ty żoną Jędrka nie była, tobym cię wypieścił po cycuszkach.

I patrzy z zadowoleniem na Paulinę. I wdzięczności w jej oczach wypatruje, bo taki jej komplement powiedział piękny. Taki męski, jaki się kobiecie, polskiej kobiecie prawdziwej należy, bo my w Polsce szanujemy kobiety i je komplementami obsypujemy jak płatkami dzikich róż z drogi na Tatarową.

Trochę schodzi z Jakuba złość na Papierzów, że go na psy podali, że go Józek nie przeprosił za tamto. Bo Polak do Polaka nic nie ma, tylko niech przeprosi. Od przedszkola tego w Polsce uczą. Uderzyłeś – przeproś. Rozwaliłeś – przeproś. Obraziłeś – przeproś. Więc go ten wieśniak musi przeprosić za siebie, za tę kurwę ciapatą i za tego kolorowego bachora. Bachora to by lepiej trzymał krótko, bo jeszcze taki terrorystą zostanie, przyjdzie tu niby na soczek wyciskany z nowego asortymentu Kasztanów zorientowanego na warszawskie ekoświruski i wszystko w pizdu wysadzi bombą.

Jakub każe sobie nalać drugie piwo i siada przodem do drzwi, żeby wejścia pilnować. No, pewnie dziś bachor nie przyjdzie, bo go w domu nie było, jak sprawiedliwość wymierzał. Uśmiecha się Jakub do siebie, że jednak zadymić potrafi. Sam lepszy dym tu zrobi niż te nadęte warszawiaki na Marszu Niepodległości. Tysiące tam ich są i nie potrafią miasta obronić przed jedną pedalską tęczą. A on tu sam jeden Rabki przed nawałą muzułmańską broni.

Trzecie piwo (Paulina leci na paluszkach, zanim Jakub zdąży) wylewa się na wzburzone morze emocji Jakuba jak oliwa. Niech no Józek przyjdzie do niego i za młodego przeprosi, bo to wystarczy. Młody narozrabiał. Może lepiej byłoby mu wpierdol spuścić po prostu, a nie chałupę ojcu demolować. Jakub zaczyna się zastanawiać, bo jednak solidarność jest w Polsce ważna, a solidarność to jest między mężczyznami Polakami.

Przy czwartym piwie („Paulina, nie guzdraj się jak mucha na pustyni, ha, ha, ha") Jakub dochodzi do wniosku, że sam się z Józkiem rozmówi, bo tej demolki w jego chałupie to może nie musiał robić. A dzieciakowi to niech sam Józek skórę złoi. Tylko co z tą ciapatą kurwą? Bo tak tego zostawić nie można.

Z piątym piwem przysiada się do Jakuba sam Władysław.

– Kuba, napij się, ostatnie piwo od firmy. A potem zamykamy.

– Kurwa, Władysław, ty jesteś prawdziwy góral. Dajesz zacne piwo na koniec. I to jest takie polskie, że gość w dom, Bóg w dom. Polak Polaka ugości hojnie, a nie będzie żydzić jak te mahometany. Tylko sobie musimy coś wyjaśnić, Władku.

– Dobra, Jakub, jutro sobie wszystko wyjaśnimy.

– Twoje imię, wiesz, co ty masz za imię? Jagiellońskie, Władysław.

– Tak, wiem, Jakub, ty też masz piękne, biblijne.

– Nie pierdol. Ojciec mi je dał po pijaku, bo pije Kuba do Jakuba, znasz to? Ale twoje imię to jest takie polskie imię. I to, Władysław, zobowiązuje. Ty tu nie możesz ciapatych chronić, bo Władysław to bił ciapatych pod Wiedniem.

– Stefan.

– Stefan to się chciał ze mną ścigać na patelni, ale bęcki dostał. Więc ciapatym też trzeba bęcki spuścić.

– Wszystko jutro uzgodnimy, Jakub. A teraz już się musisz położyć. Weronika po ciebie przyjechała, poprosiłem ją.

Weronika, piękna, odstrzelona jakaś, z rumieńcem, wchodzi Pod Kasztany. Widzi Jakuba naprutego jak meserszmit i mówi:

– No, coś mi się wydaje, że będziesz zaraz węża śledził. – A że Jakub nie reaguje, w stupor zapada, to mu wydaje komendę: – Marsz, marsz, Dąbrowski, spod Kasztanów do auta!

Jz 7, 40-48

– Mamo, tato! – Lech wpada do domu zdyszany, widać leciał całą drogę od busa. – A co tu się stało?

– Nic, wiatr – uśmiecha się smutno Maryśka. – Wiatr historii.

– Wyrzucili mnie z drużyny.

Maryśka siada zbolała na krześle.

– Kto? Jak to?

Lech opowiada, jak to trener zawołał go razem z Jaśkiem po treningu. Że postępów nie robią, że czas wybrać, kto się przygotowuje do gry w profesjonalnym klubie, się podszkoli, się go sprzeda, a kto będzie sobie pykał w piłeczkę w reprezentacji szkoły. No i że to jest trudna rozmowa, ale on właśnie decyduje, żeby Lecha przenieść do rezerw, a że drużyna rezerw jest zawieszona, to tu jest rozwiązanie umowy i Lechu jest wolnym zawodnikiem, jak by go na przykład Maccabi Tel Awiw chciał u siebie, ale tam to w sumie tak samo nie pasuje jak do polskiej drużyny.

– A Jasiek?

– Trener mu powiedział, że ewentualnie może zostać, bo rada drużyny się za nim wstawiła – wyjaśnia Lechu. – Ale Jasiek nie chciał, powiedział, że też już ma dosyć tego kibolstwa i wyzywania na meczach.

– Jaśka wyzywali?

– Nie, mnie. – Lechu się trochę zawstydza.

– Wyzywali cię na meczach? – Maryśka jakby kolejny cios w serce matki dostała.

– Wszystkich wyzywają, jak coś nie wyjdzie. Że głupi chuj, że pedał, że co ty, kurwa, robisz… – wyjaśnia cicho Lechu.

– A ciebie?

– Że banan, ciapaty, małpa z buszu. Na każdym meczu, jak bym nie grał.

Maryśka przytula Lecha. Pieta normalnie.

– Ale przecież świetnie grałeś. Pamiętasz, jak wygraliście trzy do jednego z Porońcem? I to w Poroninie. I ty strzeliłeś wszystkie trzy bramki. Na rękach cię powinni nosić.

– Jak wracaliśmy, to się cały autobus kibiców martwił, że przegraliśmy zero do jednego. Bo bramki zdobyte przez małpoluda się nie liczą. – Lechu nie wytrzymuje i zaczyna go wstrząsać. Chłopaki nie płaczą, ale dzieciaki tak, więc w końcu Lechu łka w objęciach matki. Która wszystko rozumie.

Wracam do sprzątania szkła, Józek też. Dobrze, że noc ciepła, jutro trzeba będzie szyby wstawić.

Lechu się otrzepuje jak młody tygrys albo raczej czarna pantera. Wybieramy te drobinki szkła razem, żeby nikt się nie zranił.

A Maryśka idzie do łazienki twarz obmyć. I znów wychodzą jej na policzku dwie równoległe szramy.

Jz 7, 49-56

Zmiany klimatyczne przychodzą niezauważalnie. Jeszcze w dwa tysiące czternastym roku klimat w Rabce jest niezmienny od dwudziestu pięciu lat, od upadku PRL-u. A już w dwa tysiące piętnastym zmienia się znacznie. I teraz jak Maryśka idzie ulicą, to za nią gwiżdżą. Jak staje w kolejce do kasy w markecie, to się odsuwają, żeby się nie otrzeć, nie zbliżyć, nie zarazić. Jak piwo Pod Kasztanami podaje, to czasem zanim zdąży wziąć kufel, klient powie, żeby mu ta druga pani nalała.

– Tak nie może być – oburza się Elka, kiedy Józek nam to wszystko opowiada. Zebraliśmy się całą naszą bandą Pod Kasztanami, Maryśka piwo podaje, dla starego Zachary bezalkoholowe, to taki warszawski wynalazek, a że gości nie ma, to i sama się może do nas dosiąść. – Cosik musimy z tym zrobić. Najpierw trzeba tego Jakuba na policję podać.

Ale Józek macha ręką.

– Następnego dnia przyjechał do mnie do roboty, jak kuchnię montowałem we Rdzawce. Przepraszał mnie, że się upił, że mu się narzeczona puszcza, że jest ogólnie w dupie. I pieniądze na szklarza chciał dawać.

– No i co? – pyta Anka.

– Powiedziałem, żeby je sobie w dupę wsadził, z tym potłuczonym szkłem najlepiej. I żeby Maryśkę pojechał przeprosić za to, co jej wygadywał.

– I przeprosił?

– Elka, ty z nieba spadłaś? – uśmiecha się Maryśka.

– To dawaj go na policję! Jaki tam mają numer na Podhalańską?

– Elka, na jaką policję? – wtrąca się Łukasz. – Policja już przyszła i słyszałaś od Józka, co mówiła. Przecież oni są tam dogadani od dawna z tymi na motorach. Nie zastanowiło cię nigdy, że tyle lat nielegalnych wyścigów, zagrożenie bezpieczeństwa na drodze krajowej i żadnego zatrzymanego?

– I nie możemy nic zrobić?

– I nie możemy nic zrobić – odpowiada stary Zachara. – Możemy się tylko pomodlić, żeby gorzej nie było. Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko… Znacie to?

Otwierają się drzwi, cicho, delikatnie. Pojawia się w nich głowa Adasia, rozgląda się. Za chwilę ostrożnie wchodzi cały Adaś, rozgląda się jeszcze dokładniej. Wita się z Maryśką, do nas wszystkich macha i uśmiecha się przepraszająco. Odkrzykujemy mu: „Cześć, Adaś”, bo to miły chłopak jest i jeszcze bardziej ma chyba przerąbane.

Adaś odwraca się, uchyla szerzej drzwi, ręką macha. I chłopak za nim wchodzi, piękny jak młodzieniec Rafaela. Czarnowłosy, niebieskooki, delikatny w rysach i gestach. Od razu widać, że to chłopak Adasia.

Siadają w kącie za fikusem, żeby ich nie było widać, gdyby ktoś obcy wszedł. Zamawiają jedną herbatę na dwóch. I chociaż sobie posiedzą między ludźmi, nie cały czas jak w getcie, jak mysza ze szczurem za kanapą, w ukryciu, żeby się tylko nie wydało.

Stary Zachara trochę oczami przewraca, bo jednak za jego czasów nie było, żeby chłop z chłopem na ulicy. Ale go Anka kopie w kostkę.

– Przestań, Zachara, co ty myślisz, że za twoich czasów tego nie było? Było tak samo, tylko się wszyscy geje musieli kryć. A teraz już nie muszą.

– Nie muszą? Popatrz na nich – pokazuje głową Józek. – Może warszawiaki nie muszą.

– W Krakowie są nawet takie kluby LGBT – odpowiada mu Anka. – Byłam w jednym z ciekawości…

– Tak? Nie mówiłaś – dziwi się Łukasz. – Ale to pewnie kiedyś byłaś, dawno temu byłaś.

Anka przytakuje. Dobrze, że Łukasz tak umie załagodzić każdą niezręczność. Bo po co drążyć. I to rzeczywiście było dawno temu, kiedy jeździła do Krakowa na motorze, na tylnym siedzeniu. Do spa w Poroninie. Nad Jezioro Orawskie na Słowacji, gdzie się opalała topless, bo to ich jeszcze bardziej podniecało, że wszyscy patrzą. Ale już od dawna, od dawna nie jeździ.

Teraz tylko czasem do Mszany się wyrwie porozmawiać o Buddzie. Bo to strasznie ciekawe z tym buddyzmem i ci buddyści są tacy inni niż Łukasz-inżynier.

– A gdzie dzieciaki? – Anka zmienia temat na bezpieczniejszy.

Zanim Maryśka zdąży odpowiedzieć, Adaś się ośmiela i zamawia pizzę na cienkim cieście, bo jest też na grubym dla wieśniaków. To już jest akt odwagi, bo jakby przyszli tu motocykliści albo chociaż chłopaki ze Rdzawki, toby herbatę mogli zostawić i uciec, a pizzy nie porzucą.

Pizza jest oczywiście wegetariańska. Polska pęka na dwie części, płyty tektoniczne trzeszczą. Dwóch gejów zamawia pizzę wegetariańską, pewnie jeżdżą do roboty na rowerach, segregują śmieci, a w domu oglądają seriale na smartfonach giganta z Cupertino. A jak przyjdą Ponice, to se każą mięcha, tłusto, ciężko, do tego po setce, a dla kierowcy pięćdziesiątka, odjadą furą stuningowaną import z Niemiec, w domu nahajcują oponami i nie usną, póki im laska laski nie zrobi. Inni ludzie, ktoś taką książkę kiedyś napisze. Albo: Ewangelia kontra Apokalipsa. Stary i Nowy Testament. Czarne i białe, ying i yang. Polska biało-czerwoni to też niezły kontrast. Trzeba sobie będzie tylko wybrać kolory w głosowaniu i przedrzeć Polskę na dwie części.

– Jak to gdzie? – odpowiada Maryśka Ance po podaniu pizzy. W mikrofali robi się to w trzy minuty, a tylko warszawiaki dopytują, czy to z pieca węglowego, czy z drzewnego, czy na kamieniu. Normalnemu człowiekowi wystarczy, że zagrzana. – Z twoją Magdą są, miała ich matematyki poduczyć.

– Przecież Janek jest świetny z matmy – dziwi się Elka.

– Lechu właściwie też. Ale mówił, że to mu się przyda przed testami gimnazjalnymi, żeby był pewniejszy – mówi Maryśka. – No co się śmiejesz, Józek?

– Bo to chyba nie o matematykę tu chodzi. – Józek robi oko do starego Zachary.

– Oj, dzieci, dzieci – kręci głową Zachara. – Wy, mamuśki, to myślicie, że ciągle macie dzieci w domu. A patrzcie lepiej, żeby te dzieci sobie dzieci nie porobiły.

Jz 7, 57-62

– Wielomiany umiesz rozwiązywać? Ty też? To proszę, macie jedno zadanie i robicie na czas. – Magda zarządza chłopakami. Ale wyrośli,

więksi od niej. Słuchają się jej, bo jest starsza o parę lat. A może dlatego, że wpatrują się w nią jak w święty obrazek. Co to, ona niby nie widzi, jak się patrzą?

Dwóch berbeci i młoda panna, chowali się razem. Razem nad Białkę, nad Dunajec, razem na Maciejową, bo sami to marudzili, że tyle trzeba iść. A potem sernik w schronisku i cola w nagrodę. Razem do szkoły, czekali na nią czasem, bo zawsze była starsza, miała więcej lekcji, więc potrafili całą lekcję przesiedzieć w szatni albo piłkę kopać na boisku, byle razem z nią wrócić. Wszędzie razem.

Jak się im dziewczyny zaczynały podobać, to się o wszystko Magdy pytali. A jak to jest być mężem i żoną. A czy piersi bolą, jak rosną. A czy one są tam owłosione. A jak się całuje.

To nawet Lechowi pokazała, strasznie chciał wiedzieć. Pocałowali się raz, ale mu Magda kazała przysiąc na Najświętszą Panienkę, że nikomu nie opowie, bo to było tylko na próbę i dla powiększenia wiedzy.

Lechowi się bardzo w tym momencie wiedza powiększyła. I zapamiętał to dokładnie, nie jak wielomiany, które trzeba powtarzać, żeby weszły do głowy.

Magda umiała się całować, bo jej koleżanka z klasy równoległej pokazała, Maja. Nawet fajnie, tylko trzeba się potem powycierać. Maja mówiła, że lubi się całować z dziewczynami i że jak się zdejmie staniki, to jest jeszcze lepiej się całować. Ale Magda stwierdziła, że jeśli już, to wolałaby się całować z chłopakami, i że stanika zdejmować nie będzie.

Z Mają się lubią, nawet bardzo. Pierwsze wino razem piły, Maja je rodzicom z domu wyniosła i poszły na ławkę w parku. Gdyby park mógł mówić, toby im takie rzeczy o ich matkach opowiedział, że by chyba uciekły z krzykiem. Ale milczał, nawet kiedy dopiły wino, objęły się i pocałowały znów. Tylko że Magda musiała lecieć pouczyć się do klasówki, więc pobiegła do góry, bo na Norwida jest do góry, a Maja w dół, bo przy Orkana mieszka.

A potem się kolega z jej klasy chciał umówić na uczenie, bo Magda zawsze same piątki miała, szczególnie z przedmiotów ścisłych, po ojcu łeb

odziedziczyła. To Magda mu powiedziała, że tylko w parku i musi wino zorganizować, bo jej się podobał, na siłkę chodził i ogólnie był przypakowany. A w dodatku mułowaty trochę, więc by go i tak niczego z matmy nie nauczyła. Całowali się długo i Magda żałowała, że listopad, bo chciało jej się zdjąć stanik.

Zdjęła go w domu w grudniu. Nie raz.

Więc teraz, kiedy siedzi z tymi chłopcami, to chociaż drobniejsza, jest jednak level wyżej, kilka levelów wyżej. Ona jest już kobietą, w sensie biblijnym, a oni są dziećmi Onana. Ciekawe, czy ją też biorą w fantazjach?

– Już – krzyczy Lechu.

Magda sprawdza, dobrze rozwiązane. Janek – też dobrze. No, ale Lechu był pierwszy.

Robią zadania z różnych działów. Z trygonometrii musi im trochę wytłumaczyć i dają radę. Badanie przebiegu zmienności funkcji. No to u Lecha leży, chyba się umówią na dodatkowe zajęcia. Ale już nie dziś, bo dziś Magda się musi pouczyć do swojej matury. Potem idzie do szkoły turystycznej, wyższej szkoły. Będzie biznes w przyszłości rozkręcać, bo ma smykałkę.

– Tararara, i co otworzysz w Rabce? Pensjonat dla warszawiaków? A może burdel? – rzuca z głupawym chichotem Janek i obaj się zaśmiewają. W tym wieku wszystko im się z jednym kojarzy. A powiedzieć na głos brzydkie słowo to taka rozkosz jak w pierwszych klasach podstawówki puścić ostentacyjnie bąka.

– Taaa – odpowiada chłopakom Magda. I z teatralnym przekąsem zamyka temat: – Otworzę burdel dla miejscowych ze specjalnym asortymentem. Będzie pracowało w nim sześć blondynek, o połowę więcej Mulatek i o połowę mniej rudych. Ile będę miała pracownic, jeśli będę musiała zrobić pięćdziesięcioprocentową redukcję personelu?

Chłopaki nie wiedzą. Nie dlatego, że nie umieją policzyć, to jest poziom podstawówki, a oni są naprawdę nieźli z matematyki, cyfry arabskie i rzymskie, całego Pitagorasa mają w małym palcu, jakby w dzieciństwie go w oryginale czytali. Chłopaki wpatrują się w Magdę jak w święty obrazek.

Janek dostaje od tego wzwodu, a Lechu nie, bo jemu od początku lekcji stoi. Chłopcom w tym wieku zwykle stoi, a kiedy siedzą w jednym pokoju na lekcji matematyki z koleżanką, która ma dwa guziczki pod szyją rozpięte, a długość spódniczki poniżej sześćdziesięciu centymetrów, to im stoi tak, że muszą sobie poprawiać.

Lechu by się do tego nigdy nie przyznał. Z matką nie pogadasz, bo ona taka świętojebliwa, ojciec też. Łatwiej ma Janek, bo jemu matka nawet książki o cipkach kupowała i wielką księgę fiutków, tyle że poprosiła ciocię Anię, żeby z Krakowa przywiozła, bo to wstyd jednak w księgarni w Rabce o takie rzeczy pytać. Ale erekcja u nastolatków ma taką cechę, że własna matka jest ostatnią osobą, którą chciałoby się w ten temat wprowadzić.

Rysują w zeszytach na trzeciej stronie okładki gołe baby. Z cyckami, Wenus z Willendorfu, Jankowi wychodzi raz Wenus z Milo, a Lechowi Wenus z Rabki. Gdyby Pan Bóg dał Lechowi dar rysowania, byłaby podobna do Magdy, miałaby jej urodę, spojrzenie i usta. Ale dla Lecha i tak Wenus ma najczęściej twarz Magdy. Jej oblicze w porywie rozkoszy wyświetla mu się w ostatnim momencie przed wielkim finałem, zanim splami prześcieradło.

Jz 7, 63-69

Ile kobiet możesz wyświetlić sobie przed oczami, plamiąc prześcieradło? Wszystkie. Poza Elką Zacharową, bądźmy szczerzy.

Ale Ankę na przykład? Teraz, kiedy całą pornografię świata masz dostępną pod ręką na smartfonie – a to „pod ręką” jest bardzo dosłowne – możesz sobie wyemitować filmik „trenerka z siłowni”. I nie zauważając, kiedy odkładasz telefon, przejść do fabuły z Anką, jak koryguje lordozę w odcinku lędźwiowym kręgosłupa, prezentuje rozciąganie mięśnia piersiowego, przysiady wzmacniające pośladkowy większy, co płynnie przechodzi w grę wstępną i finał. Zdziwiłbyś się, gdybyś się dowiedział, że

ze dwa-trzy razy podobna akcja się Ance zdarzyła w realu, a jeszcze bardziej, jak byś się dowiedział z kim.

Albo Paulinę spod Kasztanów. Dziewczyna w pubie, dziewczyna nalewająca piwo, podająca je mężczyznom do stołu aż się prosi, żeby ją poklepać po tyłku. Ja oczywiście wiem, że się kelnerki po tyłku nie klepie, bo w Warszawie to nie do pomyślenia, bo to by była wiocha i pretekst do pokazania wieśniakowi, który by się poważył, wyższości stołecznej nad słoikami. Prawdziwy warszawiak nie klepie kelnerek po tyłku, prawdziwy sobie to tylko wyobraża wieczorem na prześcieradle. Ileż to kelnerek brałem w fantazjach w stolicy, bo ja zawsze muszę mieć konkretny podkład do motywu, nie aktorki lub youtuberki jak niektórzy.

Ale Maryśki spod Kasztanów to nie. No jakoś nie. Smagła, z urodą, intrygująca, śliczna jak obrazek. Jak róża pustyni przesadzona na Sokolicę w zastępstwie sosny znanej z pocztówek. Ale jakoś jej sobie nie idzie wyobrazić. Więcej w niej ducha niż materii, więcej miłości do świata niż seksapilu, tyle spokoju, że żądze studzi, a podziw budzi.

Za to Weronikę z Nowego Targu, ojej. Za włosy i klękaj. Klękaj do lubieżności, proś o upokorzenia, kajaj się, obwiniaj, odkupuj się pieszczotami, błagaj o wybaczenie, zadośćuczyniaj seksem, rób to, rób to, Czarna.

Można rozwinąć z nią w najpiękniej wyuzdaną fabułę to całowanie na ławce pod jej domem wtedy, kiedy Jakub napadł na dom Józefa i Maryśki. Można rozwinąć to spotkanie na Turbaczu w szałasie, gdzie – gdyby tak zimno nie było – gotowa była zdjąć wszystko. Oddać się cała, zresetować pamięć swoją, moją, Jakuba, całego świata. Lecz mróz ją opamiętał, i to na kilka miesięcy.

Można wyobrazić sobie dalej, co park rabczański wiosną widział, a może to już latem. Piękne, sterczące jak u warszawskiej Syrenki piersi Weroniki. Takie, że przed zdjęciem bluzki i stanika byś się tego nawet nie spodziewał. Takie polskie piersi, mleczne. Nie sterczące na pokaz, jak na parkiecie w stołecznym klubie popularnym, z napisem „Macaj mnie, macaj", sprzedajne, kurewskie, warszawskie. Takie push-upem podkreślone, takie

dekoltem odsłonięte, a spod niego kolejny napis, tym razem po angielsku: „FOR SALE". To znaczy „na sprzedaż", ale w Warszawie nie musisz nikomu na polski tłumaczyć, bo tu ludziom już mózgi przerobiło, nie masz tam pracowników biurowych jak w Rabce w urzędzie, tylko junior accountów, ani kierowników jak w sklepie w Ponicach, tylko account managerów. Dziewczyny chodzą po ulicach, stanikami machają, nawołują chłopców niewinnych z angielska: „Fuck me, please". Degrengolada. Tęcza, pod którą wszyscy się w nocy pierdolą i nie wiesz, czy cię dziewczyna pieści, chłopak, czy transseks.

Otóż z Weroniką to jest nie tak. Piersi jej czyste, okrągłe, śnieżnobiałe, żadnym słońcem ze zboczonego toplessu nietknięte. Białe jak biel na polskiej fladze. Sutki twarde się pod palcami robią moimi, pod językiem moim. I Jakuba – ale co? Życie nie zawsze jest proste jak Ewangelia. Tak–tak, nie–nie, a resztę wypierdolić w kosmos? Człowiek nie zawsze to potrafi, bo zawsze jest trochę zwierzęciem.

Tak samo z tą Warszawą. Jak Rabka mnie przyjęła z otwartym sercem, tak ja dziś przyjmę każdego warszawiaka. Bo czemu ludzie winni? Czemu winni, że w takim kurewskim syfie żyją, bagnie moralnym? I że człowiek jest zawsze trochę zwierzęciem? Tyle że na wsi kobiety to owce, a mężczyźni byki. A w mieście mężczyźni szczury, a kobiety żmije, świnki morskie, norki, łasiczki, gryzonie.

Tak myślę. I zaraz się ze sobą nie zgadzam. Zaraz sobie sam głośno mówię, że warszawiak jest taki sam jak góral, tylko że otwarty na innych, na to, że ludzie są różni, że miasta są różne. Poznań, Radomsko, Suwałki. I ludzie są różni, mają różne religie albo żadnej. Różny kolor skóry albo są całkiem przezroczyści, bebechy na wierzchu, sama emocjonalność. Różne zwyczaje i co komu do tego. My tu w Rabce mówimy, że w Warszawie facet faceta w dupę ładuje na każdym rogu. A w Warszawie mówiliśmy, że górale owce dupcą po bacówkach.

Jaka jest prawda? I czy jest jedna? Czy może być wiele prawd? Nie wiem, sam się siebie pytam, sam szukam i sam nie znajduję. Człowiek zawsze jest sam z takimi pytaniami, choćby na Rabską Górę poszedł szlakiem

papieskim żółtym, gdzie papież Polak jest upamiętniony i krzyż na szczycie z tablicą pamiątkową. Staniesz przed taką tablicą, gadasz, gadasz, a Jezus nic. I sam sobie musisz odpowiedzieć.

W Warszawie to niby mają łatwiej. Idziesz do psychoterapeutki i płacisz jej stówkę. Gadasz, gadasz, a ona tak tylko podrzuca zachęty, żebyś dalej gadał. A i tak sam sobie musisz na koniec odpowiedzieć. Albo i nie odpowiedzieć, tylko nowe pytania pozadawać.

Stoję więc teraz na szczycie Rabskiej i się pytam, czy ja się w tej Weronice zakochałem, i przez to mnie tak telepie, że nie wiem, kim jestem, nie wiem, jaki jestem, nie wiem, co myślę, co uważam. To jej myślenie o świecie, o Wielkiej Polsce zrodzonej przez orła, nie z jajka, bo z jajka to by się mogła Słowacja narodzić albo Morawy, tylko z trzewi, w bólu wydartej, w poświęceniu, w krzyku orła zrodzonej. To właściwie powinno być orlicy, nie orła?

No właśnie, Weronika jest karykaturą mesjanizmu przeniesioną w dwudziesty pierwszy wiek. Polska Chrystusem narodów, węgiel solą ziemi, a orzeł panem stworzenia. Mąż i żona zjednoczeni w Jezusie powołują w małżeńskim misterium nowe życie na świat. To dlaczego oni z Jakubem do kościoła nie idą, Boga o błogosławieństwo nie proszą, dziatwy nie płodzą, malutkich ułanów w kapelusikach ze sztancy góralsko-patriotycznej odlanych? Może jej ten buc nie pasuje, ten władca, ten tyran? Może wie, że z nim to będzie ciąg upokorzeń nie w moich fantazjach, ale w jej realnym życiu?

Pytania sobie kolejne stawiam, a Chrystus milczy. Bo drewniany i na krzyżu. Gdybym mógł sobie tak z Chrystusem usiąść, przy stole pogadać… To co? Byłoby pewnie jak na psychoterapii w Warszawie. Masz wolną wolę, szukaj drogi.

Uciec stąd, wyjechać. Wyrychtować sobie fajną brykę u Andrzeja w warsztacie, rozrząd jej zrobić i wszystko, podjechać pod szkołę, wsiadaj, Wera, wsiadaj, Czarna, ach nie, nie mów do mnie Czarna, tak do mnie Jakub mówi, wiem, Jakub tak mówi, w łóżku do ciebie mówi, kiedy się

z nim kładziesz, kiedy cię pożąda, kiedy cię bierze, a teraz ja będę do ciebie mówił Czarna, Czarna, Czarna, bądź ze mną, uciekniemy, Czarna.

Chrystus milczy. To sam sobie odpowiem, że nie o to chodzi, żeby w życiu uciekać. Że uciekając, zostawiasz gruzy za sobą, wycie, pożogę. Że cię to będzie parzyć, piec. Że lepiej te żądze wychłostać, wrócić tu na Rabską w zimie, ale boso, na kolanach, w łachmanach, biczując się po drodze i koronę z krzaka dzikiej róży wciskając sobie na głowę, aby aż do mózgu się dowierciła.

Pójdę do Jakuba, niech mi dziewczynę odda. Siłą mu ją zabiorę. Bić się będziemy do krwi, do trepanacji, do utraty. Przyjadę, ciupagę mu wbiję w motocykl i niech się nie odważy podchodzić do Weroniki. Za gardło go chwycę, nad ziemię uniosę, czaszkę mu o posadzkę przed obrazem Matki Boskiej Ludźmierskiej roztrzaskam.

Chrystus się chyba zaczyna śmiać, bo teraz ja zamieniam się w karykaturę werteryzmu. A potem zaczyna się dziwić. Bo czy Weronika jest Jakubową własnością? Czy ona do niego należy? Czy kobiety należą do mężczyzn? Czy pomyślałbym tak, żyjąc w Warszawie? Czy zaczynam tak myśleć w Rabce? Z głupoty? Z miłości? Z rozdwojenia?

Schodzę z Rabskiej do zakopianki, stamtąd na Krzywoń, a dalej koło tej ruiny, co z budki Władka nad Poniczanką została. Budka w ruinie, ale zapach wolności pozostał, w ziemię wsiąkł, w deski powchodził, lubię tamtędy chociaż przejść, jak mam iść na Rabkę.

Dookoła wiosna, a na wiosnę zwykle ludzie się zakochują. Dziś pierwszy dzień wiosny, świat się budzi, moc truchleje. Skąd u nas w kulturze zachodniej ten przesąd, że rok zaczyna się pierwszego stycznia, kiedy wszystko jest zamrożone, zastałe, skurczone? Wiosna to nowy początek, nowa nadzieja, prawdziwy nowy rok.

Pierwszego stycznia śnieg pokrywa Luboń, wzgórza nad Chabówką, infrastrukturę narciarską, choć ta ostatnia w Rabce umarła. Zbiorowy reset pamięci. Wszystkie sprawy zostają pod śniegiem. Niektóre wsiąkną w ziemię, znikną z ludzkiej pamięci. Inne wiosną rozkwitną, a jeszcze inne wybuchną.

Przyspieszam, na popołudnie mam być w robocie, Andrzej mówił, że ważny klient z Kasiny auto przywiezie, będziemy rozrząd robić. Dużo teraz roboty będzie, ale w przyszłym tygodniu, no może w przyszłym miesiącu, do Nowego Targu pojadę, do Weroniki. Bo kiedy coś odmienić, jak nie na wiosnę, kiedy pojawia się w domach jajko, symbol nowego, jak mówi ksiądz w Wielką Sobotę przy święceniu? Wielkanoc już za dziesięć dni.

Na północnym stoku leżą jeszcze resztki śniegu, ale wiosnę czuć. Cosik będzie się działo, tylko nie wiadomo w czyje imię.

Jz 7, 70-81

Łukasza budzi łomotanie do drzwi. Ma dziś wolne, Anka w drodze do szkoły odwiozła Magdę na busa do Krakowa, bo Magda ma dziś zajęcia. Jeździ do Krakowa cztery razy w tygodniu do szkoły, robi licencjat z turystyki i rekreacji. To przyszłościowy kierunek w regionie. Chyba że w przyszłości wszyscy będą omijać Rabkę z powodu coraz większego smogu i coraz niższej oferty turystycznej w porównaniu z sąsiednimi miejscowościami. Ale tego nie wiadomo, bo przyszłości nikt nie zna poza starym Zacharą, ale to bez szczegółów i nie wiadomo, czy na pewno.

W weekendy Magda pracuje w pensjonacie Willa Gorce, łącząc praktykę zawodową z zarobkiem. Uśmiecha się zębami, spódniczkę nosi pięćdziesiąt pięć centymetrów, aż się prosi na plakaty reklamujące turystykę górską w Warszawie. Podaje śniadania warszawiakom, melduje ich, wymeldowuje, a na koniec zmienia pościel. Widzi wtedy na prześcieradle swoje oblicze, bo nauczyła się to odczytywać, choć nie wiadomo, czy na pewno.

Łukasz się dziwi, jak czas płynie. Niedawno poznał podobną dziewczynę, tyle że z trochę inną burzą włosów, bo burza burzy nierówna. Miała na imię Anka, a działo się to dwadzieścia kilka lat temu. Śni mu się właśnie, jak z Anką idą na Turbacz, plecaki mają ze stelażem, Anka

zmęczona, ciągnie go do bacówki po drodze, do opuszczonego szałasu. I tak jak przed laty naprawdę, tak dzisiaj we śnie go zaciąga, zaczarowuje, rozbudza, dosiada.

– O kurwa, prześcieradło – mruczy Łukasz. Znów mokry sen, ale co zrobisz z fizjologią. Może gdyby częściej się kochali, ale Anka przemęczona, przepracowana, czasem się mijają. Często się mijają. Nawet kiedy się ze sobą zbliżają, to jakby się chcieli ominąć. O co chodzi, pyta siebie Łukasz, ale wie, że do odpowiedzi bardzo daleka droga. I teraz, rano, jeszcze nie do końca obudzony, jej przecież nie znajdzie.

Łomotanie się powtarza. To Elka Zacharowa.

– Jest Anka? Nie ma? Dobrze, że ty jesteś. Auto mi się znów rozdupcyło, a trzeba Adasia gdzieś zawieźć.

– Jakiego Adasia?

– Tego geja. No, pedałka naszego, co w sklepie pracuje. Kojarzysz? Żeście go kiedyś ratowali, jak mu wpierdol spuścili.

– Aaaaaa. – Łukasz się budzi. – Co z nim?

– Płacze.

– Co?

– Siedzi u mnie na schodach i płacze – mówi Elka. – To przecież nie ominę go i nie pójdę do roboty. Jakby ci tak pies jakiś leżał i skamlał, to też byś nie przeszedł obok, a co dopiero człowiek.

– Ale jak to płacze?

– Roztrzęsiony cały siedzi i łzy mu się leją. Katatonii dostał czy jak, nie wiem, psychiatrą nie jestem, tylko manicure robię.

– Psychiatrką.

– Gdzie ty się tych słów uczysz, Łukasz? Pewnie od naszej trenerki i podróżniczki do Krakowa – śmieje się Elka. Dobrze się czasem pośmiać w trudnej chwili, śmiech dodaje sił do działania. A tu trzeba działać, chociaż nie wiadomo jak. Ale nie można usiąść z założonymi rękami i płakać.

Idą obydwoje do Elki pod chałupę. Fakt, siedzi Adaś, ramionka mu się od płaczu wstrząsają, i szlocha.

– Co ja z nim mam zrobić? Do Kobierzyna go zawieźć do psychiatryka? – pyta cicho Łukasz, zanim się do Adasia zbliżą.

– A co to ja wróżka jestem, żeby wiedzieć? Może trzeba go wywieźć do ziemi obiecanej, tylko nie wiadomo, co mu kto obieca i gdzie.

Furtka trzeszczy, kiedy Elka ją szarpie. A trzeba szarpnąć, bo coś się pozakleszczało w zawiasach. Musi staremu Zacharze powiedzieć, żeby to naoliwił, wyremontował, odnowił. Zachara też zresztą trzeszczy, z trudem się podnosi, coś mu w kręgosłup weszło, w krzyżu go łamie. Na górala zawsze przychodzi taki czas, że go krzyż zaczyna przytłaczać. Anka by powiedziała, że to kwestia przeciążeń na kręgi przy nieustannym poruszaniu się po nachylonej powierzchni. Ale chrzanić tę fizjoterapię, góralowi przez lata krzyż rośnie na plecach i musi go dźwigać, a z każdym rokiem jest coraz cięższy. Nawet jeśli góral nie chodzi z modlitwą na ustach, to z krzyżem na plecach już tak.

– Co się stało, Adam? – pyta Łukasz konkretnie.

Adam milczy, patrzy jak potłuczony, łzy mu lecą, szloch go trzepie niemy.

Elka przyklęka, mamusia urodzona, wszystkich do piersi przygarnie, gejów też.

– No co, zrobić chłopcu kakao? Czy herbatkę?

– Herbatkę – odpowiada Adaś przez łzy. Uff. Jest namiastka kontaktu. Wchodzą do środka. Elka nastawia wodę, czajnik gwiżdże, a Łukasz siedzi z Adasiem w pokoju. Cisza rośnie, cisza po burzy, a może przed drugą burzą. Bo cokolwiek wybuchnie w tej rozmowie, która przed nimi, trzeba będzie coś z tym zrobić.

– Potłukłeś się? – pyta Łukasz, bo teraz widać u Adasia otarcie na lewej ręce i lekki siniec na policzku. Cisza.

Wchodzi Elka z herbatą w dzbanku szklanym i trzema szklankami oraz cukiernicą. Łukasz nie słodzi, Anka już mu dawno cukier wyprowadziła

z domu, jak raz przyjechała z Krakowa w T-shircie „Cukier śmierdzi śmiercią". Może i głupie, ale nie bardziej niż stare polskie „Cukier krzepi". Adaś pewnie też nie słodzi, chucherko, drobniutki jak dżokej i wiotki jak modelka z Warszawy. To Elka musi słodzić za troje, musi popyt w kraju podtrzymywać w trosce o przemysł cukrowniczy polski.

– No, chodźże, napij się, synku – mówi do Adasia, chociaż Adaś niewiele od niej młodszy. – I opowiadaj. Dużo ich było?

Adaś nalewa sobie herbatę, słodzi dwie łyżeczki, jedną jak zwykle, drugą na pokrzepienie serca. Miesza, bo herbata wbrew przysłowiom od mieszania robi się przecież słodsza. Bierze łyk, gorąca, odstawia szklankę. Przestaje łkać i zaczyna mówić.

– Trzech było. Przyjechali na motorach pod sklep po piwo. Skacowani, więc bardzo im się tego piwa chciało, tak gadali między sobą, więc byli jeszcze przed otwarciem. Jak odstawili motory, to żeśmy z Darkiem akurat podjechali, Darek mnie podrzucił do pracy. Wyszedłem otwierać, a on jeszcze szybę odkręcił i mnie zawołał, że kurtkę zostawiłem, a wieczorem może być chłodno, jak będę do domu wracał, i kurtkę mi podaje, i przez okno mi daje…

– I co wtedy? – podrzuca Łukasz, bo Adaś się zacina, milknie, nie wiadomo, czy się znów w stuporze nie zanurzy.

– Daje buziaka – przyznaje Adaś i się zawstydza. Nie wiadomo, czy tego, że to właśnie powiedział na głos, czy przenosi się znów myślami pod sklep i przeżywa to jeszcze raz.

– Ty, kurwa, zwidy mam, nie wytrzeźwiałem. – Jeden z motocyklistów kask zdejmuje i oczy przeciera.

– Nie, kurwa. Pedały się liżą – odpowiada drugi. Jakub. Czuje, że tak nie może być, że tego nie można tak zostawić. Bo jak pozwolisz na to, żeby pedały się pod sklepem lizały, to jutro będą to robić w parku zdrojowym. Dzieciaki będą to naśladować, bo dzieci wszystko podchwycą, nawet to najgorsze. A o to przecież w tym gejostwie chodzi, żeby dzieciaki podchwyciły, i wtedy mają używania do woli z młodymi chłopcami, nieświadomymi, bezbronnymi. A dzieci bronić trzeba, od dzieci wara. I już

Jakub czuje, że Bóg go namaścił, żeby dzieci niewinnych bronił, że jego pięść będzie pięścią Jezusa Superherosa, że Duch Święty pokieruje jego ciosem tak, żeby rozbił w pył całe gejostwo, ugodził je w najczulszy punkt, a Matka Boska będzie krzyczała z balkonu: „Zakon Marii, do boju!". Zaraz, to jak to, Czwórca Święta? Nie, nie ma co dużo rozkminiać, myśli Jakub i rusza do przodu.

– Chodźcie – rzuca do kumpli. A do tamtych krzyczy: – Co jest? Umilić wam poranek?

– Już otwieram – rzuca Adaś, lekko spłoszony.

– Teraz to nie otwierasz, cioto, tylko ze mną rozmawiasz. Stań prosto! Tylko się, kurwa, nie zbliżaj, bo mnie HIV-em zarazisz.

– Polska dla Polaków, HIV dla lewaków – dopowiada kumpel Jakuba, który idzie dwa kroki z tyłu.

– Więc myślisz, cioto, że takie będą teraz obyczaje w Rabce? Nowe góralskie zwyki, co je trzeba będzie do katalogu wprowadzić? To ja ci, cioto, powiem. Chuj mnie obchodzi, co sobie w domu wkładacie i gdzie, bylebyś ręce wymył dokładnie, zanim mi piwo podasz. Bo ja do was, pedały, nic nie mam. Tylko macie mi się z tym na ulicy nie afiszować, zrozumiano?

– Tak, przepraszam. – To Adaś.

– A żebyś sobie to, synku, dokładnie zapamiętał, to nadstaw policzek. Bo gdybyś był facetem, tobym ci przypierdolił z tej piąchy. – Tu Jakub pokazuje rękę, na którą motocyklową rękawicę zakłada dla ochrony przed HIV-em. – Całe Podhale zna tę piąchę, a wielu ją powąchało.

I zanim Adaś zdąży się odsunąć, Jakub wali go otwartą dłonią w policzek.

– Ciotę to mogę tylko spoliczkować. Jak babę – wyjaśnia Jakub nie wiadomo czy Adasiowi, czy grupce przechodniów, która zatrzymuje się na chodniku i patrzy, co się dzieje. Ludzie w Rabce są przecież ciekawi świata i głodni wydarzeń.

Ciężka jest Jakubowa ręka, Adaś leci w bok i wpada na samochód Darka. Dudni karoseria, ale nagle dźwięki potęgują się, zgrzyt, świst, otwierają się

drzwi kierowcy i z auta wyskakuje Darek.

– Co robisz?! Co ty, kurwa, robisz?! – wrzeszczy. A są w tym wszystkie emocje: oburzenie, niezgoda i strach pięknych saren na celowniku myśliwego podczas polowania na Rabskiej Górze w ramach odstrzału sanitarnego zwierząt.

– Łoooo! – ryczy Jakub. I zwraca się niby do kompanów, ale bardziej chyba do publiczności: – Pedalstwo wypełza z nor.

– Dlaczego bijesz mojego przyjaciela?

– Przyjaciela – rechoce kumpel Jakuba.

– Mam przyjaciela, co mi w dupę strzela – dorzuca trzeci motocyklista, któremu wreszcie udało się zdjąć kask. I rechocą wszyscy trzej, nawet lekko podśmiewa się publiczność. Mieszkańcy Rabki cenią sobie dobry żart.

– A co, pedale jebany? – Jakub nagle chwyta Darka za fraki, za wszarz, za chabety. – Co ci się nie podoba, kurwo męska? Wyruchać cię rurą motocyklową?

– Zostaw go! – krzyczy Adaś. Ludzie przypatrują się zaciekawieni. Czyżby szykowała się kolejna runda?

– Bo co? Może ciebie wyruchać, cioto? No tak, kierowca jest aktywem, a ty pasywem, więc to on ciebie rucha. – Jakub wykazuje się znawstwem. I w tym momencie Darek rzuca się na niego z pięściami, popycha, gdyby nie kumple, to Jakub leżałby na ziemi. Pluje mu w twarz.

– HIV-em w Polaka walisz? – Jakub ściera ślinę rękawiczką. – Ja się twojego HIV-a nie boję, bo prawdziwego Polaka pedalski HIV się nie ima. Ale żeś mnie ścierwem swoim opluł, to pożałujesz. Trzymajcie go!

To ostatnie zdanie kieruje do swoich kumpli, chociaż oni już i tak trzymają Darka pod ręce. A jeden drugą ręką trzyma na dystans Adasia, bo się rwie do bitki, a co tu takie chuchro prać. Więc to raczej takie hasło dla publiczności, że zaraz finał.

– Już, kurwa, nie poruchasz, pedale!

I wali go z kopa w jądra. Darek jęczy. I drugi raz. Jęczy i dyszy. I trzeci najmocniej. Wyje. No, będzie mu tu, kurwa, wył pedał w Rabce w centrum miasta?! Nie! Jakuba ogarnia boży szał, jest aniołem zemsty, jest Starym Testamentem, jest oko za oko, ząb za ząb, chuja za chuja. Prawym prostym w twarz, mocno, aż Darek wypada z rąk podtrzymującym go kumplom Jakuba, zatacza się. Jakub już jest przy nim, poprawia tym razem sierpowym, a potem kopie go kolanem w brzuch. Darek pada na kolana, broczy.

– Nie rzygaj mi tu na kombinezon – drze się na Darka, któremu leci już krew, ślina i gluty. Jakub spodnie motocyklowe ma rzeczywiście tym upaćkane, więc rozgląda się po ludziach, jakby szukał, która baba mu to wypierze i odwiezie z podziękowaniem za obronę gorczańskiego kurortu przed zepsuciem, dzieci z Rabki przed zepsuciem i całej Polski przed zepsuciem. Bo może to nie jest maksymalnie estetyczne przedstawienie, ale lepiej zepsuć jedne spodnie, niż cały kraj na zepsucie narazić. Patrzy w ślepym szale, a tłumek już się niezły zebrał.

Adaś wyrywa się dwóm, którzy go trzymają, i rzuca się z pięściami na Jakuba. Ale to trochę jakby komar z HIV-em zaatakował byka. Jakub odpycha go w stronę swoich kumpli i krzyczy:

– A tobie to po prostu urwę fistaszka, jak jeszcze raz mnie wkurwisz.

Darek chce wstać z kolan, ale zatacza się i pada na ziemię. To ostateczny upadek, myśli Jakub, myśli anioł zemsty i anioł czystości. I kiedy Jakub ma przykopać ostatni raz, żeby Darkowi już całkiem od tego pękły jądra, żeby z niego cała chuć wypłynęła, żeby go już do końca z tej dewiacji wyleczyć, przez tłum przeciska się kobieta w chustce na głowie.

– Przepraszam, przepraszam – mówi do ludzi spokojnie. Właściwie to się nawet nie musi przeciskać, bo sami się rozstępują. Właściwie to nie musi nic mówić, bo to oni wiedzą, że powinni przeprosić za bezczynność, za bezruch. Za to, że nic nie zrobili, chociaż wiedzą, że nie powinno się robić z człowieka kotleta. Lechu, który na serio zajmuje się już rapem, ułożył to w taki dwuwers: *Zło nie jest najgorsze, gorsze jest milczenie./ To nie człowiek wrzeszczy, to twoje sumienie*.

Kobieta podchodzi do leżącego Darka. Nie zwraca uwagi na szykującego się do ostatniego kopnięcia Jakuba. I zostaje Jakub z tą nogą zawieszoną w powietrzu, jakby go zatrzymali w stopklatce tuż przed wykonaniem rzutu karnego. Groteskowy i nieistotny. Bo nagle nikt nie zwraca na niego uwagi. Przestaje być pierwszym obrońcą Polski, staje się ostatnim kołem u wozu bojowego. Odwraca się do kumpli, sklep już otworzyli, dobrze, że nie tylko ten pedał tu pracuje, to mu polska dziewczyna albo polski chłopak poda piwo ręką czystą od polskości.

A kobieta zdejmuje chustkę z głowy. To Maryśka, do pracy dzisiaj wcześniej szła, coś ją tknęło i jeszcze pomyślała, że przed pracą serek dietetyczny kupi i ogórki kiszone w słoiku, Lechu ją poprosił, bo się zdrowo odżywiać stara. Maryśka chustkę zdejmuje i wyciera nią płyny z twarzy Darka. Już dobrze, już dobrze, nie bój się. Już nie będzie bicia. Ktoś wezwał pogotowie, bo słychać sygnał karetki. Policji nikt nie wezwał, bo tu lekarstwa potrzebne, a nie psy, żeby jątrzyć.

Darek jęczy. Jak pies patrzy zbity i wdzięczny. Dziękuję, mówi, ale samymi ustami, reszta jest milczeniem, wszystko jest milczeniem.

I kiedy sanitariusze pakują go na nosze, wkładają do karetki, cisza pęka na pół. Wielki ryk niesie się po Nowym Świecie, pędzi Gorczańską aż do szlaku na Maciejową. To Adaś.

Adaś stoi obok i nie wie, co ze sobą zrobić. Tak jak czasem człowiek nie wie, co zrobić z rękami, to Adaś nie wie, co zrobić z całym sobą. Więc zaczyna wrzeszczeć, a jest w tym niezgoda i już nie strach, a przerażenie. Wrzeszczy i biegnie Nowym Światem w stronę Norwida. Do Elżbiety Zacharowej, bo to od jej zwiastowania zaczęły się cuda w Rabce.

Tam go znajduje Elżbieta na schodach. Jakby żebrał o coś, na pewno nie o pieniądze. Lechu też o tym ułożył kawałek: *Gdybym miał pieniądze, a miłości bym nie miał,/ To byłbym do niczego, to byłbym na przemiał*.

Jz 7, 82-88

– Kochasz wszystkich ludzi?

– No.

– Nie pierdol.

– Ale ja tak czuję. Nie że sobie coś wymyśliłem, w książce przeczytałem i się nauczyłem jak na klasówkę z historii. Czuję, że kocham wszystkich ludzi.

– A tego chujka z trzeciej B, co ci chciał słuchawki podpierdolić? Albo Dorotę?

– Tomka nie lubię, bo jest chujkiem. A Dorota mi się nie podoba. Ale ich kocham, bo ja kocham wszystkich. – Lechu przeciąga się w łódce do słońca.

W jednej ręce trzyma piwo w puszce, w drugiej wino otwarte. Pierwszy dzień wiosny trzeba opić, trzeba świętować szczególnie. Nie jak te dzieci z ich klasy, dla których szczytem odwagi będzie dzień wagarowicza spędzony w parku zdrojowym na ławkach przed pomnikiem papieża Polaka.

Wydorośleli obaj. Przeszli mutację, Jasiek zapuszcza sobie raperską bródkę, chodzi w conversach i od czasu do czasu wylatuje z klasy za odmowę zdjęcia wełnianej czapki, co nie jest powiązane z pogodą. Stylówa na zbuntowany Bronx.

Lechu włosy zapuścił, zakłada na głowę bandankę w trupie czachy od cioci Anki. Na przegubie nosi rzemyki poplątane. I chce, żeby do niego mówić „Berger", odkąd mu ojciec pokazał *Hair* na DVD. Ale nikt tak nie mówi, bo nikt takich staroci nie ogląda. Albo nie ma takiego ojca jak Józek.

W dniu wagarowicza Lechu z Jaśkiem wsiadają o świcie w busa do Szczawnicy, wysiadają w Kluszkowcach, wypożyczają za czteropak piwa łódkę (chwała Bogu, że Jasiek może już alkohol na legalu kupować, właśnie odebrał dowód osobisty) i wypływają na Jezioro Czorsztyńskie. Gadać o życiu, pić z butelki, zakołysać się na wodzie, zachłysnąć się wiosną.

– Popatrz na ten łańcuch.

– Gorce. Od dziecka je znam. Co to ja z nieba spadłem, żebym tego nie widział? – Jasiek się niemal oburza.

– Tutaj Marszałek, dalej Lubań, tam Turbacz, imponujące wierzchołki, nie?

– Niezłe.

– A co to za brzydka górka między nimi, jakby się komuś źle maznęło przez pomyłkę?

– Nie wiem, chujowa górka – odpowiada Jasiek i śmieją się obaj. Bo młodej głowie dość dwa piwa, żeby to się wydawało żartem z najlepszego stand-upu.

– No widzisz, Jasiek – ciągnie Lechu. – A nie przeszkadza ci powiedzieć, że ten widok jest zajebisty. Nie jest tak, że ci się Gorce przez chujową górkę mniej podobają. I trochę tak jest z tym kochaniem wszystkich ludzi.

– Że jak?

– Kocham wszystkich, chociaż nie lubię gadać z Tomkiem ani nie bzyknąłbym Doroty.

– Taaa, akurat, ja bym bzyknął. Dorotę też.

– *Gdybyś bzyknął Dorotę,/ Co byłoby potem?/ O czym byś z nią gadał,/ Gdybyś częściej wkładał*?

– Dobre – przyznaje Jasiek. – Nagrywaj to!

– A zrobisz mi bity? Bo chcę założyć kanał na YouTubie.

– Lepiej zrób na TikToku. YouTube jest dla naszych starych.

– No, no. To wchodzisz w to?

– Kurde, trochę kleję bitów, ale ojciec mnie pilnuje z nauką. Mówi, że za rok matura, a to określi, kim będę w życiu.

– A kim będziesz?

– Może inżynierem, jak wujek Łukasz. Albo informatykiem. Na pewno wypierdalam stąd. Do Krakowa albo do Irlandii, dosyć mam tego syfu.

– Zobacz, Jasiek, góry jakie piękne! – Lechu znów pokazuje na łańcuch Gorców.

– Tak? I będziesz w tych górach zapierdalał jak moja matka od świtu do nocy i nic z tego nie miał, tylko wiecznie rozdupcające się auto? Pierdolę takie życie.

– Jaśku, nie bluźnij.

– Święty się, kurwa, odezwał! – Jaśkowi alkohol przecieka do przegródki „harnaś". – Ty nie bluzgasz w tych swoich nagrywkach?

– Od chuja bluzgam. Ale co innego bluzgi, a co innego bluźnierstwo. Jak mówisz, że Rabka jest chujowa, to jakbyś własną matkę obsrywał. Ty miałeś Rabkę jak na tacy podaną, należała ci się, okej. Ale moja mi opowiadała, jak szła przez góry, zima była, ona w łachmanach, ze mną w brzuchu, o czym nie wiedziała, a może już wiedziała, bo matka wie więcej, i ją ojciec znalazł, pomógł, ile mógł. I miłość jej dał.

– Daj spokój.

– Stary, nie jesteśmy już dziećmi. Wyrośnij z kidilandu. To się w życiu liczy: miłość, bo dzięki niej dajesz i bierzesz to, co w życiu najlepsze.

– Na zdrowie – przerywa Jasiek. Łódka się buja coraz bardziej albo w głowie się kręci coraz mocniej, albo jedno i drugie. A Jasiek z fazy „harnaś" przechodzi w kolejną: „zwisa mi".

– *Rabka mi dała,/ Czego mać nie miała*.

– No dobre, dobre. Notujesz se to gdzieś?

Dryfują chwilę w stronę zamku w Niedzicy. Słońce szaleje, jakby chciało się dołączyć do obchodów pierwszego dnia wiosny, grzeje jak w lecie. Zefirek się nasila, jakby chciał przypomnieć mroźne zimowe zawieje. Szykuje się walka żywiołów.

– A co ci ta Rabka dała?

– Mówię: mojej matce dom i miłość mojego ojca. Słońce w lecie, halny na wiosnę. Takich przyjaciół jak ty i Magda. Mało?

– A takiego chuja, który cię chciał wypierdolić z kolejki w stołówce, bo ciapaty nie będzie przed nim brał michy? Przypomnieć ci?

– A przypomnieć ci, że ktoś go wtedy podciął z tyłu i koleś wypierdolił na bambus? Czego akurat nie pochwalam jako pacyfista.

– Tak, lepiej od razu nadstawić drugi policzek, zanim ci przypierdoli w pierwszy. Lechu, to ty się ogarnij z tego kidilandu. Wyłaź z piaskownicy, tu się szykuje wielkie starcie.

– Pewnie powiesz jak twoja matka: w imię Ojca i Syna, zaraz cosik będzie się działo. – Lechu też zaczyna czuć skutki mieszania piwa z winem. Opiera się o burtę i delikatnie odpływa.

Tyle że zaraz rzeczywiście coś zaczyna się dziać. Nagrzane powietrze w zderzeniu z zimnym wiatrem zamienia się w małą burzę. W kilka minut niebo zakrywa się chmurami całkiem, jakby urzędujący w niebie Pan Bóg postanowił nie patrzeć na to, co się będzie działo. Jezioro się burzy. Fale próbują upodobnić się do poszarpanego łańcucha Gorców widocznego z łódki, a kiedy jednej się nie udaje, zaraz druga się szykuje na jej miejsce. I zaczyna bujać, jak w starej reklamie wódki, która udawała łódkę.

– W imię Ojca i Syna, zaraz cosik będzie się działo! – krzyczy Jasiek, niby żartując. Ale w tym krzyku więcej strachu niż dowcipu.

– Będzie burza i tyle.

– Uwaliłeś się, Lechu! – Jasiek krzyczy, jakby przekrzykiwał sztorm.

– A ty co, święty? – odpowiada Lechu i zaraz zamienia to w kawałek hip-hopu. – *Nawet święty czasem potrzebuje burzy,/ Gdy go ludzie nudzą, gdy go życie nuży*.

Łódką buja już tak, że nawet bez alkoholu w żyłach człowiek by to poczuł. A z podkładem piwa i wina robi się z tego apokalipsa. Jasiek wpada w lekką histerię.

– Lechu! Nic cię nie obchodzi, że giniemy?

Lechu wstaje gwałtownie i krzyczy:

– Milcz! Ucisz się!

Jasiek trzeźwieje w jednej chwili. Czy jakiś duch w Lecha wstąpił, żeby się tak do niego odzywał? Jakby się prosił o wpierdol, a przecież odkąd wyrośli z okładania się łopatkami po głowach w piaskownicy, nie ma między nimi nieporozumień. Zresztą to jakiś tekst nie z tej bajki.

– Coś ty się, kurwa, taki bojaźliwy zrobił? Zobacz, już słońce wychodzi. – Lechu może nie odzyskał trzeźwości, ale uzyskał nagle wielką pewność siebie. Aż się uśmiecha z szatańskim uśmiechem. – A wiatrowi kazałem się uciszyć i już milknie, patrz.

– No fakt. Ale rzygać mi się chce od tego bujania. Wracajmy do brzegu lepiej, okej? Bo jak nas wywali, co będzie?

– Jakby nas wywaliło, tobyśmy wrócili na piechotę.

– Pojebało cię? Po wodzie?

– Zobacz, tu jest płytko. – Lechu pokazuje Jankowi dno wiosłem. – Pół metra najwyżej. Nie słyszałeś, jak szorowaliśmy po dnie?

I śmieją się obaj, będą mieli dobrą historię do opowiadania na Rabce. Wracają do Kluszkowców na busa.

Bus kołysze chyba jeszcze bardziej niż łódka. Lechu dojeżdża tak blady, że przy swojej arabskiej karnacji ma skórę jaśniejszą od co bardziej ogorzałych górali. Jasiek siłą woli powstrzymuje wymioty.

– *Błogosławię chwilę, kiedy poprosiłem żonę,/ By kupiła mi serek i ogórki kiszone* – rapuje Lechu.

– Przecież ty nie masz żony. – Jasiek dziwi się dosłownie.

– Matkę poprosiłem, tylko to się nie rymuje. Łeb mnie strasznie napieprza poza tym.

Wysiadają w Rabce na przystanku busów i idą do parku. Może w ich klasie są same dzieciaki, ale zawsze to fajnie posiedzieć ze swoimi ludźmi na ławce.

– Gdzie byliście, lamusy? Już mieliśmy się zwijać – cieszy się na ich widok Szymon. Przyszedł do szkoły w krótkich spodenkach, to jego prywatny obrządek na pierwszy dzień wiosny. Niezależnie od pogody chodzi w tym dniu w krótkich spodenkach. W tym roku nawet bardzo nie cierpi, wyjątkowo ciepły marzec, globalne ocieplenie, tak mówią.

Chłopaki przybijają beczki z Szymonem. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy ja po zejściu z Krzywonia idę już po Nowym Świecie,

podjeżdża do mnie samochód, otwiera się tylne okno jak w thrillerze szpiegowskim i słyszę głos Elki:

– Staszek, chodź, pojedziesz z nami do księdza! Ino mig!

Jz 7, 89-96

– No więc czego ode mnie oczekujecie? – Ksiądz zakłada ręce na brzuch. Mały ma ten brzuch, ale gest od hierarchów wzięty powagi mu dodaje. – Czegóż chcecie od swego pasterza?

– No żeby ksiądz coś zrobił! – oburza się Elka. Właśnie mu opowiedziała o pobiciu Adasia i jego chłopaka z Chabówki, który wprawdzie z innej jest parafii, ale skoro znamy już jego imię, Darek, to już też jest trochę nasz. A Adaś jest bardzo nasz, kobietom chleb podaje powszedni w sklepie co rano, a mężczyznom wódkę lub piwo zależnie od upodobań co wieczór. Prawdziwy Polak. Do kościoła też chodzi przecież, chociaż do spowiedzi to już nie, bo wiadomo, że mu za wszeteczeństwa ksiądz rozgrzeszenia nie da. Nie da, to nie da, ale nawet jak się księdzu nie podoba, co Adaś uprawia i z kim, to nie powód, żeby go straszyć, co mu się urwie, i robić jego przyjacielowi kotleta z twarzy i jajecznicę. Na to ostatnie ksiądz się już trochę krzywi, bo z księdzem się nie godzi rozmawiać o jajkach, chyba że w innym kontekście na Wielkanoc.

– Elżbieto, tyś jest wierną Bogu parafianką, ale wiesz sama, że niezbadane są wyroki Boskie. Ciebie i starego Zacharę Pan Bóg niespodziewanie potomkiem obdarzył i żeście wtedy nie protestowali. Teraz Pan Bóg w mądrości swojej inaczej postąpił z Adamem i Dariuszem, o którym mi tu mówicie. – Ksiądz poprawia się na krześle zdobionym, ale skromnym. – Czemu teraz chcecie z Bogiem dyskutować?

– Bo wtedy się człowiek urodził, i to wspaniały. A teraz ludzi biją i zastraszają. Szkoda, że ksiądz nie widział Adasia, jak w stuporze rano u mnie pod domem siedział. – Elka nie daje za wygraną, nad księżym

biurkiem się pochyla, jakby taką rację miała, że rej do wodzenia z niej ukręci w kancelarii parafialnej nawet.

– Żal mi Adama, bo jest moim bliźnim. I Dariusza – kiwa głową ksiądz. – A Panu Bogu też może ich żal. Albo nie żal. Nie znamy myśli Pana Boga. Nie jesteśmy Panem Bogiem, Elżbieto, żebyśmy mogli sądzić, czy Pan Bóg pozwolił Jakubowi z Ludźmierza, aby upomniał naszych bliźnich. Czy może uczynił go swoim ramieniem. Być może Pan Bóg pozwolił Jakubowi z Ludźmierza, aby upomniał naszych bliźnich. Być może uczynił go swoim ramieniem.

– A może byli oni narzędziem szatana, a nie Pana Boga? – ironizuje Elka, bo ją ksiądz już wpienia.

– Znaczyłoby to, Elżbieto, że szatan Pana Boga pokonuje. Ale tak się nie dzieje. Szatan jest chytry, podchodzi nas sposobami, które rozumiemy i których jeszcze nie rozumiemy. Ale Pan Bóg się obroni, przynajmniej w Polsce się obroni, bo ma tu swoje legiony nieprzebrane i Boga w sercu miłujące. – Ksiądz na koniec zatacza ręką, jakby te legiony chciał wskazać gestem teatralnym. Omija Łukasza, omija Adama i mnie omija, a stoimy we trzech jak porażeni, mowę nam, można powiedzieć, odjęło, dobrze, że Elka zachowała dar języków. Elkę też omija i za oknem pokazuje kolejno w stronę Ponic, Zaborni, Skomielnej, Naprawy i Zarytego. A to Polska właśnie, Polska z plebani widziana.

– To co Adaś ma zrobić? Może ksiądz mu powie, jak wszystkie rozumy ksiądz pozjadał i księgi święte. Ma w busa wsiadać i do Warszawy wypierdalać?

– Elżbieto! – krzyczy święcie oburzony ksiądz. – Nie obrażaj Boga!

Po czym uśmiecha się do Adama słodko, z miłością na ustach.

– Adamie, piękne imię dali ci twoi rodzice na chrzcie świętym. Biblijne.

– Imieniny ma w Wigilię i dostaje jeden prezent. Przerąbane – wcina się Elka, bo ją mdlić od tej słodyczy chemicznej zaczyna

– Elżbieto! Ja tu o poważnych sprawach mówię – odpowiada jej szorstko ksiądz, po czym przełącza się na miłość bliźniego na ustach i zwraca się

znów do Adasia. – Adamie, zazdroszczę ci tak pięknego imienia. Imię to jednak nie tylko imię, to również dziedzictwo. Boża nauka na twoje życie jest w nim zaklęta jak w pudełeczku. Wiesz, co Adam zrobił w raju?

– Zjadł jabłko? – odpowiada Adaś, jakby go odpytywali na biologii.

– Skosztował owocu z drzewa. Owocu zakazanego. Czy twoje wybory, przez które nie przyszedłeś tu do mnie jeszcze dać na zapowiedzi, nie chrzcisz swoich dzieci, nie są też takim owocem zakazanym? – Ksiądz zawiesza pytanie w powietrzu.

– Proszę księdza, mamy dwudziesty pierwszy wiek, litości – odpowiada Łukasz, bo Adam też się zawiesza.

– To co? To w dwudziestym pierwszym wieku przykazania Boże przestały obowiązywać? Biblia przestała obowiązywać? Na wiecach ulicznych chcecie decydować, co się ma Bogu podobać, a co nie? – Ksiądz odpowiada Łukaszowi, po czym obdarza Adama uśmiechem. To będzie ostatnia runda.

– To co ja mam zrobić? – Adam się w końcu odzywa. – Przecież ten jeden nam żyć nie da. I w ogóle tu życia nie mam w tej Rabce. Pół miasta stało i się patrzyło, tylko jedna Maryśka odważyła się nam pomóc.

– Maria Papierz? Była już tu u mnie, prosiła o to mniej więcej co wy. I to samo jej powiedziałem co wam – odpowiada ksiądz. – Adamie, powinieneś wyleczyć swoje skłonności…

– Sam niech ksiądz swoje skłonności wyleczy! – nie wytrzymuje Elżbieta. – Ksiądz jest heteroseksualny, to niech księdzu się od jutra zaczną chłopcy podobać. Albo jak ksiądz jest homoseksualistą, to się proszę hop-siup zainteresować od jutra dziewczynami.

– Elżbieto, upominam cię! Ja się ani chłopcami, ani dziewczętami nie interesuję, bo ksiądz może wielbić tylko Boga.

– To się proszę wyleczyć i od jutra wielbić szatana – krzyczy Elka i nie czekając na ripostę księdza, odwraca się i wychodzi.

– Adamie, pora kończyć. – Ksiądz nie krzyczy na wszelki wypadek za Elżbietą, żeby przypadkiem nie wróciła. Słusznie mówi Pismo, że gdzie

diabeł nie może, tam babę pośle. Wyciąga z szuflady jakąś ulotkę i chce ją wręczyć Adamowi. – Dam ci tu broszurę, przeczytaj, są ośrodki, do których można pojechać na leczenie…

– Proszę księdza – nie wytrzymuję na koniec. – Adam się nie pyta o leczenie, on nie chce się leczyć, on tylko pyta się, jak ma żyć. Jak ma żyć tu, gdzie trzech gości może go skopać na ulicy, a trzydziestka będzie na to patrzeć w milczeniu?

– Nie chce się leczyć, powiadasz. – Ksiądz wyraźnie się zasępia, już sobie to tak wszystko w głowie po bożemu ułożył, a tu masz, nie chce się leczyć. Poprawia się więc znów na krześle i kończy kazanie. – I nie wie, jak ma żyć w Rabce? A było mu tu jak w raju, bo Rabka to piękna miejscowość, Rabka kocha swoich mieszkańców. Ale jeśli ktoś tę miłość odrzuci? Jeśli sięgnie po owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego? To co? To ja mam dla niego złą wiadomość. To ja mu chcę powiedzieć, że Adam został wygnany z raju. Bóg tak zdecydował, nie ludzie, nie Ewa, nie wąż. Bóg wygnał Adama, bo Adam po tym, co zrobił, nie miał prawa mieszkać już dłużej w raju. Bóg kochał go nadal oczywiście, ale musiał go w miłości swojej nauczyć, że każdy czyn ma swoje konsekwencje. A w tym wypadku konsekwencją jest wygnanie. Albo, jak powiedzielibyśmy w dwudziestym pierwszym wieku, wyprowadzka.

Jz 7, 97-99

– I co teraz z Adamem? – pyta Anka, kiedy kończymy opowiadać całą historię Pod Kasztanami.

– Odwieźliśmy go do domu, do Chabówki, żeby se legnął – odpowiada Elka.

– No, ja go odwiedziłam i razem żeśmy do Rabki wrócili, stwierdził, że zajrzy do szpitala – rzuca Maryśka, przynosząc piwo dla mężczyzn, to jest dla mnie, dla Józka, dla Łukasza i dla starego Zachary.

– Jak taki dzień, to i ja piwo poproszę, Marysiu, tylko z sokiem. Trzeba wypić zdrowie Adama, no i tego Darka – rzuca Anka. – A co z nim?

– Odwiedziłam go w szpitalu, opatrzyli mu twarz, wstrząsu mózgu nie ma. Miał jechać na USG jamy brzusznej, ale mówił, że czuje się dobrze. Chociaż słaby był – mówi Maryśka, po czym dodaje: – Ale i wkurzony.

– Maryśka, i jeszcze zakupy zrobiłaś, i do pracy przyszłaś, tak? Jak można być w tylu miejscach naraz? – śmieje się Elka. – Ty to masz chyba motorek w dupie.

– Jeszcze Lecha znalazłam, siedział z kolegami w parku na ławce. Bardzo się ucieszył, jak mu serek przyniosłam i ogórki. I jego koledzy też. – Maryśka mruga okiem. – Czekajcie, piwo Ance naleję.

Pod Kasztanami nie ma szeroko niklowanego baru. Jest raczej lada, za którą Maryśka albo Paulina uwijają się, podając niezdrowe jedzenie z mikrofali albo chipsy i inne tłuszcze trans z celofanowych opakowań. Albo alkohol, rzecz jasna, piwo, wódkę i drinki niewiele wykraczające finezją poza wódkę z colą albo z sokiem pomarańczowym z kartonu. O sokach wyciskanych Pod Kasztanami nie możesz pomarzyć. Tylko bita śmietana w rurkach jest pyszna, taka bita, taka prawdziwa, nie wiadomo jakim cudem.

To miejsce, które warszawiaki omijają szerokim łukiem. Czasem tak szerokim, że ich w drodze do Zakopanego zarzuci na Słowację, na Chopok, albo w drugą stronę, do Białki Tatrzańskiej, która w tajnym planie warszawskiego ratusza ma zostać niebawem dziewiętnastą dzielnicą miasta stołecznego Warszawy. W Białce to jest życie, oscypki, nic to, że z krówskiego sera, cepry i tak się nie poznają. Na warszawską modłę upichcone potrawy z jarmużu, kalorycznie tak zbilansowane, że niektóre dipy mają ujemną wartość. A jak góralski szaszłyk z karkówką dostaniesz, to do tego jest w gratisie kawa prosto z Mediolanu z odtłuszczoną śmietanką od owiec, które podczas wpierdalania trawy obczajają Giewont, zatem z hormonem szczęścia.

Pod Kasztanami jest coraz większy syf. A dokładniej: syf jest ten sam co zawsze, ale im bardziej Warszawa się tak napina na udawanie Europy, tym

bardziej ten syf się robi syfiasty. Im bardziej Warszawa rwie do przodu, tym bardziej Kasztany zostają z tyłu. Ulegają nawet autodegradacji w samej Rabce, bo w mieście się zanosi na remont bulwarów nad Poniczanką, będą się tam kuracjusze przechadzać, kawy szukać ze śmietanką bez śmietanki i zaraz jakiś warszawiak z Krakowa taki biznes tam pewnie otworzy. A Kasztany jakby się zaparły, że zostają pamiątką z poprzedniej epoki, jak góralski kapelusik z piórkiem albo parzenica.

I nie wiadomo dlaczego takie miejsca robią się czasem tak swojskie, tak przyjazne, tak ciepłe i domowe. Kiedyś się zorientowaliśmy z Józkiem, że to tutaj najwięcej czasu przesiadujemy po pracy. Tu gwarzymy z Zacharami, z Koconiami, z innymi znajomymi. Każde z nas ma swój dom albo mieszkanie, a tu mamy nasz wspólny dom, naszą kwaterę główną.

Otwierają się drzwi. Skrzypią cicho, bo Władysław je oliwi regularnie. Cała chałupa popada w ruinę, a konserwator zabytków ruszyć nic nie pozwala, więc chociaż niech drzwi dobrze chodzą, mówi Władysław. Ale Maryśka nawet na to ciche skrzypnięcie jest wyczulona. Ma ją zmienić Paulina wieczorem, jak dzieci położy, Maryśka ją poprosiła, bo padnięta jest po tym dniu całym, a dziewczyny sobie pomagają, chociaż z różnych światów. Paulina z Harkabuza, a Maryśka ze świata tysiąca i jednej nocy. To jakby się zaprzyjaźnił Janosik z Sindbadem, a jednak. Kobieta potrafi.

Więc się te drzwi otwierają i wsuwa się nieśmiało Adaś. Witamy go wiwatami, piwo w górę, szable w dłoń, Adaś, ja stawiam.

– No dobrze, jedno piwo poproszę – godzi się Adaś. – Siedziałem u Darka, wszystko z nim chyba dobrze, ale go zatrzymali na obserwację. Bo wiecie, NFZ płaci szpitalowi za pobyt pacjenta przez trzy dni, co nam lekarka przypomniała, jak Darek chciał wychodzić. Też mu powiedziałem, że lepiej, żeby przez trzy dni poleżał, a dopiero potem wstanie silniejszy. Może mu się coś w głowie uleży, bo zły jest strasznie, chciałby tamtych dorwać.

– Trzeba go powstrzymać. Niech na pewną śmierć chłopak nie lezie – martwi się Elka. – A właśnie, co z tamtymi? Trzeba by zawiadomienie na policji złożyć.

– Ja już byłam na policji po drodze. – Maryśka podchodzi do stolika z piwem. – Powiedzieli, że nie mogą ode mnie przyjąć zgłoszenia, bo musi się poszkodowany zgłosić najpierw.

– No zobaczymy, jak to będzie – wzdycha Anka. Zawiesza się, bo zaczyna do niej docierać, że stało się coś, co zmieni też jej życie. Że nie będzie mogło być już tak jak dotąd. Że chodzi na posiady z przyjaciółmi Pod Kasztanami, a z Jakubem i kumplami spotyka się, kiedy nie widać. Że można było latami uważać, że fajne znajomości, szybkie motory i przelotne flirty to jedno, a różnice światopoglądowe to drugie, ale w pewnym momencie przyzwoita kobieta staje przed dylematem, czy można chodzić do łóżka z przestępcą. A Anka jest przecież przyzwoitą kobietą, nowoczesną, jak zdradza, to na własnych zasadach. Głaszcze więc Łukasza po ręce, podoba jej się ten facet, oaza spokoju i taki gibki, taki sprawny. Kiedy ostatni raz grali razem w siatkę?

Zanim sobie zdąży przypomnieć, drzwi się znów otwierają. Ale tym razem nie ze skrzypieniem, tylko z łomotem. Wpada do środka ktoś niezbyt mocno wepchnięty. Lechu. Za nim Janek i jeszcze jeden chłopak, Szymon ma na imię. Na końcu wkracza Tomasz, ojciec Szymona, hydraulik, polski hydraulik. Anka go trochę kojarzy, bo jest mężem Teresy, nauczycielki chemii z Anki szkoły, dziewczyny się kolegują. Tomasz co parę miesięcy wyjeżdża do Nantes popracować i kupuje żonie perfumy francuskie, co Teresa zawsze leciutko obśmiewa, że to mieszanka aldehydów i fenoli, ale za każdym razem pisze Tomaszowi na karteczce swoje najulubieńsze aktualnie perfumy wraz z gramaturą buteleczki.

– Gnojki jedne zamiast się uczyć do matury, to piwo w parku żłopią. I puszkami w pomnik papieża rzucają, który trafi – dyszy Tomasz.

– Zaraz, o co chodzi? – oponuje Elka, bo chłopaki mocno wystraszone i Elce się od razu włącza obrończyni uciśnionych.

– Zaraz, ja tu mam do porozmawiania z rodzicami tych gnojków.

– No, jeden gnojek jest twój. – Józek się lekko unosi, jakby się szykował do lewitacji lub co gorsza wstania.

– Tak, jeden jest mój! Gówniarz, w domu z nim jeszcze pogadam – odparowuje Tomasz. – A wy ze swoimi porozmawiajcie. Żeby w papieża Polaka rzucać puszkami? Wy jesteście Polacy? Hańba! Barbarzyńcy, hordy ciapatych, co Boga w sercu nie mają.

– Lepiej rzucać puszkami w pomnik, niż katować człowieka w biały dzień na ulicy – cicho, ale dobitnie odzywa się Maryśka. Mówi spokojnie, a papież kiwa z uznaniem głową, bo w sumie to się z tym zgadza, chociaż to w niego rzucali. Jednak Pod Kasztanami tego rzecz jasna nie widzą.

– A kto katował człowieka?! – oburza się Tomasz. Nie na taką rozmowę liczył, tylko na zrozumienie, na obietnicę lania. Mogliby się umówić solidarnie, że każdy, to jest Szymon, Janek i Lech, dostaje wieczorem dziesięć razy pasem na gołą dupę. Ale nie, nie masz już solidarności między góralami. Warszawa tu się wpierdoliła i zburzyła pokój w góralskich chałupach. Może razem pójdą te gnojki potem do parku z rodzicami i co jeszcze zrobią? Obleją papieża, ukochanego papieża, piwem, obsikają go i znieważą? O nie!

Jednak zanim Tomasz zdąży otworzyć usta, żeby im to wszystko wykrzyczeć, odzywa się znów Maryśka tym spokojnym głosem człowieka, który ma rację nieomylną.

– Jakub z Ludźmierza z dwoma kolegami, których nie znam. A dwa tuziny mieszkańców Rabki się temu przypatrywało. Ty też, Tomaszu. I nikt nic nie powiedział. Nikt nie krzyknął, że hańba, że barbarzyńcy i że hordy ludzi, co Boga w sercu nie mają.

Maryśka robi pauzę. Lechu wyprostowuje się, podchodzi do matki, bierze ją mocno za rękę. Nikt się nie odzywa, nawet Tomasza zamurowało. A Maria każe dalej.

– A ja wiem, że oni w sercu Boga nie mają. Mają Go na ustach. Mają na szyi na łańcuchu. Mają w psalmach fałszywie wyśpiewywanych. Mają na obrazach w kościele i na pomnikach ojcu świętemu wystawianych. A tak naprawdę mają Boga za nic, mają tylko zatwardziałość, mają strach, a strach rodzi przemoc. Nie lękajcie się. Nie lękajcie się chłopców, co się piwem wiosennym upili, choć nie powinni. I puszkami rzucali, choć nie

tego ich chcemy nauczyć. Nie lękajcie się Adasia, który nie pragnie kobiety, tylko mężczyzny. Nie lękajcie się siebie nawzajem.

– Mamo, przepraszam – mówi Lechu. A Maryśka ściska go za ramię, bo po głowie przecież nie pogłaszcze, skoro chłopak już tak wyrósł, że o głowę wyższy od niej. Janek podchodzi do Elki i też przeprosiny mamrocze, nie za bardzo słychać, ale z daleka widać, że mu głupio.

Szymon też chciałby do ojca wzorem kolegów podejść, ale tego już dla Tomasza za dużo. On nie pozwoli, żeby ta warszawska sekta panoszyła się w Rabce. On już widzi, co tu się dzieje. Już mu syna chcą przekabacić, już jego chcą przeciągnąć na swoje „róbta, co chceta". O nie, tak w Rabce nie będzie.

– Co tu się wyprawia? Jakieś podziemie tu zakładacie, towarzystwo wspierania dewiacji albo kościół antychrysta? Ja się do waszej sekty nie zapisuję. – Kiwa szybko głową, żeby pokazać, jak bardzo się nie zapisuje. I odwraca się do Maryśki. – A kim ty jesteś, żeby mnie pouczać, co mam robić? Co my tu w Rabce, w Polsce robić mamy? Co??? Ty lepiej swojego dzieciaka pilnuj. Matka Maria od pedałów!

Dwie szramy na policzku Maryśki nabrzmiewają, rozpalają się do czerwoności. Wyostrzają się, jakby ją ktoś właśnie nożem chlasnął. Reakcja fizjologiczna na stres, tyle że ponadnaturalna, bo Maryśka jest spokojna jak ze świętego obrazka. Opiera się lekko o krzesło, jak prezydent Stanów Zjednoczonych na konferencji w oliwnym ogrodzie. Ale nie mówi nic, nie mówi ani słowa. Patrzy. Tak ciepło, pewnie, że gdyby z oczu mogły wychodzić promienie, jak w filmach science fiction, to ogrzałaby swoim spojrzeniem Tomasza, a może nawet lekko przypiekła. Tomasz spojrzenia nie wytrzymuje, szuka wzrokiem Szymona, kiwa na niego głową energicznie, że już idą, że z tą tęczową zarazą nie będą tu siedzieć.

A Lechu, chociaż ma na razie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, na chwilę rośnie do stu osiemdziesięciu pięciu, które będzie miał w dorosłości, kładzie matce rękę na ramieniu i mówi:

– Niech Moc będzie z tobą.

Się *Gwiezdnych wojen* z ojcem naoglądał. Co część wychodzi nowa, to obaj do kina reaktywowanego Śnieżka idą i gadają do siebie potem składnią inwersji pełną, jak mówi Yoda.

Jz 8, 1-3

Mistrzostwa świata w piłce nożnej to zawsze jest w Polsce „nowa nadzieja", jak w *Gwiezdnych wojnach*. W ataku Obi-Wan Kenobi, na pomocy Obi-Wan Kenobi, w obronie i na bramce też Obi-Wan Kenobi. Rozlega się gwizdek sędziego, a my Pod Kasztanami patrzymy, kto tym razem będzie Lordem Vaderem.

Thiago Cionek. W trzydziestej siódmej minucie meczu z Senegalem strzela bramkę samobójczą i jest już po mistrzostwach.

Rabka wie, Polska wie, wszyscy wiedzą, czego nie powiedzą komentatorzy w warszawskiej telewizji, sprzedajni, na pasku żydowskich stacji chodzący. Ciapaty nas załatwił. Jak to pięknie brzmi „polski piłkarz brazylijskiego pochodzenia". Rabka ma dość eufemizmów. Ciapaty Polsce skrytobója strzelił, Japońce wyjdą z grupy, Kolumbia wyjdzie, kolorowy spisek antypolski. Koalicja multi-kulti odebrała nam nadzieję na cztery lata, bo co cztery lata mistrzostwa są świata. A potem jest nowa nadzieja.

W Rabce jest dwoje ciapatych: Maryśka, kelnerka spod Kasztanów, i jej bękart Lech. Rabka zaczyna nazywać rzeczy po imieniu. Maryśka tu przybyła jak żebraczka okutana, po góralsku ją przyjęli. A ona jak się odpłaca? Bękarta im ciapatego urodziła i żyją sobie jak u siebie, po naszych chodnikach chodzą, za rabczańskie pieniądze budowanych przez burmistrza własnoręcznie, w parku wszystkie świętości nasze kalają. Dzieciak chciał pomnik papieża Polaka znieważyć, to on jest niby Polak? Ciapaty jest, tylko polskojęzyczny, jak te stacje telewizyjne z Warszawy.

Matka też nie lepsza. Z Józkiem, co ją z góralskim sercem szczerym przygarnął, tyle lat bez ślubu żyją. Co oni, do kościoła pójść nie mogą i się pobrać zwyczajnie? Komu by to wadziło?

Udają polską rodzinę, w niedzielę na mszę, na Wielkanoc palmy święcą i jajka. Ale powiedzmy prawdę: żyją bez ślubu, w grzechu żyją. A dzieciak

nie jest żaden Józkowy syn, tylko bękart, co go Maryśka w brzuchu przyniosła. Skrzywdzili ją w drodze, a może się puszczała z tirowcami na parkingach, z żebrakami na dworcach, podróż za jeden uśmiech se zrobiła z cennikiem, ile kilometrów za jaką usługę ma być przewieziona. Bo w ciążę to się nie zachodzi od wiatru albo przez Ducha Świętego.

Taką świętą ta Maryśka udaje, taką nawiedzoną. A ona i to całe jej towarzystwo to się z dewiantami bratają, z tym pedalstwem rabczańskim, co jak robactwo wypełza. Rabce nic do tego, co kto z kim robi, ale żeby od tego zgorszenia nie było. Pokazywania się na ulicy. Publicznego całowania. Rękę, która będzie podniesiona na Polskę, polskie wartości, polską religię, polski obyczaj, się odetnie. Żarty się skończyły. Mordobicie było? O nie, to były takie pieszczoty pedalskie dla naszych ciot od górali. Mordobicie to się dopiero zacznie, po dupach, aż będą piszczeć z rozkoszy.

Pod Kasztanami taka przyjemna knajpka, swojska, Europą nieskażona, a co się z niej teraz robi? Pedalskie centrum kultury współczesnej? Nawet jak pójdziesz tam mecz oglądać w piłkę, co dobrym obyczajem góralskim, polskim było, takie wspólne przeżywanie patriotyzmu i kibicowanie biało-czerwonym, to co się dzieje? To ciapaty Polsce samobója strzela, piąta kolumna jebana. I Polska musi powiedzieć „dość", głośno, żeby w Berlinie usłyszeli i nam przestali to multi-kulti wmuszać i kopalnie zamykać.

Władysław góral jest przecież i Polak. Długo on to wszystko toleruje. Ale zbliża się czas, kiedy będzie musiał zdecydować, czy tę zarazę u siebie znosić, czy mu się knajpa nie spali może. Jedna się na Poniatowskiego parę lat temu spaliła, to Kasztany nie mogą?

Ta Maryśka to ona ma w ogóle zezwolenie od sanepidu? Nie żeby to coś osobistego było, ale chodzi o zdrowie naszych dzieci i przyjezdnych, bo Rabka to w końcu uzdrowisko jest i miasto dzieci świata. Więc skoro ona stamtąd przyjechała, z innego rejonu, to ma inną florę bakteryjną. Inne pasożyty. Nie gronkowce albo tasiemca, z którymi wykwalifikowana polska medycyna na światowym poziomie radzi sobie świetnie, ale może mieć wirusa utajonego, przyczajonego w organizmie, który tylko czeka, żeby się

uaktywnić na znak kanclerz Angeli Merkel. To nawet nieświadomie się może dziać.

I jeszcze spraszanie tych pedałów z HIV-em, bo nie wiadomo, gdzie oni te ręce wkładają. A potem się im piwo podaje w szklankach, tych samych, co Polakom.

Trzeba to Władysławowi wszystko uświadomić. Drogą mailową albo na Facebooku z kilku kont najlepiej. Ale też w osobistej perswazji, żeby nie miał wątpliwości. Bo tu o zdrowie polskich dzieci chodzi, o nic innego.

Jz 8, 4-9

– Maryśka, sezon wakacyjny się zaczyna, nie wyjeżdżacie nigdzie, mam nadzieję? – zagaduje Władysław przy pustej jeszcze knajpie.

– Nie wyjeżdżamy, szefie – odpowiada Maryśka, ustawiając szklanki, przecierając blat, sortując kanapki gotowe do podgrzania w mikrofali, jak mrówka się uwija, jak zawsze. – Lechu już duży, nie chce ze starymi nigdzie jechać, tylko pod namiot z kolegami. Aha, ale we wrześniu się chciałam na tydzień wyrwać, Józek kupił wycieczkę do Rzymu.

– Do Rzymu jedziecie?

– Tak. Ja chciałam do Ziemi Świętej, bo już chyba dojrzałam do tego, żeby się wybrać… w tamte strony. Zobaczyć Betlejem, miejsce urodzenia Pana Jezusa, Drogę Krzyżową w Jerozolimie, piękne miasto. Ale jakby się doszukali, gdzie dorastałam, tobym mogła mieć w Izraelu kłopot na lotnisku. Nie będziemy ryzykować, a Rzym to też święte miasto. Papieża zobaczymy i muzea. Zamówiłam sobie przewodnik przez internet, powinien dojść w tygodniu.

– To dobrze – mówi Władysław. – Bo wiesz, Maryśka, dużo roboty będzie w wakacje.

– Jak zawsze, szefie – uśmiecha się Maryśka. – Rabka odżywa, tak widzę, od kiedy tu przyjechałam na stałe. Pensjonaty się nowe budują, ludzi trochę więcej. Jakby się bogatsi zrobili i jakby znów zaczęli doceniać to, co nasze. Nie tylko wakacje w ciepłych krajach. Chociaż akurat my do ciepłego kraju jedziemy, w Rzymie we wrześniu będzie trochę bardziej znośnie, ale i tak większy gorąc niż u nas w lipcu. Wszędzie teraz to globalne ocieplenie.

– Tak, dobrze, że jedziecie – mówi Władysław. – Może sobie nawet na dwa tygodnie pojedźcie, to się kalkuluje dłuższą wycieczkę wykupić.

– A szef sobie przez dwa tygodnie beze mnie poradzi? – śmieje się Maryśka. – We wrześniu to jednak też jest sezon i dużo roboty.

– No wiesz, Maryśka, w tym rzecz, że roboty mniej będzie po wakacjach. – Władek się wyraźnie plącze. Nie wie, jak to powiedzieć, ale przecież po to rozmowę zaczął, żeby powiedzieć. Więc mówi, sięgając po papier do kieszeni marynarki, dokument równo na pół złożony. – I jak się już wrócisz, to nie wracaj. Masz tu wymówienie, termin trzymiesięczny. Tylko na wakacje mnie nie zostaw samego, bo nikt tak warszawiaków nie ogarnia jak ty.

Amen. Tak kończy się siedemnastoletnia kariera Maryśki Pod Kasztanami. I tak się ludzie w godności między sobą porozumiewają. Warszawiaki to by od razu lecieli do fundacji praw, do adwokata od dyskryminacji, do TVN-u, skamleć, wyżalić się. A Maryśka blat przeciera, nawet szklanki nie upuści teatralnie. Bo to jest prawdziwe życie, a nie teatr medialny na potrzeby otumanionych telewidzów.

– Dziękuję. Za te wszystkie lata szefowi dziękuję – mówi w końcu cicho Maryśka. A potem ścisza głos jeszcze bardziej, głowę jeszcze bardziej do blatu opuszcza, jakby chciała ostatnią nieczystość wypucować, i dodaje tak jednak, że Władysław wyraźnie słyszy: – I błogosławię.

Jz 8, 10-15

„Cionek” wołają na Lecha na minimundialu w szkole na koniec roku szkolnego zorganizowanym. Grają ze sobą cztery drużyny z różnych klas pozbierane. Niemcy, bo jak jest turniej w piłkę, to muszą być Niemcy, żeby było komu dokopać, kogo zwyciężyć i szpadą do ziemi przygwoździć. Brazylia, bo to odwrotność Niemiec: jak Niemcy z żelazną konsekwencją i organizacją, to Brazylia z improwizacją i sambą. Takie piłkarskie ying i yang, na mecze tych drużyn powinny być specjalne piłki z tym symbolem szykowane. Hiszpania, bo to taka Brazylia, tyle że nasza, europejska. I Polska, nasza ojczyzna.

Turniej odbywa się na boisku KS Wierchy, pół szkoły przychodzi. Lechu i Janek są w jednej drużynie, jakby pępowiną związani. Anka, która od pięciu lat w liceum pracuje, przeprowadza losowanie nazw drużyn. Kapitanowie podchodzą. Lechu, jako że najlepszy w całej szkole w piłkę, treningi mu w nogach zostały, a do głowy też sporo weszło, jest kapitanem swojej drużyny. Drugą prowadzi Szymon, chociaż są z jednej klasy, ale on jest w drugiej drużynie, pomieszanej z pierwszakami, tak to Anka wymyśliła, żeby ci mniejsi też mieli szansę. Co ona z tym wyrównywaniem szans? Warszawę chce z Rabki zrobić i parytet bramek może jeszcze poprzydzielać? No, a może to dobre, mecze będą ciekawsze, zostawmy. Trzecią i czwartą tworzą chłopaki z pierwszych klas zasilonych paroma z drugiej – Marek i Mateusz.

Z bejsbolówki losującej Lechu wyciąga zwiniętą kartkę z nazwą drużyny.

– Indie – krzyczy ktoś dowcipnie, a wszyscy rechoczą. To niewinny żart, zabawny przecież.

– Może nam kebaba na rowerze z Krakowa przywiezie uber eats pierdolony – ktoś dorzuca szeptem, którego nie powstydziliby się w krakowskich teatrach, taki donośny. Ci, co słyszą, się śmieją, bo żart śmieszny, a ludność rabczańska ma poczucie humoru w całej Polsce i memy o uber eatsie w necie widziała, więc czai bazę.

Anka rozwija kartkę i czyta głośno nazwę drużyny wylosowaną przez Lecha: Niemcy.

I wtedy licealiści wybuchają szczerym, spontanicznym, głośnym śmiechem. Rżą i nikt nic nie musi mówić. Normalnie Angela Merkel, Turcy na każdym rogu, mniejszość kurdyjska, uchodźcy szturmujący bramy raju brandenburskie. Gwałcący Niemki na ulicach Kolonii, co to nie wiadomo, czy się cieszyć, bo im się za wojnę należy do końca świata, żeby Niemcy były gwałcone non stop, czy oburzać, że najeźdźcy, barbarzyńcy, gwałciciele, czy zazdrościć, że cztery razy po dwa razy. Normalnie kabaret, ten jeden Lech, niby taki ziomal z YouTube'a, a stoi tu jakby ze spuszczonymi gaciami na boisku, z całym swoim ciapactwem obnażonym, tyle żartów w sobie skupia jak w soczewce, urodzony kabareciarz, tyle że mimochodem.

Szymon losuje Polskę, Marek Brazylię, a Mateusz Hiszpanię.

Drużyny zaimprowizowane, nie wszyscy się znają z imienia, więc dużo jest na boisku chaosu, ej, ej, podaj, ty, do mnie. Jakieś ksywki na spontanie się rodzą i powtarzają albo od razu wsiąkają w murawę. Długi, Ryży, Chudy. Lewandowski, jak ktoś ładnie kiwnie, Grosicki, jak po skrzydle pogna. Cionek, bo ciapaty, bo obcy, bo beka z niego była, jest i będzie. Był Franek łowca bramek, będzie Cionek łowca żonek. Bo bramki to najwyżej samobójcze może strzelić.

Lechu strzela jednak dwie bramki Polsce w półfinale i Polska odpada. Hiszpania pokonuje Brazylię w drugim. I w finale spotykają się Niemcy i Hiszpania. Lechu z Jaśkiem we dwóch wygrywają mecz i są bohaterami. Bo można sobie z ciapatego porobić jaja, ale w piłkę to gra rzeczywiście na poziomie. Lechu jest równy gość przecież, no i co z tego, że ciemny, że uchodźca, się go lubi i szanuje. Choć zawsze trafi się wyjątek od reguły.

– Jakbyście samych Polaków w składzie mieli, tobyście z nami nie wygrali – zagaduje któryś z pierwszaków. Ale czy to jest brak szacunku, skoro też klasę piłkarską Lecha docenia?

Lechu nie zdąży nawet odpowiedzieć, bo Szymon do niego podchodzi z gratulacjami. A potem go bierze za ramię, na co Lechu odskakuje, bo

w tym wieku musisz silnie pokazywać alergię na pedalstwo, wręcz ją demonstrować, i to obojętne, jak masz chuć skierowaną, z jaką orientacją, bo że chuć skierowana do góry jak sosna na Tatarowej, to nie ma wątpliwości. Ale Szymon się przybliża, głos ścisza i coś mu tam mówi. Schodzą z boiska powoli, Szymon zasmucony, Lechu frasobliwy.

Jz 8, 16-27

– To dlatego nie chciałaś się dziś Pod Kasztanami spotykać? – pyta Maryśkę Elka. Siedzimy wszyscy na cegłówkach, beczkach, belkach, na placu budowy po prostu. Bo wzięli się serio za budowę bulwarów nad Poniczanką, cegły zwieźli, coś będą stawiać. I jedna cegiełka do drugiej, jedna do drugiej, aż się cały obrazek układa.

Darek jak wyszedł ze szpitala po tym pobiciu, twardo na komisariat poszedł zawiadomienie o pobiciu złożyć, obdukcję przedstawił i sprawców wskazał. Ale mu ktoś opony w nocy kozikiem poprzebijał. Następnej lakier porysował na aucie. Następnej fiuta mu ogromnego na drzwiach mieszkania narysował farbą czerwoną, ostrzegawczą i z konotacjami do krwi z ran na ciele, które się mogą Darkowi odnowić.

Ale tak tu w Rabce nie będzie, Darek się nie da. Idzie na komisariat i ponowne doniesienie składa. A czy może wskazać sprawców? No nie może, niech policja znajdzie, ślady zabezpieczy. Może i policja znajdzie, ale on ma nie mówić policji, co policja ma robić, bo nie będzie tak w Rabce, że będzie obywatel policji rozkazywał. Na to Darek, że policja chyba udaje głupią, bo to oczywiste, że to Jakub z kumplami swoimi Norbertem i Marcinem zamieszkałymi w Ludźmierzu. Na to policja, że za obrazę policji to jest paragraf i policja może zeznać w sądzie, że została obrażona, a ma świadków, bo we dwóch w pokoju to zeznanie spisują. A za zniesławienie może być kolejny paragraf, bo jak to tak oczernić człowieka bez dowodu.

Darek się kurczy o kilka centymetrów, ten front odpuszcza, nieznani sprawcy mu auto niszczą i na drzwiach świństwo rysują, niech będzie. Ale co na froncie głównym, co z jego zawiadomieniem o pobiciu? Bo on nie odpuści.

No więc policja mówi, że owszem, przesłuchała Jakuba, ale inna jest wersja zdarzeń, został bowiem obrażony, zaczepiony, był szykanowany na drodze, jakieś go auto spychało, sprawa nie jest jasna. I że lepiej byłoby to odpuścić.

Darek się odgraża, że ni hu-hu, ale wychodząc, robi się o kolejne kilka centymetrów mniejszy. A jak mu w nocy sprawcy okna kamieniami wybijają, metodycznie, jeden lufcik, drugi, trzeci, szkło leci jak podczas ostrzału w powstaniu, to mu rura mięknie. Rano idzie i wycofuje doniesienie.

– No widzi pan, panie Darku, człowiek przemyśli i od razu lepiej. Szybko się pan wyleczył. – Policjant ręce rozkłada z zadowoleniem, głową kiwa z uznaniem. – Ale nie szarżujmy, nie szarżujmy. Jakiś wyjazd by się panu przydał dla podreperowania zdrowia. Do Ameryki pan się nie wybiera? Potrzebują informatyków. Albo do Warszawy chociaż, do Krakowa? Tam zdrowsze powietrze dla pana i pańskiego przyjaciela by było.

Kiedy Maryśka do Darka dzwoni, on jej wszystko opowiada, a na koniec głos zawiesza na smutnej nucie molowej i mówi:

– Dziękuję ci, Mario, bądź zdrowa, ale nie dzwoń więcej.

Lechu, kiedy mu matka o tym wszystkim opowiada, zaraz montuje nagrywkę i na YouTube'a wrzuca: *Chodziłem dzisiaj boso po Rabce,/ Pytałem, kto widział nieznanego sprawcę./ Pytałem policję o faceta z kosą,/ Lecz mnie zatrzymali za chodzenie boso*.

Więc Darek – najpierw pobity, potem zastraszony – to cegiełka pierwsza. Druga to Adam. Chodzi do pracy, ale jak partyzant, od krzaka do krzaka, od budynku do budynku, rozgląda się cały czas w panice. Psychiatryczny się zrobił, nie wiadomo, jak długo to ciśnienie wytrzyma. I nie wiadomo, co robić.

Trzecia cegiełka to Maryśki zwolnienie z Kasztanów. Maryśka od początku rozumie, że to na Władysławie wymogli, wymusili. Ale dopiero od Lecha się dowiedziała więcej – Tomasz, ten hydraulik, co im awanturę robił onegdaj, przyszedł Pod Kasztany z kolegami i jak się opili, to Władysława posadzili przy stole i mu powiedzieli, że tu przychodzili, przychodzą i będą przychodzić, bo to polska knajpa jest. Prawdziwa, normalna, rabczańska, nie wypindrzona po warszawsku. No polska po prostu. I taka ma zostać. A jak on chce tutaj centrum pedalskiego multi-kulti urządzać, to lepiej niech już dziś wypierdala do Izraela, a Kasztany się odda Polakom w dzierżawę. Na koniec kuflami o ziemię jebnęli i nie zapłacili. A Lechowi o wszystkim opowiedział Szymon, który ojca nie znosi jak psa, a matka go wysłała, że już późno i żeby starego do domu przyprowadził. No i wszedł na koniec, i sobie trochę posłuchał ojcowskich mądrości z głębi rury.

Czwarta cegiełka to ten turniej Lecha, te żarciki, ten Cionek ciapaty z klasy przedmaturalnej. Skąd one to biorą, te dzieciaki? Od starych? Z telewizji? Prędzej z internetu, memy na ciapatych są jak pająki, osaczają zewsząd, nie wiadomo kiedy się pojawią. Nie ugryzą cię jak osa, nie użądlą, ale każdy cię przeraża, kiedy się pojawia, przebiega szybko po stole albo po ekranie podczas scrollowania i znika, a zostaje tak naprawdę w istocie.

– Ja widziałem tego Jakuba na Rabce raz. Przyjechał niby do sklepu po wódkę, jakby wódki koło domu nie miał i musiał sobie szukać pretekstu, żeby na motorze śmignąć po patelni. W końcu im te wyścigi zlikwidowali, ale jebnięci są, jak byli – opowiada Łukasz. – Po co on się tu kręci? Nic dobrego z tego nie będzie.

Są jeszcze drobniejsze cegiełki. Jak Maryśka idzie do spożywczaka, wchodzi między półki, a tam ludzie milkną, odwracają się, wzrokiem mierzą. Jak dzieciaki do niej raz podlatują, czy im da na kebaba, ona zaczyna do torebki sięgać po portfel, a dzieciaki wrzeszczą:

– Lepiej od razu daj kebaba, ty ciapata.

I uciekają ze śmiechem. A małe są, z podstawówki. One już na pewno same tego nie wymyśliły. To Rabka wymyśliła. Zaczął się nie wiadomo

kiedy ten mecz: Maria kontra Rabka. Do przerwy zero jeden.

Pijemy prosecco z papierowych kubków. Bo Anka mówi, że plastik zabija planetę, takie złote myśli z Krakowa przywozi. A prosecco przywiózł Łukasz, taki trunek, którym warszawiaki się zachwycają od Rzeszowa po Szczecin. Jakby wino niedojrzałe, u nas się chyba nie przyjmie, bo góral potrzebuje pełnego smaku, pełnych emocji i pełnego życia, a nie takiego pedalskiego napitku.

Noc czerwcowa, ciepła. Młodsi by byli, to by ognisko rozpalili, chłopy by skakali, baby by siedziały jak na rozgrzanych węglach. Teraz starsi są, powinni w restauracji siedzieć reprezentacyjnej, choćby w Zdrojowej albo w Siwym, na dancingu powinni rej wodzić, barana zajadać. A nie siedzą tu jak banici, jak wyrzutki, jak drugi sort, jak Żyd Wieczny Tułacz na bulwarach w budowie, gdzie przez dziurę w płocie weszli. Co nie tak zrobili? Bo inaczej myślą? Zawsze myśleli po swojemu. Dziś nie wolno?

– Jezusie Nazareński, dzisiaj świętojanki! – przypomina sobie Elżbieta. – To dlatego Janek z Lechem namioty wzięli nad Czorsztyn ognisko palić!

– No, Elka, pewnie. Janek ma dziś imieniny, a nasz Lechu urodziny – uśmiecha się Józek. Nawet po ciemku widać, że się uśmiecha, a może w głosie słychać. – Rano żeśmy mu stówkę dali.

– To mają za co pić, bo Jankowi też stówkę dałem rano – śmieje się stary Zachara. – Duże chłopaki, Janek będzie miał osiemnastkę za pół roku, Lechu za rok. Ja w ich wieku święty nie byłem.

– Jak to? Przecież ty nigdy nie pijesz? – dziwię się strasznie, bo chociaż się tyle lat ze starym Zacharą znamy, to czegoś o nim chyba nie wiem.

– Nie piję, ale kiedyś chlałem. W Mszanie co piątek, co sobotę, w niedzielę wytrzeźwieć, w poniedziałek do roboty i byle przetrwać do piątku. Kierownikiem byłem w fabryce obuwia w Nowym Targu. Miałem zostać dyrektorem, najmłodszym w historii fabryki – wspomina Zachara. – Ale nie udawało mi się przetrwać do piątku, raczej do czwartku, czasem musiałem sobie dzień wolny brać we wtorek albo w środę. A w fabryce obuwia, szczególnie w tamtych czasach, to nie było tego, jak wy teraz mówicie, *home office*. W końcu mnie wyjebali.

– I co? Zaszyłeś się? Na Górkę pojechałeś ślubować? – dopytuję.

– Nie. Poszedłem do monopolowego, nakupowałem wódki na cały weekend razem z piątkiem i piłem. Piłem monstrualnie, epicko. Sam, sam ze sobą, do lustra „piję do ciebie" robiłem i piłem do siebie, do tego drugiego mnie, coraz bardziej najebanego, co go w lustrze widziałem. Śpiewałem, jak mi się chciało, pociłem się, rzygałem, ale wódkę wmuszałem w siebie już nie dla przyjemności, ale ze złości. I z tego postanowienia, że będę pić, a jak mam pić, to piję.

– A po trzech dniach… – podrzuca Elka, która historię zna na pamięć.

– Zasnąłem we własnych rzygach. Bo jak kocur rzygałem, jak popierdolony, jakbym chciał nie żołądek, nie jelita, ale odbyt wyrzygać. Morze wódki wyrzygałem. Aż się obudziłem śmierdzący, z włosami poklejonymi, w ubraniu uświnionym, zasikany, posrany, bo mi zwieracze puściły. Z kacem tak sakramenckim jak nigdy, z głową jak rycerz na Giewoncie, z żołądkiem tuż pod krtanią, więc nawet jak oddychałem głębiej, to mi się podrażniał i miałem odruch. Ale całkiem trzeźwy.

– Od tego czasu jest trzeźwy – mówi z dumą Elka, jakby tam stała i mu szklankę wody podawała, chociaż wtedy była jeszcze dziewczynką w Rabce niewinną, co kwiatki sypała na Boże Ciało w procesji.

– Poszedłem się umyć zimną wodą cały. I jak tym zimnym prysznicem się polewałem, to jakbym się zupełnie poza ciałem znalazł. Powiedziałem sobie: „Tak dalej nie będzie". I nie jest.

– Brawo ty – mówię do starego Zachary, tak jak mówi młodzież. – A na AA poszedłeś?

– Kiedy ja nie jestem anonimowy, Zachara jestem. A czy jestem alkoholikiem? Kogo to obchodzi. Nie piję. – Stary Zachara bierze oddech głęboki, nic go w krtani nie drażni. – Wiecie, czego mnie to nauczyło najbardziej? Nic o alkoholu, o alkoholu nic nie wiem, głupi jestem. Nauczyło mnie, że jak człowiek powie: „Tak dalej nie będzie", ale z całą mocą i z całą wiarą, to przestaje tak być. Tylko musi być człowiek do tego naprawdę gotowy. Musi być gotowy, żeby zawalczyć, żeby przejść przez czyściec, żeby wziąć swoje łoże i zacząć chodzić, jak było w Biblii.

Najważniejsze w życiu, to żeby umieć rozpoznać ten moment, kiedy można wziąć swoje łoże i chodzić.

– Chodźmy – mówi Maryśka. – Muszę CV przygotować, roboty jakiejś poszukać po wakacjach. Bo ja nie jestem stworzona do siedzenia w domu bezczynnie, nawet gdyby Józek nas wszystkich chciał utrzymać.

Idziemy do samochodów przy Zakopiańskiej zaparkowanych. No, po kubeczku, najwyżej dwóch na głowę było, a to prosecco takie słabe jak siki kota. Zacharowie odjeżdżają jednym i Łukasza ze sobą zabierają. Anka nie jedzie z nimi, bo ma coś do załatwienia koło Nowego Targu dzisiaj.

– O, to świetnie się składa, bo ja też muszę coś w Nowym Targu załatwić. Tylko Papierzów podrzucimy do chałupy i się karniemy – mówię do Anki. – A jak będę wracał, to się zdzwonimy, może też cię zabiorę.

Jedziemy na Traczykówkę, a potem już sami do górnej Rdzawki i na zakopiankę. Jedziemy w ciszy, każde z nas ze swoimi myślami.

– Podrzucisz mnie do Ludźmierza – mówi Anka. Chwilę milczy, ale chce się czymś jeszcze ze światem podzielić. A w tej chwili świat to ja. – Muszę coś zamknąć, bo tak dalej nie będzie.

– Dobrze, Anka – odpowiadam. Puszczam kierownicę prawą ręką i biorę ją za rękę po przyjacielsku, ściskam. – Dobrze robisz.

Jedziemy chwilę w ciszy. Widać już tabliczkę „Ludźmierz", wjadę kawałek, pod kościołem ją wysadzę, pod sanktuarium maryjnym.

– Ty też? – pyta Anka. A że patrzę trochę zdziwiony, precyzuje: – Ty też dobrze zrobisz?

Zastanawiam się, co odpowiedzieć, naprawdę się zastanawiam. Sto lat się zastanawiam, przyhamowuję, Anka już chwyta za klamkę, kiedy odpowiadam:

– Tak. Tak myślę.

Jz 8, 28-36

„Kiedy noc się czerwcowa zaczyna, wtedy noc jest jak młoda dziewczyna” – śpiewa Janek z gitarą. Magda się przysuwa do Lecha na kocu, bo jednak zimno się robi. Przyjechali nad Czorsztyn w piątkę – jeszcze z Szymonem i koleżanką Magdy, Aśką, co się razem uczą w krakowskiej szkole i busem razem dojeżdżają.

Aśka, kieszonkowy pancernik – mała, gruba, czarnooka, szczery uśmiech, piegi na twarzy, po ojcu. Wychowuje ją matka, która po rozwodzie przyjechała do Rabki i pracuje w zakładzie fryzjerskim. A czasem jeździ bogaczy w domach ścinać, na OLX-ie się ogłasza albo na Gumtree. Z ojcem Aśka ma dobry kontakt, jest prezesem GS-u w Harkabuzie, tyle co wsiąść w busa i za dwadzieścia minut jest u ojca, ma u niego nawet własny pokój. Bo w Rabce to się z matką gniotą w klitce wynajętej, z łazienką na korytarzu. Ale Aśka się nie przejmuje, cieszy się wszystkim i Bogu za dary codzienne dziękuje. Lekko ześwirowana religijnie, jeździ na oazę do Mszany, na wakacje na rekolekcje do Murzasichla. Wita się z każdym: „Dobrze, że jesteś” i każdego przytula wtedy z miłością bliźniego, a raczej bliźniej, co osoby starszej daty wprawia w lekkie zakłopotanie.

Ognisko płonie, knieje szumią, dziewczyny zawsze tak się w ogniska zapatrują, jakby tam spodziewały się odnaleźć sens życia.

– Ej, dziewczyny, Boga chcecie w tym ogniu zobaczyć? – śmieje się Szymon, a że ma matkę chemiczkę, to błyska: – To tylko gwałtowne utlenianie drewna, czyli tak zwany proces spalania.

– Zdrowie – przejmuje inicjatywę Lechu. Sączą wino z papierowych kubeczków. Kiedyś to by było nie do pomyślenia, żeby siedemnastoletni chłopak na Podhalu pił wino. Oczywiście że piłby wódkę, samogon, śliwowicę łącką, bimber ukraiński kupiony na targu od Ruskich. A teraz proszę, jaka Warszawa, dzieci wino piją. Kubeczki papierowe, bo Aśka się uparła, że jak będzie plastik, to ona nie jedzie. I że mają zrobić campingowanie zero waste, wystarczy już, że ślad węglowy zostawiają,

jadąc tu samochodem. Magda już prawo jazdy zrobiła i jej rodzice pożyczyli auto na wyjazd.

– Zrobisz mi podkład, Szymon? – prosi Lechu. Szymon jest geniuszem beatboksu, potrafi ustami i językiem stworzyć całą orkiestrę. No, może syntezator i bas z perkusją, więc dołącza się jeszcze Janek dla pełniejszego dźwięku. A dziewczyny słuchają, bo to dla nich przecież występują, to przed nimi stroszą piórka.

– *Kiedy noc się zaczyna czerwcowa,/ Mnie się robi faza hiphopowa./ Kiedy noc jest jak młoda dziewczyna,/ To bym poszedł z dziewczyną do kina/ Albo siedziałbym z nią tu przy jeziorze/ I pomyślał, co stać się dziś może* – Lechu jedzie z głowy. Czy jednak coś sobie ułożył wcześniej i wykuł na pamięć? Jak to jest, że mitozy i mejozy za chińskiego boga się nie nauczysz, a nowy kawałek Grubsona albo Tedego zapisuje ci się na twardym dysku w jeden moment?

Aśka piszczy z zachwytu. Zaczyna paplać coś o jeziorze, szybko przechodzi na wątek zanieczyszczeń, Szymon opowiada, co tu było, zanim powstało jezioro, bo to zbiornik sztuczny, ręką człowieka zrobiony, no to czy człowiek ma prawo tak ingerować w naturę, mówi Aśka, a Szymon woli mówić, że w środowisko, ale że trzeba też pozyskać jakoś energię, a elektrownia wodna jest lepsza od węglowej… Normalnie sympozjum naukowe sobie robią, klub dyskusyjny młodego ekologa. Jasiek też się do rozmowy włącza, bo też ma w tej kwestii parę przemyśleń, a z kim o tym pogada? Z ojcem, co kapce klepie, czy z matką, co pazury maluje na Rabce dziewczynom?

A Magda nie mówi nic, nie mówi ani słowa. Kiwa z uznaniem dla tego kawałka Lecha i myśli. Też chyba myśli, co tu stać się dziś może. Bo to bez sensu. Jest trzy lata starsza. Jak wrzuci fotę na Insta, nawet taką zwykłą, bez makijażu, to zaraz ma mnóstwo słodkich komciów, ruchałbym, brałbym, szarpałbym jak Reksio szynkę, stukałbym jak dzięcioł w drzewo, fajne cycki. No dobra, jeszcze w życiu nie wrzuciła foty bez makijażu, ale te komcie to naprawdę takie i jeszcze z serduszkami. Chłopaki się koło niej kręcą, jeździ do Krakowa, czasem na noc tam zostaje, ale nie żeby miała

kogoś na stałe. Bywa w klubach z muzą, a nie tak jak te szczawiki, którym dyskotekę w kinie Śnieżka zamknęli i na kino przerobili i nie mają gdzie chodzić, a budki u Władka nad Poniczanką to nawet nie pamiętają, dziećmi byli, jak się zawaliła. Mogą se Pod Kasztany pójść na rurkę z bitą, ale tam to raczej geriatria z Facebooka siedzi, jej starzy na przykład posiady se robią ze znajomymi. O ile stara do Mszany nie pojedzie albo do Ludźmierza.

– *O Magdalena,/ Tyś jest moja wena,/ Co podziw budzi/ I żądzy nie studzi* – macha jej rękoma przed oczami Lechu po rapersku, jak w internecie widział na Bronksie i Ursynowie. – Powtórzyć?

– Niezłe – śmieje się Magda takim śmiechem, jakim w Krakowie się nie śmieje przy żadnym chłopaku. Ani przy żadnej dziewczynie, bo na imprezach w Krakowie to się naprawdę dużo dzieje. – Skąd ty to bierzesz?

– *Sięgam do głowy/ I rym już* gotowy – odpowiada Lechu i śmieją się oboje.

– Zapisuj to, Lechu. Może będziesz znany, płytę nagrasz. Zaprosisz mnie na koncert?

– A przyjdziesz? – odpowiada pytaniem Lechu. Bo zawsze wygrywa ten, kto zadaje pytania, a nie ten, kto udziela odpowiedzi. – Na razie zapraszam cię na oglądanie tafli Jeziora Czorsztyńskiego o zachodzie słońca w najdłuższą noc w roku. Zobaczymy, czy tam jakiś ślad węglowy się rysuje, a potem wrócimy powiedzieć to ekologom.

Magda całuje się delikatnie, prawie z nabożeństwem. Dotyka ciała Lecha ostrożnie, jakby się bała go urazić. Sama rozpina bluzkę, sama zdejmuje stanik. Wie, że z każdą chwilą, z każdym ruchem, z każdym pocałunkiem coraz bardziej otwiera Lechowi bramy raju. Idą powoli, spokojnie, jakby razem szli w stronę światła. Jest jakoś inaczej, bez tej chuci w wielkim mieście. Zatrzymują się przed bramą.

– Czy nie za wcześnie? – pyta Lech.

– Słońce jeszcze na niebie – potwierdza Magda. Ale kiedy wracają, znajduje wiele odpowiedzi. Czy nie za wcześnie na seks między nimi? Czytała w książkach, że kiedyś chłopak z dziewczyną najpierw chodzili ze sobą, dawali sobie buziaka pod drzwiami, matka jej puszczała taką

starodawną piosenkę *I Wanna Hold Your Hand*. Też mi powód do śpiewania piosenki – chcesz, to podchodzisz i trzymasz, a jak ona nie chce, to ci powie „spierdalaj, chuju" i po sprawie. Dziwny świat był kiedyś, a Lechu jest taki trochę niedzisiejszy. Niby nagrywki hiphopowe robi, a kiedyś go przyuważyła, jak sobie Doorsów na Spotify słuchał. I z ojcem do kina na *Gwiezdne wojny* chodzi.

A może za wcześnie na seks dla Lecha? Siedemnaście lat ma chłopak, wino pije, ale jest taki… inny. Jakby go nie znała dobrze, toby pomyślała, że może gej, taki jest jakiś delikatny. Hippisi tacy byli kiedyś, czytała w książce. Dużo czyta, jak busem do Krakowa jadą, to Aśka od razu wyciąga z plecaka zaczytaną już na amen Ewangelię świętego Łukasza, jakby chciała tam nowych pokładów treści się doszukać, a Magda ma zawsze swoją książkę. Ostatnio najlepiej jej wchodzą książki z półki matki, ale chyba matka musiała sobie tę półkę wymienić. Jak Magda była mała, rodzice podsuwali jej świetne książeczki, *Dzieci z Bullerbyn* nie zapomni nigdy. Potem na kilka lat kompletnie zgłupieli, co jej coś dawali, to dno, nieżyciowe, nie było nic o chłopakach, czy na przykład ona się chłopakowi podoba, jakaś bohaterka, czy on ją kocha i będą razem, pojadą na wyspę. A teraz okazuje się, że matka ma dużo fajnych rzeczy do czytania. Trochę oldskulowych, ale można dzięki temu lepiej zrozumieć takiego oldskulowego dzieciaka jak Lechu.

Siadają przy ognisku, omawiają zanieczyszczenie atmosfery. Szymon jest za większym wykorzystywaniem energii ziemi, są pod Rabką na przykład źródła geotermalne bogate, mama mu pokazywała wyliczenia, a ojciec powiedział, że instalację do wykorzystania takiego źródła to on by sam zrobił za kilka tysięcy, tylko jest spisek niemiecki, żeby Rabka nie miała geotermii. Z tym że o ile matce Szymon wierzy, to ojcu nie wierzy.

Aśka z kolei chce na każdym kroku zmniejszyć ślad węglowy, więc się domaga zmniejszenia śladu i odkrywa nagle, że zanieczyszczają powietrze swoim ogniskiem, więc się domaga, żeby zgasić i siedzieć po ciemku. Na to Janek protestuje, że po ciemku polewał nie będzie, a w ogóle to wino się kończy, ciemno się robi, zimno i trzeba się do śpiworów ładować. Dopijają

i dobranoc. Aśka żegna się ze wszystkimi przez „dobrze że jesteś” i przytulenie bliźniej.

Namioty mają już rozstawione. Jeden jest dziewczyn, a drugi Lecha, Janka i Szymona. Za chwilę nad jeziorem słychać tylko cykanie świerszczy i rozmowy w namiotach, ale nie słychać o czym. A jakby ktoś posłuchał dłużej, to z jednego namiotu zaczyna dobiegać chrapanie, a po chwili wychodzi z niego Lechu, wlecze ze sobą szeroką karimatę, rozkłada ją trochę dalej, blisko jeziora. Noc jest ciepła, bezchmurna, niebo rozgwieżdżone. Lechu wraca, ale podchodzi do namiotu dziewczyn.

– Magda! – wywołuje ją z namiotu teatralnym szeptem. A kiedy głowa Magdy pojawia się w rozsuniętym zamku błyskawicznym, dodaje z teatralną sztucznością, jakby jakiś klasyczny tekst recytował: – Weź swój śpiwór i chodź.

Jz 8, 37-42

Te domki na Podhalu to chyba jakaś pracownia architektoniczna na ksero odbijała. Chałupa wielka jak tir, w centralnym punkcie wjazd do garażu, a z boku gdzieś przyklejone schodki, z nich wejście na klatkę schodową i same klitki na parterze i na piętrze.

Czasami brał ją od razu na schodach. Rzucali się na siebie z namiętnością, jakiej Anka nigdy w domu nie miała, zwłaszcza z Łukaszem. Bo z Łukaszem to można mieć seks tantryczny przy świecach, ale jeśli chcesz się popieprzyć jak dzika kuna w agreście, to jedź do Ludźmierza. Jakub to potrafi, i nie tylko on. Bo kiedy namiętność się rozlała jak mleko po podłodze i nie było czego pozbierać, to poszerzyli paletę. Jakub ma kilku bliskich kumpli z wyścigów na patelni, wręcz przyjaciół, a z przyjacielem się przecież ostatnią kromką chleba podzielisz, a co dopiero kobietą napaloną na jazdę na motorze. Gdyby te ludźmierskie mury mogły mówić, to park w Rabce spłonąłby ze wstydu.

Chociaż tam się też potrafiło dziać na ławkach albo w krzakach, ale nie na taką skalę.

Anka dzwoni, długo nikt nie otwiera, wysyła esemesa i zaraz kasuje na wszelki wypadek. W końcu słyszy kroki. Jakub otwiera, trochę zaskoczony, trochę zdziwiony.

– Wejdziesz? – pyta, ale niezbyt zachęcająco tym razem.

– Nie, nie wejdę, Kuba. Tak dalej być nie może – mówi Anka, patrząc mu prosto w oczy. Ale zaraz sobie przypomina nauki starego Zachary i poprawia się. – Tak dalej nie będzie.

Czeka na odpowiedź, a ponieważ Jakub milczy, to Anka ciągnie:

– Tak nie będzie, że będziecie przyjeżdżać i bić naszych chłopaków. Co z tego, że geje, pojebało cię? Przypomnieć ci, jak żeś fiuta Krzyśkowi z Obidowej ssał?! Wyrwać ci go nie mogłam, ty pedale!

– Najebany byłem – tłumaczy się Jakub.

– Najebany? Raczej pojebany! – Anka prawie krzyczy, a Jakub ją ruchem ręki ucisza, drzwi od chałupy przymyka. – To zresztą w tobie, Kuba, lubię, że jesteś taki pojebany, chłopak z odkręconą zawsze manetką… Ale koniec. Dalej tak nie będzie. Wypierdalać mi z Rabki, jak macie przyjeżdżać i burdy robić. Przyjaciół moich prześladować. Maryśka to święta dziewczyna i żeście zmusili Władysława, żeby ją z Kasztanów wyjebał? Najazd na chałupę też raz jej zrobiłeś i Józkowi cieśli. A jakby tam moja Magda akurat poszła w odwiedziny do Lecha, to co? Też byś kamieniami w szyby napierdalał, żeby się popisać, jaki ty, kurwa, masz motor w dupie?

Jakub milczy. Anka czuje, że wykrzyczała już wszystko, co mu chciała wykrzyczeć. Chciałaby zatriumfować, patrzy na Jakuba, czy czegoś nie odpowie, wzrokiem mu to pytanie zadaje i w końcu Jakub odpowiada.

– A ja ciebie pierdolę. Znudziłaś mi się. Myślisz, że jesteś taką suczką krakowską zwinną, wyćwiczoną na Angolach? Jesteś kocmołuchem z polskiej stolicy smogu. Dobrze ci robiłem? To podziękuj. – Jakub bierze Ankę za brodę, podnosi do góry, żeby widziała dokładnie każdą literkę

z tego, co chce teraz powiedzieć. – Wszystkie orgazmy udawałem. A teraz spierdalaj.

Anka odwraca się, idzie do drogi i skręca w stronę zakopianki. Coś mu jeszcze przez ramię wykrzykuje, że tak dalej nie będzie, że ma się w Rabce nie pokazywać, ale to jest pisk myszy, a nie krzyk orlicy nad Obidowcem. Może taka jest cena za wiele lat przyjemności, za drugie życie, które ją przy pierwszym życiu trzymało? Ktoś cię musi jebnąć upokorzeniem w twarz. Z taką siłą, że nie masz siły nadstawiać drugiego policzka, bo żuchwa jest zmasakrowana.

Oczywiście, że tych orgazmów nie udawał. Za dobrze im było, za zwierzęco. No i czy facet może w ogóle udać orgazm? Kłamał, to oczywiste. Ale jednak ją to dotknęło. Może nie jest taka dobra w te klocki, jak myśli?

Zapłakana w środku wyciąga telefon, dzwoni do mnie, jak żeśmy się umówili. Ale ja nie mogę odebrać, bo właśnie dobijam się do dziewczyny Jakuba, do Weroniki, żeby z nią skończyć moje drugie, ukryte życie, o którym nikt nie wie. Romans z naziolką, z dziewczyną głównego harnasia Podhala, wszystko w tajemnicy przed wszystkimi. Dość mam już tego rozdwojenia.

Szczególnie, że wszystko pęka. Ona nie jest z kosmosu, ona jest z wrogiej planety. Jest w przyjaźni z ludźmi, którzy są wrogami moich przyjaciół, moimi wrogami. Możemy się różnić i możemy z tym żyć. Ale jak sypiać z kimś, kiedy jesteś po jednej stronie łóżka, ona po drugiej, a między wami ląduje siekiera i deski trzeszczą, pękają?

Można rzucić się na kobietę i nie patrzeć, co i gdzie ma wytatuowane, z Weroniką to naprawdę jest zwierzęce, dzikie, w agreście. Ale jak potem iść do domu, wiedząc, że się sypia z wrogiem?

Walę tak dobre dziesięć minut, aż się na klatce drzwi otwierają, kto tak wali, późno już, daj ludziom spać, bo policję wezwę. Wychodzę w nowotarską noc, niebo rozgwieżdżone, tu Wielki Wóz, tu Wielka Polska, taki nowy gwiazdozbiór, jak się przypatrzeć, Weronika mi raz pokazała. Tu Panna, tu Kurwa, tu Fiut Skończony, jeszcze nowsze gwiazdozbiory. Wyciągam telefon, oddzwaniam do Anki.

– Podjechać po ciebie?

– Nie, już nie trzeba, dzięki. Właśnie złapałam podwózkę – odpowiada Anka. Rozłącza się. Otwiera drzwiczki w samochodzie Zacharów, który właśnie powolutku nadjechał od strony zakopianki. I wie, że tam wcale nie będzie Elki. Wsiada, bierze oddech.

– Łukasz… – zaczyna.

– Nie mów nic. Nie teraz. Nie trzeba – odpowiada Łukasz spokojnym głosem. Jezu, jaki on spokojny. Łagodnie dodaje gazu, wrzuca powoli jedynkę, dwójkę, trójkę i czwórkę. Anka uznaje, że nie będzie już potrzebował ręki do zmieniania biegów, i przytula się do jego ramienia. Łukasz gładzi ją jak kota.

Na niebie świeci jeszcze jeden gwiazdozbiór: Jawnogrzesznica. Anka zasypia na siedząco. Łukasz wjeżdża na zakopiankę.

Jz 8, 43-52

Lato roku dwa tysiące osiemnastego upływa w Rabce pod znakiem globalnego wrzenia. Coś bulgoce, ale wszystko pod pokrywką, nie wiadomo, czy i jak wybuchnie.

Codziennie słychać warkot motorów. To Jakub z Ludźmierza z kumplami przyjeżdża sprawy załatwiać, w wyborach agitować, bo jest kampania samorządowa wyborcza, co zresztą o tyle nie dziwne, że w Polsce non stop jest kampania wyborcza. Jak trzydzieści lat temu zaczęła wychodzić gazeta pod nazwą „Wyborcza”, to wychodzi do dziś, bo cały czas trzeba wybierać. Między Polską polską a Polską europejską. Innego wyboru nie ma. Albo Polska będzie należeć do Niemców z Brukseli, albo do Polaków z Podhala. Najgorsi są zdrajcy, ci, co polskich Polaków udają, takich naszych, swojskich, a chcą wyprzedać naszą ojczyznę za srebrniki. Komu? Pedałom, Unii, satanistom, komunistom, Ruskim, nawet ciapatym, żeby sobie tu drugą Ciapatię zrobili. Była Karpatia, będzie Ciapatia.

Że niemożliwe? A jakbyście sto lat temu zapytali się Palestyńczyków czy innych Arabusów, którzy sobie spokojnie czcili Mahometa na pustyni, świata nie znali i nawet telewizorów nie mieli, czy to możliwe, że im się tam wpierdoli państwo Izrael z milionami Żydów, to co? Uwierzyliby? Tak samo by się w głowę stukali, jak wy się teraz stukacie.

I to jest bardzo dobry przykład. Bo to dowodzi, że wszystkiemu winni są Żydzi. Gdyby się nie wjebali Arabom z butami, to oni by sobie dalej na pustyni siedzieli, w telewizji mecze piłkarskie oglądali, a dla relaksu kopaliby skórzany pęcherz. Ale Żydzi im zaczęli osiedla budować, miasta, wieżowce. Jątrzyć zaczęli. To się Arabusy z tego wszystkiego rzucać zaczęły przez morze na naszą ojczyznę oraz naszych sąsiadów.

Sąsiadów mamy głupich, importują sobie sami uchodźców i niedługo ci uchodźcy im zmienią nazwę Berlin na Abu-Berlin, a Alemania na Allahland. My tacy głupcy nie będziemy, będziemy bronić Polski przed ciapatą zarazą pedalską i komunistyczną. Bo to jest jeden szwadron totalny. Do tego syjoniści, ekolodzy, pedofile, złodzieje, co się naszego nakradli i teraz se żyją jak bogacze. Wszyscy antypolacy. A i w Rabce takich nie brakuje i dość, trzeba postawić tamę ich antypolskiemu szaleństwu.

To wszystko Jakub ludziom tłumaczy. I kumple jego, bo każdy kogoś innego zna przecież na Rabce, a od znajomego łatwiej prawdę przyjąć niż z internetu, gdzie tyle fejk niusów. Krzysiek z Obidowej, Sylwek ze Skawy, Sandra z Klikuszowej – też kumpel, chociaż dziewczyna, ale na motorze śmiga jak osa wściekła, a w kasku nie zobaczysz, kto to, jak blond kitkę gumką zepnie – i Buras z Czarnego Dunajca.

A ludzie słuchają, idą do domu przemyśleć, jak znów spotkają tamtych, to sobie podyskutują, dowiedzą się nowych prawd. Powietrze złe w Rabce? A za komuny to było lepsze? Piece takie same były i wszystkie dzieci tu przyjeżdżały się leczyć, i zdrowiały, rumiane i pyzate wyjeżdżały, i szczęśliwe. A ponoć teraz taki smog, żeby z Polski uciekać. To co to niby jest? Propaganda, żeby zniszczyć nasze górnictwo węglowe, a maszyny żeby niemieckie spółki odkupiły za bezcen. Propaganda, żeby ludzi

wystraszyć, a jak pouciekają, to Niemcy kogo nam tu sprowadzą i co zrobią? No? Ciapatych sprowadzą i Ciapatię urządzą.

I ludzie niosą już te prawdy w sobie do parku, pod sklep, do internetu. Żony się tym z mężami dzielą, co na Rabce usłyszały. Chłopaki piszą w internecie, że biała siła i śmierć wrogom ojczyzny, i dostają lajki, że fajnie napisali, oraz buźki wrrr, że śmierć wrogom. Bo ojczyzny trzeba bronić.

Przed kim? Skoro nie ma na razie hord barbarzyńskich, to przed pedalstwem. Bo pedalstwo już jest. Taki Darek, informatyk, co się umie ustawić, przygruchał sobie Adasia, co w sklepie pracuje. A jak zacznie młodszych chłopców uwodzić? Z młodych, pięknych górali gejów niemieckich zrobi?

Z gejostwem jest jak dawniej z wampirstwem. Jak cię wampir napadnie w nocy i zęby ci w szyję wbije, to ty też stajesz się wampirem. Takie bajania ludowe, ale może w tym jakieś przeczucie nowoczesnej zarazy było. Bo jak gej chłopca młodego, niewinnego napadnie i go zdybie, to go już gejostwem naznaczy i pedał z niego będzie.

Dlatego zarazę tępić trzeba. Więc Adaś to niech lepiej na sklepie towarów ludziom nie podaje, bo nie wiadomo, co tymi rękami robił. Na zaplecze go i niech w rękawiczkach pracuje.

A właściwie można by go zrewidować, czy strzykawek zakażonych HIV-em nie chowa gdzieś w kieszeniach. I proszę tylko nie mówić, że to jest pobicie, to zwyczajna rewizja w trosce o społeczeństwo miejscowości. Ktoś to musi wziąć na siebie.

Zresztą Adaś mądry jest. Już się nauczył, że jak widzi inspektorów, to musi wyjąć, co ma w kieszeniach, pokazać, i się bez żadnej szarpaniny obchodzi. Ostatnio nawet bardzo sprawnie, bo po kilku konfiskatach mienia oduczył się upychania do kieszeni wszystkiego poza chusteczką do nosa. W tym zresztą może być ukryta zaraza, więc może mu się tego też zakaże, zobaczymy.

Za ciapatych trzeba się będzie wziąć na wiosnę. Bo teraz jest umowa z Władysławem, że kelnerka z ciemną skórą pracuje jeszcze do końca

sezonu. Nie można Władysława, dobrego Polaka, białego, pobożnego, z kłopotem w środku lata zostawić. Ale potem się zrobi z Maryśką porządek, bo coś się zaczęła tu rządzić jak u siebie. A choćby tysiąc lat minął, dwa tysiące, to ona tu nie będzie u siebie, przybłęda z krainy kozojebców. Więc niech zna swoje miejsce, a jak nie zna, to się jej przypomni.

A ten jej bachor, bękart ciapaty. Z nim się zobaczy, co za jeden. Na razie otrzymał wyraźne pouczenie o jeździe busem w Rabce. Bo u nas jest tak, że jak starsza kobieta wsiada do zatłoczonego busa, a wszystkie miejsca są zajęte, to się natychmiast młody człowiek podnosi i miejsca jej ustępuje. A jak wsiada młoda dziewczyna albo nawet młody mężczyzna, a chłopak jest czarnuchem i brudasem, to też ma obowiązek wstać. Nawet jeśli jest jeszcze dużo miejsc siedzących, to też niech wstaje, a nie brudzi brudną dupą siedzenia dla białych.

Lech, niby takie polskie imię, więc tym bardziej to pachnie zdradą. Niby do szkoły chodzi z naszymi dziećmi, ale to już nie dzieciuch. Raz pod kościołem demolował budki drewniane i ludziom zagrażał. Jak będzie nadal zagrażał, to pożałuje.

A ta cała Maria nie mogłaby też więcej na zapleczu pracować Pod Kasztanami, nie na widoku? Piwo w rękawiczkach podawać foliowych, bo ona może mieć odmienną florę bakteryjną? No i o jej dobro chodzi: jak tak bez rękawiczek chodzi, oddycha tak śmiało naszym, polskim powietrzem, to może jeszcze jakiegoś wirusa złapać, którego jej system immunologiczny nie toleruje. Więc może nawet z tą szmatą twarz zakrywającą to nie jest głupie. Przynajmniej mordy na Rabce nie cieszy.

To tak słuszna obserwacja jest, że nawet paru chłopaków ją podchwytuje. I nie jest lekko pójść do kobiety starszej, do matki ich kolegi podejść i jej to w oczy powiedzieć, ale w końcu jak się walczy za ojczyznę, to nie zawsze jest miło i przyjemnie. Więc podchodzą do niej czasem w kilku, jak do pracy idzie, z pracy wraca, do sklepu idzie na zakupy. Ej, nie ciesz tak tej mordy, bo zarazki rozsiewasz. Nie kichaj tu, kurwa, amebami. Chleba nie tykaj, zarazo!

To ostatnie to w sklepie spożywczym na stoisku z pieczywem. Bo jak to tak, że osoba, która ma obcą florę, dotyka ręką polskiego chleba i polskie rodziny na kontakt ze śmiertelnymi zarazkami naraża? Musisz sprawdzać, czy świeży? Na pustyni byś podpłomyki żarła z kamienia.

Ta banda jest dużo większa. Józek cieśla zdolny, ładne kuchnie robi, jakość wysoka. Sto razy lepsze niż te z muzułmańskiej republiki szwedzkiej, które warszawiaki kupują na potęgę w soboty, a chcieliby w niedzielę, ale w niedzielę Polak nie będzie zapieprzał na zysk zachodnich korporacji, tylko do kościoła pójdzie, grilla i wódkę na stacji benzynowej kupi i z rodziną, polską rodziną, za miasto pojedzie.

No więc co do Józka. Można przecież zamawiać te kuchnie u niego dalej i stolarkę okienną poprawiać, wszystkie prace mu zlecać. Ale może są inni, bardziej polscy cieśle w Rabce i okolicach? Tacy, co z bandą dewiantów i kolorowych nie trzymają? Kurwa w tej bandzie jest taka jeszcze, co uwodziła wielu chłopców, rodziny rozbijała, tragedie powodowała i rozpacze, a wszystko dla swojej uciechy. Bo u nich wszystko jest: ja, ja, ja! A nie my, jak u nas. My Polacy, katolicy, Rabczanie.

I dość tego gadania, że mężczyzna jest winien. Że mógł się nie angażować, nie dać uwieść, nie pozwolić sprowadzić na złą drogę. Chuja mógł! Mężczyzna nie jest winien, że go Pan Bóg na chuć uczynił wrażliwym. Nie Adam był w raju winien, tylko Ewa, co go skusiła. Nie skusiłaby, to by się nic złego nie stało. I tak się to dziś na świecie dzieje, tylko Ewa niejedno ma imię, diabelskie nasienie.

Pantofle od starego Zachary świetne. Ale niech to cepry warszawiaki kupują, im obojętne, czy z zarazkami, czy bez, oni sami w tej Warszawie zarażeni tęczową zarazą. Prawdziwy góral niech lepiej prawdziwych pantofli szuka od prawdziwego Polaka.

Chodzę po Rabce, słucham i jak mi Bóg miły, tak ludzie gadają, tak szemrzą. Tak się przechwalają, jak ojczyzny bronią. Dzieciaki z podstawówki samochód Elce Zacharowej obsikały, jak pojechała do pani radnej takiej jednej paznokcie jej pomalować na sesję. Swoją drogą, że też się radna nie boi, że plugastwo jakieś złapie, tak mówią. A Łukaszowi się

jeszcze bardziej dziwią. Cała Rabka wie, co Anka latami wyprawiała, jakoś się wieść ostatnio rozniosła. No i co ten Łukasz? Taki miłosierny, wybaczający? A może to pedał i mu wygodnie było, że się żona z połową Podhala puszcza? Na pewno pedał.

Słucham i się nie dziwię. Bo jak ludzie zaczynają gadać, to potem to gadanie się rozpędza jak kula śnieżna. Trzy kule z bałwana i lawina gotowa. Tylko ktoś to musi popchnąć. Ale taki się zawsze znajdzie – czy to w Rabce, czy w Polsce, czy w Ameryce.

Siedzę raz w warsztacie Andrzeja w kanale, robię rozrząd, a tu do warsztatu ktoś przychodzi. Jakub. Rękę Andrzejowi ściska, mocno, po góralsku, Andrzej też mocno odściskuje, żeby nie było, że taką pedalską zimną rybę podaje jak jakiś warszawiak dyrektor. Gadają, Jakub by miał auto do przeglądu, by je przywiózł po niedzieli, ale żeby mu żadne pedały w jego aucie nie gmerały, bo kto to wie, w czym pedały gmerają. No każdy wie, he, he.

– Wiesz co, Jakub – mówi Andrzej spokojnie, z namysłem, każde słowo waży tyle co klucz francuski. – Ty masz swoją wojnę o Polskę, a ja mam swój warsztat. Ja się nikomu w jego wojnę nie wcinam, to i niech mi się do warsztatu nikt nie miesza, jak sobie pracę organizuję i kogo zatrudniam. Samych najlepszych mechaników. I auto będziesz miał tip-top zrobione.

– Wiesz co, Andrzej – odpowiada Jakub, podnosząc się ciężko, jakby w zbroi jakiejś siedział rycerskiej, oryginał, nie imitacja. – Dobrześ powiedział, że ja mam swoją wojnę o Polskę. Ta wojna się już zaczęła i nie można być trochę po jednej, trochę po drugiej stronie.

– To twoja wojna. Ja tam nie jestem na żadnej wojnie. Warsztat samochodowy prowadzę – odpowiada Andrzej.

A Jakub już wychodzi, ale jeszcze się odwraca od drzwi i mówi:

– A ten warsztat to już chyba bardziej niemiecki. Cały sprzęt za euro w Niemczech kupiony, import aut używanych Niemcom kabzy nabija. To ja se poszukam polskiego warsztatu. Z Bogiem, Andrzej, z Bogiem.

Jz 8, 53-57

Lato z ptakami odchodzi. Zbierają się nad świerkami w rabczańskim parku, przysiadają i odlatują grupami. Już ciemno, więc trudno powiedzieć, jaki gatunek, ale wygląda to jak scena z Hitchcocka.

Ptaki mają jakoś łatwiej. Bocian na przykład nie musi być prawdziwym Polakiem ani prawdziwym Egipcjaninem. Przelatuje z domu do domu i już. Wiąże się z samicą, zapładnia, ona znosi jajka, wychowują młode. A potem wszyscy wylatują z gniazda. Rodzice też. I za rok wiążą się z nowymi partnerami.

Może to byłby lepszy model dla Anki, zastanawia się Łukasz, kiedy siedzą we dwoje na ławce we wrześniowy wieczór. Ale dla niego nie. Dla niego liczy się rodzina – w imię Ojca i Matki. Razem wychowali córkę, tylko czy Magdalena nie wdała się za bardzo w matkę? A teraz razem będą żyć, kochać się dojrzałą miłością, obchodzić święta rodzinne, kościelne i narodowe, kolejne rocznice ślubu, imieniny Magdy, a jak da im wnuki, to będą je zabierać na sobotę, Anka im zrobi tor przeszkód, Łukasz poczyta książeczkę, pójdą razem do kościoła. Wszystko jest ułożone. I wszystko, co nadto, od złego pochodzi, a złem się nie będziemy zajmować.

– Przepraszam cię. – Anka chce się pokajać. Nie pierwszy raz. I nie pierwszy raz Łukasz kładzie jej palec na ustach, nie trzeba, Ania, nie trzeba. Nic nie mów.

– Żałuję… – Tym razem Anka bardzo chce mówić. Zdjąć sobie ciężar win z serca, bo czuje się oczyszczona jak po detoksie warzywnym, ale na sercu jej leży taki ciężar, jakby miała kardiomiopatię.

– Wiem. Inaczej byśmy tu nie siedzieli, ty i ja – przerywa jej Łukasz.

– Ale o nic nie chcesz spytać? – Anka chce mówić tak bardzo, że nawet Łukasz jej nie może zatrzymać. – Nie chcesz wiedzieć, jaką byłam dziwką? I jak bardzo tego żałuję? I jak cię kocham? I jak…

Anka zaczyna płakać. To dobrze, to jeszcze lepszy detoks niż warzywny.

– Nie, Aniu. Nic nie chcę wiedzieć – odpowiada Łukasz. – I tak wiem wszystko. A jeśli czegoś nie wiem, to nie chcę więcej. Myślisz, że ja przypadkiem się wtedy w Ludźmierzu znalazłem? Ja po ciebie przyjechałem, Aniu.

Siedzą, słuchają ptaków. Łukasz przytula Ankę, ale jej ciągle nie daje spokoju, dlaczego mąż nie chce jej rozliczyć ze zdrad, z podwójnego życia, dlaczego rachunku krzywd nie wystawia, chociaż miałby prawo przecież. Mógłby zażądać rozwodu, podziału, opieki, no nie, opieki to już nie, bo Magda pełnoletnia. A nie chce nawet jej pokajania, żeby mu stopy umyła, laskę zrobiła albo inaczej zadośćuczyniła.

– Dlaczego mnie za włosy nie wyszarpiesz? – pyta Łukasza ze złością. Sama by się wyszarpała, pokutę sobie wyznaczyła i na potępienie skazała. No to dlaczego Łukasz jej nie potępia? Tylko tak milczy, milczy.

– Dzień dobry, ciociu, dzień dobry, wujku – odzywa się głos za nimi. Z ciemności w alejce bezszelestnie wychodzi Lech z wielkim plecakiem. – Właśnie z gór wracam, pół czerwonego szlaku żeśmy przeszli. Magda jest w Rabce?

– Tak, tak. Fajnie, że jesteś, Lechu. Zmęczony pewnie, jutro opowiesz. Wpadnij, Magda pytała o ciebie, kiedy wracasz, bo zasięgu chyba w górach nie miałeś, tak?

– Tak, telefon mi padł. Ale to dobrze, było bardziej dziko, jak za waszych czasów – uśmiecha się Lech. I robi pauzę. I Anka czuje, że to pauza. I czeka, co ten dzieciak powie, chociaż to dzieciak przecież.

I Lech mówi.

– A co do tego, co ciocia pytała, to jest takie powiedzenie: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni". Ludzie to zawsze biorą do siebie jako taką naukę, żeby nie sądzić innych. Jeżeli w ogóle chcą wziąć to do siebie, bo na ogół wolą sądzić. Więc jeśli już się zastanawiają, to nad tym, czy mają sądzić, czy nie. Ale potem przychodzi na człowieka taki dzień, że może sprawiedliwie byłoby, żeby był osądzony. I żeby usłyszał wyrok. I większość ludzi jest wtedy osądzona i słyszy wyrok. Odejdź, zniknij, alimenty tylko przesyłaj.

– Ale… – Anka chce coś powiedzieć, Lechu ucisza ją gestem ręki. Chociaż to dzieciak przecież, ale już ma prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, wyrósł.

– Są jednak tacy ludzie, którzy wtedy nie są sądzeni i skazywani. Tacy ludzie, którzy wcześniej innych nie sądzili. Nie osądzali, jaką kto ma fryzurę, jakie ubranie. W co wierzy, w co nie wierzy. Co robi i z kim w łóżku. Co myśli i czy to zgodne, czy niezgodne. Są ludzie, którzy mieli na to wszystko luza – kończy Lechu i się uśmiecha, jakby nie był siedemnastolatkiem, tylko dorosłym kaznodzieją telewizyjnym z Ameryki. – Ty, ciociu, jesteś mistrzynią luza. Nikogo w życiu nie sądziłaś. I tak Bóg zdecydował, że wujek cię teraz sądzić nie będzie.

– Lechu… – Anka nie wie, co powiedzieć.

A Lechu już znika na ścieżce. Jeszcze tylko pod nosem sobie rapuje:

– *Jakby człowiek był taki/ Swobodny jak ptaki,/ To nawet jakby zbłądził,/ Nikt by go nie sądził/I sam by znalazł drogę,/ Żeby znów być z Bogiem*.

Ale się jakoś krzywi. Muszę to dopracować, myśli, bo tam do tego „z Bogiem” to się rymuje takie „drogie” po warszawsku. Ja do Warszawy nic nie mam, ale coś w tym rymie zgrzyta.

Jz 8, 58-66

Jesień przynosi znaczące zmiany na rabczańskim rynku pracy. Adaś trafia do Kobierzyna, to szpital psychiatryczny w Krakowie. Warszawiaków wysyłają do Tworek, jak wariują, a całą Małopolskę do Kobierzyna. Placówek jest w kraju więcej, ale te dwie są ikoniczne. Jedna dla jednej Polski, druga dla drugiej.

No bał się, cały czas się bał, dygotał, sikał ze strachu, cały był posrany, pedał jeden. Nawet do pracy na zapleczu w ciemnej dupie bez światła się już nie nadawał. I co? Ulga w Rabce?

Nie. Na gorszą zarazę przyszło. No, może nie wiadomo, czy gorszą, ale inną. Sklep zatrudnił dwóch Ukraińców. Dwóch, bo na dwóch dostają tyle, co Adasia pensja, i jeszcze po rękach kierowniczkę całują, do roboty się wyrywają. Bez honoru tacy. Polszczyznę kaleczą, a polszczyzny kaleczyć nie wolno, do kurwy nędzy, świętości, kurwa, kalać!

Czystość trzeba zachować. Czystość etniczną szczególnie. Tak mówią ludzie na Rabce i nikt na sklepie nie napisze wprawdzie „Jude raus" – to takie uniwersalne hasło o czystości, a nie wiadomo, jak by się do Ukraińców miało pisać – ale można zakupy w innym sklepie robić. Czystym. Bez zarazków i bez tej nienawiści, którą zieją. Bo Ukraińcy zawsze ziali i wyrzynali, riezali panów Polaków, to co, teraz im się odmieniło? Najedzie ich tu milion, drugi milion i znów nas riezať będą. Rabka wie, a co bardziej świadomi już myślą, co z tym zrobić, jak temu zapobiec. O Polskę walczą, choć bez aplauzu Warszawy. Coś się Warszawa znów prosi o zburzenie rękami barbarzyńców niemieckich, żydowskich, ukraińskich i pedalskich. I o bombami arabskimi wysadzenie. A wtedy zostanie w Polsce tylko Rabka. Nie jedna, ale same małe miejscowości, jak mówią w swoim slangu socjologowie pojebani ze stolicy. Rabka, Grudziądz, Małkinia i Słupsk.

Dobrze, że ta ciapata już Pod Kasztanami nie obsługuje. Dla Rabki Maryśka nagle, w kilka tygodni się to przesądziło, przestała być lokalną egzotyką, a stała się wrogiem. Z miejscowego kolorytu zmieniła się w kolorową, obcą.

Pracuje teraz z Józkiem, który od dawna miał kogoś wziąć do pomocy w sprawach formalnych, ale nie mógł znaleźć nikogo rozgarniętego. Wszyscy mądrzejsi w Irlandii siedzą, jeszcze mądrzejsi w Stanach azbest zdzierają, co go ich ojcowie w blokach kładli. A zostali sami głupsi albo igreki. Głupsi nic nie skumają, jak rozliczać, jak fakturować, jak zamawiać elementy i jak montaże ustawiać. A igreki skumają, ale jutro im się nie będzie chciało, to nad Poniczankę pójdą w sezonie letnim, chociaż tam już na dobre budowa bulwarów trwa, dostęp odcięty. Ale dla igreka nie ma barier, zawsze znajdzie dziurę w płocie.

– Maryśka, może byś mi mogła trochę pomóc? Rozliczenia porobić, zamówienia, ogarniesz to przecież. Może akwizycję też, bo trochę mi zamówienia siadły – zagaduje Józek do żony przy kolacji. Maryśka humus robi, jakby jej się na bunt zebrało, bunt kulinarny w swojej kuchni, na małą skalę, ale jednak.

– Skoro mnie potrzebujesz, Józek – odpowiada ciepło.

– Potrzebuję cię bardzo. Tylko ciebie. – Józek patrzy jej prosto w oczy.

– To dobrze. Nie da się cały czas ciągnąć życia na dwóch etatach – mówi Maryśka. I tak mu w oczy patrzy, ale bez osądu, z miłością. – A widzę, jak ciężko pracujesz, Józek.

– To do roboty! Na początek trzeba dodrukować ulotek trochę, podskocz rano do Dzyndzla do drukarni i weź pięćset, jest korzystnie w pakiecie. Tu na pendrivie masz plik.

– Który?

– Tam jest tylko jeden. Józef Papierz stolarka okienna i kuchenna. Dzyndzel, chłopak młody, to kiedyś zaprojektował, powinien mieć plik u siebie. A potem trzeba się z tym karnąć po kolei do Skawy, do Naprawy i do Jordanowa. Ulotki trzeba porozklejać na przystankach, na tablicy przed kościołem, gdzie tylko ludzie chodzą i patrzą. Czuję, że się znów telefon będzie urywał i będziesz na pomiary jeździć – cieszy się Józek, przez co pokazuje, że tkwi wciąż w świecie dogmatów liberalizmu, zgodnie z którymi skuteczny marketing zwiększa popyt i pobudza rynek. A nie lepiej byłoby się pomodlić do Boga o powodzenie biznesu? Poświęcić stolarnię? Kamień węgielny nowej Polski, polskiej Polski, położyć?

Maryśka idzie na Rabkę drukować ulotki.

– Hej! Nie opieraj mi się tu, kobieto, bo arkusze pobrudzisz – mówi Dzyndzel. I nie wiadomo, czy o śnieżną białość papieru przygotowanego do druku mu chodzi, czy o ciemne ręce Maryśki.

Podjeżdża na stację benzynową auto zatankować, pracownik do niej idzie pomóc w tankowaniu, bo to mają w polityce korporacyjnej, przyjaźń dla klienta, ale kiedy Maryśka odkręca korek, drugi samochód podjeżdża

obok, różowy, pańcia jakaś wysiada, rejestracja miejscowa, ale pańcia jak z telewizji, import z Warszawy przez nadajnik na Luboniu, i się kierownik z budynku stacji wychyla:

– Kulson, pomóżże pani w różowym z tankowaniem! Swoim trzeba pierwej pomagać, jak sobie nie radzą.

To też jest takie dwuznaczne. Czy ważniejsze, że „swoim", a Maryśka „obca", czy że sobie „nie radzą", a Maryśka góralka przecież, chociaż napływowa, ale halnym nieraz osmagana.

A potem Maryśka rusza na swoją prywatną drogę krzyżową, chociaż jeszcze nie wie, jakie będą stacje i gdzie. W Skawie i Naprawie pusto, psy tylko szczekają po góralsku, a po góralsku to jest dupą szczekanie. Wszyscy poszli w pole albo pojechali busem do roboty w Rabce, w Myślenicach, w Krakowie, w Stanach, chociaż to już samolotem. Kiedy po południu dociera do Jordanowa, zaczyna się golgota. Rozwiesza ulotki stolarki okiennej i kuchennej Józefa Papierza przed kościołem, przed urzędem gminy Jordanów, na przystanku autobusów do lepszego świata, na płocie drewnianym bezpańskim jak pies. I jej dają popalić. Co to, żebrać przyszłaś, Cyganicho? Nie dotykaj się tu, tu Polacy ogłoszenia wieszają, a nie brudasy! Przystanek jest dla Polaków, nie wpierdalaj się pod daszek! Won mi stąd, ścierwo. Dziękuj, że cię psami nikt nie poszczuł. Takim jak ty powinno się łeb o krawężnik rozwalić i do gazu!

Szramy Maryśce na twarzy płoną, piec ją zaczynają. Łza jej leci po policzku, od gorącego syczy i paruje. Chciałaby się zapaść pod ziemię. Chciałaby się zakryć hidżabem, ale to by jeszcze gorzej było. Chciałaby zniknąć, najlepiej gdyby ją żywcem do nieba zabrali.

I wtedy zza narożnika domu słychać dźwięki. Jakby ktoś ustami naśladował Doorsów z *Riders On The Storm* z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Maryśka coś przeczuwa, bo wie, że to się nazywa beatbox, i za chwilę wyłania się Lechu w szerokich spodniach, koszulce z napisem „Jezus jest ziomal", bejsbolówce na głowie i z plecakiem szkolnym na ramieniu. Idzie, jakby miał chorobę Świętego Wita, tańczy w obłokach, trzydzieści centymetrów ponad chodnikiem.

– Matka, co ty, płaczesz? Mamuśka, co się stało? – Lechu pochyla się nad Maryśką, kawał chłopa. Ale zanim Maryśka zdąży się odezwać, z ławki przy rynku podnosi się chłopak, szerokie spodnie, T-shirt z telewizji, czapka daszkiem do tyłu, kopia Lecha.

– Hej, Lechu! Co tu robisz?

– Siema, Setnik. Ty zawsze na rynku, taką masz kwaterę?

– Nie, ale z domu wypierdalam…

– Setnik!

– A przepraszam, pani Papierz. Nie spostrzegłem się. – Chłopak kłania się Maryśce i ona teraz go rozpoznaje. Kolega Lecha ze szkoły, w gimnazjum razem byli. Zawsze na niego Setnik mówili, nawet nie wie, jak ma na imię. Jak Lechu dał sobie spokój z piłką, to zaczęli we dwóch te swoje nagrywki robić, wpadał do nich czasem do domu, miły, herbatę im parę razy zrobiła, to szklankę po sobie umył, taki odmieniec na Podhalu. Teraz też chce zażartować, do czapki dwa palce przystawia, ale daszek z tyłu przecież, więc czapkę odwraca, komedię odgrywa, salutuje prawidłowo, a Maryśka się śmieje.

– Więc mówiłem, pani Papierz, że nie siedzę aktualnie w domu, ponieważ trwa remont. I straszny jest łomot i kurz. Dusza mnie boli od tego hałasu.

– O, szkoda – frasuje się Lechu. – Myślałem, że wpadnę do ciebie i coś nagramy na kompie.

– Mam taki syf w chałupie, że nie byłoby godnie zapraszać kogokolwiek – odpowiada Setnik. – Ale nagraj mi tu parę słów do telefonu, a dusza mi wyzdrowieje. A potem możemy posiedzieć tutaj, chociaż się chłodno trochę robi.

I podstawia Lechowi pod usta telefon z włączonym nagrywaniem. A Lechu rapuje prosto z głowy, prosto do matki swej:

– *I kto uleczy dziś twoją duszę?/ Na pewno nie żadni faryzeusze./ Mała nawijka Setnika i Lecha/ I już się morda szczerze uśmiecha*.

No i Maryśka uśmiecha się. Udał jej się ten syn, boski jest. Może karierę zrobi?

– Ale co ty tu, mama, robisz?

– Ojcu pomagam w pracy. Nie będzie dziś zadowolony, miałam porozwieszać wszędzie nasze ulotki, ale w Jordanowie, chociaż tu rynek najlepszy, wszędzie mnie przeganiali. – Maryśka wzrusza ramionami w geście rezygnacji.

– A przepraszam, pan Papierz to cieślą jest, zdaje się? I kuchnie robi, tak? – pyta Setnik.

– Tak, od ćwierć wieku te kuchnie robi, w Harkabuzie w co drugim domu kuchnia to jego dzieło – chwali się mężem Maryśka.

– To by się świetnie składało, bo ojciec mówił, że trzeba będzie kogoś zaufanego znaleźć, żeby po remoncie meble porobił. Spadek starzy odziedziczyli i chcą odpicować chałupę po warszawsku. To ja bym pana Papierza polecił. Pójdziemy zobaczyć, może od razu jakiś pomiar wstępny, żeby pan Papierz mógł projekt przygotować. Ja się trochę na tym znam, bo na politechnikę idę, coś pomogę. – I Setnik zaprasza gestem, żeby z nim iść. Bo godność godnością, a twarde realia kapitalizmu to druga rzecz.

Jz 8, 67-79

Najgorszy sylwester świata dla każdego znaczy co innego. Jedni ci powiedzą, że bez wódki jest najgorszy. Jest chyba tak zły, że nikt takiego nie organizuje. Są podobno w Warszawie wesela bezalkoholowe, a bezalkoholowych sylwestrów jakoś nie ma.

Najgorszy sylwester to może być taki, jak Jędrek idzie na zabawę do wypasionej knajpy w Nowym Targu z Pauliną, żoną swoją, a przychodzi tam też Jakub z Weroniką, dziewczyną oficjalną. A potem Jędrek mimo mrozu całuje się w samochodzie z Weroniką, przez co Paulina ma doła, bo ciągle nie nawykła do ekscesów męża. A Jakub się zamienia we wściekłego

byka, bo jemu się w głowie nie mieści, że ma dziewczynę nimfomankę jakąś, co to z każdym musi. A jeszcze bardziej mu się to w pale nie mieści, że go to kręci, nakręca, że bez tego to mu nie staje, nawet mu viagra nie pomoże, bo viagra to jest dobra dla warszawiaków, a góral potrzebuje prawdziwych emocji, z trzewi, z lędźwi, z moszny, nie medykamentów. Jakub tu ma swój kociołek mocy, ale to przecież niemożliwe. Bo możliwe jest to, co po bożemu, chłopak i dziewczyna, normalna rodzina, jak widział niedawno na Facebooku. A takie treści, że laska się z drugimi parzy i to cię nakręca, to Facebook cenzuruje, co i tak w przypadku Jakuba nie jest konieczne, bo on sobie to w głowie cenzuruje jeszcze bardziej. To niezgodne z Biblią, w której Jakub wyczytał, aby czynił kobietę sobie poddaną. A nie żeby się po knajpach lizała z innymi na jego oczach. Co przecież go kręci i ma mętlik.

Więc Jakuba zaczyna nosić, by wszystko chciał porozpirzać, ale nie może, bo rzyga od nadmiaru wódki i dopalaczy. A kiedy ma już czysty żołądek, to z czystym sumieniem idzie rozwalić łeb Jędrkowi, co to się tylko tak mówi, ale przecież nikt nikogo nie chce zabijać, to tylko takie krwawe pieszczoty po pijaku, a górale do krwi nawykli, nie jak warszawiaki z telewizora. Jakub potem Weronikę zerżnie brutalnie, żeby oznaczyć teren, a Weronika będzie sobie wyobrażała, że to ten Jędrek ją bierze. A Jędrek zrobi Paulinie kolejne dziecko, piąte lub siódme, trudno się już doliczyć.

Najgorszy sylwester to mamy jednak my: Maryśka i Józek, i Anka, i Łukasz, i stary Zachara, i Elka Zacharowa. I ja. Siedzimy u Zacharów, bo na miasto nie wyjdziemy. Na Maryśkę bluzgają już otwarcie, plują. Ty możesz tu z nami żyć, bo my górale jesteśmy, gościnni, serdeczni, zwłaszcza po wódce, ale przestań się afiszować.

A Maryśka ciągle się afiszuje. W sklepie, w kościele, na ulicy, w liceum na wywiadówkach się afiszuje. Autem się wozi po ulicach miasta, biznesy robi w okolicznych miejscowościach: Skawa, Naprawa, Jordanów. Jakby się spróbowała w sylwestra afiszować, do Zdrojowej przyjść albo Siwego, toby

już była przeginka, toby było plucie Polakom w twarz. A Polacy chcą się dobrze bawić, z Bogiem, jak w Nowym Targu na przykład.

Więc siedzimy jak u tego Stuhra przed laty, w brydża gramy, jak kiedyś. Ale nie idzie, za dużo ludzi do brydża i za duża porażka. To tak jak w polskiej lidze piłkarskiej – czasami zdarza się tak słaba kolejka, że wszystkie drużyny przegrywają. To matematycznie niemożliwe, a jednak – wszystkie drużyny przegrywają ze wszystkimi, żadna nie schodzi z boiska ze zwycięstwem, z tarczą, z pieśnią. Dziś też wszyscy przegrywamy swoje rozdania, Lechu z Jaśkiem mówią na to „jesteś przegrywem". Ale ich dzisiaj nie ma, pojechali na sylwestra do Krakowa, jakieś koleżanki Magdy coś urządzają, a oni ostatnio nierozłączni, zwłaszcza Lech i Magdalena. Bo tak każe do siebie mówić, podkreślając, że wyrosła. Z czego? Z piaskownicy na placu zabaw w parku zdrojowym? A może z Rabki już wyrosła, krakuska, warszawianka po trosze?

Elka rozdaje karty, bierze swoje, nawet nie układa. Patrzy, krzywi się: ale chujnia. Spogląda po wszystkich i nagle jakby jej ktoś prąd podłączył:

– W imię Ojca i Syna, zaraz cosik będzie się działo.

Dawno tego nie słyszałem. Ale zanim zdążę zanurzyć się w nostalgiach, jak czas płynie, jak wiatr wieje, jak rzeka szumi, Elka rzuca karty na stół.

– Szlem bez atu, nie ma sensu grać. Taka karta, że to chyba jakiś znak musi być. Idziemy!

– Dokąd?

– A czy musi od razu być dokądś? Liczy się droga – rzuca Anka, jakby coś paliła, a nie pali. Nie musi, ona ma tak naturalnie przecież. Podnosi się gotowa do wyjścia mentalnie.

– Idziemy na bulwary.

– Niezły pomysł, tylko zimno trochę – oponuje Józek.

– Co zimno, góral jesteś czy nie? Watrę rozpalimy! Nie, nie krzesiwem, tylko grilla się wyciągnie z garażu, Zachara, ruszże się – komenderuje Elka. Nawet się nie pyta, o aprobatę męża nie prosi, tylko zarządza, co się będzie działo. Rzeka szumi, wiatr wieje, czas płynie, a relacje między ludźmi się

zmieniają. A może to stary Zachara stwierdził, że już nic nie musi, rządzić i pokazywać swojej wartości też? Może już tę wartość poznał i styknie? A może już stary jest, naprawdę stary, w wiek emerytalny wchodzi?

– Sylwester na budowie? – Maryśka lekko unosi brwi ze zdziwienia. – Bym hidżab narzuciła na puchówkę, jakbym wiedziała.

– Idziemy – zarządza stary Zachara. A jednak zarządza, a jednak niestary. – Idziemy, bo jak będziemy tu siedzieć jak szczury, to przyjdą i nas wykurzą, trutki i pułapki poustawiają i dopadną nas. Ciebie, Maryśka, pierwszą. Trzeba skurwysynom pokazać, że się ich nie boimy.

– Ja się ich trochę boję – przyznaje Maryśka, a szramy na twarzy jej leciutko pulsują. – Jak słyszę motor za sobą, to mam ciarki. Jakby to szatani jechali w inscenizacji u Warlikowskiego.

– U kogo? – dziwi się Elka.

– Warlikowski, taki reżyser. Byliśmy raz na spektaklu w Warszawie, wtedy co wy nie mogliście – odpowiada Anka. Ale stary Zachara podnosi rękę, jak Mojżesz w tym geście wygląda. Na znak, że wracamy do wątku głównego.

– Maryśka, ja cię rozumiem. – Stary Zachara znów mówi zdanie, jakiego dwadzieścia lat temu by nie wypowiedział. Więc jednak zmieniony. – Ja się też boję Jakuba, to szatan jest w czarnej skórze. W kurtce skórzanej czarnej, żeby było jasne. Zły człowiek. Ale źli ludzie byli, są i będą. Nie wiem, czy to zasługa szatana, czy jakiś błąd ewolucyjny w genotypie, ale tak jest: źli ludzie są na ziemi. Jak z nimi walczyć, nie wiem.

– To o czym mówisz? Komu chcesz pokazywać, że się nie boisz, skoro się boisz? – dopytuje Łukasz, bo się zaczyna trochę gubić, a on jako inżynier wolałby tak–tak, nie–nie, a wszystko co nadto to skrócić w liczniku i mianowniku. – O co chodzi?

– O tych zwykłych ludzi chodzi. Tych, co pójdą na mszę na Rdzawkę, na odpust w Ludźmierzu, na targ w rynku, pracują od świtu do popołudnia, idą do domu, żony podają mężom kolację, mężowie otwierają se piwo, jedno, góra dwa, a wieczorem oglądają rodzinnie razem seriale na TVP.

– Jasiek mi mówił, że teraz się seriali nie ogląda w telewizji, tylko na telefonie, wiedzieliście? – wtrąca Elka. Ale stary Zachara ucisza ją znów gestem Mojżesza.

– Chodzi mi o ludzi, których życie płynie nie jak Poniczanka pełna kamieni, wykrotów, wodospadów, tylko jak Wisła leniwa, nieruchawa. Siedzą, nic się nie dzieje. A jak wstaną, idą, zrobią, to też się nic nie dzieje. Świata nie zmieniają, tylko sobie żyją. Do parku pójdą na spacer i wrócą. I nic się nie wydarzy, chyba że wiewiórka im drogę przebiegnie. Widziałem w internecie, bo ja w internecie nie klikam, tylko czytam, takie dobre określenie: ludzie dnia codziennego.

– Straszni mieszczanie – wtrącam Tuwima.

– Wiesz, Staszek, możesz ludziom mówić, że są straszni, a oni są zwykli. Są jak słoiki, którym przez pomyłkę wydrukowano puste etykiety. Są bez właściwości – ciągnie stary Zachara. – I oni mogą być straszni. Kiedy ktoś naprawdę straszny im powie: pedały do gazu, ciapatym łby rozbijać o krawężniki, jebać warszawiaków, oni wtedy pójdą pluć na Maryśkę, krzyczeć na ulicy za Adamem i rysować warszawiakom gwoździem po lakierze, niech wypierdalają.

– Kazanie jakbyś wygłaszał. – Elka jest zachwycona mężem. – A żeś nie jest prawdziwy ksiądz, to bluznąć czasem możesz.

– Nie peszże mnie – uśmiecha się do niej stary Zachara. – Musi ktoś wyjść do tych ludzi i powiedzieć im, że Maryśka jest okej, a nawet geje i warszawiaki są okej.

– Ty??? – dziwi się Łukasz.

– My. My możemy wyjść i bawić się w sylwestra. Powitać z nadzieją nowy rok dwa tysiące dziewiętnasty – odpowiada stary Zachara. – Nie zbawię świata, gejów i warszawiaków. Może ktoś taki się kiedyś znajdzie. Ale dziś możemy pokazać Rabce, że Maryśka jest super.

– Dziękuję. – Maryśka schyla głowę i dobrze, że ma chustkę na głowie błękitną, jej ulubiony kolor, to sobie może oko ukradkiem obetrze, nie naruszając makijażu.

I idziemy długim pochodem nad rzekę, a ludzie nas widzą na Rabce, w parku, koło kardiologicznego. I się przyglądają, ci, co idą na imprezy, ci, co sobie sylwestra w parku pod „Grzybkiem" zrobili, personel miejscowy w kardiologicznym. Jak bezczelnie idziemy, głowy mamy podniesione, wstydzilibyśmy się. Jak się nie oglądamy nawet na boki, tylko idziemy przed siebie. Takie ścierwa, takie mendy, a wstydu nie mamy. Afiszujemy się. Docieramy nad Poniczankę, wchodzimy przez dziurę w płocie. Na placu budowy rozpalamy grilla, jedna cegła łapie żar, robi się czarna, okopcona.

– Widzicie? To będzie kamień węgielny – prorokuje stary Zachara, ale nie precyzuje pod co. Prorok zawsze musi zostawiać pewne niedomówienia, inaczej byłby płatną wróżką stawiającą ludzkości horoskopy. A prorok jest jak Mojżesz, musi prowadzić ludzi czterdzieści lat po pustyni i mieć taką nawijkę, żeby ciągle mieli nadzieję.

Grillujemy karkówki, kiełbasy, cebule, dla Anki papryki i dla Łukasza też, bo teraz takie papużki się zrobili, z dzióbków sobie jedzą i Łukasz jest prawie wegetarianinem, mięso je tylko u musi. Śpiewamy do podkładu z telefonu – Lombard, Budkę Suflera i Fasolki. Żartujemy z burmistrza i budowlańców, co kopią tunel pod Luboniem. Dyskutujemy o przyszłości Manhattanu, bo go kolejny raz chcą wyburzyć, przy czym nie chodzi o nowojorski Manhattan z drapaczami chmur, tylko o rabczański z pawilonami w barakach. Wspominamy stare czasy, co znaczy, że nie jesteśmy już tak młodzi, jak się czujemy.

Pijemy prosto z butelek, co kto chwyci. Tylko stary Zachara ma swój kubek termiczny z herbatą, który mu Elka na Mikołaja sprezentowała. Chociaż tegoroczne święta u Zacharów upłynęły pod znakiem osiemnastki Jaśka. Taki mały był berbeć niedawno, Lechowi w sandałach rzemyki rozwiązywał, a teraz chłopak się zrobił duży. Na inżyniera chyba idzie po maturze, do Krakowa.

Jasiek z Lechem, Magdaleną, Aśką i grupką ich krakowskich znajomych oglądają w tym samym momencie fajerwerki na Rynku Głównym.

– Popatrz. – Aśka pokazuje Magdzie szczególnie piękny wybuch. – Jakby gwiazda wybuchła i spadała na ziemię.

– Źle patrzysz. – Magdalena zamyśla się. – Ta gwiazda nie może spadać. Ona właśnie wschodzi.

Wybija północ, wszyscy składają sobie życzenia. Dzieciaki w Krakowie, trochę nieskładnie, ale generalnie życzą sobie tego samego – żeby wskoczyć na wyższy level dorosłości, bo w tym wieku człowiek cały czas chce być doroślejszy, starszy po prostu. A zanim starzy w Rabce zdążą poskładać sobie życie prywatne, indywidualne, intymne, Elka wspina się na pryzmę cegieł, co wymaga oczywiście pomocy Anki i Józka nie tylko ze względu na wypity alkohol. I nie składa nikomu życzeń na dziewiętnasty rok, ona te życzenia wypowiada.

– Życzę sobie i wam – mówi Elka – żeby tu, gdzie dziś siedzimy, a gdzie kiedyś była budka u Władka, powstało w Rabce miejsce, jakiego nie ma. Może Władek znów coś otworzy, może znów tu będzie Wentyl z kolegami przyjeżdżał, ekipa z Mszany, wszystkie kolorowe ptaki, które wiosną przecież wrócą znów na ulice Rabki? My tu będziemy, i to nie jak goście, my tu będziemy rej wodzić. A jak się to życzenie nam nie ziści, to spełnijmy je sobie sami. Zakładamy tu knajpę Bar u Władka, i już!

Elka gestykuluje, jakby w filmie grała. Wszyscy biją jej brawo i chyba nawet z drugiej strony rzeki ktoś krzyczy „brawo, brawo” na ten manifest. Elka ręce do góry unosi w geście amerykańskich prezydentów i skandujemy „Elka, Elka”, a i głosy zza rzeki się dołączają. Jebać Mojżesza, teraz to już jest pełny triumf. A że motorycznie Elka jednak nie jest sprawna, leci najpierw w tył, a potem do przodu razem z pryzmą cegieł. Na szczęście ją Józek w locie łapie, wywracają się wprawdzie na chodnik między cegły porozwalane jak w Chęcinach w ruinach zamku, ale bez urazów.

– A nie mówiłam, że zaraz cosik będzie się działo – cieszy się Elka.

Jz 8, 80-90

Bulwary otwierają pół roku później, żeby letnicy z Warszawy mieli gdzie spacerować. Burmistrz, wstęga, szampan, do korka od russkowo igristowo, który został w krzakach po naszym sylwestrze, dołącza kolejny, urzędowy.

Mieszkańców przyszło od pyty, prosto z mszy, bo nawet ksiądz zachęcał w kazaniu i był dumny. Ten deptak to znak od Boga, że Rabka się upgrade'owała do cywilizowanego świata. I to jest nasze, rabczańskie. Jakbyśmy tu wyciąg narciarski w Rabce zrobili, to by najechało warszawiaków na te trzy tygodnie ze śniegiem, do których skróciła się zima w epoce globalnego ocieplenia. No może z sześć tygodni, jak doliczyć to, co można by armatkami dośnieżyć. Wyjeździliby cały śnieg i w Rabce tylko by zostały słupy na Maciejowej.

A na bulwary sobie przyjadą pospacerować na dwa, góra trzy miesiące. I potem te bulwary będą służyć całej ludności miejscowej. Trzeba je będzie tylko co roku we wrześniu odkazić po warszawskim pedalstwie, bo chorób mogą nanieść jelitowych na ścieżki dla spacerowiczów.

Burmistrz przemawia, że sukces, że godne przyjęcie gości i turystów, że duma Rabki, że nam Rabka pięknieje. Takie oficjalne farmazony, ludzie podsypiają na stojąco, ale uhonorować trzeba i bulwary, i burmistrza, i Rabkę.

Kiedy burmistrz kończy przemówienie, zaprasza mieszkańców na wspólny spacer wzdłuż rzeki. Chociaż już wszyscy tędy spacerują od miesiąca, ale przez dziurę w płocie.

A mikrofon zostaje bez opieki. Włączony. Lechu jakby na to czekał. Ma dziś od rana świetny nastrój. W piątek odebrał świadectwo maturalne, niezłe, nie powinien mieć problemów, żeby go przyjęli na polonistykę. A jutro są jego osiemnaste urodziny.

Więc Lechu doskakuje do mikrofonu, podaje ustami bit, ludzie stają w pół kroku, odwracają się. A Lechu rapuje:

– Zostało wprawdzie jeszcze kilka godzin/ Do moich osiemnastych urodzin/ I może ten zwyczaj się tutaj nie przyjmie,/ Lecz chciałbym obchodzić urodziny wigilijnie,/ Czyli dzień wcześniej, a to dzisiaj, stary./ Bierz wino, wódkę i wbijaj na bulwary./ Ja zapewniam muzę, sporo fajnych tracków/ I dziesięć kilo pieczonych ziemniaków./ Więc czyś jest panna, młodzieniec czy gazda,/ Zapraszam, kiedy wyjdzie pierwsza…

Ostatnie słowo ucina zgrzyt mikrofonu. Ktoś się w końcu zorientował, gdzie jest wzmacniacz, i wyłączył nagłośnienie. No bo jak to tak bez oficjalnego uzgodnienia, a tak oficjalnie przez mikrofon. I to ten ciapaty. Się afiszuje.

Ludzie wzruszają ramionami i odchodzą podziwiać bulwary oficjalnie. Ale kiedy Lechu tworzy wydarzenie na fejsie, to telefon zaczyna mu wibrować w kieszeni jak brzęczyk w barze z kebabem, że trzeba odebrać swoje zamówienie. Co kilkadziesiąt sekund ktoś dołącza, jest zainteresowany, pyta, czy przynieść colę. Normalnie impreza się szykuje, partnerstwo publiczno-prywatne w wariancie rabczańskim.

– Chcieliśmy ci to jutro dać na osiemnastkę – mówi Maryśka do Lecha w domu. – Ale skoro już urządzasz dzisiaj imprezę urodzinową, i to na bulwarach, to chyba ci się już dzisiaj przyda.

– Ale poczekaj – stopuje żonę Józek. – Najpierw życzenia.

Lechu stoi przed nimi, trochę nie wie, co zrobić z rękami, i uśmiecha się z góry. Matkę przerósł dawno, a ojca niedawno.

– Lechu, ja krótko, dwa słowa, ale ważne – zaczyna Józek. Bierze syna za ramiona, po męsku, ale czule, i patrzy mu prosto w oczy. – Bądź sobą!

– A ja dłużej, synku – mówi Maryśka. – Życzę ci, żebyś zawsze umiał być dobrym człowiekiem. Bo na dobrego człowieka chcieliśmy z tatą cię wychować. Żebyś był otwarty na ludzi, żebyś był pomocny, żebyś był szczery w każdym geście. Żebyś miał w sobie tyle luza, ile potrzeba, i tyle mobilizacji, żeby dużo w życiu osiągać. Wiesz, Lechu, że jesteś fantastycznym chłopakiem. Już nie dzieckiem, bo ty zawsze byłeś nad wiek rozwinięty. I my z tatą bardzo mocno ci życzymy, żebyś potrafił być taki,

jaki jesteś, nawet wtedy, kiedy będzie trudno. A w dorosłym życiu jest czasem trudno, trudniej niż w życiu dziecka.

Lechu już chce matkę ściskać. Ale ta jeszcze go powstrzymuje przez chwilę Mojżeszem.

– Pamiętaj, że tu, gdzie żyjemy, zawsze będziesz inny. To nic złego, inność jest dobra, inność wzbogaca, inność sprawia, że świat jest ciekawszy. Inaczej Bóg by już pewnie usnął z nudów, patrząc, co tu robimy – uśmiecha się Maryśka. – Ale są takie miejsca i takie czasy, kiedy z tą innością jest trudniej. Myślisz, że żyjemy w takim czasie? Ja myślę, że ten czas dopiero przed nami.

– I sami nie wiemy, jak się do tego czasu przygotować. Dlatego mam dla ciebie jedno życzenie: bądź sobą, bądź taki, jak matka mówiła, taki, jaki jesteś, Lechu. Bądź prawdziwy.

Ściskają się ze łzami. To dobre łzy, jednoczące. Maryśka podaje Lechowi paczuszkę w papierze w choinki, bo taki ze świąt został. Mikrofon pojemnościowy, najlepszy, jaki był na całym Allegro.

– A statyw i wzmacniacz masz tutaj. Na początek chyba styknie – mówi Józek, otwierając szafę. Lechu skacze do góry, ściska rodziców.

Wieczorem, kiedy zapada zmierzch nad Poniczanką, na bulwary przychodzą tłumy młodych ludzi. Koledzy z klasy i koleżanki – niemal w komplecie. Paru znajomych z Podhala Nowy Targ, którzy zobaczyli wydarzenie na fejsie. I połowa sekcji dziewczęcej Podhala z tamtych lat, chyba Magda ściągnęła dziewczyny. Trochę znajomych z widzenia, z tych, co byli dziś na oficjalnej imprezie z burmistrzem. Teraz, kiedy jest ciemno, kiedy nie widać, kiedy to nie jest takie ostentacyjne, takie afiszowanie, przyjdą tu z radością.

Jest klub geriatryczny, jak szybko nazywa to Jasiek, czyli nasza paczka dorosłych. I chwała Bogu, żeśmy przyszli, bo przed północą wbijają królowie Mszany – Kacper, Melchior i Bazyli. Chyba też musieli się z fejsa dowiedzieć, że jest impreza.

Ziemniaków wystarczy z ogniska, Lechu z Jaśkiem przytargali więcej niż dziesięć kilo, które mu pasowało do rapu, cały worek. Ale alkohol się

zaczyna kończyć, chociaż Józek wystawił skrzynkę piwa, Anka przyniosła sześciopak wina „od cioci na luza" z Krakowa przywieziony, Elka wzięła litr wódki i jeden kieliszek, żeby młodzież wróciła do tradycji picia po góralsku, chociaż niejeden przyniósł coś ze sobą.

Skaczą przez ognisko, śpiewają. Do wzmacniacza daje się podłączyć telefon przez Bluetooth, więc robi się impreza jak za starych czasów budki u Władka, tylko budki nie ma i Władka nie ma. Ale przyjeżdża Makumba na rowerze, jest fajnie, jest klimat, Lechowi życzenia składa, coś mu do kieszeni wkłada w prezencie, po czym do nas, starych, się dosiada, zaciąga się mocno, a potem wysyła esemesa do Wentyla i Kożucha, żeby też wbijali, bo jest Akcja Reaktywacja. I przychodzą od strony Ponic Wentyl i Kożuch, bratamy się, oaza przyjaźni normalnie.

– *Słuchajcie, teraz jesteśmy dorośli,/ Zbratani ziołem i owocem winorośli./ Słuchajcie, zanim weźmiecie kilka buchów:/ Błogosławieni są ubodzy w duchu,/ Którzy się smucą, którzy są cisi/I którym sprawiedliwość nie wisi./ Których wyzywają od bydlaków,/ Którym odmawiają miana Polaków./ Na których mówią: ciapate brudasy,/ A którzy największe mają kutasy!* – rapuje Lechu i dostaje aplauz większy od pobliskiego Krzywonia, który ma sześćset dwadzieścia siedem metrów nad poziomem morza.

– Coś ty mu dał, Makumba? – pyta Maryśka, trochę wkurzona.

– Od kilku buchów nic mu się nie stanie, Maria, wyluzuj – odpowiada spokojnie, powoli Makumba. – Chcecie też?

I Makumba idzie do roweru pogrzebać w sakwie, czy się tam nie znajdzie coś akurat na taką uroczystość. Na poczęstunek dla przyjaciół, ale może i na sprzedaż, co pozwoli budżet podreperować.

A Maryśka podchodzi do Lecha, niucha. Oho, pachnie miętą, łąką, latem z małą domieszką winorośli.

– Co, mamuśka? Czym ci mogę usłużyć? Nalać ci może wina?

– Lechu, wino jeszcze mamy. I twoi goście też… już mają dość wina w sobie.

– No właśnie, kończy się. – Lechu rozkłada ręce z przerysowaną bezradnością.

– To nie moja sprawa – odpowiada Maryśka, ciepło, miło, ale kategorycznie. – Ale martwię się, że ziemniaki się wam kończą i nawet te słone paluszki z czipsami już poschodziły. U Papierzów nigdy tak nie było na urodzinach, żeby ludzie głodni siedzieli.

– Mamuśka! Tu jest kopalnia ziemniaków! – Lechu pokazuje teatralnie na wygasłe ognisko. Rękami obrazuje, jakie kopy ziemniaków można z niego wyciągać. – Mamy system na dwa ogniska, jedno się pali, a drugie żarzy i tu w popiele pieczemy ziemniaki. Chcesz, mamuśka, jednego? Co jednego, całą tackę wam przyniosę do stolika geriatrycznego.

– Do czego?

– Do waszego stolika, mamuśka. Albo raczej tego pnia, na którym żeście przysiedli. Cały półmisek ziemniaków. Wyciągam, wyciągam, a ich ciągle przybywa, mnożą się dosłownie.

Wybija północ, jest dwudziesty czwarty czerwca dwa tysiące dziewiętnastego roku. Lechu kończy dziś osiemnaście lat. *Sto lat*, które odśpiewują mu wszyscy goście, niesie się wzdłuż Poniczanki aż pod Stare Wierchy. Stukają się resztkami wina w kubeczkach papierowych, Magda takie z Krakowa przywiozła, bo powiedziała, że plastik to stary testament, a teraz są nowe czasy.

I nagle na drodze po drugiej stronie Poniczanki widać światło, coraz bliżej, i podjeżdża samochód.

– Nie drzeć japy, cicho – zarządza Jasiek. To na pewno psy, że cisza nocna, a wśród nocnej ciszy głos się niebywale rozchodzi. Trzeba alkohol do rzeki wylewać, ryby będą miały niezły odlot raz w życiu, bo publiczne spożywanie jest zagrożone karą grzywny i tak dalej.

Z samochodu wysiada jakiś człowiek. Jeden, a policjanci chodzą zawsze parami. Idzie najpierw do bagażnika, coś stamtąd wyciąga. Słychać wesoły brzęk. Butelki?

– To mój ojciec – mówi do Magdy Aśka. A, to pewnie jej pomysł z tymi papierowymi kubeczkami był.

– Pokój z wami – krzyczy Marian Maśniak, prezes GS-u w Harkabuzie, przechodząc przez mostek.

– Miłość, pokój, kwiaty – odkrzykuje Wentyl, zanim ktokolwiek zdąży się odezwać. A Kożuch próbuje dośpiewać refren *All You Need Is Love* Beatlesów, ale dostaje kuksańca.

– Czy tu się odbywają urodziny Lecha, syna Marii i Józefa cieśli, który narodził się osiemnaście lat temu w Murzasichlu? – pyta Marian, schodząc już z mostku, ale tak głośno, jakby cały czas występował w jakichś jasełkach.

– Tak, zapraszamy, panie Maśniak – odkrzykuje mu Lechu, już trochę wyluzowany.

– Dziękuję bardzo. – Maśniak podchodzi do Lecha. – A tu masz, synu, dwie skrzynki wina, tyle mi się do auta zmieściło. Bo pamiętasz, młody człowieku, że na dobrej imprezie w pewnym momencie pojawia się jak *deus ex machina* wino od Maśniaka? I to najlepsze?

Jz 9, 1-8

Bus do Rabki odjeżdża z Krakowa z Piwnicy Pod Baranami. Kraków to taka Warszawa, która ma po pierwsze luza, po drugie kompleks niższości, a po trzecie jest z niego dumna. Lechowi się tu podoba, mieszkają na stancji razem z Jaśkiem, Szymonem i Setnikiem z Jordanowa. Oni trzej są na politechnice, a Lechu na polonistyce. Stancja jest przy Dobrego Pasterza, na podwórku rośnie jabłoń. Próbowali jej owoców, jak się raz upili we czterech i z Magdą i Aśką, które już będą robiły licencjat z turystyki. Wybiegli w nocy na golasa, dziewczyny w bieliźnie, i oberwali wszystkie jabłka, bo nie mieli już nic do jedzenia, a głodni byli wrażeń. Dobre owoce, smaczne.

W piątek po południu wsiadają całą grupą w busa. Trzymają się razem – mniejszość spoza miasta, krakowskie słoiki. Jeszcze trochę nowych znajomych – z Pcimia, z Myślenic, z Lubnia, przyszli inżynierowie, polonistki, bibliotekarki. Oni na Rynek chodzą wciąż jak turyści, odruchowo podziwiają: tu kościół Mariacki, tu Sukiennice, tu pomnik Adama Mickiewicza. A prawdziwi krakowianie mają Rynek w dupie, Sukiennice to przeszkoda do ominięcia, Adaś to punkt orientacyjny, pod którym się można umówić, a Mariacki to taka kamienica, tylko trochę wyższa i zamiast kogucika na dachu ma faceta grającego na trąbce.

Kiedy bus wyrusza z Krakowa w stronę Rabki, jest jeszcze cały pełen Grzegorza Turnaua i kawiarnianego dymu, który w Krakowie wciąż się unosi nie wiadomo z jakiego źródła, skoro palenie fajek w lokalach jest zakazane dyrektywą unijną.

Kiedy bus mija Libertów, Gaj, Mogilany, Głogoczów, to wyparowuje z niego krakowski dym, a w jego miejsce wchodzi podhalański smog. Następuje cudowna przemiana wawelskiego smoka w góralski smog. I w Stróży się okazuje, że kolor skóry Lecha zaczyna przeszkadzać

wsiadającym. Koło ciapatego siedzieć nie będą. A w Skomielnej to już lepiej, żeby brudas wypierdalał z busa w trzy sekundy i zbiegł na dół do Rabki, a nie miejsce do Chabówki zajmował.

Nikt Lecha palcem nie ruszy, ale co burczy, to jego. Lechu ma jednak swoje sposoby. Babie w berecie zaproponuje, żeby wspólnie zmówili *Pod Twoją obronę* albo dziesiątek różańca. Górala z twarzą pooraną PRL-em wciąga w rozmowę, ile to musieli nakraść przy budowie zakopianki latami, aż go w końcu przekonuje, żeby nie mówić jednak fałszywego świadectwa, i góral wychodzi z jedną bruzdą mniej. A młodym szczawikom w bluzach z napisami zapodaje raperskie wstawki. *Posłuchaj, skoro już razem siedzimy,/ To stawaj ze mną do bitwy na rymy.* I na ogół wysiada, żegnając się serdecznie: Bóg zapłać, szczęść Boże albo elo, ziomal – zależnie od targetu.

Czasem zostaje na weekend w Krakowie, dorabia w knajpach na zmywaku. Chce trochę ulżyć rodzicom, chociaż teraz mają górkę finansową. Maryśka się do kółek różańcowych, do kół gospodyń wiejskich, nawet do fitness klubów – bo tak się wyraża na Podhalu feminizm – pozapisywała. I okazało się, że nie taki diabeł straszny z bliska, już ta jej ciemna karnacja, już to pochodzenie niepolskie, już to życie na kocią łapę z mężem-niemężem nie przeszkadzają tak bardzo w Naprawie, w Rabie Wyżnej albo w Klikuszowej. A przy okazji się okazało, że jakiś boom na nowe kuchnie się z tego zrobił.

To jest szczytowe osiągnięcie feminizmu na Podhalu: jak kobieta zażąda od męża, żeby jej nową kuchnię sprawił! I to nowoczesną, z płytą indukcyjną, a nie na palniki i z zapalarką ręczną z Janosika. Komplet nowych szafek jak z internetu, z Warszawy, z Chicago. Normalnie Ameryka i palenie staników na naszą, podhalańską skalę.

Więc Maryśka zlecenia przyjmuje, robi obmiary, przedstawia kosztorysy, umawia montaże, a Józek tylko w stolarni siedzi i płyty przycina. Nawet mu nowe ulotki reklamowe zamawia i slogan niezły wymyśla: „Boskie kuchnie! Józef Papierz, stolarka kuchenna i okienna dla nowoczesnych kobiet". Jak idzie z tym do Dzyndzla, żeby graficznie zaprojektował, to od wejścia się śmieje, że ręce ma czyste i papierów nie

pobrudzi, nie ma obawy. I tak się przy tym uśmiecha, że Dzyndzel mimowolnie jej odpowiada uśmiechem. A potem uznaje, że niczego sobie ta Maryśka, chociaż starsza od niego, i wieczorem ma z nią fantazje.

Maryśka od tych sukcesów biznesowych nabiera też jakiejś pewności życiowej. Jak słyszy za sobą „spierdalaj, brudasie", to się odwraca i serduszko z palców pokazuje, dobrą moc przesyła jak na świętym obrazku promienie takie niewidzialne. Jak w sklepie do serów stoi i z boku się ktoś odzywa, że mogłaby jeść mięso normalnie jak ludzie, jak Polacy, niech zwyczaje szanuje, a nie wydziwia menda jedna arabsko-żydowska, to się potrafi odciąć, panie gazdo, pogadajmy o zdrowej diecie i otyłości, a że facet gruby jak Kwiczoł, to nawet ludzie śmiechem parskają, a on się w ziemię gapi i na mięsny jak najszybciej pędzi, chociaż szybko nie umie. A czasem znak krzyża do bluzgających uczyni i argumenty im tym krzyżem wytrąca. Więc już się bez problemu na Rabce afiszuje i widzi, że znów w sieć znajomości i życzliwości zaczyna wpadać: dzień dobry, pochwalony, jak tam dzieciaki, co u was, ładne te bulwary, ciekawe, czy burmistrz inwestora przyciągnie, żeby termy postawić. I nie ma kwestii, czy tam będą wpuszczać kolorowych albo gejów.

Darek przychodzi raz do nich na bulwary – bo póki ciepłe wieczory, to przesiadują na bulwarach na ławkach – i opowiada, że Adasia już z Kobierzyna wypuścili. Nieswój jest tylko trochę, chciał do Krakowa wyjeżdżać. Ale Darek się zaparł, że on się z Chabówki nie rusza, i znaleźli Adasiowi robotę pod domem, w sklepiku w Chabówce. Się tam nie afiszuje i spokój ma na razie.

Elka biznes chce rozkręcić.

– Ja wam mówię: co będziemy tu tak na ławkach siedzieć? Trzeba budkę postawić. Unijne dotacje można dostać, zanim nas z tej Unii wywalą, trzeba korzystać. Zrobimy Bar u Władka. Tylko nie mogę numeru do Władka znaleźć, nikt nie ma i nikt nie wie, co Władek robi.

– Ja bym jeszcze Władysława z Kasztanów do spółki wzięła. Porządny człowiek – dorzuca Maryśka.

– Wywalił cię przecież i od tego się zło zaczęło, Marysia – oponuje Łukasz.

– Zło się zaczęło wcześniej i do niego przyszło, i mu kazało. Więc co? Miał się Władysław dać ukrzyżować za barmankę Marię? Żeby mu knajpę rozpirzyli? – broni go Maryśka. – A on ma takie know-how, jak się mówi na kole gospodyń. Ciągnie Kasztany od lat, to nam pomoże Bar u Władka pociągnąć.

– Ty się na barmankę zgodzisz?

– Pewnie, chociaż z Józkiem dużo roboty mamy teraz przy kuchniach. Koniunktura się rozkręciła, Józek czasu nie ma na nic – mówi Maryśka. A wszyscy się dziwnie patrzą i dziwnie milczą.

– Burmistrza biorę na siebie – mówi stary Zachara. – Dowiem się, jakie zezwolenia trzeba uzyskać. I jak zrobić, żeby je uzyskać. Bo wiecie, może to Unia, może to dwudziesty pierwszy wiek, ale to ciągle Rabka.

– Ja się z Józkiem do roboty fizycznej piszę – dołączam się do deklaracji. – Stolarka, budowlanka, prąd pociągniemy.

– A ja bym zaaranżowała wnętrze, w Krakowie byłam na kursie feng shui. No i gości zapewnię, pół Mszany będzie tu przyjeżdżać, zobaczycie – deklaruje Anka.

– To się nazywa marketing bezpośredni – dodaje Maryśka. Strasznie się wyedukowana zrobiła.

– Ważne, żebyśmy wszyscy byli razem. I po jednej stronie – podsumowuje Elka. – Takie centrum ruchu oporu im tu zrobimy, że się prawdziwi górale za Tatry przeniosą i zostaną prawdziwymi Słowakami.

– Dobrze mi się to widzi, dobrze – mówi wolniutko stary Zachara i tak się zapatruje na stoki Krzywonia, jakby tam z układu świerków coś czytał. Każdy rejon ma swoje wróżby, a o Zacharze cała Rabka wie, że ma dar czytania, czego inni nie widzą.

Józek się podnosi z ławki, kiwa na mnie głową, żebyśmy na bok poszli męskie sprawy obgadać.

– Wiesz, co jeszcze trzeba zrobić? – pyta mnie, kładąc mi rękę na ramieniu, ale nie protekcjonalnie, tylko serdecznie.

– No co?

– Jak to co? To myślisz, że ja nic nie wiem? Cała Rabka wie, stary! – oburza się Józek.

– Ale o czym? – Mam jeszcze nadzieję, że uda mi się rżnąć głupa.

– Że rżniesz tę Weronikę z Nowego Targu. A żarty się skończyły. I miłostki. Jest wojna. Kiedyś była na górze, a teraz dotarła w góry, czyli na dół. Nie chodzi nawet o to, że banda prawdziwych motocyklistów prześladuje Maryśkę, chociaż to już jest wypowiedzenie wojny naszej rodzinie. Teraz jej jakby trochę odpuścili, ale oni wrócą. Bo im nie o Maryśkę chodzi, ale o Kraków, o Warszawę. O wszystko, co zaimportowane z zagranicy, ze stolicy, spoza gór i rzek. Jak Anka idzie na kurs feng shui, to ich to obraża, bo uderza w wartości. Jak Łukasz mięsa nie je, to obraża Boga, bo Bóg nas częstuje mięsem na wielkim półmisku. Jak Makumba jeździ na rowerze, to dla nich szydzi z motocyklistów i samochodziarzy, którzy jeżdżą, jak Pan Bóg przykazał. Odjebało im na punkcie szacunku, mają paranoję bogoojczyźnianą, są chorzy na Polskę prawdziwą, a od tego nie ma szczepionki. Zresztą w szczepionki też nie wierzą, bo szczepionki są po to wymyślone przez koncerny, żeby zniszczyć Polaków. I dostali już narodowej wścieklizny, będą kąsać.

– I co? – pytam, bo muszę sobie tę całą tyradę Józka w głowie poukładać.

– I to, że nie można być jedną nogą na ławce na bulwarach z fajnymi ludźmi o otwartych sercach, a drugą w łóżku ze świętą hipokryzją, muzą szatanów i ideologiem oszołomów, bo przecież nie ideołożką. Żeńskie końcówki też godzą w wartości, nie czytałeś w necie?

Milczymy. Józek powiedział już wszystko, a ja już wszystko usłyszałem. I muszę to wszystko przetrawić. Potrzebuję na to trochę czasu.

– Skończę z Weroniką. Skończę. Do końca roku, dobra? – mówię do Józka. Ale Józka już obok nie ma. Więc składam tę przysięgę sobie, górom i może Bogu, jeśli mnie słyszy przez szum Poniczanki.

Jz 9, 9-21

Jakub się z Jędrkiem bratają, a nawet więcej. Z babami razem jeżdżą do spa, co tam robią, to górale nie muszą wnikać, bo Jakub mieszka *vis-à-vis* Matki Boskiej Ludźmierskiej i ją szanuje, Jędrek z żoną Pauliną co tydzień w pierwszej ławce w parafii w Harkabuzie rej wodzą, a Weronika ma Polskę na ustach i na tatuażach. I na sylwestra się wybierają do Nowego Targu, nowy lokal właśnie otworzyli, klasa.

Weronika obiecała Jakubowi, że sobie bieliznę na tę imprezę specjalną kupi z koronkami i fikuśną. I nie tylko na sylwestra, drugi komplet do codziennych, no, bądźmy szczerzy, cotygodniowych zabaw, że on ją bierze za włosy, ty dziwko, kurwisz się ze wszystkimi, a ona tak, tak, ukarz mnie, bo rzeczywiście trochę się kurwi, a jak na dziewczynę najpierwszego harnasia polskiego na Podhalu to nawet sporo, ale za cichą zgodą harnasia wypowiadaną z szatańskim podnieceniem w oczach.

Ale żeby zgorszenia nie było, to jedzie po tę bieliznę do sex shopu w Myślenicach, a to już Małopolska, rejon podkrakowski. Sąsiedzi nie zobaczą, Podhale nie zobaczy, a i Matka Boska Ludźmierska musiałaby wzrok bardzo wytężyć, żeby dostrzec, co Weronika kupuje. A oprócz tego kupuje sobie wibrator dyskretny z firmy lokalnej Morowe Panny. Sex shop też się zresztą tak nazywa – Morowe Panny – inicjatywa rodzinna, siostry założyły wyklęte. Wyklęte przez społeczność lokalną, że na złą drogę sprowadzają, ale jednocześnie z cichym przyzwoleniem społeczności działające, bo wieczorem, kiedy nie widać dokładnie, kto wchodzi, to drzwi się nie zamykają. Myślenicka ludność, chociaż do tradycji silnie przywiązana, to jednak na nowinki warszawskie otwarta, przynajmniej w dziedzinie seksualności.

Kiedy Weronika z Nowego Targu wychodzi z sex shopu w Myślenicach, mija się w drzwiach z Magdą z Rabki-Zdroju. Atrakcyjna kobieta i młoda dziewczyna nie znają się jeszcze, ale się zapamiętają. Obie w oczach mają Wodogrzmoty Mickiewicza. Obie spotkają się kiedyś w dramatycznych

okolicznościach i obie będą się pamiętały z tej konspiracji seksualnej, która tak nie przystoi na Podhalu.

Magda kupuje koronkowe body i zastanawia się nad wibratorem morowej panny, kieszonkowym. Trochę drogo wychodzi, ale może mama jej dołoży, do wibratora pewnie się zgodzi. Magda już nie jest nastolatką i zaczyna sobie myśleć, że taka matka to skarb. Nie, że dołoży pięć dyszek, ale że można jej powiedzieć, żeby dofinansowała wibrator. Normalnie w Rabce matki do emerytury udają, że ich córki mają między nogami plastikowe, jak u lalki Barbie. Dobrze, że ona dorastała w nienormalnej rodzinie.

Na sylwestra w tym roku jedzie do Warszawy. Ma zaproszenie na bal w hotelu, z noclegiem, śniadaniem i z koleżanką jeszcze jedną z roku najładniejszą, Patrycją. Od znajomych z uczelni ustosunkowanych w branży turystycznej, a ona w turystyce chce pracować po studiach. Ale nie żeby pensjonat w Rabce otwierać dla ceprów, tylko ludzi z Rabki, z Krakowa, zewsząd do ciepłych krajów wysyłać, na pustynię, gdzie słońce grzeje cały rok, nad morza gorące jak ciepłe źródła w Bukowinie, gdzie palmy rosną normalnie jak sosny, ciocia Marysia opowiadała i w necie oglądały razem. Z Patrycją będą miały jeden pokój w hotelu, a znajomi to nie do końca wiadomo, bo trochę z Warszawy, trochę z Krakowa, większa ekipa.

Lechu z Jaśkiem i jeszcze z Szymonem, wszyscy już pełnoletni, zamarzyli sobie wycieczkę. Wielką wyprawę na piechotę na sylwestra na Markowych Szczawinach, chociaż każdy wie, że trzeba półtorej godziny jechać busem przez Suchą albo przez Zubrzycę do Zawoi i stamtąd się wspinać.

Więc z samego rana w sylwestra ruszają z Rabki przez Zbójecką Górę, Skawę, Halę Krupową, przełęcz Krowiarki i stąd już granią na Babią Górę. Dawniej by nie przeszli tędy w grudniu przez śniegi, ale chwała Bogu, że jest globalne ocieplenie, prawdziwa zima się zaczyna wtedy, kiedy się kończy, a na święta nigdy śniegu nie ma. Docierają na Babią, kiedy

zaczyna się zmierzchać. Lech wchodzi na szczyt pierwszy, opiera się o kamienny kopczyk i rozgląda dookoła. Widok tak cudny, że dech zapiera.

Tatry jak na dłoni za Jeziorem Orawskim, chociaż niebo już ciemnieje, kiedy dochodzą na szczyt. Zakopane migoce światełkami jak sieć neuronowa na filmach edukacyjnych w internecie. Chmury się zbierają, ale na razie w oddali. Pocztówka normalnie. Pejzaż jeden, drugi, selfik z lampą błyskową, bo lepiej wygląda taki podświetlony, twarz mu jaśnieje, a dzięki lampie się rozjaśnia taką jasnością, jak u Michaela Jacksona w ostatniej fazie wybielenia.

– Jaśniejesz pan cały – żartuje Jasiek. – Biały Lech.

Ale Lechu ucisza go gestem Mojżesza. Oczy przymyka, głowę lekko unosi, słucha wiatru. Na Babiej duje zawsze, szczególnie w zimie, szczególnie dziś, kiedy zapowiadali w porywach czterdzieści kilometrów na godzinę. Ściąga czapkę w geście kontrolowanego szaleństwa i wiatr mu długie włosy rozwiewa. Aż chłopaki się śmieją, że wygląda jak Jesus Christ Superstar, co oglądali niedawno razem na stronie ze starymi filmami, i mu foty zaczynają trzaskać.

A Lechu nic, stoi tylko i czuje wiatr. Wiatr w tradycji wiąże się z duchem, wiatr zamknął księgę życia naszego papieża, wiatr może też karty w innych księgach przewracać, ale tylko u co bardziej znaczących ludzi, bo inaczej by orkany i tornada wciąż powstawały.

Księga życia Lecha była otwarta na ostatniej karcie rozdziału „Dzieciństwo". Wprawdzie jest już pełnoletni, wprawdzie już poznał kobietę, biblijnie poznał, wprawdzie już zarobił pierwsze pieniądze, bo miał jedną współpracę na swoim kanale z hiphopowymi nagrywkami na YouTubie, wystąpił w bluzie producenta i dostał kasę. To takie kamyki jak ten kopczyk na szczycie Babiej. I one się w pewnym momencie łączą w lawinę i nic już nie jest takie jak przedtem.

Lechu z każdym porywem wiatru zaczyna lepiej rozumieć, co chce zrobić w dorosłym życiu. Jaką misję chce sobie samemu zlecić do wykonania. *Robić fajną muzę,/ Uczyć życia z luzem.* Ale to jeszcze nie wszystko, potrzeba więcej treści, Lechu słucha wiatru, Lechu czuje wiatr,

czuje swoją moc. I niemoc. Nie umie zamknąć w prosty rym tego, co chciałby jeszcze dopowiedzieć. Tego, żeby ludzie się szanowali, ale nie tak, że ma być szacunek, a jak nie, to wpierdol. Tylko tak naprawdę: taki jesteś, aha, ja taki jestem, popatrz, jakie to ciekawe, że to nas różni, to nas łączy. Żeby nauczyli się mówić, co ich uraża, ale nie tak, że to obraża Boga, to tradycję, to naród i wpierdol. Tylko: boli mnie to, smutno mi, przykro mi, dotknęło mnie to i teraz mi źle. I żeby nauczyli się sobą cieszyć, radować się na swój widok jak w czasach pierwszych chrześcijan. Bez tych podziałów plemiennych, że Polska dla Polaków, Legia dla Legiaków, a KS Wierchy dla Warchlaków i na pohybel innym.

I żeby biały i ciapaty/ Się ściskali jak dwa braty. O, to fajne, to sobie weźmie do tekstu, jak już go w całości ułoży. Żeby był pokój między ludźmi, pokój na Podhalu, pokój na dzielni, pokój w Europie, a także w Azji, skąd się przecież w jakiś sposób wywodzi. Więc żeby o Azji też nie zapomnieć.

Lechu otwiera oczy. Wodzi wzrokiem. Natchniony stoi jak Słowacki z tęczą blasków promienistą. O właśnie, coś jeszcze musi dodać o tęczy do tego kawałka. *Patrzę na tęczę horyzontalną,/ Tolerancyjną, homoseksualną*. Dobre, musi to zapamiętać, jak już będzie pisał. To będzie jego najważniejszy kawałek.

– Coś się pan tak przemienił? – żartuje Szymon.

– *Przestałem być osłem/ I właśnie dorosłem* – rymuje Lechu i przybija Szymonowi piątkę. – *Serce mi pęknie,/ Jak tu, kurwa, pięknie*.

Za niecałą godzinę dochodzą do schroniska na Markowych Szczawinach. Lechu bierze komórkę i wysyła esemesem zdjęcia do mamy i taty. Nie! Do matki i ojca raczej. Bo on się właśnie z małego Lecha zamienił w pana Lecha.

Wiadomość dociera do Maryśki, kiedy na stolik w nowym lokalu w Nowym Targu kelnerka podaje barszcz z uszkami. Dla wegetarian można zamówić uszka z kapustą i grzybami, dla normalnych z mięsem. Najważniejsze, żeby do wódki był jakiś podkład. Maryśka się uśmiecha, bo widzi swojego syna nagle prawie dorosłego, na pewno bardziej dorosłego

niż dzieciaka. Józek wiadomości nie zauważa, bo wychodzimy na chwilę we dwóch pogadać na zewnątrz.

A wtedy ze stolika na drugim końcu sali podnosi się Weronika. Bo siedzą tam całą bandą motocyklową, Jakub łypie od godziny, wypija kieliszek, krzywi się z obrzydzeniem, woła kelnerkę, czy to jest lokal dla kolorowych, przepraszam bardzo, proszę pana, ale nie prowadzimy selekcji gości pod żadnym kątem, aha, Jakub wypija kieliszek, drugi, woła kelnerkę, żeby pedałów stąd wyjebać wszystkich masowo, ale przepraszam pana, nie prowadzimy selekcji, to że on sam, Jakub, im wszystkim selekcję przeprowadzi w dupę. A Weronika: uspokój się, Kubuś, uspokój, będziemy mieli dobry wieczór, tak jak lubisz, Kubuś, napij się jeszcze troszeczkę, mój ogierze, mój harnasiu, mój hetmanie. Więc Jakub wypija kieliszek, dwa i w stupor lekki zapada. Poleż sobie, Kubuś, na tej ławce naszej, odpocznij, to się Jakub grzecznie kładzie do drzemki regeneracyjnej śródalkoholowej. A Weronika podnosi się delikatnie i na chwilę na zewnątrz wychodzi.

Ja mam akurat z Józkiem do pogadania, bo kończy się nie tylko rok, ale kończy się dzisiaj jakaś epoka. Ale kiedy widzę Weronikę, to muszę Józka na chwilę przeprosić, bo już czas, żebym się sam zajął wszystkim. Poczekaj chwilę, Józek idzie zapalić za róg, chociaż nie pali, to nie wiem, może sobie idzie tak postać i tylko żeby mnie nie krępować, mówi, że pójdzie zapalić. Ale słyszę, że zapalniczką ogień krzesze na mrozie.

A Weronika podchodzi do mnie krokiem wilgotnym jak zawsze. I chciałbym z nią zrobić to, co zawsze, szybko, jak husaria, niech szczytuje za Polskę, niech jęczy, niech się wije, niech do mnie mówi Jakub, mam sto imion, milion. Ale wiem, że tego już nie zrobię nigdy.

– Przeleć mnie. Tu, w aucie, w kiblu, na stojąco, jak chcesz. Bieliznę mam nową, pokazać ci? – Weronika gra dziś *femme fatale*, zero romantyzmu, czysty pornos. Ona też ma milion twarzy, milion masek, zakłada je i zdejmuje, kiedy chce. Kręci, uwodzi.

– Nie – odpowiadam.

– Nie chcesz zobaczyć mojej nowej bielizny? Weźmiesz mnie w sukience, mój ogierze? – Weronika jeszcze nie rozumie, jeszcze myśli, że

to zabawa maskami. Ale ja wiem, że zabawa już się skończyła. Nie dlatego, że coś obiecałem Józkowi, Poniczance czy wiatrom górskim. Ja już tak nie chcę.

– Nie chcę już niczego. Mam dość. To koniec, Weronika – mówię jej spokojnie.

– Pierdolisz! – Weronika stoi jak zamurowana, w pół kroku zamarznięta. Pomnik Wenus z Podhala.

– *Jak się coś pierdoli,/ Prawda was wyzwoli* – odpowiadam rymem, który kiedyś zasłyszałem od Lecha. Ma dzieciak talent nie tylko do rymowania, ale i do prostych recept na życie, chociaż on dopiero w życie wchodzi.

I wtedy otwierają się drzwi i pojawia się w nich Jakub z ławką drewnianą do siedzenia w rękach. Tuli ją, jakby spał na stojąco, jakby grał w filmie o zombie.

– Teraz się dopiero będzie pierdolić – krzyczy Jakub. Ławkę ponad głowę podnosi i zaczyna nią wywijać jak chłop cepem. Ławka ciężka, a Jakub już po pół litrze prawie, więc go zarzuca na wszystkie strony, tylko nie na zachód, bo Zachodem to Jakub się brzydzi.

– Co robisz?! Uważaj, Kuba! – krzyczy Weronika i odskakuje na bok. Nie wiem, czy mam uciekać, Weronikę chronić, bić się z Jakubem oszalałym? Wtedy zaalarmowany krzykiem zza winkla przybiega Józek, zatrzymuje się jak samochód przed pasami, błyskawicznie ocenia sytuację. Podnosi rękę jak Mojżesz i kroczy w stronę Jakuba.

– Ej! Przestań, Jakub! Nic się nikomu nie stanie, tylko przestań machać. Pogadajmy. Pokój na Podhalu! Jakub – wykrzykuje kolejne zdania.

– Pokój to wy sobie możecie wziąć na górze, jak się chcecie popierdolić z Weroniką. – Jakub dostaje piany na ustach. – Ale i tak tylko ze mną dochodzi. Tylko ze mną szczytuje. Z wami wszystkimi udaje, gnojki, pojeby.

– Pokój na Podhalu! Pokój na Podhalu! Pogadajmy, Jakub – zaklina Józek.

– Ty już, kurwa, z nikim nie pogadasz! Szczękę ci roztrzaskam – krzyczy Jakub i przymierza się do decydującego starcia, zaczyna młynkować ławką jak młociarz przed rzutem po olimpijskie złoto. Weronika z piskiem ucieka do knajpy, teraz to jest dopiero wilgotna, spocona ze strachu, posikana nawet.

A Jakub zbliża się jak helikopter z *Czasu apokalipsy*, jak archanioł śmierci Gabriel, jak Kylo Ren z mieczem świetlnym. Wywija ciężką ławą dookoła, energia kinetyczna w urządzeniu narasta. Ławka mija mnie o kilkadziesiąt centymetrów, za chwilę Józka o kilkanaście, a potem trafia mnie w głowę. Kiedy się przewracam, widzę, że Jakub dokładnie tak samo trafia Józka.

Z knajpy wybiegają Elżbieta, Anka, Łukasz, za nimi stary Zachara, bo wolniejszy, na końcu Maryśka, bo strach plącze jej nogi. Strach o to, co zobaczy.

Widzi mężczyznę opartego o postawioną na sztorc ławkę, ciężko dyszącego z wygasającego szału. I drugiego, z zakrwawioną głową, plującego krwią, z oczami zalanymi krwią, całego już krwią umazanego. Jak Baranek Boży jakiś.

Słychać syreny karetki, policji, robi się przed knajpą niezła dyskoteka od kogutów na dachu. I to ostatnie, co pamiętam przed utratą przytomności.

Jz 9, 22-28

Zegar na izbie przyjęć szpitala w Nowym Targu bije dwunastą w nocy. Zaczyna się nowy rok dwa tysiące dwudziesty. Z telewizora pani w błyszczącej sukience uśmiecha się z kieliszkiem szampana w ręku i coś mówi, ale głos wyłączony, więc wygląda to dość komicznie.

– To już taka tradycja, że ważne momenty w naszym wspólnym życiu obchodzimy w szpitalu – żartuje Elka. Szpital w Nowym Targu powinien być wpisany na listę przez wojewódzkiego konserwatora zabytków, żeby

tam nic nie wolno było zmienić. Bo tam się nic nie zmienia. Nawet recepcjonistka ta sama i do tej samej fryzjerki chodzi, widać.

Czekają na wynik operacji, co ze mną będzie. Wesele czy pogrzeb? Rozwalił mi łeb Jakub czy tylko w łuk brwiowy trafił i zrobił krwawą jatkę, ale małym kosztem neurologicznym?

– A wiecie, co ta kurwa powiedziała policjantom? – nie wytrzymuje Anka. – Że Józek oszalał, sam się zaczął z ławką miotać i sam się pobił. A Jakub mu wybiegł na pomoc, żeby go w tym szaleństwie powstrzymać, i mu ławkę z rąk wyrwał. No i może przy tym wyrywaniu doszło do urazu, ale to Józka wina.

– Wina Józka?! – dziwi się stary Zachara.

– Tak policjantom powiedziała, a oni jej uwierzyli. I teraz się bawią, książę Podhala jebany ze swoją nałożnicą. – Anka się złości, co u niej rzadkie. Rudymi włosami potrząsa zagniewana. Łukasz ją ściska za rękę, że już dobrze, już dobrze, pokój na Podhalu.

– Lekarz panią prosi. – Recepcjonistka jest nieoceniona. Widzi, że siedzi na korytarzu pięć osób, a zwraca się tylko do Maryśki. Bo jak ktoś nie jest z rodziny, to nie może dostać informacji o stanie.

– Chodźcie – mówi do wszystkich Maryśka. I tak patrzy na recepcjonistkę, że ta nie protestuje, kiedy przed jej oczami przesuwa się cały korowód.

– Dzień dobry. Więcej was matka nie miała? No dobrze, mam dobre wiadomości. – Lekarz się cieszy. Może jest po prostu życzliwy, może jest tak dumny z sukcesu, a może jedno i drugie. W ogóle rozmawiają ze sobą, jakby się znali jak łyse konie. – Będzie żył. Możecie z nim chwilę porozmawiać, tylko go nie zmęczcie w piątkę – mówi, na chwilę głos zawiesza i dodaje z wahaniem: – Taki uraz może spowodować nieoczekiwane zmiany neurologiczne. Naruszyć poczucie tożsamości. Albo przywrócić poczucie tożsamości. Rozmawiałem z nim, czy wie, gdzie jest, kim jest, co się stało, co się dzieje. I wie więcej, niżbym pomyślał.

– Dobrze – mówi Maryśka. Patrzy doktorowi w oczy. – Dobro wraca, panie doktorze, niech pan pamięta.

Wchodzą. Maryśka idzie pierwsza, widzę ją jak w obrazie zwężonym do najmniejszej perspektywy.

– Jak się czujesz, Józek? – pyta Maryśka.

– Dobrze, Marysia, dobrze. Dziękuję ci – mówię.

– Nie wzruszamy się, bo łzy będą piekły potrójnie – odzywa się z tyłu lekarz. Dowcipny naprawdę.

– Jestem przy tobie. Zawsze byłam – odpowiada Maryśka. Ona też jakby się przemieniła dziś jakoś. Rodzinne święto przemienienia czy co.

– Maria, dziękuję ci. – Rzeczywiście lekarz ma rację: kiedy przez rany na twarzy ciekną łzy, to piecze, jakby mnie ktoś chłostał. Maryśka wyciąga chusteczkę jednorazową z torebki i stara się delikatnie obetrzeć mi oko, nie dotykając rany. Kochana. Zatapiam się, powoli przypomina mi się cała bijatyka z Jakubem, Weronika. Helikopter z ławki. Uderzenie w głowę. A Staszek? Co ze Staszkiem?

– Co ze Staszkiem?

– Co ze Staszkiem? – powtarza pytanie Maryśka. Rozgląda się po wszystkich, wszyscy zamierają. Maryśka bierze głęboki oddech. I postanawia zaryzykować, wyłożyć wszystkie karty na stół, skoro takie święto przemienienia. – Ty jesteś Staszkiem, Józek.

Nie rozumiem. Ale ci ludzie, którzy stoją obok, stary Zachara, Łukasz, Elka i Anka, chyba takie mają imiona, kiwają głowami.

– Co ze Staszkiem, Marysia?

– Ty jesteś Staszkiem, Józek – powtarza Marysia. – To było twoje drugie ja. Czasem ci się wydawało, że jesteś Staszkiem z Warszawy, dziennikarzem, który przyjechał do Rabki i pracuje w warsztacie samochodowym.

– Nie za dużo naraz, ostrożnie, bo to odrzuci – uprzedza Maryśkę szeptem lekarz.

– Ja jestem Staszkiem, dziennikarzem z Warszawy, który pracuje w warsztacie samochodowym?! – powtarzam to jak bajkę o żelaznym wilku, próbuję sobie to poukładać. Wciągam powietrze nosem, czuję

zapach szpitala. Potem zapach Maryśki, skąd ona bierze te perfumy pachnące Bliskim Wschodem i piaskiem? A potem dociera do mnie z pamięci zapach warsztatu samochodowego, kanału, smarów.

– Ale przecież robiłem rozrząd! Setki razy robiłem rozrząd! – krzyczę prawie. Eureka, robiłem rozrząd.

Lekarz się uśmiecha, głową kiwa. Cała asysta też. Tacy odstrzeleni, jakby tu prosto z wesela przyszli. A, sylwester był, prawda. To co z tym warsztatem?

– Tak, robiłeś rozrząd, Józek. Ty robiłeś rozrząd. Ojciec cię tego nauczył, jeszcze jak mieliście dużego fiata. Jedynej rzeczy, jaką umiałeś zrobić przy samochodzie. I Andrzej cię czasem brał do tej roboty, jak mieliśmy gorzej z kasą.

– Andrzej? Gorzej z kasą? – Zaczynam się znów gubić.

– Jak miałeś mniej zleceń. Pamiętasz, jaką masz pracę, co robisz, jak się nazywasz? – pyta Maryśka, jakby chciała to na szybko zaklepać. Zaklepane, uzdrowione.

– Ja jestem Józef, cieśla z Rabki. Pracuję w warsztacie samochodowym, gdzie wstawiam okna drewniane i meble do samochodów – odpowiadam powoli, z namysłem, z nabożeństwem prawie. Odkrywam swoją tożsamość, ale nie do końca rozplątaną jeszcze. No bo rżą, Elka z Anką rżą zdrowym, uczciwym śmiechem.

– Wystarczy, wystarczy na dziś. – Lekarz kładzie Maryśce rękę na ramieniu. – Dużo rozplątywania przed wami. Kiedy jesteście zapisani na wizytę? Spojrzę w kalendarz… Dopiero na koniec stycznia. To was jeszcze dopiszę na przyszły tydzień. Józka nie będziemy tu długo trzymać, na trzeci dzień go puścimy, tylko proszę obserwować dalej.

– Dziękuję, panie doktorze. Zawsze wierzyłam, że się uda – odpowiada Maryśka.

– Sama psychoterapia by nam nie wystarczyła, gdyby neurologia nieoczekiwanie nie pomogła – odpowiada lekarz.

Znają się, dobrze się znają. Może ja też się znam z tym lekarzem. Może… Ale kto? Ja Józek? Ja Staszek?

– Panie Józku… Albo Józek, bo od lat jesteśmy na ty. Idź odpocznij teraz. Dużo pracy przed nami, musisz mieć dużo siły.

– Amen – mówię, bo nie wiem, co odpowiedzieć. I wszyscy znów wybuchają szczerym śmiechem. Nie, chyba nie znam tego lekarza. To chyba Staszek go znał.

Jz 9, 29-35

Przyjedź po mnie, proszę, pisze Magdalena w esemesie, zabierz mnie do domu, przytul mnie, żebrze w kolejnych. Chociaż z Krakowa mnie odbierz z dworca, chociaż na busa przyjdź na Jana Pawła, chociaż mnie odwiedź, po prostu bądź.

Lechu patrzy smutno na komórkę. I trochę ciężko, bo jak na Markowych Szczawinach pierwszego stycznia rano nie masz kaca, to znaczy, żeś nie Polak.

Smutno, bo ona sobie teraz pomyśli, że on się na niej odgrywa. Że jest zazdrosny o jej wyjazd do Warszawy. O to, co robiła, z kim była. Że dlatego ją odtrąca, że dlatego nie przyjedzie po nią ani do niej nie przyjedzie. Na razie. Bo przecież kiedyś się spotkają, to obejmie, przytuli. Ma ją w sercu, zawsze będzie miał, ale nie może się teraz zajmować swoim sercem ani jej sercem. Ani swoją chęcią, swoją chucią. Ma teraz coś innego do zrobienia.

Magdalena jedzie pociągiem w podartych pończochach. Owszem, chciała przygody, ale nie chciała takiej orgii. Chciała seksu, dobra, przyznajmy, chciała seksu, ale z miłością, nie z brutalnością. Pieniędzy nie chciała, nie będzie kurwą jak Patrycja. I, kurwa, nie wzięła ani centa, tylko pobiegła na pociąg rozczochrana z plecakiem.

Pociąg mija Zachodnią, Pruszków, Grodzisk i wjeżdża w nicość. Wielkie puste połacie Polski, której nie ma. Pola, lasy, wsie w oddali. Tak oddalone

od siebie, że gdyby człowiek chciał dotrzeć z jednej do drugiej na piechotę, musiałby zabrać plecak jedzenia na drogę albo osła jucznego z bukłakami wody, żeby nie paść w drodze. Tak wygląda pusta Polska.

Lechu patrzy na tę Polskę z góry. Idą z Jaśkiem i Szymonem we trzech przewietrzyć się, pooddychać zimnym powietrzem. I porzucać śnieżkami, bo to jednak dzieciaki jeszcze ciągle przecież. Schodzą na polanę nieopodal, skąd widok się roztacza. Dla Jaśka i Szymona to widok na Zawoję, na Suchą, na Maków Podhalański i próbują Kraków wypatrzyć, bo starzy górale powiadają, że można było z Babiej zobaczyć dachy krakowskich kamienic, ale to jak był mniejszy smog w kraju.

A Lechu tu widzi Polskę. Wielką pustą przestrzeń, chłonną jak polski czarnoziem w upalne lato przed tornadem. Taka pusta Polska. Możesz ją wypełnić miłością, możesz wypełnić nienawiścią. Strachem przed obcymi albo otwartością na innych. Obawą, że inni cię skrzywdzą, albo ciekawością, czego się od innych można nauczyć. Wojną albo pokojem.

Lechu czuje, że chce wyjść do ludzi, iść od wioski do wioski, nieść ludziom dobrą nowinę. Że nie muszą się bać. Że on, ciapaty, niczego im nie chce zabrać. Że chce im dać takie poczucie mocy, żeby ono zależało od nich samych. Nie od innych ludzi. Od pedałów, warszawiaków, feministek. Że jedno jest tylko przykazanie – szacunku. Szanuj bliźniego swego jak siebie samego.

– Pójdziecie ze mną? – pyta Jaśka i Szymona, kiedy kończy im opowiadać, kiedy widzi ich zapalonych tą wizją zmiany świata, bo świat trzeba zmienić, nie można zaakceptować tego testamentu, który zostawili im rodzice. – Obejdziemy całe Podhale. Skawę, Murzasichle, Białkę Tatrzańską, Dobczyce, wszystkie wioski i miasteczka aż po Limanową, po Myślenice.

– Dla mnie luz, musiałbym tylko do matki esemesa wysłać – mówi Jasiek flegmatycznie. Ma luza większego niż ciocia Ania, jest wyluzowany do kwadratu.

– Mnie to stary zajebie – krzywi się Szymon. – Wrócił teraz na święta do domu i cały styczeń w Rabce siedzi.

– Kurczę, potrzebuję was – martwi się Lechu. – Potrzebuję ciebie, Janek, i ciebie, Szymon. Bez was to nie będzie to samo. Człowiek nie zmieni sam świata, muszą to zrobić miliony, a zaczyn też nie może wyjść od jednego człowieka. *Trójca po wsiach popierdala,/ Niosąc pokój dla Podhala*.

– Lechu, zajebista byłaby pielgrzymka, ale ojciec by się wkurwił. Bo mam się uczyć, żeby mną nikt nie pomiatał, tak jak nim. Tak mówi. Nie będziesz robolem, któremu inżynierek każe przykręcać śrubki, tylko ty będziesz kazał innym te śrubki przykręcać. Taką ma wizję świata, dziad jeden – złości się Szymon.

– Wybacz mu. – Lechu podnosi rękę gestem Mojżesza, ale że trochę w tym niewprawny jeszcze, to wygląda, jakby heilował, więc ją szybko opuszcza. – Wybacz swojemu ojcu. I sam staraj się być lepszy. Gdyby wszyscy ludzie tak zrobili, świat byłby lepszy.

– Coś odlatujesz, Lechu. Ja mu mogę wybaczyć, ale i tak mnie nie puści – mówi Szymon. Wyciąga z kieszeni piersiówkę żołądkowej gorzkiej. Klin klinem. Popijają wszyscy z jednej butelki, po warszawsku. Siadają na zwalonym pniu, tu już zima nie sięga, prawie śniegu nie ma. A wódka rozgrzewa, to jakaś uniwersalna prawda, bo rozgrzewa i górali, i warszawiaków, i nawet Arabów, o ile piją.

– Lechu, wiesz, tak sobie myślę – zaczyna Jasiek. Poprawia się, mości, jakby się szykował do przemowy. – Po chuj będziemy chodzić po tych wioskach. To oczywiście jest piękny obrazek. We trzech zbliżamy się do Murzasichla, może ktoś by nam w Zębie osła podarował, to ty byś jechał na tym ośle. Ludzie wychodzą z chałup, idą za nami, ktoś puszcza z głośniczka *Hosannę,* jeśli ma abonament na Spotify i bateria wytrzyma na mrozie. Gałązek oliwnych nie ma, ale dzieciaki biegną i gałęziami świerkowymi machają nam nad głowami, żeby smog rozwiewać. Panny z wonnymi olejami biegną, co je zajumały w galerii nowo otwartej, ale na grzyba nam te oleje. Już lepiej by mogły podpierdolić kondony. Mijamy kościół, ksiądz wychodzi na schodki, a my krzyczymy „faryzeusz, faryzeusz".

Szymon zanosi się już od śmiechu, Jasiek rechocze z własnego żartu. Lechu też się zaczyna uśmiechać.

– No dobra, beka z Jezusa – rzuca, ale Jasiek dopiero się rozkręca.

– A ja ci powiem, jak by to było naprawdę. Dochodzimy do Murzasichla, psy na nas szczekają, dupami, jak to w Murzasichlu. Ludzie siedzą w chałupach, starzy oglądają telewizję publiczną, a młodsi siedzą na TikToku. Ktoś wrzuca na Messengerze wiadomość, że trzech osłów weszło do wsi i się zakładają, czy pijani i zaczną wyć *Jolkę*, czy trzeźwi, tylko pojebani, żeby tu leźć po nocy, bo przecież teraz noc pod Tatrami to się o czternastej robi, a wcześniej też trwa, bo człowiek skacowany gorzej widzi. Smog taki, że musimy gałęziami machać, żeby go rozgonić i coś przed sobą zobaczyć. Panny się pierdolą z chłopcami po kątach bez gumy, bo ksiądz faryzeusz zakazuje w gumie, on sam nigdy w gumie, więc potem parafia będzie organizować pielgrzymki na Słowację. Panowie do świątyni, panie na aborcję.

Szymon pęka ze śmiechu, ale Jasiek poważnieje, a Lechu robi się zatroskany.

– To co? Nic nie robić? Wracamy do domu, po Trzech Królach na zajęcia do Krakowa i co? Mam czekać, aż mi matkę zaciukają, bo ma ciemniejszą skórę? – pyta Lechu.

– Stary! Robić! Powiedz mi, jak dotrzeć w pięć minut do pięciu tysięcy ludzi? – odpowiada pytaniem Janek.

– No… w necie.

– No właśnie! Ilu masz followersów na kanale?

– Piętnaście tysięcy.

– To schodzimy i siadamy do konta. Widziałem się wczoraj z Setnikiem, mówił, że ma furmankę nowych bitów. Bierzesz bity, szyjesz nowe kawałki i wrzucamy to do sieci. My się z Szymonem zajmiemy promocją, okej, Szymon?

– No jasne. Ten twój kawałek *Pan Faryzeusz* jest zajebisty – kiwa głową Szymon. – Ja bym ci tylko zmienił nazwę kanału, bo kto to jest Lechu z Murzasichla? Jakiś góral. Coś bym pokombinował bardziej uniwersalnie… Jakbyś był laską, to można by dać EwaNgelia, biblijne imię

i nazwisko jak z Afryki. Fajne jest słowo „przypowieści”, ale jednak trochę archaiczne. Lech – fajne masz imię, dobre na memy, ale jak na kanał, to się z piwem i z piłką nożną za bardzo kojarzy, z Kolejorzem.

– Może Morda? – proponuje Jasiek.

– Ale dlaczego Morda?

– Bo nie gęba. I że własną twarzą świadczysz – mówi Jasiek. – No dobra, przekombinowane.

– To może Lechu Napierdala z Podhala – proponuje Szymon.

– Nie za ostro? Może Lechu Nawala z Podhala – łagodzi Jasiek.

– Dobre. Mamy to. Nawala czy Napierdala, na jedno wychodzi. W skrócie LechuNzP, hasztag będzie niezły – wykrzykuje Lechu. – I taka fajna dwuznaczność, że niby napierdala z wysokości na całą Polskę, ale też trochę sam się z siebie i ze swojego Podhala może ponapierdalać. A jakby co, to wcale nie napierdala, tylko nawala. Dobre, Szymon, dobre, Janek. Ale zanim zejdziemy na ziemię, to chodźmy jeszcze na chwilę do nieba. Kto idzie jeszcze raz na Babią?

Jz 9, 36-44

Na Trzech Króli jesteśmy już w domu. Maryśka przyjeżdża po mnie autem do Nowego Targu, ale mijamy Traczykówkę i jedziemy prosto do Zacharów.

– Przyjęcie niespodzianka! – Elka wita ich w drzwiach szeroko rozpostartymi ramionami jak Chrystus w Rio. A w środku oprócz Koconiów są królowie Mszany, jest Darek z Adasiem, który też niedawno ze szpitala wyszedł, a do ludzi to chyba pierwszy raz od tamtego czasu. Władysław spod Kasztanów, bo się zakolegowali, chcą na wiosnę serio ruszyć z tym Barem u Władka na bulwarach, chociaż nikt nie wie, jak dotrzeć do Władka. Nawet Andrzej jest z warsztatu samochodowego.

– Józek! Cudowne uzdrowienie, słyszałem. Chodź, niech cię uściskam, Stachu mój. – Robimy z Andrzejem niedźwiedzia.

– Weź mu tak nie mów, bo znów mu się cofnie – żartuje Maryśka, ale rzeczywiście trochę się boi, czy mi urojenie ze Staszkiem nie wróci.

– Co ma mu się cofnąć? Jak będzie trzeba, to mu się w łeb da jeszcze raz – puka się w czoło Elka i śmieje się tak zaraźliwie, że Józek też się zaczyna śmiać.

– Musicie mi wszystko opowiedzieć. Pół życia straciłem pewnie – uśmiecham się.

– No nie wiem, czy wszystko to byś chciał wiedzieć – odpowiada Elka. – Ale dojdziemy do tego, dojdziemy. A teraz rozbierajcie się i karniaka trza wypić. O auto się nie martwcie, Jasiek was odwiezie.

– Jak wróci na noc – mówi stary Zachara. – Oni teraz we trzech u was siedzą i jakieś nowe nagrywki kombinują.

– We czwórkę, bo jeszcze Magda do nich przyłazi i kanapki im robi, kawę i herbatę, jak Pan Bóg przykazał – dodaje dumny Łukasz.

– No nie wiem, czy Pan Bóg rzeczywiście przykazał dziewczynom robienie kanapek, kiedy chłopaki nagrywają. Może twój Pan Bóg – dogryza mu Anka.

– LechuNzP ma się to nazywać, mówili mi. – Maryśka omija spór o rolę kobiety we współczesnym świecie. – Ładna nazwa, chociaż dziwna. Ale dobrze, że się angażują, całymi dniami siedzą od Nowego Roku.

– To najwyżej na piechotę wrócicie. Macie sobie pewnie dużo do powiedzenia. – Elka nas ściska i jednocześnie do środka zaprasza.

– Józek, Józek – zaczynają skandować na mój widok królowie Mszany, a reszta się dołącza. Stary Zachara wstaje i obejmuje mnie mocno. I wiem, że zaraz do stołu podejdzie, wody sobie do szklanki naleje i wzniesie toast, że on niepijący, ale za zdrowie odzyskane przez naszego przyjaciela Józefa wszyscy wypijcie. Z wszystkimi się witam na misia, na przytulenie, z chłopami też, bo po wódce się w człowieku braterstwo rodzi, z gejami, naszymi pedałkami, też, bo co mnie obchodzi ich orientacja.

A może trochę obchodzi? Staszka nie obchodziła wcale, on warszawiak, on miał tęczową krew w żyłach. Mnie niby też nie, ale ja jednak góral jestem z krwi i kości. Józef, cieśla z Rabki. Skąd mi się ten Staszek wziął? Musimy porozmawiać z Maryśką, a może z tym lekarzem z Nowego Targu. Neurolog, psycholog i psychiatra w jednym, a może i szaman, bo Nowy Targ to przecież nie Warszawa. Właściwie te miasta są trochę podobne, tylko że u nas wytykają palcem gejów, a w Warszawie znachorów i poszeptuchy.

– Ja niepijący wprawdzie – mówi stary Zachara, wznosząc szklankę z wodą – ale wy za zdrowie naszego przyjaciela Józka wszyscy wypijcie. Józku, byłeś tu z nami w dwóch osobach, teraz bądź w jednej, swojej, góralskiej.

I pijemy, po warszawsku, każdy ze swojego kieliszka. Mnie nalewają pół, lekarz mówił, żeby ostrożnie. Zresztą zmęczony jestem po szpitalu, głowa mnie boli. Bitka jakaś była w Nowym Targu na sylwestra, muszę się Maryśki o wszystko wypytać.

Tymczasem w Ludźmierzu w kancelarii parafialnej na zapowiedzi dają narzeczeni – Jakub z parafii tutejszej i Weronika z kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Targu. Weronika postawiła sprawę jasno: albo ślub, albo idzie się puszczać na rynku w Nowym Targu, turyści tu na lody słynne na całe Podhale przyjeżdżają, to teraz będą jeszcze słynniejsze. Jakub zważył sprawę w sercu, przed obrazem Matki Boskiej Ludźmierskiej się pokłonił, a potem do księdza poszedł się wyspowiadać, a ksiądz go oświecił światłością ostateczną, postawił mu aureolę nad i. Że po pierwsze, Weronikę trzeba związać przysięgą wierności, bo inaczej się zagubi w pożądliwości swojej. A po drugie, żeby nigdy w gumie nie brał kobiet, bo po to go Pan Bóg stworzył góralem jurnym, żeby nasienie rozsiewał. I po całym Podhalu niech rozsiewa, jeśli wolę bożą poczuje.

Więc na Wielkanoc będzie wesele wielkie w Ludźmierzu. A zamiast nocy poślubnej być może mała orgietka, znając upodobania Jakuba i Weroniki. Ale w ukryciu, żeby zgorszenia nie było.

Tydzień później młodzi zajeżdżają do Rabki. Wesele będzie w Siwym Dymie, kapela Pietrka musi przygrywać, bo to sól ziemi podhalańskiej. Na świadków biorą Sandrę z Klikuszowej, bo ona się widzi Jakubowi, oraz Jędrka z Harkabuza, bo on się widzi Weronice. No i ważny element ceremonii – auto. Motocyklami nie będą zjeżdżać, bo to nie dość szyku. Jędrek radzi, żeby u Andrzeja auto zamówić niemieckie, odszprycowane, skrzyżowanie merca z beemką i z felgami chromowanymi. Andrzej je na handel sprowadzi, a za drobną opłatą wypożyczy i jeszcze w uniformie szofera młodych odwiezie.

I wszystko byłoby pięknie, po bożemu, gdyby nie to, że przed warsztatem Andrzeja wpadają dokładnie na nas.

– Zakochana para z tysiąca i jednej nocy – prowokuje Jakub.

– O co chodzi? – pytam Jakuba, a Maryśka mnie ściska za ramię, żeby znów bitki nie było.

– Że macie wypierdalać z Polski stawiać lepianki na pustyni. – Jakub się zatrzymuje, ręce na biodra bierze, jakby je na pasie harnasia opierał. On tu porządek zaprowadzi. Polski porządek, a nie szariat.

– Dość! Idziemy! – Weronika bierze sprawy w swoje ręce. Ciągnie Jakuba do auta, jeszcze muszą wódkę na wesele załatwić, a w GS-ie w Harkabuzie coś kręcą nosem. Ale złe ziarno znów pada na rabczańską glebę, ludzie przecież słyszą, przecież sobie powtarzają, przecież w necie piszą. Zanim Weronika z Jakubem wyjeżdżają z Rabki, na Traczykówce już wiedzą, że Maryśka chce tu szariat zaprowadzić, wielożeństwo. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że jej mąż miał kochankę oficjalną niemalże w Nowym Targu i teraz się na ulicy spotykają i rozmawiają sobie? Niech ona lepiej jedzie do siebie, na swoją pustynię, zrobimy jej składkę na Zrzutka.pl na bilet w jedną stronę.

Zima robi się mroźna. Ludzie hajcują węglem ile wlezie, smog nad Rabką wisi, turystów odstrasza. Ludzie mają inne zmartwienia, w internecie piszą, że gmina chce zakazać palenia węglem. To czym mają palić? Szmatami? Emocje przenoszą się gdzie indziej i za tydzień już nikt

za Maryśką nie mruknie, że szmata, nie splunie na trotuar, co by zaraz zresztą zamarzło.

– Marysia – pytam ją w końcu, kiedy na piechotę wracamy z zakupów na Traczykówkę skrótem przez bulwary. Bo wiem, że muszę zapytać. – Co ja robiłem? Co robił Staszek? Nie wszystko pamiętam.

– Miałeś kochankę w Nowym Targu. Weronikę. Latami. Ludzie wiedzieli. Tylko Józek nie wiedział – usprawiedliwia mnie Maryśka. Idziemy w ciszy, muszę zadać najbardziej banalne pytanie świata.

– Wybaczysz mi?

– Ja ci wybaczyłam wszystko, zanim przyszłam do Rabki na piechotę dwadzieścia lat temu. I zanim mi pomogłeś stanąć na nogi przed Kasztanami – mówi Maryśka.

Śnieg, bo w końcu spadł w Rabce śnieg, skrzypi pod nogami, idziemy przez park, omijamy Kasztany z drugiej strony. Omijamy moje ekscesy, może Łukasza powinienem o to wypytać albo Elkę Zacharową, ona wszystko wypali prosto z mostu.

– Doktor Wójciak z Nowego Targu uważał, że tę drugą osobowość twój umysł wytworzył na wszystko, co nie było dla ciebie spójne z wizją górala pracującego w drewnie. Staszek był warszawiakiem, znał się na samochodach, był otwarty na świat. Ale… – Maryśka zastanawia się, jak to powiedzieć. – Ty się latami od Staszka też tego uczyłeś. Więcej masz w sobie z warszawiaka, z obywatela świata, niż z zatwardziałego górala, Józek.

– I w głowie mi się nie mieściło, żebym mógł mieć kogoś poza tobą. – Jednak próbuję chociaż trochę wypytać Maryśkę. Bo to tak, jakbyś dostał do ręki nową książkę i okazuje się, że to książka o tobie. Też będziesz się starał zajrzeć do środka i czegoś dowiedzieć.

– Tak. Ale ja tego nie chcę wiedzieć. Wiem, że tak było, ale nie chcę żyć tą wiedzą. To choroba była – odpowiada Maryśka. – Dzieci na ciebie po wsiach mówią „Święty Józek” i niech tak zostanie.

Jednak jeszcze trochę podrążę.

– Kochałaś się kiedyś ze Staszkiem?

Maryśka milczy, śnieg skrzypi. W końcu odpowiada.

– Tak, raz. Było zupełnie, zupełnie inaczej.

Oddychamy wiosną. Na wiosnę ludzie przestają palić w chałupach i powietrze w Rabce robi się trochę czystsze.

– A skąd mi się to wzięło? – Zmieniam temat na bezpieczniejszy.

– Pamiętasz swoich rodziców? – pyta Maryśka. I znów mnie tak jakoś ściska mocniej pod ramię, jakby chciała mnie przytrzymać, gdybym znów się miał obsunąć w chorobę. Bo tu ważne rzeczy będą mówione.

– Mama miała na imię Ewa, pracowała w przychodni. Umarła, kiedy byłem mały. Ojciec… Ojciec miał na imię Jakub. Pracował w urzędzie gminy, był kierowcą chyba, miał też warsztat stolarski, coś tam sobie dłubał.

– No właśnie – odpowiada Maryśka. – Tak było. A wiesz, co mówił Staszek? Że jego rodzice to Ewa i Adam. Nie Jakub, tylko Adam. Poznali się na nartach, on był z Warszawy, przyjechał tu na ferie. Zbliżyli się, ale ferie się skończyły i on odjechał. Staszek twierdził, że przyjeżdżał tu jeszcze parę razy dużym fiatem, że razem dłubali przy samochodzie w wakacje. Ale twoja mama mówiła, że nigdy już tu nie przyjechał. Wyszła za Jakuba z urzędu gminy i to on był twoim ojcem.

– Nie można mieć dwóch ojców – protestuję.

– Ani dwóch osobowości. A jednak czasem można – odpowiada Maryśka. – Pamiętasz, co było dalej? Byłeś trochę młodszy niż Lechu dzisiaj, jak twoi rodzice zginęli w tym głośnym wypadku na zakopiance. Na miejscu. Lekarz mówi, że to z tej traumy wziął się Staszek, że wtedy go stworzyłeś.

– Czy to mi nie wróci? – niby pytam. Ale przecież wiem, że nie. Widzę przyszłość wyraźniej niż przeszłość. To niemożliwe, ale wiem, że za zakrętem pod górę na Traczykówkę Maryśka się poślizgnie, ja będę ją próbował przytrzymać i runiemy oboje w pryzmę śniegu.

Za płotem ujada pies. Potwornie, jakby chciał zagryźć, rozszarpać. Dlaczego u nas w Rabce psy tak nienawidzą obcych? W Warszawie,

w Krakowie tak nie ma chyba. Staszek by wiedział na pewno, ale już go nie mam jak zapytać. To kwestia łańcucha? Czy tego, że pies upodabnia się do właściciela?

Skręcamy pod górę i przewracamy się na śliskiej drodze w pryzmę śniegu, i całujemy, jakbyśmy znów byli młodzi. A przecież to już nie nasz czas, to czas Lecha.

Jz 9, 45-52

Weronika przeciąga się jak kotka. Tyle że Jakubowi skoki narciarskie w telewizji zasłania. Posunęłaby się, do kuchni by poszła, kolację by podała. Musi się przecież do roli żony przygotować. Ksiądz mówił na naukach, żeby się młodzi nie ćwiczyli w fizycznym pożądaniu, bo to się dopiero w małżeństwie objawi, ale żeby się wprawiali w powinnościach w rodzinie – że żona mężowi podaje, dba o niego, a on jej wdzięczność okazuje gestem i dobrym słowem.

Jakub uważa, że księdza pojebało w tej pierwszej sprawie. Czy ksiądz naprawdę sobie wyobraża, że facet po trzydziestce nosi trąbę słoniową w spodniach i może ją sobie zawiązać na supełek? Ale w drugiej kwestii to Weronika powinna się wprawić, ma tu dużo do nadrobienia, cały internet przepisów kulinarnych i krótki kurs holowania przyszłego męża od znajomych, kiedy trzeba go wspomóc, bo z sił opadł.

Weronika natomiast uważa, że księdza pojebało w obu kwestiach. To już nie to samo Podhale, na którym księdza trzydzieści lat temu wyświęcali. Teraz, jak trzeba będzie walczyć o Polskę, to ona z Jakubem ramię w ramię stanie. Jak sobie chciał Jakub znaleźć służkę, to wystarczyło skinąć na Ukrainkę jakąś, która by mu nogi myła za obywatelstwo i jeszcze śpiewała dumki przy tym. A jak się związał z Weroniką, to się będzie musiał nauczyć, że są razem – w łóżku, w kuchni i na froncie walki o Polskę. Bo ten front już się zbliża, w prognozie pogody mówili.

Siada obok narzeczonego. Jednak mama miała trochę racji. Być u boku mężczyzny to jest jakiś spokój. Hormony się uspokajają. Nie żeby znielubiła seks, jej to nie grozi, temperament ma po matce i po ojcu jednocześnie. Widziała ich nieraz, co robili w nocy na wersalce, podglądała, jak była malutka. Potem w łóżeczku marzyła, żeby też tak robić z chłopcami, i dość szybko zaczęła w pierwszej klasie gimnazjum. Dobrze, że zlikwidowali te gimnazja, bo na jaką drogę by ta młodzież zeszła. Teraz są w podstawówkach i całą chuć im odjęło.

Weronice odjęło połowę chuci, kiedy poszła do ogólniaka, kiedy zrozumiała, że rozpasanie seksualne to plan żydo-masoński, żeby Polki i Polaków zwieść na zatracenie, a młode dziewczęta wywozić do niemieckich burdeli i żeby nagrywały pornosy do kategorii Polish. Sam se poliż, niemiecki żydu! Tak przez lata walczyło w niej to pożądanie w dzieciństwie rozbudzone i rozpalone na dobre w gimnazjum – ze świadomością młodej Polki, polskiej dziewczyny. Rozdarta była, aż znalazła spokój w ramionach Jakuba. Kiedy poszli ze swoją miłością do kościoła, kiedy księdzu to uczucie zawierzyli, kiedy ustalili datę ślubu, od razu się wszystko ułożyło, prosto i pięknie jak zboże polskie na polskiej ziemi rośnie.

Więc siada przy narzeczonym, co skoki w telewizji ogląda, sama laptopa odpala, bo ją te skoki śmiertelnie nudzą, od kiedy Małysz nie skacze. On to Niemcom pokazał, że Polaka lekceważyć nie wolno. A teraz następcy Małysza co ją obchodzą? Tak jak z Jezusem Chrystusem. Przyszedł, dał ludziom przykazania, jak mają żyć – i, kurwa, mają tak żyć, już Weronika tego dopilnuje, a jak pożądanie jej w tym przeszkodzi, to się wyspowiada, ksiądz się ucieszy – a potem miał Chrystus następców. No i jak jesteście tacy cwani, to wymieńcie chociaż trzech. Dwóch to wiadomo, Święty Piotr i papież Polak Jan Paweł II. Ale kto był po Świętym Piotrze? Nikt nie wie. A po papieżu Polaku? To akurat wielu może pamiętać, bo wielu się zastanawia, jakie to były ścieżki bożej myśli, że był papież Niemiec. Chwała Bogu, że go Bóg oświecił i Niemiec abdykował, chociaż nie wiadomo, czy z tym papieżem Franciszkiem to nie jest jeszcze dziwniejszy zamysł Boży.

On z tego Rzymu słonecznego nie widzi chyba tych czarnych chmur zarazy ciapatej, co się zbiera nad Europą, nad Polską, nad Rabką.

Laptop się rozgrzał, złapał wi-fi. Sporo ludzi linkuje LechuNzP, co to jest? Wrzucone kilka minut temu, a już 72 udostępnienia.

Gdyby przyszedł dzisiaj Jezus i narodził się w stajence,/ Zanieślibyście dary i brali na ręce/ Czy byście zawiadomili opiekę społeczną,/ Że patologia urodziła dziecko?

Co to jest? Bluźnierstwa jakieś? Szczególnie że gościu, jakiś hiphopowiec jebnięty, który to wyśpiewuje, siedzi na białym tle, galabiję se ubrał, a twarz zasłania jak te biedne arabskie kobiety – bo fakt, że ciapate, ale jednak Weronika im współczuje, że muszą chodzić z workiem na głowie zmuszone przez terrorystów. Tylko oczy widać, natchniony jakiś. Ciekawe, jaki ma głos, bo Weronika śledzi tylko tekst dołem napisany, głosu przecież nie włączy, żeby Jakubowi nie przeszkadzać w oglądaniu.

A gdyby Matka Boska uśmiechnęła się swobodnie/ I byście zobaczyli, że ma rysy bliskowschodnie,/ Wyciągnęlibyście rękę: oto dłoń twojego brata/ Czy byście ją zbluzgali: ty kurwo ciapata?

Weronika aż mruży oczy ze złości. Bluźnierca. Linkuje go Warszawa, polskojęzyczni masoni z Berlina, podstępne komórki Al-Dżaziry na kraje słowiańskie. Nagłaśniają go, żeby nam, Polakom, pluć w twarz, naszej Matce Boskiej Częstochowskiej, Ludźmierskiej, Ostrobramskiej ubliżyć, Polskę upokorzyć, która jest Jej lennem, Jej królestwem prywatnym, mogłaby sobie tu na wakacje przyjeżdżać i kwaterę by miała w promocyjnej cenie zawsze.

A jak przyjdzie do was Pan Bóg, to co mu powiecie?/ „Nie sądziłem, Panie Boże, że masz kolorowe dziecię?/ Każdą szmatą mam się zająć, tęczowym bydlakiem/ Co ty mówisz, Panie Boże, czy nie jesteś Polakiem?”.

Tu już Weronika zaczyna się gubić, bo zwrotka trudniejsza. Jasne, że Pan Bóg jest Polakiem, jest mężczyzną, jest biały i wierzy w Boga. Czyli w siebie samego. Ale co ten bluźnierca jeszcze opowiada? Że Pan Bóg każe nam się zajmować spedalonymi szmatami z LGBT, którym tylko łeb o krawężnik rozwalić? Musi sobie jeszcze raz puścić całość, z głosem.

– Kuba, przycisz telewizor, coś ci pokażę – mówi. Słuchają oboje, oburzenie w nich rośnie z każdym wersem, przekracza Giewont.

Gdyby przyszedł dzisiaj Jezus i narodził się w stajence,/ Zanieślibyście dary i brali na ręce/ Czy byście zawiadomili opiekę społeczną,/ Że patologia urodziła dziecko?

A gdyby Matka Boska uśmiechnęła się swobodnie/ I byście zobaczyli, że ma rysy bliskowschodnie,/ Wyciągnęlibyście rękę: oto dłoń twojego brata/ Czy byście ją zbluzgali: ty kurwo ciapata?

A jak przyjdzie do was Pan Bóg, to co mu powiecie?/ „Nie sądziłem, Panie Boże, że masz kolorowe dziecię"?/ Każdą szmatą mam się zająć, tęczowym bydlakiem/ Co ty mówisz, Panie Boże, czy nie jesteś Polakiem?

Weronice ten głos wydaje się znajomy. Góralski zaśpiew słychać, podhalańską nutę. Kto to? Jakiś Lechu, ale jaki?

– To bachor Józka cieśli. Tego z Rabki. Bękart tej ciapatej zdziry, co tu się przybłąkała. – Jakub wolno, spokojnie odpowiada na pytanie, którego nie zadała. – Zabiję gnoja. Kiedyś go zabiję. I nastanie pokój na Podhalu.

Na szczęście skacze pierwsza dziesiątka, a w niej dwóch Polaków. Pogłaśniają, Weronika też się wciąga w finał konkursu, bo polska flaga na najwyższym stopniu zawsze ją cieszy, poza Noblem dla tej całej Tokarczuk, ale to nie Nobel, to jobel, żydowska nagroda za opluwanie Polaków. Szwedzi, którzy wszyscy są już multi-kulti i LGBT, dają te nagrody wyłącznie polakożercom: Miłoszowi, Szymborskiej, Tokarczuk.

– Ręka boska czasem długo wisi nad człowiekiem, daje mu szansę, żeby zrozumiał swój błąd, wycofał się z niego. I Józefowy bękart też będzie miał taką szansę. Ale w końcu miecz boży opada – mówi Jakub po skończonym konkursie, który dzięki Bogu wygrał Polak, więc jeszcze będą hymn grali polski w telewizji. – I ja będę tym mieczem.

– A ja szpadą – dodaje Weronika, co pozwala jej włączyć się do walki w obronie wiary, a jednocześnie uniknąć popularnego w mediach dylematu żeńskich końcówek, na który jest uwrażliwiona jako humanistka. A od słowa „miecz" ani by nie chciała utworzyć żeńskiego odpowiednika, ani nie umiała. Bo jak? Będę mieczą?

Jz 9, 53-62

Bóg się rodzi, śnieg topnieje. Ściślej, to Bóg wstaje z martwych, a śnieg jeszcze w górach leży, bo globalne ocieplenie – w które ci, którzy gorąco wierzą w Boga, nie wierzą – przesunęło pory roku.

Wielkanoc roku dwa tysiące dwudziestego zwiastuje wielkie rzeczy, które będą dziać się w Polsce w kolejnych latach. Wydarzenia, które przekroczą ramy świata, religii. Wojnę światów, którą wszyscy przeczuwają, ale nikt nie wie, gdzie się zacznie.

Zaczyna się na Podhalu. Stary Zachara to wie, a i ja też jestem coraz bardziej przekonany, bo coraz dziwniejsze rzeczy widzę w umyśle. Jakby puste miejsce po osobowości Staszka musiało zostać czymś innym wypełnione. Nie wróżem Tomaszem z Ezoterica TV, ale jakimś kwantowym przeczuciem przyszłych zdarzeń.

Zaczyna się w Ludźmierzu, gdzie Weronika, napływowa Ślązaczka, ale szczera Polka, wychodzi za Jakuba, górala, prawdziwego Polaka, samozwańczego harnasia. Panna młoda przyjmuje nazwisko męża: Kuraś. Po ceremonii na schodach ludźmierskiego sanktuarium maryjnego Jakub i Weronika Kurasiowie składają przysięgę Bogu Najświętszemu, że swoje życie poświęcą Polsce i Bogu, obronie Polski przed pohańbieniem, a Boga przed obrazą. A goście będą skandować „Maryja, Maryja" oraz „Polska, Polska", a nawet będą chcieli odśpiewać „Polska biało-czerwoni", ale ksiądz gestem Mojżesza da znak, że to jednak nie najlepszy pomysł, i zainicjuje wspólne odmówienie *Pod Twoją obronę*.

Zaczyna się też w Rabce, skąd Lechu Nawala z Podhala, ale to jeszcze nie dla wszystkich jest jasne. W Rabce, w której Józef wychodzi na ambonę podczas wielkanocnej mszy. Ja wychodzę. Po uroczystej zapowiedzi księdza:

– Józef cieśla, nasz brat, doznał ostatnio cudownego uzdrowienia. Pokonał chorobę, którą szatan umieścił w jego umyśle, sprowadzając do niego Stanisława, obcego, z Warszawy, człowieka miałkich wartości. Szatan liczył, że zatruje w ten sposób umysł Józefa. Ale Józef, prawdziwy

Polak, góral, pokusy odrzucił. Przynajmniej większość pokus – tu ksiądz patrzy znacząco na Marię, nieślubną żonę moją, co wprawdzie jest dopuszczone obyczajem współczesnym, ale literę przykazań Bożych narusza i stanowi cudzołóstwo. – Poprosiłem więc Józefa, aby w dniu Wielkiej Nocy, w dniu Zmartwychwstania Pańskiego, który dla nas wszystkich jest dniem odrodzenia, dał świadectwo swoje, aby nas umocnić w wierze i nadziei.

Wchodzę na ambonę powoli, ostrożnie, wręcz z ociąganiem. Jakbym wchodził na dach budynku po drabinie więźbę dachową montować. Ciężko mi, bo wiem, co mam powiedzieć. Wszyscy milkną, nawet dzieci w wózkach, przeczuwając, że usłyszą najważniejsze kazanie w swoim życiu, choć nie jestem przecież księdzem i formalnie kazać nie mogę.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – żegnam się, a wraz ze mną Maria, moja żona, Lechu, mój syn, i cały kościół rabczański. Elka ze starym Zacharą i z Jaśkiem. Koconiowie, ale bez Magdy, która ma teraz doła, deprechę od halnego, jakąś tęsknotę miłosną chyba, która powiedziała, że idzie dziś z pielgrzymką w góry, bo w górach też można znaleźć boże ścieżki. Żegna się Adaś, choć się od niego trochę odsuwają i znak pokoju przekazują sobie bez podawania ręki, bo nie wiadomo, gdzie ta ręka bywała. Ale bez Darka, bo raz, żeby się tak nie afiszować, a dwa, że Darek wolał sobie pójść na rower po raz pierwszy w sezonie, wystarczy że wczoraj był na święceniu pokarmów, przez co tradycję uświęcił, choć bez Adasia w związku z drażliwą kwestią afiszowania. Szymon z rodzicami, Teresa wyperfumowana tak, że też się od niej trochę odsuwają, bo przesadziła z ilością, a Tomasz zadowolony, że między swemi, nie te żabojady bogate dookoła ciągle, bogate w euro, ale ubogie duchem, bez Boga żyjące, bez kościołów prawie, odkąd im się katedra spaliła paryska. I Władysław jeszcze ze znajomych z dziewczyną przyszedł młodszą, którą na kelnerkę Pod Kasztanami zatrudnił na miejsce Maryśki i we dwie z Pauliną pracują. Pauliny, u której już widać ciążę, nie ma, bo pojechała z Jędrkiem na wesele Kurasiów do Ludźmierza. Jędrek tam robi za świadka, a Andrzej za szofera, więc też moje kazanie będzie sobie mógł tylko w necie zobaczyć.

Bo się potem okaże, że Lechu wszystko filmował kamerą i wrzuci to do internetu. O czym wiem zresztą, kiedy staję na ambonie.

– Jam jest Józef, cieśla z Rabki, wasz brat. Żona moja to Maria, niewiasta z ziemi obcej. A syn mój to Lech, narodzony w Murzasichlu. Znacie nas, rabczańską rodzinę. Świętą? Nie, nie świętą, tak jak nikt z nas święty nie jest, bo świętość tylko Bogu jest pisana. My możemy tylko dążyć do świętości. Robimy to każdego dnia każdym uczynkiem. Dobry uczynek nas do świętości przybliża, zły oddala.

Biorę oddech.

– Jeśli widziałeś, jak na ulicy źli ludzie kopią brata naszego, i nie krzyknąłeś, nie sprzeciwiłeś się, to jest to zły uczynek. Jeśli sam biłeś żonę swoją, dziecko swoje, człowieka drugiego, to jest to zły uczynek. Jeśli poniewierałeś drugim człowiekiem, upokarzałeś go, doprowadzałeś do łez, to jest to zły uczynek. Jeśli mojej żonie złorzeczyłeś, że jest szmatą, mendą, gnidą i ścierwem, to jest to zły uczynek. Nie dlatego, że Maria jest moją żoną, tylko dlatego, że jest człowiekiem, jest twoją siostrą w Jezusie.

Biorę oddech i patrzę na twarze, co się napinają, tężeją, przygotowują.

– Ale nie wszedłem tu na ambonę, żeby was rozliczać ze złych uczynków waszych, tylko żeby powiedzieć wam, że choć mam żal do Rabki za zło, do którego dopuszcza albo którego się dopuszcza, to mam jeszcze więcej wdzięczności za to, jak dużo dobra i miłości moja żona, Maria, tu otrzymała przez wiele lat. My, górale, żyjemy bliżej nieba i umiemy dawać dobro. Mamy je w sobie, bośmy w Ewangelii dorastali. Nie słuchajmy tylko złych podszeptów. A co jest złe, co dobre, to ja wam mówić nie muszę, bo sami to wiecie. I nie mogę, sami wiecie dlaczego.

Biorę oddech, napięcie na twarzach ludzi odpuściło, słuchają z zaciekawieniem.

– Wiecie, że latami chorowałem psychicznie. Że czasem nie byłem sobą, byłem Staszkiem z Warszawy, który tu między nami zamieszkał. Wiecie, że uczyniłem wiele niegodziwości w tej mojej drugiej osobowości. Uczyniłem mojej żonie Marii tyle zła, że nikt z was, nawet tych bluzgających na nią od ścierw i szmat, jej nie wyrządził. Odpuść mi te

winy, Mario, proszę cię przy ludziach, ja, Staszek, ja, Józek, twój mąż. Nie uciekam od odpowiedzialności za moje czyny, ale nie uciekam też od Staszka. Wiele się bowiem w tej chorobie nauczyłem.

Biorę oddech, no i teraz to ja jestem jak gwiazda rocka, mam ich, naprawdę chcą wiedzieć, czego się nauczyłem.

– Powiem krótko, bo już ziewacie. Nauczyłem się, że od warszawiaków nie różnimy się aż tak bardzo. Najbardziej odróżnia nas język. Warszawiak powie, że dotknąłem Marię przez złe uczynki, przez seks krzywdzący. My powiemy, że zgrzeszyłem. To jest to samo, tylko inaczej nazwane. Kiedy zaczniemy rozumieć te swoje języki, będzie nam się łatwiej porozumieć. Kiedy Staszek rozmawiał z Józkiem w mojej głowie, to widziałem, jak te języki są różne i jak z latami zlepiają się w jeden wspólny język. A co jest dobrem, co jest złem, ustalimy razem w tym wspólnym języku. Wbrew tym, którzy chcą nam języki poplątać i skłócić nas, popchnąć do wojny na słowa, na nienawiść, na kamienie. Wbrew faryzeuszom w sutannach, wbrew diabłom z krzyżem na piersi wytatuowanym, wbrew telewizorowi, który wzywa nas do nienawiści. Chcę im wszystkim odpowiedzieć: pokój na Podhalu. A jak trzeba będzie, to razem z żoną moją, Marią, którą Polska powitała dwiema szramami na policzku, nadstawimy drugi policzek.

Nie wiem, czy z tym policzkiem trochę nie pojechałem. Ale chyba nie, bo ze środkowych rzędów zaczyna ktoś klaskać, potem druga osoba, trzecia, a potem kościół klaszcze, choć to nie w zwyczaju.

Po mszy czeka na nas przy wyjściu ksiądz. Gratuluje, na plebanię usiąść prosi.

– Pięknie, Józku, piękne świadectwo dałeś. Grzechy wyznałeś, choć pamiętaj, że bez sakramentu to cały wasz związek jest cudzołożny i się Bogu tak nie podoba, jak myślisz. Ale przeprosiłeś Marię przy wszystkich za najgorsze uczynki. Pięknie powiedziałeś, pięknie. Ale nie wszystko powiedziałeś, są rzeczy, o których nie mówiłeś. – Ksiądz przestaje się uśmiechać, poważnieje, jakby chciał podkreślić, że teraz będzie ganił. – Pięknie jest głosić pokój na Podhalu, ale zobacz, Józefie, że dookoła trwa wojna. Jest wojna domowa w Polsce, ona domy podzieli, sąsiadów przeciw

sąsiadom popchnie, ludzi do kościołów na powrót sprowadzi, by bronili polskiej tradycji, wiary naszej. Bo wróg jest podstępny, tak podstępny, że czasem w ogóle nie widać, że to wróg, bo on takiego przyjaciela udaje.

Ksiądz bierze oddech, bo się trochę zapowietrzył z emocji.

– Ideologia LGBT na nas naciera od północy, chce nam odebrać dzieci, w adopcję do rodzin jednopłciowych oddać, na homoseksualistów wychować albo nierządnice. Islam naciera od południa, chce naszą wiarę splugawić i zmusić nas do przyjęcia swoich pogańskich obrzędów. Jak się temu nie przeciwstawimy, za dwadzieścia lat burmistrzem Rabki zostanie Hassan Al-Jazeera i wprowadzi islam do szkół i urzędów. Nie chcę być złym prorokiem, ale zapamiętaj moje słowa.

– A z Zachodu i ze Wschodu kto naciera?

– Jesteś ślepy i głuchy, Józefie – złości się ksiądz, bo szyderę odczytuje. – Nic nie rozumiesz. Nie wiem, czy po twojej chorobie pozostała w tobie dusza Józka z Rabki, czy tego Staszka z Warszawy. Szatan cię opętał, to pewne, ale może wcale nie został pokonany, tylko w tobie zwyciężył. Pamiętaj, że kto nie z nami, ten z szatanem i Owsiakiem w jednym szeregu.

– Pokój na Podhalu! – Tak mi się to hasło podoba, że postanawiam w ten sposób pożegnać się z księdzem. Na długo.

Tydzień później ksiądz wygłasza kazanie o zagrożeniach dla Podhala. Żeby chronić dzieci najmniejsze, najbardziej bezbronne. Że grozi im warszawskie zepsucie, LGBT, przymusowe adopcje, islamiści szerzący swoją wiarę ogniem i mieczem oraz podstępem, uchodźcy niosący obce zarazki i łasi na zasiłki, ateizacja i lubieżność, utrata mowy ojczystej, wiary ojców, tożsamości narodowej i roztopienie się w kolorowej, tęczowej Europie. I że najgorsi to te farbowane lisy wśród nas. Ci, co niby są nasi, co wiarę naszą wyznają, tradycję pielęgnują, a wprowadzają wrogi ferment. Aby wróg nas mógł pokonać. I dlatego potrzebna jest mobilizacja na Podhalu.

Ludzie swój rozum mają, ale wiadomo, że ksiądz ma większy. Więc znów wraca szemranie na widok Maryśki, że menda, swołocz, wywłoka

islamska, niech w końcu poda swoje nazwisko, prawdziwe nazwisko. Rosenbaum, a może Habibi albo Szarapowa, albo Beckenbauer. Niech poda prawdziwe, obce nazwisko, to będziemy wiedzieli, z kim walczymy. Kto sobie taki przyczółek w Rabce stworzył wrogi na Polskę, taką agentkę uśpioną, takiego kreta w Polsce umieścił. Szmata ciapata.

Maryśce szramy na policzku robią się czarne. Przestają pulsować na czerwono, przygasać w lepsze dni, zaogniać się w gorsze. Zostają już na stałe, zimne, suche. Takie podłużne strupy. Będziemy z tym żyć.

Bo Polska już nie krwawi. Polska jest jak strup.

Jz 9, 63-81

No nigdzie go nie można znaleźć. Ani w internecie, ani w Mszanie, ani przez znajomych. Jak kamień w wodę. Albo jakby pustelnikiem w Gorcach został. Była taka historia kiedyś: goprowcy znaleźli wiosną w okolicy Klikuszowej ciało człowieka, nie wiadomo, kto to, badania trzeba było zrobić, bazy przejrzeć. I się okazało, że to profesor z Krakowa zaginiony pół roku wcześniej. Miał dosyć i w Gorce poszedł żyć jak człowiek pierwotny, jak w tych czasach, kiedy tylko Budziszyn był w okolicy osadą najbliższą. Ale zimy nie przetrzymał.

Może i Władka tak kiedyś znajdą koło Ochotnicy. Najpierw będzie w prasie, że lokalny yeti ludzi straszy i daje się zwabić na flaszkę gorzałki, ale zaraz nogi za pas bierze i tylko pokrzykuje, żadnych artykułowanych dźwięków. A potem znajdą: pan Władek z Rabki, twórca kultowej budki z wódką i zakąskami oraz zestawem piw lokalnych, a przede wszystkim tanich. Zapraszamy pana, panie Władku, pana budka odrestaurowana czeka i ma pan od nowych właścicieli dziesięć procent udziałów w prezencie i zatrudnienie, jeśli będzie pan chciał znów stanąć za ladą, napoje serwować, a potem ochlajtusów za fraki wyrzucać, żeby bydła nie robili. Zwłaszcza że bulwary teraz odrestaurowane, odpicowane dla

warszawiaków, z czego jednakże w największym zakresie ludność miejscowa korzysta.

I w samym środku tych bulwarów zostanie dziś otwarty Bar u Władka. Zastanawialiśmy się nad nazwą całą wiosnę. Może Plac Konstytucji albo Plac Zbawiciela, jak wymyśliła Anka. Chyba za dużo ogląda TVN-u i chyba jej się wydaje, że tu już jest Warszawa. A wiecie, kiedy Warszawa będzie w Rabce? Łukasz jako inżynier wyliczył, że za jakieś dwieście pięćdziesiąt lat. Bo granice Warszawy przesuwają się statystycznie o półtora kilometra rocznie, więc jeśli to dalej pójdzie w tym tempie, Rabka znajdzie się na obrzeżach stolicy koło roku dwa tysiące dwieście siedemdziesiątego.

Stary Zachara wymyślił Góralską Chatę, Łukasz Zakątek Miłosny, Władysław spod Kasztanów Pod Sosenkami, Maryśka Spotkanie Kultur, a ja byłem za Domem z Drewna. Niby wszystko ładne, ale nie do końca. Aż Elka rąbnęła pięścią w stół, co miało oznaczać, że eureka i że najciemniej jest pod latarnią, i powiedziała:

– Co my będziemy kombinować jak koń pod górkę z Klikuszowej na Turbacz? Przecież bar u Władka musi się nazywać Barem u Władka. Nie ma lepszej nazwy, nawet jak nie ma Władka.

Całą chałupę postawiłem po godzinach, Łukasz się zajął wyposażeniem, Władysław konto zasilił, żeby było na rachunki i na co jeszcze trzeba, a stary Zachara zorganizował zaopatrzenie na początek. Idą mu te pantofle góralskie lepiej, niżby można sądzić, rozszerzył też asortyment o serdaki. Góralszczyzna się jednak nieźle sprzedaje. To taka warszawska tęsknota, żeby być zbójnikami, harnasiami albo chociaż parobkami w baranich kamizelkach i portkach obcisłych, góralami prawdziwymi. O! Takiego!

Więc dziś, w pierwszy dzień lata roku Pańskiego dwa tysiące dwudziestego, otwieramy Bar u Władka. Burmistrz przyjdzie i uświetni, nawet ksiądz ma poświęcić, bo go stary Zachara poprosił. No i ksiądz o wskrzeszonym barze wspomniał w niedzielę na mszy, a lepszego kanału marketingowego w Rabce nie znajdziesz.

No chyba że Lechu, ale on ma inny target, wielkomiejski bardziej. Tysiące followersów Lecha z kanału LechuNzP raczej nie wsiądą

w samochody, żeby uczestniczyć w inauguracji Baru u Władka. Chociaż może z okolicy paru zjedzie, bo Lechu zapewnia muzę i sam ma freestyle'ować, czyli na bieżąco do muzyki mówić to, co ma w głowie. A w głowie to ten dzieciak ma nieźle poukładane. Udał mi się, jak Boga kocham, chociaż nie ja go robiłem, ale udał mi się.

Ludzie się zaczynają schodzić po pracy, już od siedemnastej. Najpierw rodziny z dziećmi, dziewczynki, które wianki jeszcze puszczają bez obrazy boskiej, bo będzie puszczanie wianków na Poniczance. O osiemnastej przychodzi burmistrz, tylko bezalkoholowe, czy mamy, pewnie że mamy. A o osiemnastej trzydzieści ksiądz z kropidłem, żeby na dziewiętnastą na mszę zdążyć do kościoła wrócić. Nie za długo, tylko *Spiritus Sancti* półgębkiem, mimochodem, skoro się już staremu Zacharze obiecało i ofiarę przyjęło, a potem do siebie wracać na bezpieczny teren, gdzie łatwo kazać.

– No to teraz jedno piwo zwykłe proszę. – Burmistrz podchodzi do Maryśki po pożegnaniu księdza. – Albo nie, lepiej kieliszek wódki. A najlepiej butelkę całą i jeden kieliszek. Tylko mnie normalnie skasuj, Maria, też się chcę do waszego biznesu dołożyć, bo to stara rabczańska tradycja. Ech, gdyby potok mógł mówić, to nie wiem…

Burmistrz z kieliszkiem i z butelką w ręce staje na ławie drewnianej, ludzi gestem Mojżesza ucisza i mówi:

– Pokój na Podhalu! Pokój z nami wszystkimi. Nie wiem, czy na wieki wieków, bo to domena księdza, a ksiądz tu z nami krótko pobył i do kościoła poszedł mszę odprawić. Ale czasem tak jest, że nie przyjdzie Mahomet do góry, to góra musi przyjść do Mahometa.

Ludzie trochę się dziwią, nie rozumieją, rozglądają się po sobie, mruczą, ale burmistrz znów robi Mojżesza i ciągnie:

– Przyszliśmy tu wszyscy, bo pamiętamy stary bar u Władka, bliski naszym sercom punkt gastronomiczny, który jednak dzisiejszych standardów unijnych by nie spełniał. A Rabka jest w Unii Europejskiej, tak jak Warszawa i tak jak Bruksela. I nie jest wcale gorsza, a pod niektórymi

względami nawet lepsza jest. Jakie my tu mamy świeże, górskie powietrze, powąchajcie tylko, pociągnijcie nosami.

– Gorzej tylko w zimie, panie burmistrzu. Będą dopłaty do wymiany pieców? – pyta ktoś z tłumu.

– Przyjdźcie jutro do urzędu, to się dowiecie. A jak dziś urząd przyszedł do was, to się nie zajmujmy dopłatami, tylko zabawą – odcina się burmistrz i budzi aplauz. Co jest takiego w tym miejscu, że kto tu zaczyna do ludzi przemawiać, to się zaraz staje gwiazdą rocka?

I burmistrz pije do starego Zachary, najstarszego i najbardziej godnego z grona założycieli. Czyli: krzyczy rytualne „piję do ciebie", wychyla kieliszek, mierząc w Zacharę, po czym nalewa mu wódkę, oddaje kieliszek i butelkę. Stary Zachara nie pije, ale swojej żonie kieliszek przekazuje, więc Elżbieta pije do Maryśki za barem, Maryśka do Anki, bo raz, że panie przodem, a dwa, przyszłość należy do kobiet. Same się tu rodzą hasła, które wyznaczać będą kierunki rozwoju społeczeństwa w kolejnych latach.

Kończy się flaszka, wyciągamy kolejną na koszt firmy, ale Pietrek, muzykant, idzie rzucić pięć dyszek na kontuar i co się flaszka kończy, to ktoś za nią płaci. Górale ludek honorny.

Gorzej tylko z tymi z Mszany. Kacper, Melchior i Bazyli przyjeżdżają jak zwykle na krzywy ryj się napić i przyoszczędzić jak najwięcej. Straszne żydy, co jednak nikomu nie przejdzie przez gardło w Barze u Władka, bo po jego legendzie i po zestawie pierwszych gości roku Pańskiego dwa tysiące dwudziestego widać, że tu może Wersalu nie będzie, ale multi-kulti na rabczańską skalę, sprzedaż obnośna koralików na rękę, kolczyków z motywem hinduskim, damskich torebek z Dubaju w arabskie wzory w Skawie wyrabianych i jeszcze humus w menu obok hamburgerów. Toteż żadnych akcentów antysemickich, nawet jakby czosnek zapachniał, to wszyscy powiedzą, że to fiołki.

Makumba przyjeżdża na rowerze, więc chyba stojak na rowery trzeba będzie zamontować, ale to się Unię na to naciągnie, nawet na nasze stare rzęchy Ukraina się wysępi unijne dotacje, że to niby wpływ dyrektyw proekologicznych. Ale dziś tutaj sami swoi, więc Makumba rower opiera

o drzewo, rozgląda się jeszcze, czy na pewno swoi, pudełeczko z kieszeni wyciąga, zapalniczkę i częstuje, kto chętny. Marketing bezpośredni i promocja na początek. Aż się nagle orientuje, że burmistrz jest w środku, i szybko pudełko chowa. Obraca się i wpada na Kożucha i Wentyla, którzy tu na wakacje przyjechali, zanim się lipiec zacznie, bo wtedy robotę mają w hotelach nad Morzem Śródziemnym, animacje prowadzą dla warszawiaków z całej Europy. Bo ile można w tej Irlandii siedzieć pod parasolem i marznąć, wypatrując bez nadziei globalnego ocieplenia?

Dzyndzel, dzieciak prawie, z Reaganem, który wpadł do kraju do dzieciaka na zakończenie roku szkolnego, ledwo się zapoznali, a już jak łyse konie. Obaj grają w Wiedźmina i są zgodni, że polska kultura współczesna to jest świetny towar eksportowy. I że Lechu na swoim kanale też nieźle wymiata, i fajnie, że tu będzie występował. Tylko gdzie jest Lechu?

– Ja cię nie odtrącam, Magdaleno. Byłaś mi najbliższa i pewnie będziesz. Ja mam ciebie na zawsze w sercu, ale ja ci swojego serca oddać nie mogę, bo ja zostałem tu posłany z inną misją. Do Polski zostałem posłany, nie do ciebie – tłumaczy Lechu półgłosem ładnej, wysokiej dziewczynie. Siedzą tuż nad potokiem, nogi moczą w wodzie i ona mu zaczyna chlapać na łydki, jak dziewczynka niefrasobliwa, jak młoda kobieta zdenerwowana, jak ktoś, kto wie, co zrobić z rękami, ale nie wie, co z nogami.

– Pocałuj mnie ostatni raz, Lechu – prosi.

– Jeszcze nie dziś, Magdaleno – odpowiada Lech i rzuca kamień w wodę, która się rozchlapuje i pryska razem z mistycznym nastrojem. – Idę na występ, posłuchasz?

– Zawsze będę cię słuchać – mruczy Magda, ale pod nosem, żeby jej Lechu znów nie powiedział, że wpada w krakowski patos.

Towarzystwo jest już trochę zrobione, stary Zachara musi skrzynkę wódki z pobliskiego supermarketu przytargać. I humus się kończy, nawiasem mówiąc, bo Rabka otwarta na nowości, a przynajmniej ta Rabka, która do Władka przychodzi. Ale humusu w Rabce nie dostaniesz przecież

w handlu detalicznym, znajoma zrobiła, ta od bransoletek i kolczyków, i więcej dziś nie będzie.

Jasiek z Szymonem obsługują muzę. Szymon podłącza sprzęt i szykuje transmisję na żywo na kanale LechuNzP. Bo tak zaplanowali, że Lechu zrobi wejście trzy minuty i będzie w czapce od producenta, z którym mają współpracę. Propozycji mają sporo, sto pięćdziesiąt tysięcy followersów w pół roku to jest perspektywiczny kanał, sporo współprac już odrzucają. Płyn do przetykania rur, meble góralskie i garnki do płyty indukcyjnej.

Chociaż Anka mówi, że indukcja jest zajebista, technologia przyszłości. Myślą z Łukaszem, czy nie zlikwidować kuchenki gazowej, byli u mnie, czy bym im deski dopasował w tym kolorze co kiedyś – do zabudowy, gdyby kuchenkę chcieli wymienić. Ale tak się nie da, jak wstawisz nową deskę, to się będzie odcinała od tej sprzed dwudziestu lat. Bo dwadzieścia lat to w życiu drewna jeszcze więcej niż w życiu społeczeństwa. Drewno ciemnieje, szlachetnieje, zaczyna pękać.

Anka dziś cała w skowronkach, tylu kumpli z Mszany i kumpelek z dawnych czasów to się nie spodziewała. Znów ma dwadzieścia kilka lat, siedzą trochę z nami wszystkimi, a potem idą się zaszyć w krzakach od strony kardiologii, zioło palą, piekła nie ma.

Elka wodzi rej. Największy w swoim życiu, taki co najmniej na wysokość Giewontu. Sami swoi dwadzieścia lat później. Wentyl robi furorę nowym drinkiem – tequilą podhalańską. Przegryzasz cytrynę, popijasz wódką zamiast tequilą, a potem zamiast soli wpieprzasz kawałek serka góralskiego słonego, dla ceprów oscypka, chociaż to krówski ser przecież, nie owczy. Maria do kontuaru woła na kobiecą wersję, że zamiast cytryny jest kawałek mandarynki. Robi się orientalnie, Szymon wrzuca muzykę etniczną ze smartfona na głośnik i tak tańczą górale z góralkami, jak kiedyś Trebunie Tutki z Jamajczykami grali.

Jeszcze trochę i se tęczę tam wystawią i tabliczkę „Plac Zbawiciela" jednak. Pomysł Anki się sprawdzi, wojny tęczowe się zaczną i Adaś nie będzie już tylko ofiarą. Przychodzą tu razem z Darkiem – pierwszy raz od tamtego oficjalnie, publicznie – i afiszują się do upojenia.

Szymonowi coś się sprzęga we wzmacniaczu, a może specjalnie takie sprzężenie robi, taką surmę bojową. Bo za chwilę przed państwem na scenie przyszła gwiazda ogólnopolska, która na razie wzeszła nad Rabką-Zdrojem – Lechu, zwany też Lechu NzP, co będzie kiedyś powodem dociekań dla dziennikarzy prasy krajowej i zagranicznej.

Lech wskakuje na ławę, skąd burmistrz przemawiał. Ale burmistrz, nieźle już rozochocony tequilami, pokazuje mu, żeby wyżej wchodził, on gwiazda jest, a na pewno będzie, więc skoro burmistrz z ławy przemawiał, to Lechu niech rapuje z wysokości, z chmury, z nieba, a przynajmniej ze stołu, tylko trzeba talerze porozsuwać papierowe, bo plastiku u Władka nie ma ze względu na ślad węglowy.

Lechu bierze mikrofon. Szymon już mu wrzucił bit od Jaśka, jest prawie gotów. Łowi jeszcze spojrzenie Magdaleny z tłumu, bo dla niej będzie występował. Robi parę razy „oho-oho", bo w rapie trzeba się tak trochę powygłupiać i powczuwać, a potem wywala z siebie tekst:

Lechu nawala, Nawala z Podhala,/ Niektórzy mówią, że napierdala.

Więc proszę z góry, panowie i panie,/ Nie obrażajcie się na to kazanie.

Ludzie zaczynają rytmicznie kiwać głowami. Józek z zadowoleniem patrzy na syna – wysoki, pewny siebie, bez tremy, głos ma przyjemny, spokojny, a mocny. Krew ojca, a talent po prostu boski.

Błogosławieni ubodzy w duchu,/ Bo noszą skromne kolczyki w uchu.

Błogosławieni ci, co się smucą,/ Że im z obiadu resztek nie rzucą.

Błogosławieni niech będą cisi,/ Bo mają rację, wszystko im wisi.

Ci, co sprawiedliwości chcą, błogosławieni,/ Albowiem oni będą nasyceni.

No szkoda, że nie ma tu księdza. Może by mu nawet przypasowało. A może wręcz przeciwnie, by stwierdził, że to bluźnierstwo, Nergal i antychryst. No nie wiadomo. Ludzie nie wiedzą trochę, czy się śmiać, czy zachwycać. A Lechu nadaje dalej:

Błogosławieni miłosierni,/ Co nie klną do przypalonej patelni.

Błogosławieni czystego serca,/ Co jajecznicę zjedzą bez widelca.

Błogosławiona przybyszka z dala,/ Co niesie pokój, pokój dla Podhala.

Błogosławieni prześladowani,/ Chociaż ich życie jest całkiem do bani.

Kiwają głowami, śmieją się, klaszczą do rytmu. Wypijają, bo więcej już kieliszków, puszek, butelek w ruch poszło. I czekają na puentę, bo już poznali, co to za tekst, już skojarzyli na sto procent. Ksiądz czytał na mszy w ostatnią niedzielę, chociaż trochę inaczej. Więc czekają, jak to spuentuje Lechu, ten dziwny dzieciak, ich gwiazda na firmamencie lokalnym.

Ale się nie doczekają chyba. Od strony Chabówki słychać warkot motoru. Jednego, dwóch, trzech, może dziesięciu. Skręcają z Zakopiańskiej w Do Pociesznej Wody, parkują po drugiej stronie rzeki. Szymon wrzuca na szybko jakąś muzę po angielsku, bo po angielsku nawet największe głupoty brzmią dobrze.

– I co, kurwa, bawimy się, no! – zagaja pierwszy w kombinezonie z olbrzymim orłem biało-czerwonym na plecach. Obraca się dookoła, że nie wiadomo, czy chce wszystko zlustrować, czy wszystkim tego orła pokazać, czy twarz swoją. Krzysiek z Obidowej, gdyby nie było Jakuba, to on by był najpewniej harnasiem.

– Bawimy się! Pokój dla Podhala – odkrzykuje Lechu na wysokości. Po czym miękko jak kot zeskakuje na ziemię. Młody harnaś?

– Wódkę macie? – pyta Sylwek ze Skawy.

– Mamy dla przyjaciół – odpowiada Maryśka i w geście pytającym się zatrzymuje, czy oni tu przyszli jako przyjaciele i ma im nalać, czy niestety innym razem, bo dziś tylko bijatyka jest w planach, napierdalanka po ryjach, a nie popijawa.

– Od takiej gnidy ze szramami na twarzy to ja i tak wódki nie wezmę – wcina się Jakub. No tak, harcownicy zrobili mu wejście i wali w twarz prowokacją.

– Coś, kurwa, powiedział? – Elka daje się sprowokować, już się chce rwać do bitki, chociaż kobieta, ale w końcu mamy równouprawnienie w Europie. Już jest cała sprzeciwem obywatelskim, wielkim protestem głodowym i pikietą klimatyczną. Już doskakuje do Jakuba, kiedy zatrzymuje ją Lech.

– Ciociu, poczekaj. Nie gramy na ich boisku – mówi do Elżbiety łagodnie.

– Na jakim boisku? Tu jest deptak, nie boisko.

– Ciociu, chodzi o metaforyczną piłkę, żeby jej nie odbijać. Jest zasada w necie: nie karmić trolli. Tym bardziej na bulwarach. Okej? – mówi Lechu, Elżbieta się powstrzymuje, a wtedy Lech spokojnie odwraca się do Jakuba. Może się z nim mierzyć, a chyba nawet wyższy o parę centymetrów urósł. Stoi trzydzieści centymetrów nad chodnikiem.

We mnie też się gotuje, synowi muszę pomóc. Ale stary Zachara, co obok mnie akurat siedzi, powstrzymuje mnie gestem. Nie z tchórzostwa, tylko z mądrości proroków, którzy byli i którzy przyjdą. Niech dzieciak sam da im odpór.

Szymon wyłącza muzykę i teraz Lech ma swoje wejście smoka.

– Pokój na Podhalu – mówi do Jakuba.

– Spierdalaj, dzieciaku, wódki szukamy, tylko nie ciapatej. – Jakub kończy tonem, jakby rzucał żart. I rzuca okiem na tłum, kto się zaśmiał wasalnie, kogo ma po swojej stronie, kto by pogonił z nim tych brudasów z Rabki, z Polski, z nienawiści. Cisza. Wszyscy czekają, co dalej. W napięciu dużym, widocznym, jak Lechu powie im „chodźcie ze mną" i da sygnał do natarcia, to będą nacierać.

– Mogę ci pomóc szukać, Jakubie – mówi Lechu i zaprasza go gestem w stronę baru, za którym stoi Maria, jego matka.

– Od niej się nie napiję. Od tej… – Jakub głową pokazuje Marię i szuka obraźliwego słowa.

– Tak, rozumiem, jest dla ciebie ciapata. Jak więc ci mogę pomóc? – pyta Lechu.

– Wpierdolić ci, młody? – Jakub powoli zaczyna zbliżać się do Lecha.

– Czyli jesteś człowiekiem silnym, skoro masz takie możliwości. Imponuje mi twoja siła i determinacja – mówi Lech, jakby kpił, ale robi to tak autentycznie, że Jakub zaczyna się gubić.

– Myślisz, że jesteś taka cwana gapa? Ty jesteś głupi fiut! – Jakub mruży oczy, cedzi słowa.

– Dzięki za informacje zwrotne, Jakub. Staram się zmądrzeć, ale ciągle mi daleko.

– Ty gnido ciapata. – To Jakub.

– Czyli jestem podobnie ciapaty jak nasza wódka. – Lechu udaje wesołość. Nie najlepiej mu to wychodzi, ale w końcu to nie warsztaty teatralne, tylko pierwsza bitwa o przyszłość Podhala i całego kraju.

Jakub naprawdę nie wie, co powiedzieć, traci rozpęd. Lechu natychmiast korzysta z okazji.

– Kuba, a czy ja teraz mogę zapytać cię o jedno? Jeśli tak bardzo nie chcesz pić wódki z ciapatymi, a moja matka i ja mamy kolor skóry, jaki mamy, to czy jesteś pewien, że chcesz dołączyć do tej imprezy? Oczywiście miejsce dla ciebie i twoich miłych przyjaciół jest, zapraszamy z mamą i z tatą. Jak wybierasz, Kuba, powiedz, proszę.

Jakub kompletnie nie wie, co zrobić. Krzysiek i Sylwek tak samo. Ratuje ich ktoś z pozostałych motocyklistów czekających po drugiej stronie Poniczanki.

– Ej, wbijamy tu?

– Nie, już do was idziemy – odkrzykuje Jakub. Jeszcze spluwa na ziemię, jakby ją chciał oznaczyć, splugawić przeciw nam. Ale niewiele już może. Idą przez mostek, wsiadają, odjeżdżają pod „Grzybek" na polską wódkę z polskich ziemniaków i polskimi rękami podaną.

– Widziałeś? Wiedziałeś? Ja wiedziałem, że on tu musi dziś zostać dorosłym. Tylko byłem ciekaw, jak to zrobi – mówi do mnie stary Zachara. – Pięknie zrobił.

Mnie słów brakuje. A Lechu daje Szymonowi znak ręką, żeby bit Jaśka wrzucił, ludzi ucisza drugą ręką, co któryś z królów Mszany od razu wrzuca na fejsa, i przechodzi do puenty.

Błogosławieni, gdy wam urągają,/ Od gnid i brudasów, i ciapatych wymyślają.

Cieszcie się, radujcie i śmiejcie się do siebie,/ Bo Biblia obiecuje wam nagrodę w niebie,

A ja wam obiecam radość transgresji,/ Jeśli na hejt odpowiecie bez agresji.

Sami widzieliście, już mogłem być w szpitalu./ Nie ja tu zwyciężyłem, tylko pokój na Podhalu.

Bo Jakub tego jeszcze nie wie, ale w transmisji na żywo oglądały go tysiące ludzi.

– Triumfy króla niebieskiego – mruczę ironicznie do starego Zachary.

– Wiesz co, Józek, chodźmy stąd. Ja się muszę z tobą napić, tylko nie przy tych wszystkich ludziach – odpowiada stary Zachara.

– Ty?! Przecież ty nie pijesz!

– Potraktujmy to jak obrzęd – mówi tajemniczo stary Zachara. A ja się zastanawiam, czy go w otchłań nie ciągnę. Chyba nie, chociaż Bóg jeden wie. Zresztą jest dorosły.

– To chodźmy do mnie, mam wódkę w lodówce – zapraszam starego Zacharę do siebie. Od Władka na Traczykówkę jest dosłownie rzut ciupagą.

Jz 9, 82-84

Jakub z całą motocyklową asystą zajeżdżają do parku pod „Grzybek". Z głośników leci góralskie disco polo o koralach i warkoczach. Dziewczęta patrzą na ten legion motorowy z zachwytem. Na tych mężczyzn, co zsiedli z rumaków i idą krokiem zwolnionym jak w reklamie lepszego życia, które przy odrobinie szczęścia może stać się też ich udziałem.

Pod „Grzybkiem" spotyka się inna Rabka. Ta, która swoje wie. Dokładnie wie, co to za jedni te gnidy, co się zbierają nad potokiem, ścierwa.

Że my to patole, Ekobanditen, kozojebcy i pedalstwo. O krawężnik z nimi. Pod prysznic do komory ich posłać, na zero ogolić.

Dziwki, co się skrobać lubią bardziej niż pierdolić, a te rzeczy też lubią wyuzdane. Kusicielki. Mężczyźni zdegenerowani, spedaleni wszyscy. Co to nie upiją się po bożemu, nie wezmą kobity, żeby obowiązek spełniła, tylko będą palić wynalazki, fanaberie spełniać, do orgazmu doprowadzać, tfu, językiem. LGBT i cała szeroka frakcja seksu analnego.

Ukraińcy z Białorusi, co nas riezali i nienawidzą Polski i Polaków. Ruscy. Kłamcy klimatyczni.

Złodzieje, co okradali nas i okradają. Ubecy, komuniści, ruscy agenci Mosadu z bombą pod tuniką. Wrogowie Polski z Unii Europejskiej, tajni wysłannicy niemieckich koncernów energetycznych, którzy chcą zlikwidować nasze kopalnie. Ci, co zabili naszego prezydenta. Ci, co nie płakali po papieżu. Ci, co sikali na krzyż. Krzyż z puszek po piwie stawiali. Krzyż plugawili. Masoni, żydomasoni, żydokomuna, wszystko ciapate, a reszta pożyteczni idioci.

W Barze u Władka nad Poniczanką już się zaczynają macanki i filozofie. Anka ma straszną ochotę przelizać się w krzakach z Wentylem, ale jednak nie. Przy stole mężczyźni radzą o polityce, dziennik telewizyjny publicystyczny sobie urządzają. I oni też wiedzą, kto siedzi na przykład pod „Grzybkiem".

Oszołomstwo katolickie. Antyszczepionkowcy, myśliwi i mięsożercy. Płaskoziemcy. Mężczyźni z niebieską kartą, w podkoszulkach żonobijkach, miłośnicy kar cielesnych, alkoholicy, którym tylko wyrok za znęcanie. Pedofile w sutannach, co je na okoliczność towarzyską pozdejmowali. Oszołomy prawicowe, zwolennicy teorii spiskowych.

Kółka różańcowe i katechetki, co za nasze pieniądze, z naszych podatków. Mohery. Płatni trolle Moskwy i agenci. Obrońcy smogu naszego powszedniego. Janusze i Grażyny. Te, co mają dzieci na nasz koszt. Ci, co przepijają pięćset plus. Kopciuchy. Faryzeusze. Faszyści, naziści, czciciele Hitlera. Śmieci ludzkie.

Jedni i drudzy mają już wszystko, czego potrzebują. Tylko im siekier brakuje i gotowe. A może już ostrzą po chałupach?

Jz 10, 1-22

Dobrze, że włożyłem przed wyjściem wódkę do lodówki. Ciepła wódka w ciepły dzień jest jak prezydent tańczący disco polo na dworze katolickiego księcia. Niesmaczna.

Stary Zachara wyjmuje mi butelkę z ręki. Jeden z dwóch kieliszków, które wystawiłem na stół, odwraca do góry denkiem, na znak, że nie będzie potrzebny. Nalewa do pełna, menisk wypukły. I wprawnym ruchem – tego się nie zapomina, tak jak jazdy na rowerze – podnosi kieliszek do góry.

– Piję do ciebie – rzuca do mnie po góralsku, po zbójnicku. Ale to już było. *Déjà vu*? Chyba muszę wyglądać na piekielnie zdziwionego, bo stary Zachara zaczyna się strasznie śmiać. – Myślisz, że cię popierdoliło do końca? Że ja też jestem tobą, jakimś fragmentem twojej osobowości, tak jak kiedyś Staszek? Że z nim tak piłeś kiedyś Pod Kasztanami, przepijałeś do siebie, chociaż myślałeś, że do niego, i myślisz, że teraz też tu sam siedzisz i do siebie jak pojebany pijesz i gadasz?

– No trochę tak. Jakby coś się dopełniało w mojej głowie.

– Jakbyś był dziewuchą, tobym cię mógł w tyłek uszczypnąć – stary Zachara nie nauczył się poprawności politycznej, ale też niespecjalnie aspiruje – żebyś się przekonał, że ja to ja, a nie ty. Ale żeś facet, to cię mogę uściskać jak druha. Tylko najpierw wypiję, głupio byłoby rozlać pierwszy kieliszek wódki od ćwierć wieku.

Stary Zachara przepija do mnie, w smak wódki się wsłuchuje chwilę, nalewa mi kieliszek, podsuwa i w ramiona mnie bierze, misia przybijamy, siadamy przy stole we dwóch, na bank we dwóch. Zachara znów zaczyna nasłuchiwać.

– Słyszysz? – pyta. Ale właściwie nie musi, bo ja wiem, że o to zapyta. I że zaraz powie, że Lecha słychać znad rzeki, z bulwarów.

– Lecha słychać znad rzeki, z bulwarów.

– Tak, poznaję. *Pan Faryzeusz* to się hit zrobił. Lechu mi pokazywał, jak było milion wyświetleń w necie, a teraz to już jest nie wiem ile, chyba Chińczycy tego zaczęli słuchać – odpowiadam, stary Zachara się śmieje, ale tak jakby ten dowcip o Chińczykach już słyszał, jakby już wiedział, co powiem. Biorę kieliszek i piję do niego.

– Chciałem z tobą pogadać, Józek, bo źle to wszystko widzę. Jest fajna impreza w Barze u Władka, ale już widzę te szyby powybijane, te ściany pomazane, te napisy – zagaja stary Zachara.

A ja dopowiadam, jakbym to też widział: – „Araby to żydy". „HWDL". „Bar u Sradka".

Zachara: – Właśnie. Zaczną mazać jeszcze w lecie. Albo będą przyjeżdżać, warczeć tymi motorami.

Ja: – Nie tylko oni, gnojki z Ponic obleją drzwi czerwoną farbą i nabazgrzą „Śmierć komunistom".

Zachara: – Widzisz to? Wyraźnie? Ja też. Czerwone litery dookoła budki z dorysowaną na końcu szubienicą.

Ja: – Proroctwo starego Zachary.

Zachara: – I Świętego Józka. Piję do ciebie.

Ja: – Jak ktoś będzie jechał do Ponic autem, to już nie pojedzie Podhalańską, tylko nad Poniczanką, żeby zwolnić przy Władku, okno otworzyć okno i wrzeszczeć „Wypierdalać z Polski! Tęczowa zaraza! Gej wam w dupę!".

Zachara: – Potem zaczną już wrzeszczeć tak po całej Rabce. Jak zobaczą Maryśkę, Lecha albo w ogóle kogoś z nas, to będą krzyczeć, pluć. Ludzie będą patrzeć i nic, będą się odwracać.

Ja: – W którymś dużym sklepie, nie widzę w którym, zrobi się z tego awantura. Jakub z tym drugim zaczną demolkę. A ludzie będą krzyczeć do Maryśki, że to przez nią i jej bękarta, że jakby się nie przybłąkała, to byłby pokój na Podhalu. Piję do ciebie, Zachara.

Zachara: – Lechu długo nie będzie wiedział, co tu się dzieje, bo mu matka nie będzie mówiła, żeby się nie denerwował. Będzie nagrywał kawałki w Krakowie.

Ja: – W Warszawie też, płytę wyda z promocją. *Faryzeusze wszystkich krajów, kończcie się*.

Zachara: – Tak, taki tytuł właśnie. Będzie miał proces za koncert w Częstochowie, na którym będzie czytał kawałki Ewangelii. Konkretnie za „Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął”[2]. Że podżega do nienawiści.

Ja: – Nie, nie za to. Za obrazę uczuć religijnych w takim rzeczywiście ostrym kawałku *Wymię ojca*, gdzie przy refrenie *Osiem lat miała/ I ojcu ufała* będzie przyklękał i się żegnał, i ziemię całował, a raczej deski sceny. Dostanie wyrok w zawieszeniu, a numer będzie tylko na torrentach i w darknecie.

Zachara: – Podpisze w prokuraturze, że nie będzie tego wykonywał publicznie. Ale jak przyjedzie na koncert do Myślenic, to ludzie to będą sami śpiewali. Piję do ciebie.

Ja: – Kółko różańcowe urządzi pikietę. Wdowa go opluje, tylko nie wiem po kim.

Zachara: – W Rzeszowie go zamkną też przez wdowę, może tę samą. Za handel w niedzielę. Stara kobieta po koncercie podejdzie prosić o wodę. Lechu jej przyniesie dwie butelki z zaplecza, ona mu wciśnie dziesięć złotych. Dosłownie wciśnie i ucieknie. A za pięć sekund go zatrzyma policja skarbowa za handel spożywczy w niedzielę i jeszcze dodatkowo, że nie wydał paragonu.

Ja: – Dostanie wtedy tydzień w domu poprawy.

Zachara: – Nie, wtedy tylko dwa dni. Ale zrobią mu kontrol w papierach. Magda mu będzie prowadzić księgowość, albo jakaś jej koleżanka, i nie będą się mieli do czego przyczepić. Tak, Magda kurs specjalnie dla niego zrobi księgowy.

Ja: – A, tak. Tydzień dopiero za propagowanie homoseksualizmu. Upalą się chyba ziołem z Jaśkiem i Lechu pod koniec odleci. Wygłosi przemowę do ludzi przed ostatnim kawałkiem. Że Kościół im daje dziesięć przykazań, ale naprawę ważne jest jedno: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie”[3].

Zachara: – Tak, dołożą mu nawoływanie do zachowań nieobyczajnych w miejscu publicznym i drwinę publiczną z wiary i religii katolickiej. Razem dwa tygodnie w domu poprawy.

Ja: – U jezuitów?

Zachara: – Nie, w Ordo Iuris. Ale uda mu się przemycić kamerę w medaliku i zrobi parodię starego Big Brothera. Będą to potem oglądać ludzie w całej Europie i w końcu sądy się od niego odczepią.

Ja: – Póki nie nagra *Braci Cyganów*. Piję do ciebie.

Zachara: – Po pogromach na Słowacji, jak zaczną uciekać przez granicę? I zrobi ten charytatywny koncert.

Ja: – Weź nie mów.

Zachara: – Koncert w Jordanowie „Solidarne Podhale”. Pół Krakowa na to przyjedzie i pół Warszawy.

Ja: – Tak. I może dlatego, że to będzie takie głośne, powieszą Cygankę związaną na drzewie i podpalą. Ręce jej zwiążą i za te ręce powieszą. Będzie się rzucała, knebel jej wyjmą w ostatniej chwili i będzie się darła tak strasznie, że cała Polska to usłyszy na live’ach w internecie. Bo ze sto osób to skręci telefonami.

Zachara: – Przeżyje? Bo nie jestem pewien.

Ja: – Poczekaj chwilę, ja słyszę ten krzyk, ja widzę, jak jej się zapala ubranie, włosy jej się zajmują. A ona ma ręce związane i jedyne, co może zrobić, to starać się bujać, żeby wiatr ten ogień gasił.

Zachara: – I co? I co?

Ja: – I w końcu ludzie dobiegną z wodą, zaczną ją gasić. Ona przeżyje, ale zaczną się zamieszki, pogrom w Lubniu, zabójstwo cygańskiej rodziny

w Murzasichlu. I nawet policja nie będzie w stanie ochronić obozu przejściowego w Skawie. Przyjadą faceci na motorach z nakazem likwidacji obozu, fizycznej likwidacji. Każą wszystkim podpisywać dobrowolne odejście na Ukrainę i iść na piechotę do granicy ukraińskiej. A że Ukrainie zależy na wejściu do Unii, to będzie tych Cyganów od nas brać. I jeszcze motocyklistom sfinansuje benzynę.

Zachara: – Będą już jako Biały Klan?

Ja: – Nie, wtedy to jeszcze będzie Biały Legion. Będą nosili kaptury, dopiero potem wymyślą kaski białe.

Zachara: – Wtedy zacznie się znów ciężki czas dla waszej rodziny. Będziesz musiał pilnować Maryśki, wszędzie z nią chodzić. Chociaż będą ludzie, co specjalnie zaczną u ciebie stolarkę okienną zamawiać i kuchnie. W Krakowie nawet, urzędnicy oraz z korporacji. Ale będą inni, co wam będą pisać na ścianie „ciapate" i inne takie, aż nie będziesz miał siły zamalowywać.

Ja: – Policja oskarży Maryśkę o wywoływanie niepokojów społecznych.

Zachara: – Dadzą jej dwa dni w domu poprawy. Krótko, bo to matka słynnego rapera, telewizja będzie kręcić live'a do netu z jej wyjścia do społeczeństwa na klęczkach. Tylko że ona zamiast się pokajać, powie do kamery, że jest Polką i jest dumna ze swojej polskości, to dostanie jeszcze dwa dni za obrazę Polski. Piję do ciebie.

Ja: – Tak, tak, ale za co tu będzie konkretnie ta obraza Polski?

Zachara: – Za naruszenie konstytucji, bo Polak jest biały, a jak ktoś kolorowy mówi, że jest Polakiem, to złamał konstytucję. Dostanie tylko trzy dni, bo ksiądz z Rabki się za nią wstawi. A kary z rękojmią księdza sąd będzie musiał zmniejszyć o pięćdziesiąt procent.

Ja: – Maryśka będzie wtedy bliska myśli o wyjeździe do Krakowa. Ale Lechu przyjedzie z Warszawy, że to nasza powinność, żeby wytrwać w tej Polsce, tej prawdziwej. Bo pokój dla Podhala. I się z powrotem do Rabki przeniesie na Traczykówkę, działkę pod lasem kupi i chałupę sobie postawi na dużej wysokości.

Zachara: – Wtedy wam zrobią tę tabliczkę.

Ja: – Nowotwory.

Zachara: – Tak, Nowotwory. Postawią przed waszym domem, a jak to Lechu raz wyrwie, to będzie miał dwa tygodnie w domu poprawy plus czterdzieści godzin prac w kościele, parafia dowolna.

Ja: – Tak, do Sopotu pojedzie do parafii pod wezwaniem błogosławionego Jana Kaczkowskiego, sam sobie wybierze. Uspokojony wróci. Piję do ciebie.

Zachara: – Jak wróci, to już będzie zatwierdzone w dokumentach, że Traczykówka ma się nazywać Nowotwory, i tabliczkę przed waszym domem znów postawią.

Ja: – Nie, nie. Taka plotka pójdzie po mieście, ale to na radzie nie przejdzie. Tylko wstawią do netu transmisję z rady, jakie jaja, jaki happening polityczny.

Zachara: – W każdym razie po tych plotkach Maryśka pęknie. Będzie płakać i płakać. Pojedzie do Krakowa szramy zoperować u chirurga plastycznego, Lechu jej da kasę w tajemnicy. Oj, tego chyba nie powinienem ci mówić, bo to będzie w tajemnicy przed tobą. Ale będzie musiała jechać do lekarza, bo ją te szramy zaczną piec, boleć, jakby drzazgę wielką, jakby belkę pod skórą miała. No i nic. Lekarz nie będzie w stanie niczego z tym zrobić. Maryśka zostanie z tymi stygmatami.

Ja: – A „Nowotwory" zaczną mówić na wszystkich Cyganów, wszystkich z ciemniejszą skórą, z daleka. Że nowotwór mogą sprowadzić na białych Europejczyków, bo mają rakotwórczy pigment. I przez dotyk ten pigment, ten nowotwór mogą przenieść. W telewizji to będą mówić i pół fejsa tym zasrają, więc do wszystkich starszych ludzi trafi. Ty Nowotworze, wypierdalaj z Polski, ty Nowotworze.

Zachara: – Wprowadzą strefę wolną od multi-kulti nad rzeką.

Ja: – Nie do końca, nad rzeką będzie strefa wolna od pedalstwa LGBT. Bo Rzecznik Praw Rodziny wyda dekret, że rodziny polskie mają prawo do wolności od lubieżnych spojrzeń osób homoseksualnych i pedofilnych,

a zwłaszcza rodziny z dziećmi. I nad rzekę bez Deklaracji Normatywności Seksualnej złożonej pod przysięgą na Boga w powiecie już nie przyjdziesz. Patrole będą ze straży miejskiej, będą sprawdzali, czy jesteś w spisie. Ale to dopiero po tym, jak Bar u Władka zostanie na wniosek proboszcza wpisany na Listę Miejsc Zepsucia. I go będą mieli zamknąć, ale nie zamkną, bo się spali. Nie widzę tylko, kto ten ogień podłoży.

Zachara: – Ja też, ale jak będzie płonął, to się pół Rabki zbiegnie z różańcami i jeszcze ludzie z Ponic, ze Rdzawki. Staną w kordonie z modlitwą, żeby straż pożarna nie mogła dojechać. Bo zgodnie z wyrokiem Trybunału Wolności nie będzie wolno przerywać publicznych modlitw i innych aktów religijnych wyznania dominującego. Więc strażacy koguty wyłączą, poczekają, aż się tłum rozejdzie, a to dopiero, jak pogorzelisko się dopali, będzie.

Ja: – Jak ten prymat modlitwy publicznej wprowadzą, to pół Warszawy pójdzie do domu poprawy, aż się im odechce afiszować się z tymi malutkimi tęczowymi słoneczkami powpinanymi w ubrania.

Zachara: – Lechu wtedy ułoży taki numer, że tęczowe słońce zachodzi za górami. Ludzie będą płakać po naszym barze, to drugie pół Rabki i nieliczni przyjezdni z Harkabuza oraz Skawy, bo już nie będzie gdzie się podziać, spotkać. Anka wpadnie w depresję i zacznie jeździć do Mszany. Piję do ciebie, Józek.

Ja: – Tak, do tych swoich chłopaków. Z każdym będzie po kolei. Rozwiodą się w końcu z Łukaszem. Anka do Mszany wyjedzie, a Magda wróci do Rabki, z ojcem zamieszka. I zacznie dymić po warszawsku, po krakowsku, krnąbrnie. Pomaluje się farbą i razem z Maryśką demonstracyjnie pójdą do parku się afiszować w niedzielę po mszy. Bo to w parku będzie strefa wolna od multi-kulti.

Zachara: – Wojewoda sfinansuje Patrole Hyclowskie w miejscowościach uzdrowiskowych. Będą wyłapywać kolorowych w takich strefach i do domu poprawy. Was też kiedyś złapią.

Ja: – Tak, pójdziemy tam na spacer wieczorny z Maryśką i z Lechem, jak nas odwiedzi któregoś razu, z tej swojej chałupy na wysokości zejdzie. Jak

za starych dobrych czasów, tylko że to już nie będą stare dobre czasy. Lecha puszczą po przeszukaniu, bo skóra jednak trochę jaśniejsza niż matki. Tylko jeszcze sprawdzą, czy nie obrzezany. Ale Maryśka znów trafi do domu poprawy, i to na całe dwa tygodnie. Piję do ciebie.

Zachara: – Lechu wtedy złamie swoją zasadę, że żadnych kontaktów z telewizją państwową. I przyjmie zaproszenie do Porannej Adoracji, żeby bronić matki w telewizji śniadaniowej. Że oni nie są żadne Nowotwory.

Ja: – Tak, tak, będzie tak pięknie mówił, że wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, niezależnie od koloru skóry albo niechrześcijańskiej orientacji. Że on jest synem Boga, jego matka jest Bożą córką i nie są gorszymi ludźmi przez to, że mają ciemniejszą skórę, bo oboje Polskę kochają. Że synem Boga jest też jego kumpel z Chabówki, który ma kartę geja. A potem Lechu zacznie wymieniać, że kocha szmer Poniczanki po ulewach w porze deszczowej, kocha górali z otwartym sercem z Harkabuza, z Mszany, z Jordanowa i huk halnego w wiatrakach nad Chabówką.

Zachara: – Nie, to będzie jeszcze przed Czarną Chmurą. A wiatraki do produkcji prądu zaczną stawiać dopiero po Chmurze. Piję do ciebie.

Ja: – No w każdym razie wyniosą go ochroniarze ze studia za sianie zgorszenia za pomocą środków komunikacji publicznej. I znów dostanie wyrok w domu poprawy, i to równy miesiąc.

Zachara: – Nie, miesiąc to dostanie za swoje nagrywki w necie. Rzecznik Praw Religijnych zaskarży *Pana Faryzeusza*, że jest dostępny na jego serwerze w Polsce. Tym razem go przewiskają przy wejściu, żeby nawet nanokamerki nigdzie nie przemycił. A jak Lechu wyjdzie, to się zacznie akcja „Polska jest kobietą, Polak jest mężczyzną".

Ja: – Czystka seksualna. Dekretem Rzecznika Praw Rodziny każde miasto powyżej dziesięciu tysięcy mieszkańców będzie musiało utworzyć strefę wolną od pedalstwa LGBT.

Zachara: – Tak. Zacznie się od informacji na PolskaStrona.com: „Spedalony zbok zabił białą polską matkę". Zaszczują gościa, bo na stronie będzie jego adres w Klikuszowej. Zlinczują go i będzie pośmiertnie pozbawiony praw publicznych za wywołanie niepokojów społecznych.

Ja: – Portal z Rabki będzie pisał, że on wcale tego nie zrobił.

Zachara: – Tak, tak będzie. I wtedy zamkną ten portal za podżeganie i oskarżanie Polaków o zbrodnie popełnione przez inne grupy narodowościowe i zboczone, z tego paragrafu będzie można dostać nawet dziesięć lat. Więc gościu, który to rozkręci, będzie musiał wyjechać do Czech.

Ja: – Lechu go będzie publicznie bronił. I on mu potem pomoże w podziękowaniu z przeniesieniem wszystkich kawałków na czeski serwer. A Lechu napisze o nim taki numer *Boska tęcza*.

Zachara: – Potem Lechu za to odcierpi. Trudno mi o tym mówić, Józek.

Ja: – Wiem, w Ponicach.

Zachara: – To potworne.

Ja: – Złapią go, związą i zawiozą na budowę. Tam będą go torturować trzonkiem od młotka. Że skoro tak to lubi, to proszę. Zachara, to potworne.

Zachara: – Potworne, Józek. Ale matka go szybko uratuje, pamiętaj. Mnie już wtedy nie będzie, ale pamiętaj, że Maryśka przyjedzie momentalnie, a z nią dwa radiowozy po drodze wezwane.

Ja: – Skąd będzie wiedziała?

Zachara: – Jeśli my dziś wiemy, to ona w tamtym dniu też będzie wiedzieć. Złapią tych chłopaków i skażą na trzy miesiące więzienia.

Ja: – Ale prezydent ich ułaskawi, bo chcieli bronić polskiej czystości prokreacyjnej, a to jest okoliczność łagodząca.

Zachara: – Stan wyższej konieczności narodowej. A Lechu jak wyjdzie ze szpitala, zaraz pojedzie do Ponic pojednać się. Ale zamkną przed nim drzwi i tylko zza firanek będą patrzeć, i jeszcze psami poszczują. Zresztą nawet nie trzeba będzie szczuć, Lechu zapuści długie włosy, brodę, na dziada będzie wyglądał, co gorzałki szuka, choćby denaturatu. Więc i tak wszystkie psy go będą obszczekiwać.

Ja: – Będzie miał depresję, to dlatego się tak zapuści. Piję do ciebie, Zachara.

Zachara: – Kryzys wieku średniego mu się zacznie. Będzie już po trzydziestce.

Ja: – To jeszcze za wcześnie na kryzys. Chyba będzie mu trudno to wszystko dźwigać. Wiesz, czasem jestem dumny, żeśmy go tak wychowali z Maryśką, żeby zawsze wszystkim pomagał, wszystkich rozumiał, wszystkich bronił. Żeby słabszych bronił. Ale żeby bronić słabszych, musisz być przez całe życie silniejszy. Mówią ci: idź mi stąd, żydu ciapaty, Arabie, spieprzaj do Warszawy, a ty się uśmiechasz, drugi policzek nadstawiasz. Mówią: wypierdalaj, Nowotworze, a ty się uśmiechasz. Mówią: zboku spedalony, a ty się uśmiechasz. Chcą ci rozjebać kiszkę stolcową, a ty idziesz im wybaczyć. Ile można udźwignąć? Ile może udźwignąć człowiek?

Zachara: – Człowiek by tego wszystkiego nie dźwignął. Ale Lechu da radę. Piję do ciebie.

Ja: – Wiem. Moja krew. Znaczy krew nie moja, ale jakby było potrzeba, to ja mu wszystko oddam, nerkę, wątrobę, krew, co będzie chciał. Taką mamy zgodność genową, wiem, sprawdzaliśmy z ciekawości kiedyś. Piję do ciebie.

Zachara: – Ankę ogolą na zero, w Mszanie ją dorwą. Że kurwa, rodzinę rozbiła i się skrobała. Będą ją straszyć, że mogą jej tę maszynkę do golenia wsadzić i włączyć. Upokorzą, oplują, bark zwichną, jak się będzie wyrywać. Jak jej włosy potem będą odrastać, to już nie rude, tylko siwe.

Ja: – I ze szkoły ją wyrzucą.

Zachara: – Ze szkoły to wyleci później, za to że tajne zajęcia jogi w Mszanie prowadziła. Czyli za sekciarstwo. To akurat widzę dokładnie – II Wydział Religijny Sądu Okręgowego w Nowym Targu, skazanie z paragrafu „kultywowanie obrzędów fałszywych wyznań". Telewizja publiczna będzie transmitować, jak wychodzi z sądu, poustawiają jej uczniów, żeby krzyczeli, że była fałszywą nauczycielką, precz z sekciarstwem, precz z Nowotworami, Polska dla Polaków, góry dla górali i wypierdalaj do Tybetu. I błotem ją będą obrzucać, takim prawdziwym, z ulicy, bo to będzie w porze deszczowej. Piję do ciebie.

Ja: – Z czego Anka będzie potem żyła, bo nie widzę?

Zachara: – Też nie wiem. Ciężko będzie o pracę z takim wyrokiem. Żadna szkoła jej nie będzie mogła zatrudnić. A jakby chciała zajęcia tu swoje prowadzić, sport dla seniorów, to żaden senior nie przyjdzie. Nie, raz przyjdzie, splunąć na nią. Taką pokutę od księdza dostanie. Więc Anka do Krakowa pojedzie szczęścia szukać, zajęcia prowadzić dla pomarańczowych opasek. Ale w biznesie takim jak ona też będzie ciężko. Albo takim jak wy.

Ja: – Wiem. Maryśka też nieraz po wsiach usłyszy: dość tuczenia nieroba, takie ścierwa jak wy nie będą na Polakach zarabiać. Plakaciki reklamowe też nam będą zrywać albo pisać „Araber raus". Aż Dzyndzel nam porobi w swojej drukarni takie z technologii, że się po nich pisać nie da. Piję do ciebie, Zachara.

Zachara: – Wiesz, że jak człowiek dużo pije, to mu się krew w wódkę zamienia? I wtedy, Józek, cały czas piecze. Serce bije, pompuje krew i w tętnicach, w żyłach się przesuwa non stop piekący ból. Piję do ciebie.

Ja: – Boję się o mojego syna, kiedy przyjdzie najtrudniejszy czas. Kiedy przyjdzie godzina próby, przyjdą sprawy ostateczne. Kiedy będą go sądzić za rzeczy, których nie popełnił. Które myśmy popełnili, my wszyscy, cała Rabka i miejscowości okoliczne, Kraków i Warszawa, Sodoma i Gomora. Czy on ten ból wytrzyma?

Zachara: – A widziałeś go teraz u Władka? Jak potrafi nadstawić drugi policzek i miecz innym wytrącić, hejt zgasić, zanim zapłonie?

Ja: – Tylko ile on ma tych policzków? Cztery jak jakiś Światowid? Też nie wystarczy! Lechu nagra wtedy taką piosenkę, której naprawdę będą słuchać nie tylko w Europie, ale nawet Chińczycy w limitowanym necie oraz cały świat arabski. Napisy mu Jasiek porobi w kilkunastu językach. I będzie światowy megahit i ogólnokrajowy. Wiesz jaki tytuł? *Apokalipsa według Świętego Józka*". Albo *Ewangelia*, nie wiem, nie widzę, nie wszystko widzę. Piję do ciebie.

Zachara: – Ej, coś ci się dupcy, Józek. Ja widzę, że będzie zablokowany w sieci na Polskę. Niczego nie będzie mógł pisać, za to wszyscy będą mu mogli robić wpisy, które on będzie musiał przymusowo czytać za każdym

razem w domu poprawy. Będą mu na wallu pisać: Lech lewak, zmień imię, bo Polskę plugawisz, co od Lecha, Czecha i Rusa pochodzi, Lech jest na Wawelu, a ty jesteś zwykły śmieć, wypierdalaj do multi-kultilandu. Piję do ciebie.

Ja: – Widzę ten hejt w sieci. Widzę te motory Białego Legionu, te zajazdy Białego Klanu, groźby widzę. Ale też widzę jakiś mir na Podhalu, jakim go będą otaczać. Nie wszyscy, ale będzie miał swoich ludzi. Dzięki temu my z Maryśką też jakoś będziemy tu mogli żyć. I będziemy mogli wyjść do sklepu, wyjść się afiszować na obrzeżach parku – oczywiście poza strefą. Będziemy z Elką jeździć do term – na basen dla Nowotworów oczywiście. Nie widzę, skąd ten szacunek dla Lecha się będzie brał? Z uzdrowień?

Zachara: – Nie tylko. Ludzie go pokochają po tym koncercie „Pokój na Podhalu", zanim jeszcze go spacyfikują ustawą o prawie do wolności od zepsucia. Zanim jeszcze będzie bardzo znany, zrobi nad Jeziorem Czorsztyńskim dwudniowy koncert góralskiego hip-hopu jeszcze z Kapelą Hip-Hop, Multi-Podhalem, Dzyndzel Bandem i tym zespołem z Nowego Targu…

Ja: – Nowy Rap?

Zachara: – Tak. Catering im się wyłoży. Przywiozą grille, ekobrykiety cieplne, beczki piwa, nalewak, kufle papierowe i talerzyki, tylko żadnego jedzenia nie będzie. Długo nie da się wyjaśnić dlaczego, ty dożyjesz, to się może dowiesz. Wieczorem na miejscu będzie pięć tysięcy pijanych, coraz bardziej wściekłych górali. Jak Lechowi o tym powiedzą, to jeszcze przed swoim występem zadzwoni do prezesa Maśniaka z Harkabuza, że potrzebuje całego chleba, jaki ma w sklepie, i Dzyndzla po niego pośle, bo będzie miał największy samochód z całej ich paczki i już będzie po swoim występie. A Szymona wyśle na przystań, żeby łódkę pożyczył i ryb nałowił. I Szymon będzie opowiadał, że jakby w ławicę na Morzu Śródziemnym wpłynął, pstrągi rękami z jeziora będzie wyciągał, całą łódź rybami wypełni. Będą rozdawać tosty i ryby z grilla, a ludzie będą się zachwycać, że boskie w smaku. Wszystkiego pod dostatkiem, piwa szczególnie. Największe masowe pijaństwo w historii Podhala. Nad ranem Lechu sam

będzie chodził od namiotu do namiotu i wszystkich najmocniej trzącha będzie częstował pastylkami z medycznej marihuany. Podobno to kaca będzie leczyło jak nic, zapamiętaj, bo głośno się o tym nie będzie mówić, chyba że w darknecie.

Ja: – A potem będą te niewyjaśnione uzdrowienia. Ludzie w depresji, popieprzeni różni, bełkocący epileptycy. Będą mu ich przynosić na noszach na koncerty, Lechu będzie przerywał granie, podchodził, rozmawiał, częstował tabletką i po jednym kawałku człowiek będzie wstawał zdrowy. Ludzie go pokochają i krzywdy mu zrobić nie dadzą. Nawet jak go oskarżą w końcu w Nowym Targu o sekciarstwo i deprawację Rzecznik Praw Religijnych razem z Rzecznikiem Praw Rodziny, to pod sądem stanie pikieta górali z hasłem „Pokój na Podhalu". Ale z ciupagami wszyscy przyjdą, jakby tego pokoju ktoś nie chciał uszanować. I sam minister zadzwoni do sędziego i każe mu Lecha uniewinnić.

Zachara: – Nie martw się o syna, widzisz, będą przy nim ludzie, którzy będą w niego wierzyć. Magda będzie przy nim, chociaż nie z nim, to mu pomoże. On wszystko wytrzyma. Nie tylko jednego Judasza, który by go miał zdradzić. Wytrzyma, jakby go mieli zdradzić wszyscy, co noszą jego znak pod sutanną. Piję do ciebie.

Ja: – A co z Magdą będzie?

Zachara: – Biuro podróży założy z wycieczkami do Ziemi Świętej. Maryśka jej trochę pomoże to ruszyć. A potem dołączy się ten Darek, co dziś jest z Adasiem, tylko na odległość będzie pracował, z Jiczyna w Czechach.

Ja: – A żaden ksiądz nie będzie chciał Adasia pochować. Ani z Rabki, ani z Chabówki. Że niby jak taki spalony, to nie ma czego chować.

Zachara: – Jak to spalony, skoro się powiesi?

Ja: – Jak go ludzie znajdą na sośnie, to dla pewności podpalą. Masakra. Piję do ciebie.

Znad Poniczanki, z Baru u Władka słychać, jak Lechu bisuje z kawałkiem *Pan Faryzeusz*. Stoi z mikrofonem młody, genialny, natchniony. Wszystko

przed nim. Magda siedzi u jego stóp na tej zaimprowizowanej scenie wpatrzona w Lecha jak w święty obrazek.

My z Zacharą zasypiamy z głowami na stole, jak rycerze z Giewontu, którzy zbudzą się, kiedy ojczyzna będzie w potrzebie. Tak głosi góralska legenda. Więc my ze starym Zacharą zbudzimy się jutro rano.

Jz 10, 23-49

Nad ostatnimi domami trzeba skręcić ze żwirowej drogi w prawo, w ścieżkę wydeptaną wśród trawy. Wejść między krzaki jeżyn, które ostrymi kolcami potrafią zadrzeć każde dżinsy. Ale to najlepsza droga do świerkowego lasu porastającego północne zbocza Tatarowej.

Potem droga wspina się wzdłuż parowu, w którym kiedyś płynął strumień. Pod koniec pory deszczowej robi się tu niezłe błoto i Lechu się martwi, że ubrudzi sandały. Bo tak najbardziej lubi chodzić po górach – w sandałach z mocnym bieżnikiem. No i proszę: albo bieżnik nie dość mocny, albo błoto za duże, Lechu upada i spodnie będą do prania.

Idą święta, mógłby już spaść śnieg. Ale w dwa tysiące trzydziestym czwartym roku Wielkanoc wypada wcześnie, 9 kwietnia, więc może epizod mrozowy, który zwykle kończy porę deszczową, nadejdzie po świętach.

Nad parowem trzeba znów wejść w ścieżkę między jeżynami. Tu las się zmienia na mieszany, dużo brzóz poutykanych między świerkami. Nagle pojawia się wśród nich kobieta w niebieskiej kurtce turystycznej, z głową w niebie, rozgląda się, patrzy na powracające z dalekiej podróży na Bliski Wschód ptaki.

– Co ty tu robisz, mamo?

– Wyszłam się przejść. Miło cię spotkać z rana! Dobrze że jesteś. – Maryśka ściska Lecha mocno, obejmuje, a raczej przytula się do niego, bo wyrósł na wielkiego człowieka, potężnego mężczyznę.

Maryśka dużo chodzi teraz po górach. Szykuje się na sprawną starość. Od śmierci starego Zachary wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy nieśmiertelni. Łukasz wrócił do biegania, a my z Maryśką cały rok sporo pielgrzymujemy po górach, a w porze suchej jeździmy na elektrykach. Ale nawet na elektryku musisz się zmęczyć, żeby wjechać na Turbacz, a choćby na Maciejową. Na Tatarową od strony Traczykówki nie wjedziesz, ścieżki wąskie i strome.

Tylko Elka zrobiła to, co zwykle robiła w trudnych momentach: zajadła żałobę. A Anka, jej odwrotność, jeszcze bardziej poszła w jogę. Wpada czasem do Rabki, spotykamy się u Elki Zacharowej na brydża, że w imię Ojca i Syna, cosik zaraz się będzie działo. Ale nic się nie dzieje, wspominamy sobie, jak stary Zachara z Anką ugrał szlemika z kontrą w dwa tysiące dwudziestym trzecim, już mocno wtedy chory. A potem gadka, co u dzieciaków. Jasiek ciągle gdzieś w Polsce, znalazł robotę przy drugiej linii hyperloopa. Lechu niedawno wrócił do Rabki, domek sobie kupił mały blisko nas, jemu obojętne, gdzie mieszka, bo i tak pracuje w necie, a czasem myślę, że nie tylko pracuje, ale żyje w necie. I lata po świecie, zarabia na koncertach i double-selfie sessions, za selfie z fanem bierze dwadzieścia pięć euro. Od ostatniej płyty na Spotify świat go ma za idola, a przynajmniej Warszawa i Bejrut, gdzie jest bardzo popularny. A Magdalena organizuje wycieczki do Palestyny, wyspecjalizowała się we frontowych tripach, wiele sama prowadzi, jakby chciała się dać zabić z tej niespełnionej miłości do Lecha. Najwięcej o nich opowiada Łukasz, bo jak się zjadą do Rabki, to całymi dniami siedzą u Magdy i wujka Łukasza. I Łukasz opowiada, jak byli na półfinale pucharu Polski w Nowym Targu, kiedy Podhale podejmowało Polonię. A potem wygrywa w parze z Anką cztery kiery z kontrą i to jest gwóźdź wieczoru. Świetnie im się układa po rozwodzie, Anka nawet częściej do Rabki przyjeżdża się spotkać z Łukaszem niż do Mszany. Może by nawet tu chciała wrócić, ale z pomarańczową opaską to życia by w Rabce nie miała na dłuższą metę.

– Ciocia Ania przyjechała na święta, może się jakoś rodzinnie spotkamy, bo Magda chyba też jest w Rabce? – zagaduje Maryśka syna.

– Wiem, wczoraj przyjechała i się u mnie zatrzymała na noc. – Lechu patrzy w stronę Skomielnej, jakby tam coś strasznie ważnego zobaczył. Stary chłop, trzydzieści trzy lata skończone, a się wstydzi matki. No, ale u nas o sprawach między mężczyznami i kobietami to się nie mówiło w domu swobodnie, fakt.

– Zejdziecie się z tą Magdą w końcu? – Maryśka pokazuje, że przynajmniej w lesie na Tatarowej umie przełamać tabu.

– Nic nie było między nami – odpowiada Lech jakby z zawstydzeniem. – Dzisiaj nic nie było.

– Lubię tę dziewczynę. Kobietę, bo wy już nie jesteście dziećmi, Lechu. A ja bym chciała wnuki bawić, może nie w tym roku, ale w tym stuleciu na pewno – odpowiada Maryśka, śmiejąc się z własnego żartu. – No dobra, idę. Pomyśl o tym spotkaniu i prześlij ojcu mesedż. Do zobaczenia, synku. A, zapomniałabym, ta *Apokalipsa 2035* jest świetna. W nocy wskoczyła na pierwsze miejsce listy pobrań, widziałeś?

Nowy numer Lechu wrzucił do sieci w Niedzielę Palmową i od razu zrobił się skandal. Twitter go nazwał antychrystem, a Facebook geniuszem.

Poszło przede wszystkim o zwrotkę o tym, jak Polska i Polacy przyjęliby dziś Jezusa – obcego, kolorowego, zbuntowanego przeciw obowiązującemu porządkowi.

Pamiętam jeszcze Polskę kolorową,/ Nie tę z opaską pomarańczową,

I z trwogą patrzę na tę obłąkaną hordę,/ Co wszystkich ludzi chce wziąć za mordę.

W kościele jesteście tacy wspaniali,/ A byście Jezusa ukrzyżowali,

Bo długowłosy, Żyd z Palestyny./ Jesteście wszyscy…

Ostatnie słowo Lechu zagłuszył pipnięciem, ale nawet w Ponicach zrozumieli, co to za aluzja. I przez trzy dni, zanim Lechu zdążył dojechać do Rabki, już miał na płocie namalowany farbą pomarańczowy krzyżyk. Chciałem go zmazać, zanim Lechu wróci, ale kiedy się wziąłem do roboty, drogą przejeżdżał chłopak z Ponic na inaugurację sezonu motocyklowego.

– Szkoda pracy, w nocy się to znów pojawi – stwierdził tylko.

I rzeczywiście miał rację. Wyczyściłem i w nocy pomarańczowy krzyżyk pojawił się ponownie.

Lechu ma jednak większe problemy. Jemu najwyżej namalują krzyżyk, nikt się do domu nie wedrze, bo płot pancerny, monitoring całodobowy i Inteligencja w pogotowiu, w każdej chwili może przysłać patrol. Ale dzieciaki, które go słuchają, mają gorzej. Nawet w Warszawie zdarza się pałowanie przez Patrole Obywatelskie za T-shirt z jego zdjęciem. A na Podhalu gorzej: Biały Klan jeździ z krzyżowym ogniem i na liście Obrazy Boskiej i Polskiej jest też subskrybowanie jego kanałów, szczególnie najstarszego LechuNzP. Jeszcze żaden dom nie spłonął, ale ludzie coraz bardziej się boją krzyżowych przesłuchań. To narasta. Coraz częściej piszą ludziom na płotach albo ścianach domu pomarańczową farbą: „szmaciarze", „nowotwory", „koszerna swołocz", „antychryst", „ukrzyżować".

Z polany pod szczytem Tatarowej Lechu rozgląda się po okolicy – wierzchołki gór od Skawy po Skomielną wystają ze smogu, piękny widok. A w tym smogu ludzie coraz bardziej w swoim świecie zasklepieni, jakby ten smog im zatykał oczy i uszy, jakby nikogo nie mogli zobaczyć, usłyszeć i przyjąć do siebie, kto nie jest z ich bąbla na Community.

Kłania się tylko z daleka sośnie, która rośnie na szczycie Tatarowej. Tej samej, na której powiesił się Adaś. Kiedy Lechu już chce się pogodzić ze światem segregacji, stref wolnych od gejostwa albo nowotworów, kiedy już próbuje przyjąć wyjaśnienia rzeczników praw, że to lepiej porządkuje rzeczywistość, daje wszystkim wolność od tego, czego nie chcą oglądać, przychodzi tutaj, patrzy na sosnę Adasia z domalowanym pomarańczowym krzyżykiem i zaraz mu wraca niezgoda na rzeczywistość.

Czas wracać, bo dziś ważny dzień. Masa ludzi pojeżdżała do Rabki na Wielkanoc i postanowili urządzić spotkanie w starym dobrym Siwym Dymie. Wielki Piątek, mięsa się nie je, ale w tym pokoleniu to oni w większości weganie albo wegetarianie.

Lechu wybiera się na spotkanie z Magdaleną. Powiedział jej wyraźnie, że nie może jej dać tego, czego oczekuje: domu, dzieci, wspólnego życia

i współżycia. Magdalena jednak jest przy nim zawsze, kiedy jej potrzebuje. A potrzebuje coraz częściej, bo coraz bardziej chciałby mieć kogoś, kto go naprawdę rozumie. W show-biznesie nie zawsze tak jest – możesz mieć miliony followersów, ale ilu rozumie wszystko, co im chcesz powiedzieć?

Obiecał Magdalenie jeden pocałunek. To będzie dziś – postanawia, schodząc lasem wzdłuż parowu.

Magda właśnie wstała, pościeliła łóżko w pokoju gościnnym, który tak naprawdę jest jej pokojem u Lecha, zaparzyła kawę i przygotowuje im wegańskie płatki na mleku sojowym. Jedzą, rozmawiają, a potem całują się, długo, bardzo długo. Zaczynają przy stole, potem przez cały pokój docierają do łóżka, Lechu układa Magdę delikatnie, nie przerywają pocałunku ani na chwilę.

Magdalena jest w siódmym niebie – pół życia czekała, żeby znów to się stało, i właśnie się dzieje. Chłonie rozkosz całym ciałem, przywiera do Lecha i co z tego, że przez ubranie. Lech czuje, co traci przez swój wybór życia na poły w zakonie, na froncie walki o Polskę, w trasie, w sieci, wszędzie, tylko nie tutaj, nie z tą dziewczyną, nie w tym domu, który mógłby być ich domem. W Rabce, co do której nie wiadomo, czy mogłaby być ich domem – Nowotworów, którym każdego dnia mogą przydzielić pomarańczowe opaski.

Pozostają do końca w ubraniach, ale nie znaczy to, że Magda podnosi się niezaspokojona. Lech jeszcze kilka minut leży na łóżku. Myśli o dzisiejszym wieczornym spotkaniu w Siwym Dymie, o wszystkim, co się zdarzy, co się musi zdarzyć, a co może go ominąć.

Dostają boczną salę dla Nowotworów, bo jest wśród nich kilkoro z pomarańczowymi opaskami. A zgodnie z dekretem Rzecznika Praw Rodziny osoby pozbawione dostępu do stref wolności muszą mieć wyznaczone w restauracjach osobne sale.

Są z Magdą pierwsi, siadają za stołem, zamawiają moskole z humusem oraz wino białe i czerwone. Wiadomo, że chłopaki jak przyjdą, domówią wódkę, poza Setnikiem, który pozuje na światowca i zawsze głośno

zamawia whisky, a potem po cichu wódkę innym podpija. Tym razem też, tylko z podpijaniem wódki będzie musiał zaczekać na kolejnych.

– Szalom – krzyczy od wejścia Jasiek. Nie ma przyznanej opaski, ale zawsze drwi sobie z prawa segregacyjnego. Jak się upije, to teatralnie udaje geja, ostentacyjnie wypytuje kelnerki, czy to, co ma na talerzu, jest na pewno wegańskie i koszerne, oraz w którą stronę jest Mekka, gdyby poczuł potrzebę się pomodlić, a w ostatniej fazie wrzeszczy, że jest czarnoskórym Chinolem, tylko się przemalował na biało. Taki jajcarz.

Dzyndzel przychodzi z Jarkiem, kumplem ze Rdzawki, założyli właśnie nowy band. Nie idzie mu w muzyce, miał swój czas, kiedy grał jako suport Lecha, ale nie poszybował tak do góry, zasięgi mu pospadały i teraz grywa na weselach patriotycznych *Majteczki w kropeczki* i *Rotę*.

Szymona słychać już przed drzwiami. Jak zwykle jest ze swoimi dwiema kobietami – to siostry Nawarówny, córki Jędrka, co auta z Niemiec sprowadzał, i Pauliny, co Pod Kasztanami piwo podawała. Większość rodziny – a jest tych dzieciaków chyba z dziesiątka – wdała się w ojca, z Białym Klanem jeżdżą, jeden służy w Patrolach Obrony Terytorium. Tylko Angelika i Edyta się zbuntowały, studiowały w Krakowie, w Bratysławie, tam się z Szymonem skumały i zawarli potrójne małżeństwo. Co w Polsce nie jest uznawane, więc Szymon musi mówić, że to jego koleżanki, bo inaczej pomarańczowe opaski i do stref nie będą mogli wchodzić.

– Myślimy o dzieciach, najlepiej żeby razem rodzić – opowiada Angelika. – Będzie jak w tym kawałku Lecha, że *Jedna żona i druga żona/ Tej samej nocy obdarzona*.

Wszyscy się kumplują od lat, ale łączy ich przede wszystkim Lech. Jasiek to jego przyjaciel od maleńkości, Angelika to jego fanka od dawna. Każdy by w środku nocy wyrecytował kawałek z nagrywek Lecha, który pomógł mu kiedyś w życiu. I każda.

Razem przychodzi ich dwunastka zaprzyjaźnionych fanów, bo jest jeszcze czterech kumpli Lecha z krakowskiej polonistyki – Mateusz, Marek, Łukasz i Janek Kawalarz. Właściwie znają się z busa, którym dojeżdżali

razem na studia – Mateusz ze Skomielnej, Marek z Klikuszowej, Łukasz ze Skawy i Janek Kawalarz z Chabówki. Dostał taką ksywkę, bo całą drogę jak siadali we czterech z tyłu, opowiadał kawały. Chyba że Lechu napisał akurat nowy tekst, to z tyłu prezentował, a chłopaki kiwali głowami, że tak, i mu redagowali trochę. Bo większość kawałków hiphopowych jest mocno niezredagowana.

Góralskie piosenki są prostsze. *Idzie dysc, idzie dysc, idzie sikawica./ Uleje, usiece, uleje, usiece, uleje, usiece Janickowe lica* – śpiewa Pietrek, który dzisiaj gra ze swoją kapelą. Ma zgodę księdza na muzykowanie, tylko tańczyć nie wolno, bo Wielki Piątek.

Jedzą moskole, grillowane oscypki, tradycyjne góralskie potrawy. Pierogi polskie, bo nazwy „ruskie" już się nie używa, nie jest zakazana, ale źle widziana. Mięso też jedzą, szaszłyk barani i schabowego, co jest z kolei dobrze widziane, a w Harkabuzie i Ponicach to nawet niewyobrażalne, żeby miało być inaczej. Piją wódkę i piją wino biało-czerwone. Jak zwykle pierwsza i druga kolejka co tam w pracy, trzecia i czwarta co w polityce, a piąta, szósta i kolejne o Bogu.

– Chciałbym wznieść toast – zaczyna Lechu, wstając.

– By nie wyszedł roast – dopowiada do rymu Janek Kawalarz i wszyscy się śmieją dobrym śmiechem.

– Jest dla mnie jakimś cudem, że porozjeżdżani po świecie, trudnym świecie, w trudnym czasie, daliśmy radę się tu wszyscy spotkać. Ale taki toast za spotkanie to banał nad banałami. Chciałbym wypić za owoce tego spotkania, za to, co z niego wyniknie. Bo spotkania między ludźmi wtedy mają sens, kiedy przynoszą dobre owoce.

– Winogrona? – Janek Kawalarz rozładowuje atmosferę. I wszyscy znów się dobrze śmieją i wypijają do dna każdy ze swego kieliszka, bo picie na góralską modłę to już tylko w skansenie w Chochołowie. Pokój na Podhalu.

Gdzieś tak zaraz po tym, jak kelnerka przynosi trzecią flaszkę, słychać zza okien warkot. Jakby myśliwce, bombowce, nalot dywanowy z daleka, nie pojedyncza eskadra. To nie samoloty, to motory. Skręcają z siódemki

i zajeżdżają przed Siwy Dym. Głośno odkręcają manetki, żeby wszyscy słyszeli. I żeby się posrali ze strachu.

To Biały Klan. Z krzyżowym ogniem przyjechali. Z rozliczeniem naruszeń Obrazy Boskiej i Polskiej. Z sądem ostatecznym.

Drzwi się otwierają na oścież, gwałtownie, kopniakiem ktoś je otworzył. Człowiek w motocyklowym stroju cały na biało i w białym kasku na głowie z szybką czarną, nie poznasz, kto to. Chociaż i tak wiadomo, kto kroczy na czele Białego Klanu, kto nim dowodzi, kto jeszcze Biały Legion tworzył i go w Biały Klan przekształcił. Kto tu jest harnaś. Jakub z Ludźmierza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja zawsze dziewica – mówi Jakub spod kasku. I wszyscy milczą, bo wiadomo, że tym razem zaraz cosik będzie się działo.

– No co, kurwa, Boga nie pozdrowicie Jedynego i Matki Boskiej Ludźmierskiej? – Jakub podnosi szybkę w kasku. On się nie boi. On się może pokazać. Jemu nic nie zrobią ani ludzie, ani psy, ani nikt. Jego siła z góry pochodzi, on jest bożym palcem, bożym ramieniem, bożym ogniem.

Wszyscy milczą przerażeni. Żony Szymona wtulają się w niego z dwóch stron, Magda też by się przytuliła do Lecha, ale nie za bardzo może. Zwłaszcza że Lechu wstaje, napity trochę, i z uśmiechem odpowiada:

– Wujek Kuba? Witamy, witamy. Ale nie przyjechał chyba wujek z Ludźmierza do Siwego, żeby Matkę Boską tu pozdrawiać?

– Takiś mądry, bękarcie arabski? – Jakub zwraca się wprost do Lecha, który stoi po drugiej stronie stołu, centralnie na środku. – Ja cię latami mogłem tolerować, ale teraz przesadziłeś, gnoju. Od skurwysynów Polakom wymyślać?! Bluźnierstwa takie wyśpiewywać o ukrzyżowaniu, o antychrystach? Sam jesteś chujem antychrystem. Przyszedł czas na zapłacenie rachunku od pogardy.

– Jakubie, dotknęły cię słowa, które zrymowałem? Mnie smucą te, które wypowiadasz. Dużo w nich pogardy dla ludzi, Matka Boska Ludźmierska nie byłaby z ciebie dumna. Może siądziemy, żeby o tym porozmawiać?

– Ja mam z tobą siadać, ścierwo śmierdzące? Ja ci mogę z glana w mordę przykopać. – Jakub nakręca się coraz bardziej, nie dostrzegając jednak, że znalazł się w niełatwej sytuacji. Od Lecha odgradza go zastawiony stół. Bokiem dojść się nie da, bo Lechu otoczony jest gromadką młodych chłopaków, którzy już się otrząsnęli z pierwszego przerażenia i dusze góralskie, rogate z nich zaczynają wyłazić, lekko by nie było. Demolki Pietrkowi w lokalu zrobić nie może, bo Pietrek dobry katolik, do kościoła chodzi i wprawdzie z Białym Klanem jeździć nie chciał, ale Nowotwory trzyma na dystans, salę ma przepisowo osobną, a byli tacy na Podhalu, co się buntowali, wolnościowcy, warszawiaki, że u nich wszyscy obywatele mają równe prawa do kotleta. Tyle, że im się już knajpy popaliły.

– Jakubie, to, czego staram się ludzi nauczyć od lat w swoich kawałkach, to żeby się szanowali. Również w tym, czym się różnią. I żeby luza więcej złapali – odpowiada Lechu. – Ty mnie nie szanujesz i to mnie smuci. Bo musisz mieć potwornie dużo nieszczęścia w sobie, żeby tak mówić o innych. Mogę ci pomóc, ale oczekuję, że zrezygnujesz z agresji. – Lechu rozpościera szeroko ramiona, jest cały postawą otwartą ze stron o coachingu, jest idolem na scenie, jest chodzącą miłością do wszystkich ludzi.

– Morda! Zamknij ryj, pedale. – Jakub się pieni. – Jesteś hańbą Podhala, ty i twoja matka, przybłęda ciapata!

Jeden ze stojących za nim motocyklistów, tak samo w białym kombinezonie, z białym kaskiem, tyle że z szybką opuszczoną, widzi, że wodzowi trzeba pomóc. Kładzie mu uspokajająco rękę na ramieniu i pyta:

– Wodzu! Pałujemy pedała, żeby zrozumiał?

Lechu przenosi wzrok na niego.

– Jam jest Lech z Rabki, syn Józefa cieśli. Wiesz o tym? Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić? Dlaczego właśnie ty chcesz mnie skrzywdzić? Kryjesz się za białym kaskiem i myślisz, że cię nie rozpoznaję? Że nie wiem, że mówią na ciebie Pirat Ponicki? Że nie wiem, że tirami jeździsz na Bałkany, a kiedyś dalej jeździłeś? Że nie wiem, że to ty skrzywdziłeś kiedyś moją

matkę, kiedy uciekała przed wojną? Przed taką wojną, jaką wy tu nam teraz chcecie zgotować?

Zapada taka cisza, że chyba nawet Pan Bóg w niebie wstrzymuje oddech. Co będzie dalej?

Nagle Pirat Ponicki zaczyna się śmiać, strasznie, głośno, okropnie. Kask z głowy ściąga, bo musi oczy wytrzeć, bo mu łzy lecą ze śmiechu.

– Takie, kurwa, dochodzenie zrobiłeś, synu Józefa cieśli? Tak ci matka mówiła? Myślisz, że twoją matkę pukałem w kabinie i może jestem twoim kochanym tatusiem cudem odnalezionym w ostatnim odcinku serialu? Pojebało cię. – Pirat zanosi się ze śmiechu.

Lechu patrzy na niego ze skupieniem i wstrzymuje oddech. Co będzie dalej?

– Nikt jej nie chciał tknąć, takiej brudaski. Suki okutanej w sukienki arabskie. Na brzuch się ją tylko rzuciło i kijem do bejsbola wyruchało, żeby respekt poczuła.

Pirat poważnieje, żeby podkreślić, że wszystko na serio mówi. Że tym Lechowi w twarz rzuca, żeby bolało, żeby sprowokować, żeby dopiec. Po czym ciągnie:

– I żeby wypierdalała z Ponic, z Podhala, z Polski żeby wypierdalała. A nie tu przyszła bękarta, drugiego Bin Ladena urodzić na zgubę swoją i naszą. Ale się kurwa nie posłuchała i teraz będziemy musieli ci łeb upierdolić.

Najpierw Szymon odsuwa swoje żony i wstaje. Razem z nim podnosi się Jasiek. Potem Setnik i czterej poloniści, a za nimi wszyscy. Chyba jednak będzie bitka, bo ruszają powoli w stronę motocyklistów. To już nie są pyskówki między mężczyznami, co na Podhalu się zdarza, a nierzadko kończy ciupagami i przelewem krwi. Nikt nie będzie tak obrażał kobiety, a zwłaszcza cioci Marysi, która dla wszystkich zawsze jak anioł była.

– Nie robić mi tu bydła, hej! – wcina się Pietrek. Skończyli granie już kilka minut temu, ale w tym momencie Pietrek czuje, że trzeba zainterweniować, bo inaczej będzie knajpę remontował.

Teraz Jakub kładzie Piratowi rękę na ramieniu, żeby go powstrzymać. Odwraca się trochę na znak, że będą wychodzić. Ale to on musi wyjść z ostatnim słowem.

– Wiesz, że ja bym mógł cię dorwać, gdybym chciał? Mógłbym cię wywieźć do Zakopanego i na Giewoncie ukrzyżować?

Lechu znów rozkłada szeroko ręce, jakby chciał powiedzieć: „Proszę bardzo, zrób to". A Jakub się rozpędza.

– Jest Chrystus z Rio, a u nas byłby Lechu z Zakopca. Atrakcja turystyczna dla Polaków i przestroga dla Nowotworów. I cię kiedyś jeszcze dorwę na osobności i wybierzemy się na wycieczkę życia. A na koniec zrobię ci drogę krzyżową z Kuźnic, przez Halę Kondratową na sam Giewont, bo mi się coraz bardziej ta inscenizacja podoba.

Jakub wygraża Lechowi ręką i w zupełnej ciszy idzie do drzwi, za nim pozostali motocykliści. Zapalają motory i odjeżdżają w dół, w stronę Rabki. A kapela Pietrka natychmiast zaczyna grać, bo kiedy nie wiadomo, co powiedzieć, to lepiej zagrać. *Jęcą góry, jęcą,/ Kiej Janicka męcą./ Jesce jęceć bedom,/ Kiej go wiesać bedom.* Ładna melodia, ale tekstowo w tej sytuacji to jednak *faux pas*.

Wszyscy siadają, Dzyndzel im polewa.

– Za pokój na Podhalu – mówi Lechu cicho, ale mocno. Jakby wierzył, że to się stanie. Nie rozejm, w którym nienawidzące się plemiona na chwilę odkładają ciupagi, tylko pokój między ludźmi, dziećmi tego samego Boga lub tej samej ewolucji, z akcentem na „tej samej".

– My też za to wypijemy – krzyczy ktoś z ukrytego w kącie sali stolika. Elżbieta Zacharowa.

– O rany! – krzyczą jednocześnie Jasiek, Magda i Lechu. Bo razem z Elką siedzą też Anka i Maryśka. Zrobiły sobie babskie wyjście do Siwego i też je posadzili w sali dla Nowotworów.

Dzieciaki podchodzą, siadają z matkami, bo wypada zamienić słowo. Maryśka nie traci czasu, bierze Lecha za rękę i pokazuje mu, żeby wyszli na chwilę na taras. Ale zaczyna Lechu.

– Co tu robisz, mamo?

– Przyszłam, żebyś nie zrobił głupstw.

– Myślałaś, że zrobimy tu rozróbę ze sztachetami i z fruwającymi ławkami? – pyta wesoło Lechu.

– Nie. Wiem, że nadstawisz drugi policzek. Znam cię, Lechu, znam cię wiele lat, wiem, jaki jesteś i wiem, co zrobisz – odpowiada Maryśka bardzo poważnie.

– Co zrobię? – pyta Lech równie poważnie.

– Nie chcę, żebyś dał się zabić. Nie chcę stracić syna. Ja wiem, jakie to straszne stracić syna. Nie chcę płakać. Nie mam na to siły, żeby płakać rok, sto lat, tysiąc lat, dwa tysiące lat. Synku, takie łzy nie wysychają. Nie mogę myśleć, że nic nie zrobiłam, kiedy mogłam. – Maryśka mówi bardzo spokojnie, bardzo poważnie i bardzo szybko. Aż Lechu kładzie jej rękę na ramieniu.

– Mamo, zrobiłaś, co mogłaś – odpowiada. – I też cię kocham.

Wracają do sali. Już słychać gwar, siekiera nie wisi w powietrzu, gra muzyka, Szymon nalewa dziewczynom wina. Magda podchodzi z kieliszkiem do Lecha, chce coś powiedzieć, ale Lechu kładzie jej palec na ustach.

– I ciebie też kocham – mówi. Po czym mruga okiem, żeby nie było zbyt patetycznie. – Chociaż gdybym chciał to opisać w statusie na Facebooku, to dopisałbym „To skomplikowane".

– Będę przy tobie. I ja naprawdę zrobię, co mogę – odpowiada Magda.

I wtedy podchodzi Dzyndzel. Chciałby pogadać o muzyce, hip-hopie, o show-biznesie. O tym, dlaczego Lechowi się udało zrobić karierę, że go w Warszawie znają, a Dzyndzla najwyżej w Myślenicach. Dlaczego Lechu pisze teksty, które ruszają Polskę, a on tylko odśpiewuje discopolowe hity innych autorów. No dlaczego?

Ale sam wie, że nie dostał po prostu tych talentów, które miał Lechu. Nie potrafił ich tak rozwinąć, jak potrafił Lechu. Nie jest Lechem, choć bardzo by chciał. Tak bardzo, jak Mark Chapman chciał być kiedyś Johnem

Lennonem i dlatego Lennona zastrzelił. Oczywiście Dzyndzel nie jest szaleńcem i nie zamierza strzelać w ciemnej bramie do Lecha.

– Zajaramy?

– Nie wiem, czy zajaramy, ale mogę z tobą wyjść – odpowiada Lechu.

Idą znów na taras. Dzyndzel sięga do kieszeni, żeby poczęstować Lecha skrętem, jak za dawnych lat bywało, kiedy razem jechali na koncert, razem występowali na jednej scenie. Ale w kieszeni pusto, towar się skończył.

– O Jezu, towar mi się skończył. Ale mam tu dilera, trzeba zejść w dół Kilińskiego, ziom mieszka przy warsztacie samochodowym w takim pokoiku na górze. Nie można do niego zadzwonić, bo ma schizę, że go psy namierzą. Ale jak się pójdzie i zastuka kodem, to sprzeda ci, co chcesz. Idziemy? – pyta Dzyndzel.

– Tak – odpowiada Lechu.

Wychodzą po schodach z tarasu prosto na ulicę. W drodze Dzyndzel zagaduje Lecha o karierę, której on sam nie zrobił, teksty, których nie miał okazji napisać, bo nie miałby kiedy i komu zaśpiewać. To raczej monolog niż pytanie czy rozmowa. Lechu czasem tylko potwierdza lakonicznym „mhm".

Dobrze, że Dzyndzel tak gada jak nakręcony. Nie zauważa, kto wyszedł za nimi po schodkach z tarasu, nie podejrzewa nawet, że ktoś tam z nimi jeszcze był.

Do warsztatu jest prawie kilometr, idą dobre dziesięć minut. Stają pod drzwiami kanciapy, w której kiedyś mieszkał Staszek, czyli w której ja przemieszkiwałem. Ale Dzyndzel nie stuka kodem do dilera, tylko czeka. Czeka. Lechu czeka z nim.

Zza budynku nierówno oświetlony słabym światłem latarni wychodzi facet w białym kombinezonie motocyklowym i kasku na głowie. Powoli się zbliża, a wtedy z ciemności dookoła wyłaniają się inne postaci – w kombinezonach, w kaskach i z kijami bejsbolowymi.

– Masz, szmaciarzu. – Ten pierwszy podaje Dzyndzlowi spory woreczek z białym proszkiem. Dzyndzel zaczyna się trząść. Chciałby uciekać, ale nie

może się ruszyć. Chciałby się zapaść pod ziemię, ale ziemia się nie rozstępuje. – Stój, pedale, drugi dostaniesz, jak go związemy.

– Wolałbym – mówi spokojnie Lechu – żebyście mnie ukrzyżowali na Tatarowej, na sośnie samobójców. Byłoby mniej banalnie, a widok też nie najgorszy.

Stoją, mierzą się wzrokiem. Lechu w tej ciemności ledwo widzi Jakuba. Jakubowi chyba jeszcze trudniej coś zobaczyć, bo teraz on jest cały Białym Legionem, jest aniołem śmierci, nie może podnieść czarnej szybki, musi wystąpić w stroju bojowym. Patrzą się więc na siebie, a raczej wypatrują w ciemnościach jeden drugiego. Zaraz cosik będzie się działo.

W tym momencie zza zakrętu wyskakuje samochód elektryczny wyciszony, policja używa takich do akcji specjalnych.

– Tutaj, tutaj – drze się dziewczyna, która wyskakuje zza sąsiedniego budynku na środek ulicy. Od początku ich śledziła, kiedy z Siwego Dymu wyszli. Teraz kieruje policjantów pod drzwi kanciapy nad warsztatem, w kilka sekund podjeżdżają tam trzy auta, wyskakują policjanci z odbezpieczoną bronią.

– Ręce do góry!

Lechu natychmiast podnosi ręce, ale taki jest w tym geście swobodny, wyluzowany, że ręce bardziej na boki rozkłada niż do góry. Motocykliści robią to z ociąganiem, starając się ukradkiem wyrzucić bejsbole, ale przecież wszystko jest już nagrane, widać, kto trzymał bejsbola. To zresztą nieduże zmartwienie, za użycie kija w celach obronnych w przypadku konfliktu z Nowotworem grozi kara do jednego miesiąca domu poprawy, a tu kije nawet nie poszły w ruch.

Tylko Jakub zaskoczony patrzy na policjantów. Za wielki worek kokainy, który ma przy sobie, pójdzie do więzienia co najmniej na dziesięć lat. I to nie do domu poprawy, ale do ciężkiego więzienia z menelami, złodziejami, mordercami, z całą tą grypserą. Bo za narkotyki Rzecznik Praw Rodziny karze ze specjalnego dekretu i Jakub się od wielu lat odsiadki nie wywinie. Wszyscy będą w Ludźmierzu *vis-à-vis* bazyliki Matki Boskiej Ludźmierskiej

rżnąć jego Weronikę, a on będzie wył przez kraty. Nie ma bata. Musi uciekać.

Mija jednego policjanta, drugiego, trzeciego. Za nim rusza Dzyndzel, bo też zdaje sobie sprawę, że czeka go polskie piekło. Za współudział w narkotyzacji polskich rodzin pięć lat w celi z najtwardszymi przestępcami z żelaznym kodeksem zasad. Zajebią go w pierdlu. Jego życie discopolowego muzyka weselnego z góralskim rodowodem wydaje mu się nagle bardzo atrakcyjne. Też przebija się przez kordon i obaj biegną w górę Kilińskiego, koło cmentarza jest szansa na ucieczkę, bo tam auto nie wjedzie.

Policjanci krzyczą zwyczajowe „stój, bo strzelam", ale już odbezpieczają broń. Oddają trzy celne strzały. Jeden trafia Jakuba, drugi Dzyndzla. A trzeci Magdalenę.

Jz 10, 50-55

Lechu składa wyjaśnienia na komendzie, ale zaraz po wyjściu wsiada w samochód autonomiczny, który sobie sprawił w zeszłym roku, i jedzie do szpitala w Nowym Targu. Imię, nazwisko, nieustająco niesympatyczna recepcjonistka, to jakaś linia dziedziczna jest czy w warunki rekrutacji wpisana jest opryskliwość? Kim pan jest dla poszkodowanej, nie możemy udzielić żadnych informacji i prosimy do poczekalni dla kolorowych.

Na szczęście w tym samym momencie dojeżdżamy wszyscy drugim autem – Anka z Łukaszem, Elka Zacharowa, Maryśka i ja.

– Ona jest matką, ona jest matką i jest w szoku, i proszę dać jej spokój – krzyczy od drzwi Elka, wskazując na Ankę. Recepcjonistka pokazuje tylko kierunek, gdzie można czekać na lekarza. Maryśka widzi Lecha zabłąkanego w jakimś bocznym korytarzu, bierze go i prowadzi jak chłopca. Lechu to jest dopiero w szoku. A nie, nawalił się, butelkę ma w kieszeni. Idzie potulnie jak baranek.

Czekanie jest trudne. Nic nie możesz zrobić, zżera ci nerwy, wykręca żołądek na drugą stronę. Ale w czekaniu jest jeszcze nadzieja. Widzimy na końcu korytarza, jak człowiek w białym fartuchu prowadzi ostrzyżoną na krótko kobietę w czerni, która to czerń dziś jest bardzo adekwatna. Kobieta zawodzi, jęczy, twarz ma wykrzywioną. To Weronika. Wraca z identyfikacji zwłok.

Ten młody, niby kolega Lecha, co mu narkotyki zniszczyły karierę, honor, a na koniec życie, też nie żyje. Obaj dostali w brzuch, w czasie próby ucieczki, to normalna procedura. Jakub padł od pierwszego strzału. Dzyndzel dostał w brzuch drugi strzał, pierwsza kula chybiła i trafiła w Magdalenę.

Po godzinie zza drzwi wychodzi lekarz.

– Dobry wieczór, nazywam się Wójciak, doktor Wójciak.

– Psychiatra?

– Nie, inny Wójciak. U nas na każdym oddziale jest co najmniej jeden doktor Wójciak, ja jestem chirurgiem. Mam raczej dobre wiadomości.

Magda widząc, że jest na linii strzału, usiłowała paść na ziemię. Gdyby tego nie zrobiła, dostałaby prosto w brzuch i odbieralibyśmy ją z kostnicy. A tak kula minęła o kilka centymetrów serce i roztrzaskała jej żebra na lewym boku. Był wielki krwotok, lekarze w karetce nie mogli go zatamować, ale w szpitalu się udało. Dużo krwi jednak straciła. Magda jest w śpiączce farmakologicznej i w ciągu najbliższych czterdziestu godzin okaże się, czy z tego wyjdzie.

– To przyjedźcie po mnie za czterdzieści godzin – mówi Anka i sadowi się na krześle.

– Po nas – dodaje Łukasz i siada obok. Ta relacja jest dopiero skomplikowana, trudno powiedzieć, czy są razem, czy osobno. Dziś są na pewno razem przy Magdzie.

– Dobra, robimy tak – zarządza Elka. – Zostawiamy wam jeden samochód, bierzemy młodego, bo on jakiś wczorajszy. Już się sobota zaczęła, wyspać się trzeba i od jutra działamy. Bo się właśnie zaczęło dziać

i trzeba się włączyć. Zaraz wam przeczytam, co piszą na portalach. – I zwraca się jeszcze do Anki: – Nawet nie wiesz, co twoja córka sprawiła. Co już sprawiła. Ale to ci opowiem, jak wyzdrowieje.

Wsiadamy we czwórkę do samochodu Lecha. Po drodze podjeżdżamy na stację elektryczną kupić wódkę. Czuję, że Lechu potrzebuje się złoić do końca i najlepiej niech śpi, póki się Magda nie obudzi. Jeśli się obudzi.

Dobrze, że Lechu kupił ten samochód autonomiczny. Wystarczy mu tylko powiedzieć, żeby jechał na Traczykówkę, podać numer i możemy pić w drodze.

– Wszyscy pijemy. Maryśka też, w końcu ty już taka nasza jesteś, że przestałabyś się tym winem lansować i wódki byś się po ludzku napiła. Chłopy polewają, a ja wam przeczytam, bo już sobie posiedziałam trochę w sieci i widzę, co się zaczęło. Rewolucja.

Polewamy, pijemy z papierowych kieliszków jednorazowych kupionych na stacji, a Elka czyta, co portale piszą. „Historia napaści na znanego rapera i postrzelenie jego przyjaciółki poruszyły internet". „Mieli bronić polskości, doprowadzili Polkę na kres życia". „Dzielna góralka ofiarą nadmiernej segregacji wolnościowej?".

– Ten ostatni tytuł ze znakiem zapytania. Ale to jest bomba, przeczytam wam całe info – entuzjazmuje się Elka. – Rzecznik Praw Rodziny napisał godzinę temu tweeta adresowanego do premiera: „Czy słuszna polityka segregacji wolnościowej nie doprowadziła do wypaczeń, jak rozpanoszenie się samozwańczych grup, które pod hasłem obrony wartości prowadziły bezkarną działalność w podziemiu narkotykowym, godząc w ten sposób znacznie mocniej w dobro rodzin? Czy nie należy, panie @premier, zrewidować zasady segregacji pod kątem stopniowej integracji pomarańczowych opasek z narodowym trzonem społecznym? A w perspektywie zmierzać do likwidacji stref wolności?".

Pijemy toast za wolność. A Elka otwiera kolejne portale i pokazuje nam zdjęcia. Ludzie demonstrują w środku nocy na placu Zbawiciela w Warszawie. Wszyscy w pomarańczowych czapkach, kurtkach. Tytuł info „Pomarańczowa rewolucja w Warszawie". A w Google Maps hakerzy

podmienili nazwę placu na plac Magdaleny i póki boty tego nie wykryły, ludzie porobili screeny.

W życiu nie czułem się tak blisko z warszawiakami jak dziś. Nawet wtedy, kiedy byłem czasem Staszkiem z Warszawy, to czułem, że oni są jacyś obcy. A może bardziej obcy są ci z Ponic, przynajmniej ci na motocyklach, niż ci z Warszawy? Pijemy zdrowie warszawiaków.

Wzrusza mnie info z demonstracji w Gdańsku, bo tam też wyszli na Długi Targ. Na przedzie ktoś niesie wielkie zdjęcie Magdy z pomarańczową opaską i dopiskiem: „Zwyciężyłaś!".

Kraków wyszedł na Rynek. Nie miał daleko, bo i tak wszyscy, którym chciałoby się demonstrować w środku nocy, siedzieli wcześniej w pubach w okolicach Rynku. Mają projektory, którymi wyświetlają hasła na kościele Mariackim. Są zdjęcia w sieci: „Rabka czy Kraków – Polska dla lewaków", „Zdelegalizować Biały Klan", „Żaden człowiek nie jest Nowotworem", „Lewacy też Polacy". Pijemy za braci krakusów. Pijemy za wszystkich pomarańczowych. Pijemy za nas samych. Pijemy i auto dojeżdża do Rabki.

– A zobacz, Lechu, to jest info o tobie: „Gangsterzy narkotykowi urządzili zasadzkę na znanego rapera, a spotkała ich kara boża". Popatrz. I twój kawałek podlinkowali *Pokój dla Podhala*. – Elka potrząsa Lechem. Ale Lech śpi dobrym pijackim snem.

– Położymy go u nas, w jego pokoju. Pod tym oknem, które kiedyś Jakub świętej pamięci rozbił kamieniami – mówi Maryśka, kiedy już udaje nam się doprowadzić nieprzytomnego Lecha do jego pokoju, ułożyć na łóżku i kiedy sami wreszcie zdołamy się położyć.

– Nie jestem pewien, czy świętej pamięci. – Obejmuję Maryśkę. – Mam nadzieję, że to się wszystko teraz odwróci, że zło przestanie być uważane za święte. Nasz Lech się do tego przyczynił. A najbardziej Magda. Gdyby nie jej przytomność, gdyby za nimi nie poszła, gdyby nie wezwała policji, to teraz byśmy nie zasypiali, tylko płakalibyśmy, płakalibyśmy bez końca.

– Oby się obudziła. – Maryśka przytula się i zasypia.

Jz 10, 56-59

Pierwsze promienie słońca docierają na Traczykówkę późno, słońce musi podnieść się nad Tatarową, nad Maciejową, nad całe Gorce. Maryśka idzie do pokoju Lecha, bo całą sobotę spał jak zabity. Pojechaliśmy po południu z Maryśką do Nowego Targu, zawieźliśmy Koconiom kanapki, herbatę, Elka jeszcze termos z zupą dołożyła. Magda ciągle się nie obudziła, ale lekarze byli dobrej myśli. Wróciliśmy pod wieczór, a Lechu spał i spał. Chyba jakieś napięcie z niego zejść musiało.

– Gdzie on jest? – pyta teraz Maryśka, bo łóżko puste, pościel na bok odrzucona, jakby ktoś w pośpiechu wychodził. I Maryśka zaniepokojona, jak to matka.

– Maryśka, nasz syn ma trzydzieści trzy lata, jest dorosły. Pewnie poszedł na spacer, nad ranem smog mniejszy – uspokajam ją. – Szykujmy się lepiej na mszę. Dziś siadamy w pierwszej ławce. A co, jak rewolucja, to rewolucja.

A Lechu idzie przez jeżyny, przez las świerkowy wzdłuż parowu. W nocy przymroziło, więc błoto zmieniło się w marcową grudę. Wchodzi w las mieszany, mija polanę z widokiem na kawał świata i przez lasek brzozowy dochodzi do sosny na szczycie Tatarowej. Staje pod sosną samobójców. Bardzo piękne drzewo.

Bierze głęboki oddech, wreszcie. Bo jednak trochę się zmęczył wspinaczką, trzeba by się chyba wziąć za jakiś sport. Albo chociaż częściej tu przychodzić. Na Tatarową nie dochodzi smog z Rabki. Stąd świat od Jordanowa po Skawę, bo taki tu mniej więcej horyzont, wydaje się lepszy. Szczególnie dziś, w Niedzielę Wielkanocną dziewiątego kwietnia. W kościołach dzwony biją jak zwykle, pod kościołami chłopaki odpalają petardy, psy dostają od tego pierdolca, ale w Rabce nikt się tym nie przejmuje, bo to przecież nie Warszawa. Ale coś się jednak dziś zmienia. Lechu wie, że jego matka usiądzie dziś w kościele na Rdzawce w pierwszym rzędzie. Że po południu usiądą, żeby zaplanować inwestycję w remont spalonego Baru u Władka. Że to koniec krzyżowego ognia,

przyjedzie wreszcie ten pokój na Podhalu, który starał się zaklinać słowem przez tyle lat. *Pokój na Podhalu/ Zaczyna się w szpitalu* – układa sobie początek nowej przypowieści.

W nowotarskim szpitalu na OIOM-ie dyżuruje znów doktor Wójciak. Właśnie podchodzi do łóżka Magdaleny i Lechu wie, że w tej właśnie chwili Magdalena otwiera oczy i doktor się dziwi, a Magdalena jeszcze bardziej. On, bo myślał, że dziewczyna już nie wstanie, nie obudzi się, kiedy ją tu przywieźli z tym przestrzelonym bokiem. Ona, bo nie wie, czy znalazła się w niebie, bo doktor się tak przyjaźnie uśmiecha, czy w piekle, bo wszystko boli, czy tu na ziemi, ale w jakiej historii?

Lechu dotyka ręką sosny. Trzyma rękę długo, oddycha głęboko. Czuje, że drzewo jest żywe.

Rabka-Zdrój–Warszawa, 24 grudnia 2019 roku

Przypisy

[1] J 13,34, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. internetowe, Pallottinum 2003.

[2] Łk 12,49, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. internetowe, Pallottinum 2003.

[3] J 13,34, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. internetowe, Pallottinum 2003.

Spis treści

Jz 1, 1-12
Jz 2, 1-12
Jz 3, 1-19
Jz 4, 1-8
Jz 5, 1-12
Jz 6, 1-18
Jz 7, 1-18
Jz 8, 1-3
Jz 9, 1-8
Jz 10, 1-22

Przypisy
Karta redakcyjna

Projekt okładki
Karolina Żelazińska

Redakcja
Teresa Zielińska

Korekta
Halina Stykowska

Skład i łamanie
to/studio

Copyright © by Wojciech Staszewski, 2020
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2020

ISBN 978-83-8032-445-9

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź nas na

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR
Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na Android oraz iOS. Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.

Konwersja: eLitera s.c.